

ALEXANDRA
POTTER

KIM JEST TA
DZIEWCZYNA?



Dla Beatrice

Podziękowania

Wielkie, wielkie dzięki jak zawsze dla mojej cudownej agentki Stephanie Cabot i wszystkich w The Gernert Agency w Nowym Jorku; dla mojej fantastycznej redaktorki Sary Kinsella i równie fantastycznej Isobel Akenhead, i wszystkich, którzy tak ciężko pracowali nad tą książką w wydawnictwie Hodder.

I dla moich rodziców — nie chcę wdawać się we łzawą przemowę jak z rozdania Oscarów, ale nie mam słów dla ich miłości i wsparcia, które okazowali mi przez tyle lat. I dla mojej siostry — powiem tylko: dziękuję ci, Kel, za wszystko. (Muszę się streszczać, inaczej zajęłoby to parę stron...).

Chcę także skorzystać z tej sposobności, żeby wspomnieć o mojej drogiej przyjaciółce Mishky, której nie widuję tak często, jak bym chciała, ale która zawsze jest po drugiej stronie telefonu z pociechą i zachętą.

Wielkie dzięki dla Dany, pisarki i przyjaciółki, która utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach, kiedy miotalam się tam i z powrotem pomiędzy rokiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym a dwa tysiące

siódmym, pomiędzy byciem dwudziestojednolatki a trzydziestojednolatką— wiercie mi, podróż w czasie nie jest łatwa: gdyby istniały czarne dziury, w którymś momencie na pewno bym się w jedną z nich rzuciła...

Dziękuję także Saarze za całe godziny burzy mózgow i niezliczone filiżanki herbaty, kiedy miałam niemoc twórczą, i za to, że bez słowa skargi przez większość roku znosiła stół jadalny pokryty kalendarzami, wycinkami i samoprzylepnymi karteluszkami... I oczywiście uściski dla mojej muzy, Barneya.

Pracując nad tą książką, spędziłam trochę czasu w Anglii i chciałam wyrazić specjalne podziękowania Trishy i Matthew — parze niezwykłych przyjaciół — za ich nadzwyczajną gościnność i udostępnienie mi pięknej posiadłości w Wimbledonie, której nie sposób wyobrazić sobie bez cudownego pana George'a. Dzięki, kochani!

Na koniec, gdybym miała spotkać siebie jako dwudziestojednolatkę, powiedziałabym jej, że pozna w życiu wielu wspaniałych ludzi — między innymi dziewczynę o imieniu Beatrice. Dzięki, Bea, za twoją wierną przyjaźń, niegasnący entuzjazm i dogłębną wiedzę na temat świata PR-u. I za rozśmieszanie mnie. Do łez. Ta książka jest dedykowana tobie.

20 sierpnia 1997

Drogi Pamiętniku!

Obudziłam się rano ze straszliwym kacem. Byłam wczoraj z Nessie w tym nowym pubie Wellington. Miałyśmy ubaw po pachy! Jeszcze przed wyjściem wypiliśmy butelkę wina, bo na miejscu mogłyśmy sobie pozwolić tylko na jednego drinka na głowę. Widziałam Billy'ego Romani, tego rockmana. Jest boski, ale nawet nie wie o moim istnieniu...

Nadal lubię nową pracę w magazynie, ludzie są fajni i dużo się ucze. Następny etap to „Vogue”! Cóż, zawsze można sobie pomarzyć... Zadzwoiłam z pracy do taty i złożyłam mu życzenia z okazji urodzin — ucieszył się z kartki i z prezentu!!! Obiecałam, że przyjadę do domu na przyszły weekend. Tak tęsknię za nim i mamą!

Znow nastaly upaly. W porze lunchu leżałyśmy z Nessie na trawie w parku i doskonaliłyśmy opaleniznę. Nessie paplała jak najęta o Julianie, swoim nowym chłopaku. Spotkali się zaledwie parę razy, ale już jest w nim po uszy zakochana!

Muszę zacząć się przygotowywać. Wychodzę dzisiaj wieczorem na imprezę i mam zamiar włożyć tę nową minispódniczkę od Miss Selfridge. Już nie mogę się doczekać — będzie świetna zabawa!!!

Kartka z kalendarza komputerowego:

20 SIERPNI 2007

- 6.00 Pobudka.
- 6.15 Trener.
- 7.30 Sprawdzić pocztę.
- 8.00 Wyjazd do biura. Po drodze wykonać konieczne telefony.
- 9.00 Przyjazd do biura. Zobaczyć co nowego w gazetach.
- 10.00 Odpisać na e-maile i naradzić się z Beą.
- 11.00 Przygotować się do jutrzejszego spotkania z Larrym Goldsteinem.
- 12.30 Lunch z dziennikarzami z „Daily Standard”.
- 15.00 Ułożyć komunikat prasowy.
- 16.00 Umówić Johnny’ego Birda, stylistę włosów z West Endu, z nowym wydawcą magazynu „Cuts” na wypowiedź i wywiad na temat jego najnowszej linii szamponów.
- 17.00 Napisać ten komunikat prasowy!
- 18.00 Opracować hasło dla Cloud Nine.
- 19.00 Kolacja z Milesem.
- 22.00 Przejrzeć harmonogram na jutro.
- 23.00 Przeczytać rozdział poradnika *Jak odnaleźć siebie*.
- 24.00 Pora spać.

Rozdział pierwszy

Szuuuuaaaa... szuaaaaaaaaaaaaauuuaa... szuuuuuaaaauuaaa.

Ach, co za rozkosz. Wsłuchiwać się w fale, łagodnie nadbiegające ku opustoszałej plaży — szuuuuuaaaua — w spienione grzywacze, które pieszczą piasek i cofają się cicho w morze. Szuuuaaaauuaaa. Nadpływają i odpływają. Jak w najpiękniejszej kołysance. Relaks. Spokój. Błogość. Mój umysł gdzieś dryfuje. Ciało płynie. Unosi się lekko w przestrzeni...

DRRR... DRRR... DRRR... DRRR!

O kurczę. Nie, nie jestem na plaży. Jestem w moim mieszkaniu w Londynie, jest poniedziałek rano i bezlitośnie wyrywa mnie ze snu przenikliwy dzwonek budzika.

Z przyśpieszonym biciem serca i pustką w głowie przewracam się na drugi bok, zdejmuję aromaterapeutyczną maseczkę z oczu i zerkam ze wstrętem na mrugający wyświetlacz: 6.00. Czuję ucisk w żołądku. Boże, już szósta? Mam sesję z osobistym trenerem przed pracą — muszę wstawać.

DRRRRRRRRRRR!!!

Natychmiast.

Wyłączam budzik i odrzucam prześcieradła. Właśnie je kupiłam. Są z czystej, organicznej, niewybielanej chemicznie

bawełny, która —jak mnie zapewniał sprzedawca w sklepie John Lewis — pomoże mi zwalczyć moje alergie. Jestem uczulona na mnóstwo rzeczy, co jest trochę krępujące, jako że wyglądam na jedną z tych irytujących osobniczek, które chodzą w dziurkowanych człapakach i uważają nietolerancję glutenu za szczyt mody. Aleja naprawdę mam alergię. Prawie na wszystko. W każdym razie postanowiłam dać tym prześcieradłom szansę. Jednak nie wiem, czy mi pomagają, bo wystarczy, że przypomnę sobie ich cenę, a oczy same zachodzą mi łzami.

Budzik umilkł, ale przez chwilę nie mogę wykrzesać energii, żeby się ruszyć. Leżę plackiem z maską na oczy zsuniętą na tył głowy; nawilżacz wydmuchuje obłoczki pary, z wieży w rogu płynie muzyka. Relaksująca kołysanka morska, mająca zapewnić spokojny i zdrowy sen. Bo oprócz niezliczonych alergii mam także kłopoty ze snem. Straszne kłopoty. Nie mogę się wyłączyć. Gdy tylko zamykam oczy, wszystkie niezalutowane sprawy i nagłe terminy zaczynają maszerować mi po głowie jak armia niespokojnych mrówek.

Próbowałam je raz liczyć, na wzór owiec, ale miało to wręcz przeciwny skutek. Zamiast mnie uspić wprowadziło w panikę i spędziłam resztę nocy, oglądając w telewizji program o nieudanych operacjach plastycznych. Nie tylko byłam na drugi dzień wykończona, ale nabawiłam się koszmarów nocnych na temat rekonstrukcji pochew. (Wierzcie mi, jest coś takiego jak nadmiar informacji). Od tej pory dałam sobie spokój z tym sposobem na zasypianie.

Skoro już o tym mowa, zapewne przydałoby mi się więcej niż pięć godzin snu na dobę. Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy skończyłam czytać rozdział *Jak odnaleźć siebie* i zgasiałam światło. Z drugiej strony, jak wiadomo, wszystkie kobiety sukcesu mało śpią, prawda? Margaret Thatcher rzą-

dziła krajem, śpiąc tylko po cztery godziny na dobę, a Madonna podobno wstaje o czwartej nad ranem, żeby uprawiać jogę.

Ziewam rozdzierająco. Może tym razem pozwolę sobie na leszcze pięć minut w łóżku. Chyba pięć minut nie zrobi wielkiej różnicy?

Kiedy zwijam się w kłębek, nachodzą mnie wątpliwości. Może jednak lepiej ograniczyć to do dwóch minut. Mam przed sobą pracowity weekend. Jutro spotykam się z potencjalnym nowym klientem: Larry Goldstein, słynny dentysta kosmetolog z Los Angeles, który wybiela zęby wszystkim największym gwiazdom hollywoodzkim, otwiera gabinet pokazowy tutaj, w Londynie. Szuka agencji public-relations, która będzie go reprezentować. Mam nadzieję, że to będzie moja agencja.

Czuję przyływ dumy. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mam własną firmę — Merryweather PR — która, jak głosiła notka w dziale ekonomicznym „Telegraph”, jest „londyńską niszową liremką public-relations. Specjalizuje się w problemach zdrowia i urody. Została założona trzy lata temu przez Charlotte Merryweather [to ja!], specjalistkę PR-u i doświadczoną dziennikarkę, która szczyli się indywidualnym i osobistym podejściem do każdego klienta”. Co mi przypomina, że muszę sprawdzić, czy pan Goldstein nie jest na jakiejś specjalnej diecie. Niedawno z wielkim trudem zdobyłam stolik w bardzo modnej nowej restauracji sushi, gdzie obowiązuje rezerwacja na miesiąc z góry (musiałam błagać, prosić i przekupić właściciela obietnicą promocyjnej wzmianki w komunikacie prasowym), a potem na miejscu okazało się, że moja klientka jest w ciąży i nie może jeść surowych ryb.

Przyływ dumy szybko zostaje wyparty przez znajome uczucie paniki.

Okay, żadnych dwóch dodatkowych minut w łóżku, niech będzie jedna.

Och, i muszę pamiętać, żeby odpowiedzieć na te e-maile od mojego doradcy finansowego. Teraz, kiedy skończyłam trzydziestkę, pora pomyśleć o oszczędnościach i emeryturze. Co prawda moje akcje South-East Asia trzymają się nieźle, ale fundusz emerytalny nie spisuje się najlepiej. Fascynujące... żeby tylko jeszcze miała blade pojęcie, o czym on mówi.

Pięćdziesiąt pięć sekund.

Dlatego właśnie zamierzam zamówić sobie w Amazonie jakiś poradnik, na przykład *Inwestowanie: podręcznik dla ludzi, którzy do tej pory myśleli, że Dow Jones to walijski tenor* czy coś w tym rodzaju.

Pięćdziesiąt sekund.

Miles, mój narzeczonny, zawsze powtarza, że należy zaplanować przyszłość. Jest deweloperem i bez przerwy mówi o zabezpieczeniach i inwestycjach. W zeszłym tygodniu, kiedy byliśmy w łóżku, wyłączyłam się w środku konwersacji o kredytach i wyobraziłam sobie, że bzykam się z Jakiem Gyllenhaalem.

Prawdę mówiąc, ostatnio często tak robię...

Czterdzieści pięć sekund.

Ale to normalne w stałych związkach. Wszyscy fantazjują. Wiem, bo czytałam w jednym z poradników. Jesteśmy razem od półtora roku i świetnie się rozumiemy. No dobrze, seks może nie zawsze wznosi mnie na orbitę, ale to przecież nie wszystko, prawda? Co innego kiedy byłam młodsza - teraz mam ważniejsze sprawy na głowie.

Czterdzieści sekund.

Jak na przykład odebrać pranie z pralni. Muszę o tym pamiętać.

Trzydzieści pięć sekund.

I muszę zrobić zakupy. Chodzę do tego naprawdę modnego ekologicznego supermarketu, gdzie raz spotkałam Gwyneth Paltrow przy stoisku z kartoflami odmiany King Edward. Niestety, straszna tam drożyzna — jeden banan kosztuje ze dwa i pół funta — ale lubię zdrową, zrównoważoną, organiczną dietę. Niemniej w tym tygodniu nie miałam czasu zrobić zapasów, więc moja lodówka świeci pustkami.

Chociaż nie. Pełno w niej obrzydliwych, gnijących jarzyn. W tym cały problem — zdrowa żywność bardzo szybko się psuje, jako że nie jest napakowana konserwantami i numerkami E. W gruncie rzeczy kończy się na tym, że wyrzucam wszystko do kosza i idę coś przegryźć do knajpki na rogu.

Trzydzieści sekund.

Co mi przypomina, że obiecałam ugotować dzisiaj kolację dla Milesa. No cóż, „ugotować” to może za dużo powiedziane. Generalnie biorąc, wrzucam do salaterki pudełko opłukanej rukoli i nakłuwam plastikową torebkę z „domowym” risottem grzybowym kupionym w supermarkecie. Jestem wielką zwolenniczką gotowych dań. Może i są trochę drogie, ale warte wszystkich pieniędzy! Próbowaliście kiedyś zrobić risotto? To zajmuje wieki. Dosłownie całe godziny. Całe to zawracanie głowy z dosypywaniem co pięć minut nowej porcji bulionu i mieszaniem, aż ci ręka uschnie, a nogi się poplączą od wypitego wina, które miało być dolane do ryżu. (Przecież coś trzeba robić, kiedy się tak miesza — to takie cholernie nudne). Na domiar złego wychodzi z tego posklejana paciają bez smaku, którą trzeba potem jeść przez długie tygodnie jak magicznie rosnącą owsiankę, bo to, co zaczęło się od dwóch filiżanek arborio, wystarcza teraz do nakarmienia całej armii.

Myśli biegną mi z szybkością stu mil na godzinę, jak zwykle; przewracam się i przyciskam poduszkę do piersi.

Dwadzieścia pięć sekund.

Z drugiej strony i tak nie mam czasu iść na zakupy. Będziemy musieli zjeść coś na mieście. Ale nie szkodzi. To dobry pretekst, żeby zwiedzić ten nowy gastropub na końcu mojej ulicy, który się szczyci dobrą kuchnią, został otwarty dwa tygodnie temu i umieram z ciekawości, jak tam jest.

Dwadzieścia sekund.

O Boże, dopiero teraz sobie przypomniałam, że dzisiaj są urodziny mojego ojca.

Serce mi zamiera. Mama zostawiła trzy wiadomości na sekretarce w zeszłym tygodniu, żeby o tym przypomnieć, a ja i tak zapomniałam. Nie wysłałam mu nawet kartki z życzeniami. Tata będzie niepokieszony, jeśli nie dostanie kartki pocztowej. W zeszłym roku wysłałam mu kartkę e-mailową, bo byłam jak zwykle zawałona robotą, ale kiedy zadzwoniłam, miał smutny głos i mama musiała przejąć słuchawkę i zagaić wesołą rozmowę o nowej przybudówce sąsiadów.

Piętnaście sekund.

Żołądek mi się kurczy. Okay, Charlotte, nie stresuj się. Dostaniesz tej śmiesznej szorstkiej wysypki na dekolcie i będziesz chodzić w golfie przez cały tydzień i wyglądać jak Dianę Keaton w *Lepiej późno niż później*. Zadzwonię do Interflory i zamówię usługę ekspresową. No i co z tego, że tata jest mężczyzną? Wszyscy lubią kwiaty, prawda? Poproszę tylko o jakieś męskie kolory czy coś takiego.

Dziesięć sekund.

Czy w ogóle są kwiaty w granatowym kolorze? Pięć sekund.

Dość tego dobrego. Muszę wstać.

Podciągam się na łokciach i wyjmuję z ust nakładki ochronne. Dentysta twierdzi, że zgrzytam w nocy zębami i jeśli nie

będę nosić nakładek, zostaną mi same pieńki jak Shane'owi MacGowanowi z The Pogues!

To znaczy nie powiedział wprost, że będę wyglądać jak Shane MacGowan, ale tylko dlatego, że nie wie, kim jest Shane MacGowan ani zespół The Pogues. Nieważne. W każdym razie musiałam je zrobić na zamówienie i zapłacić ponad tysiąc funtów. Moja najlepsza przyjaciółka, Vanessa, stwierdziła, że zwariowałam. Uważa, że powinnam wydać te pieniądze na wakacje, bo przydałby mi się odpoczynek.

Naprawdę uwielbiam Vanesę, ale to chyba ona zwariowała. Wakacje? Jakbym miała czas na wakacje. Poza tym robię mnóstwo rzeczy dla relaksu. Na przykład ćwiczę pilates. Cóż, „ćwiczę”, to może lekka przesada — spróbowałam raz i zasnęłam na macie — ale powzięłam mocne postanowienie, aby gimnastykować się regularnie. I zażywam długich kąpieli z oliwką lawendową, świeczkami zapachowymi i szklanką schłodzonego sauvignon blanc. Choć trzeba przyznać, że ostatnio jakoś to zaniedbałam — w zasadzie poprzestaję na szybkim prysznicu i jednorazówce do golenia nóg — ale zawsze. No i mam nawet płytę relaksacyjną Paula McKenny, którą przysłała mi mama. Gdzieś leży. Chyba na dnie jakiejś szuflady.

I na pewno jej wysłucham, jak tylko znajdę minutkę...

Okay, nie będę się upierać, że jestem wypoczęta i odprężona, ale kto jest wypoczęty i odprężony w dzisiejszych czasach? Prowadzę firmę. Mam do spłacenia hipotekę, mnóstwo obowiązków i cienie pod oczami, z którymi muszę walczyć. Po prostu nie mam już dwudziestu jeden lat.

I dzięki Bogu.

Wtedy wynajmowałam pokój, miałam marną pracę i zawsze grosza. Teraz mam własną agencję PR, ładne w zielonej dzielnicy zachodniego Londynu i jeden

z tych nowych modeli garbusa z otwieranym duchem. Jem w restauracjach i mogę sobie pozwolić na markowe ciuchy i luksusowe wakacje.

Nie żebym gdzieś wyjeżdżała, oczywiście, bo nigdy nie mam czasu, ale tylko mówię.

Mam nawet osobistego trenera.

Skoro już o nim mowa... Wywlekam się z łóżka, zamieniam ciepłą, miękką piżamę na dres i podchodzę do okna. Otwieram żaluzje i rozsuwam zasłony. Na dworze jest ciągle czarna noc i przez chwilę wpatruję się bez ruchu w cichą, śpiącą uliczkę.

Mam trzydzieści jeden lat i życie, o jakim marzyłam.

Natarczywy dzwonek przerywa moją zadumę.

— Już otwieram! — krzyczę głośno, odwracam się od okna, wycieram resztki snu z zapuchniętych oczu i śpieszę do drzwi.

Rozdział drugi

Godzinę później, po okrążeniu biegiem parku i zrobieniu około miliona podskoków z wymachami, podążam za Richardem, moim osobistym trenerem, który goni mnie szybkim truchtem do domu. Służył kiedyś w ochotniczej służbie obrony kraju i lubi dać mi wycisk.

Wygląda to tak, że warczy na mnie, kiedy ledwo zapiąc, leżę twarzą na macie, i bezlitośnie każe mi robić następnych pięćdziesiąt pompek.

— No dobrze, Charlotte, może się pościgamy? Wierzcie mi, mam sto powodów, żeby zaprotestować, ale

Richard już śmiga przodem — wysoki, muskularny, ubrany w skąpy podkoszulek i obcisłe czarne szorty sadzi długimi susami po chodniku. Zaciskam ręce na ciężarkach i ostatkiem sił rzucam się za jego znikającą postacią unoszoną miarowo na potężnych łydkach.

— Tempo, tempo, nie leń się. Oddychaj głęboko. Podnoś wysoko kolana. Hop, hop, hop...

Przysięgam, że Richard ma najbardziej umięśnione łydki, jakie widziałam. Kiedy był w tej swojej służbie, przebiegał setki mil z plecakiem, który ważył więcej niż ja. Co mnie

zawsze pociesza — gdybym zemdląła, miałby mnie kto odnieść do domu.

Doganiem go dopiero pod drzwiami mieszkania.

— A więc do zobaczenia w środę.

Nadal przebierając w miejscu nogami, Richard daje mi w plecy serdecznego klapa, pod którym się uginam.

— Do środy — odpowiadam wesolutko i szczerząc zęby, otwieram drzwi.

— Nie zapomnij rozciągać tych mięśni! — krzyczy na pożegnanie, chwyta się za łokcie i bez wysiłku wykonuje dodatkowe ćwiczenia wzmacniające ramiona.

— Jasne. — Uśmiecham się szeroko, macham mu beztróska i znikam w mieszkaniu. Zaraz za progiem padam półżywa na wycieraczkę.

Ćwiczę z nim trzy razy w tygodniu. Kiedy byłam młodsza, nie chciało mi się ruszyć ręką ani nogą ale teraz wydorostałam, zmadrzałam i wiem, jakie to ważne, żeby dbać o kondycję. Chociaż akurat w tej chwili trudno powiedzieć, że bym była w dobrej formie, już prędzej określiłabym to jako stan agonalny.

Zlana potem leżę martwym bykiem na podłodze, jak obrysowany kredą trup w filmie kryminalnym, i próbuję złapać oddech.

Oczywiście, wiele bym dała, żeby czasem dłużej pospać, ale jeszcze więcej, żeby zmieścić się w swoje džinsy. Poza tym, jak mówi Richard, ruch jest zbawienny dla serca. Kładę opiekuńczo rękę na sercu. Bije tak mocno, jakby miało za chwilę eksplodować.

Ale chyba nie eksploduje? Serca nie mają tego w zwyczaju, prawda?

Zdejmuję kardiomonitor i patrzę na wyświetlacz. Kurczę, niegorsze tętno. Wpadam w lekki popłoch, i naprawdę nie mogę złapać tchu.

Stają mi przed oczami obrazki z pogotowia — wiecie, pacjent leży na wózku, a przystojny lekarz krzyczy: „Z drogi!”, chwyta defibrylator i aplikuje leżącemu dwa potężne wstrząsy elektryczne.

Mój niepokój rośnie. O Boże, chyba nie mam ataku serca? I to w dniu urodzin ojca! Z przerażeniem łapię się za klatkę piersiową. Jeśli umrę, już nigdy nie będzie mógł ich obchodzić. Zamiast świętować w pubie z przyjaciółmi, będzie musiał klęczeć przy moim grobie, oplakując stratę jedynaczki.

Charlotte, przestań histeryzować! Nie bądź śmieszna, weź się w garść. To normalne, że masz przyśpieszone tętno. Właśnie skończyłaś długą serię ćwiczeń. A gimnastyka służy zdrowiu. Podnoszę się z podłogi i spostrzegam swoje odbicie w lustrze. Mam twarz w czerwonych plamach, przekrwione oczy i włosy przyklejone do głowy na kształt spoconego hełmu.

Och.

No cóż, tak czy owak nie mogę tkwić tu cały dzień — muszę szykować się do pracy. Automatycznie patrzę na zegarek na stoliku w przedpokoju. Mam mnóstwo zegarków. Vanessa mi dokucza, nazywając moje mieszkanie Szwajcarią, ale choćbym stawała na głowie, zawsze się spóźniam. To przez napięty harmonogram. Nie mam czasu wrzucić na luz, jak to ona określa.

Ściągam przepocony dres i idę pod prysznic. Nie twierdzę, że nigdy się nie wyluzowuję. Oczywiście, że tak. Na przykład jeśli zdarzy mi się jakieś wolne okienko w ciągu dnia, zawsze staram się je wykorzystać na relaks. Sęk w tym, że jakoś nigdy nie mam wolnych okienek...

Okay. Makijaż? Perfekcyjny, ale „naturalny”. Odfajkowane. Włosy? Proste jak druty, ale postrzępione na końcach. Odfajkowane.

Strój? Stojąc przed długim lustrem w garderobie, wybieram czarną wąską spódnicę i bluzkę wiązaną na szyi. Muszę wyglądać profesjonalnie, ale modnie. Skromnie, ale szykownie. Zwyczajnie, ale — by tak rzec — nienagannie. Krzywię się, patrząc na buty, i wkładam inne markowe szpilki. Teraz jest lepiej. Odfajkowane.

Przed wyjściem do pracy sprawdzam listę i biegam jak zwykle po mieszkaniu, zbierając wszystkie rzeczy.

Laptop? Nie ruszam się nigdzie bez mojego iBooka. Nawet do ubikacji. Cóż, nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie coś znaleźć w Google'u. Zamykam komputer, biorę ze stołu i wtykam sobie pod ramię. Odfajkowane.

Teczka? Wypatrzyłam ją na kanapie. Pęka od dokumentów, które miałam przejrzeć i podpisać. Jak najszybciej. Odfajkowane.

Mata do ćwiczeń jogi, w razie gdybym znalazła wolną chwilę? (Akurat!). Odfajkowane.

BlackBerry? Cholera, gdzie jest? No tak, w mojej ręce. Oczywiście. Odfajkowane.

Moje serce się uspokoiło, nawiasem mówiąc. Jak było do przewidzenia. Miałam tylko moment paniki. Czasem mi się to zdarza, zwłaszcza w kwestiach zdrowotnych, ale po prostu jestem ostrożna. Zawsze mówię, że lepiej dmuchać na zimne.

Niestety, mój lekarz nie podziela tej opinii. Odnoszę wrażenie, że bierze mnie za hipochondryczkę. Zaledwie w zeszłym tygodniu miałam tę śmieszłą wysypkę na klatce piersiowej i kiedy sprawdziłam w Google'u moje symptomy, okazało się, że są dokładnie takie same, jakie daje mięsożerny pasożyt z Amazonii. Zgoda, nie podróżowałam ostatnio po Amazonii, jak zauważył mój lekarz, ale nie było powodu do zgryźliwości. Nie wysłał mnie do szpitala na oddział chorób tropikalnych

ani nic takiego! Powiedział, że zapewne odezwała się moja egzema i zalecił smarować się kremem E45.

Zastosowałam się do jego polecenia i wysypka zniknęła, ale przecież to mógł być mięsożerny pasożyt!

Z torbami wiszącymi na obu ramionach zostawiam pieniądze dla sprzątaczk i wybiegam z domu. Po czym wracam pędem do mieszkania, oślepiona jaskrawym słońcem.

Okulary przeciwsłoneczne? Lustruję blat stołu w holu, na którym stoi lampa, biała orchidea i kilka fotografii w ramkach. Mój wzrok zatrzymuje się na zdjęciu pamiątkowym z uroczystości wręczenia dyplomów. Mama i tata prężą się obok mnie, dumni jak pawie. Niewiele się zmienili od tamtego czasu, tacie tylko ubyło włosów, a mama przestała używać perłowej szminki, natomiast ja jestem nie do poznania. Mam na sobie tradycyjną czarną togę i przekrzywiony biret, spod którego spływają długie, ciemne, pofalowane niedbale loki. W niczym nie przypominają moich obecnych, starannie modelowanych krótkich włosów koloru miodu, farbowanych co sześć tygodni.

Fotografia została zrobiona, jeszcze zanim odkryłam pęset-kę, toteż nad oczami mam dwie czarne włochate gąsienice, tam, gdzie teraz rysują się idealne łuki brwi. I ten uśmiech! Patrzę na moje krzywe przednie zęby, które później wyprostował mi aparat. Boże, w tamtych latach wyglądałam zupełnie inaczej!

Za zdjęciem dostrzegam okulary, wkładam je na nos, wychodzę, zbiegam po schodach i kliknięciem pilota odblokowuję mojego garbusa. Błysk reflektorów i otwieram drzwi. Cholera, znów mam mandat za nieprawidłowe parkowanie. Klnę pod nosem, wydaję go spod wycieraczki i zanurzam się w luksusowe, kremowo-skórzane wnętrze. Wkładam mandat do bocznej kieszeni na stos innych man-

datów, przekręcam kluczyk i wrzucam bieg. Silnik budzi się do życia. Kurczę, jak ja kocham ten samochód! Ma naprawdę dużą moc i wszystkie te ekstradodatki: podgrzewane fotele, nawigację satelitarną i podświetlaną w nocy deskę rozdzielczą jak w kokpicie. W dniu, w którym go kupiłam, byłam niebotycznie podekscytowana. Pamiętam, jak wlepiłam w niego wzrok, kiedy stał zaparkowany przed domem, wypolerowany, błyszczący i nowutki. Nie mogłam uwierzyć, że jest mój.

Chociaż prawdę mówiąc, nie daje mi tyle frajdy, ile się spodziewałam, jako że w Londynie nie da się jeździć szybciej niż trzydzieści kilometrów na godzinę, nachodzi mnie refleksja, kiedy pakuję się prosto w ruch uliczny w godzinie szczytu.

W gruncie rzeczy z pewnością szybciej dojechałabym metrem.

Mój BlackBerry nagle daje o sobie znać przeraźliwym buczeniem. Patrzę na zegarek na desce rozdzielczej: nie ma nawet jeszcze ósmej.

— Słucham, Merryweather PR... Tak, oczywiście, miło mi pana słyszeć. A jeśli chodzi o ten kontrakt...

Wkładam słuchawkę i zaczynam obsługiwać telefony.

Dwadzieścia minut później jestem już spóźniona. Sa, straszne korki, gorsze niż zwykle. To z powodu olimpiady. W tej chwili w Londynie realizuje się wielką przebudowę urbanistyczną i wyburza wszystkie stare budynki w ramach przygotowań na dwa tysiące dwunasty rok. Czytałam w gazecie, że nie było jeszcze projektu o takim rozmachu: „Rozkopy, rozbiórki, rozbudowa” — głosi hasło. Ale bałagan nie ogra-

nicza się do East Endu. Wygląda na to, że całe miasto jest w remoncie. Są nawet plany, żeby zbudować imponujące, supernowoczesne centrum wzornictwa niedaleko mojego biura, i teraz wykopują stamtąd tony ziemi pod fundamenty. „Evening Standard” nazywa to cudem techniki.

Wielka, irytująca, hamująca ruch dziura w ziemi — tak ja to nazywam. Gotuję się ze złości, wciąż posuwając się naprzód w żółtym tempie. Sfrustrowana bębnię palcami w kierownicę, a wiecznie obecny ucisk w żołądku jeszcze się nasila, kiedy patrzę na zegarek. Cholera. Robię w myślach przegląd harmonogramu. Mam przed sobą pracowity tydzień i mnóstwo roboty dziś rano. Nie mogę sobie pozwolić na spóźnienia.

I wtedy widzę tabliczkę, która mnie dobija: Roboty drogowe. Objazd. Tylko tego mi brakowało! Teraz naprawdę dotrę do biura nie wiadomo kiedy.

Rozdrażniona włączam się za innymi samochodami w jednopasmowy ruch i wlokę między jaskrawo-pomarańczowymi stożkami. Ciekawe, czy dałoby się jechać jeszcze wolniej. Patrzę na prędkościomierz. Jadę mniej niż dziesięć kilometrów na godzinę! W tym tempie znajdę się w pracy o... Próbuję obliczyć. O Boże, nie wiem, ale to zajmie całe wieki. W życiu nie dotrę na miejsce.

Poruszając się jak muchy w smole, skręcamy na lewo i zaczynamy ślamazarnie krążyć po różnych bocznych uliczkach, aż w końcu widzę w oddali coś, co wygląda na główną drogę. Przy odrobinie szczęścia może to oznaczać koniec objazdu. Wypatruję świateł. Jest zielone. Szybciej, szybciej, szybciej... Samochody przede mną załapują się.

Jadę za nimi zderzak w zderzak. Teraz światło się zmienia na żółte. Próbuję się prześlizgnąć, ale już jest czerwone.

Niech to diabli!

Chcąc nie chcąc, muszę stanąć. Coraz bardziej zdenerwowana pochylam się nad kierownicą. Okay, uspokój się, Charlotte, natychmiast — mówię sobie stanowczo. Stresowanie się nic nie da. Nie pojedziesz przez to szybciej. Zrób kilka relaksujących oddechów. Jak w ćwiczeniach jogi. Zamykam oczy i biorę głęboki oddech przez nos. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Wdech...

Och, do diabła z tym. Otwieram oczy. Cóż, przepraszam, Shivanyandra, czy jak się tam nazywasz, ale to bez sensu. Muszę zadzwonić do Bei z prośbą, żeby spróbowała przesunąć terminy moich spotkań. Za piętnaście minut miałam brać udział w konferencji. Chwytam za telefon. Ale kiedy już myślałam, że nie może być gorzej...

Okazało się, że może.

Nie mam zasięgu.

Cudownie. Po prostu cudownie. Co teraz robić?

Odkładam z irytacją komórkę i patrzę na światła: nadal czerwone. Jezu. To muszą być najdłuższe światła w historii. Z roztargnieniem rozglądam się wokół. Na rogu jest kiosk z gazetami, grupka ludzi czeka na przystanku autobusowym obok odrapanego solarium, które wygląda, jakby było tu od wieków. Właściwie, kiedy o tym pomyśleć, to jest tu od wieków.

Nie zwracałam przedtem uwagi na otoczenie, ale teraz zdaję sobie sprawę, gdzie jestem. Jeździłam tą ulicą, co rano do pracy, kiedy przeprowadziłam się do Londynu. Tylko wtedy jechałam w przeciwnym kierunku. Zastanawiam się, kiedy ostatni raz tu byłam. Wracam pamięcią do przeszłości. To była moja pierwsza praca i miałam zaledwie dwadzieścia jeden lat. Boże, mam wrażenie, że to było w innym życiu. Że to była inna osoba.

Wlepiam oczy w skrzyżowanie. Naprzeciwno też czeka

rząd samochodów i mój wzrok pada na ten z przodu. To stary garbus, taki sam, jakim ja wtedy jeździłam. Kurczę, śmieszny zbieg okoliczności. Jest niemal identyczny. Ma taki sam zabawny pomarańczowy kolor, prostokątną harmonijkę żeberek i rdzę wokół reflektorów. A nawet taką samą nalepkę przyjaciół zwierząt, złuszczającą się z przedniej szyby. Zerkam na dziewczynę za kierownicą.

O mój Boże, ona wygląda zupełnie jak ja!

Jak ja, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat.

Podśpiewuje sobie do wtóru piosenki z radia i moim dawnym zwyczajem przeczesuje palcami ciemne, kręcone włosy, przeglądając się w lusterku wstecznym. Ma nawet na sobie czerwono-biały T-shirt, podobny do tego, który ja lubiłam nosić...

Wpatruję się w nią ze zdumieniem, kiedy światła się zmieniają i garbus rusza w moim kierunku.

Piiii... piii!

Chór klaksonów wyrywa mnie z osłupienia i naciskam gaz. Silnik jak na złość gaśnie. Jasny gwint! Wytrącona z równowagi szybko włączam zapłon. Ale ręce mi się trzęsą, nie mogę zapalić i teraz kilkanaście samochodów trąbi na mnie jak oszalałe... Nagle silnik się ożywia.

Z piskiem opon uciekam zawstydzona spod świateł; mam w głowie kompletny mętlik. To wprost nie do wiary, jaka ona była do mnie podobna. Uderzająco. Ramiona pokrywa mi gęsia skórka i przechodzi mnie dreszcz. Boże, co za niesamowity przypadek...

Czując się jak idiotka, szczypię się w grzbiet nosa i biorę długi, głęboki oddech, żeby zmniejszyć napięcie mięśni na karku. Nie jestem wariatką, jestem tylko trochę zmęczona i zestresowana, to wszystko. I koniecznie muszę napić się kawy. Naprawdę koniecznie. Co za pomysł wyobrażać sobie,

że się widziało samą siebie? W wieku dwudziestu jeden lat? Na światłach ulicznych?

Widzę w dali mający znak: Koniec objazdu, i oddycham z ulgą. Dzięki Bogu. Mój BlackBerry buczy na tylnym siedzeniu i szybko po niego sięgam. Alleluja! Mam sygnał. Oraz pięć nieodebranych telefonów. Okay, pora wracać do realnego świata. Naciskam gaz i przycisk do biura.

Rozdział trzeci

Przed przyjazdem do pracy odbieram dziewięć telefonów, odpowiadam na dwa e-maile (ukradkiem, kiedy znów utykam w korku) i pośpiesznie robię zamówienie w Interflorze. Niestety, nie mają granatowych kwiatów — prawdę mówiąc, wydawali się nieco zdziwieni moim pytaniem — ale mają fioletowe, a to przecież prawie to samo.

W pewnym sensie.

Kiedy wpadam przez drzwi, moja asystentka, Beatrice, czeka na mnie z filiżanką kawy w wyciągniętej ręce. Tak mnie wita co rano: podwójne espresso z kroplą mleka sojowego. Jestem na telefonie z jakimś dziennikarzem, rzucam jej dziękczynny uśmiech i przejmuję filiżankę jak zawodnik biegnący w sztafecie. Po dwóch latach doprowadziłyśmy to do perfekcji. Nie ulewa się ani kropla.

Kontynuuję rozmowę, idąc przez biuro; obcasy stukają po podłodze. (Wypolerowany cement, ostatni krzyk mody. Całe wnętrze jest w każdym calu nowatorskie; w świecie PR-u wygląd liczy się przede wszystkim).

— Dobrze, wyślę wam ten nowy produkt do wypróbowania... Na pewno chętnie przedstawię go w waszym maga-

zynie. Rozumiem, chcecie cały zestaw? — Jezu, ci dziennikarze potrafią być tacy pazerni. — W porządku. Zaraz pchnę kuriera z przesyłką! — obiecuję ochoczo.

Przy biurku kończę rozmowę, opadam na fotel i jednym łapczywym łykiem pochłaniam espresso. Przed poranną kawą jestem tak zamroczona, że nie tylko ledwo zbieram myśli, ale ledwo widzę na oczy. Co naturalnie w pełni tłumaczy moje dziwne zwidy na skrzyżowaniu.

— Dzień dobry — szczebiocze Beatrice, przyciskając teczkę do piersi i uśmiechając się szeroko.

Beatrice zawsze przyciska jakąś teczkę do piersi. Nie dlatego, że akurat pracuje nad czymś zawartym w tych teczkach, ale dlatego, że chce ukryć swój imponujący biust (łono, jak mówi żartobliwie), który odziedziczyła po babce, księżnej jakiejś tam. Wraz z podwójnym sznurem pereł, niezłą sumką w funduszu powierniczym i „zacisznym mieszkankiem” w mieście. To „zaciszne mieszkanko” to olbrzymi penthouse na Devonshire Square, W1.

Doprawdy, Bea jest tak fartowna, że właściwie powinnam jej nienawidzić, ale mi to uniemożliwia, bo to najmiłsza osoba, jaką w życiu spotkałam.

— Cześć, Bea. Wielkie dzięki za kawę. — Uśmiecham się z wdzięcznością.

— Miałaś dobry weekend? — pyta pogodnie, podchodząc do mnie i zdejmując mi z ramion torby, o których całkiem zapomniałam.

Sprawnie odkłada każdą na swoje miejsce.

— Jaki taki. Miałam mnóstwo papierkowej roboty do nadgonienia. — Wzruszam ramionami, myśląc o dniu wczorajszym, który spędziłam w jadalni w otoczeniu różnych dokumentów, podczas gdy Miles grał w squasha, co było dość wiernym odbiciem naszych ostatnich weekendów.

Opierając łokcie na stosie papierów, pocieram czoło. Już czuję nadchodzący ból głowy.

— Są jakieś nowe wiadomości?

— Asystent Lany'ego Goldsteina potwierdził wasze jutrzejsze spotkanie na lunchu w Electric w Notting Hill — zaczyna, odrywając żółte samoprzylepne kartki. — Dzwoniła też Sally Pitt, szefowa działu „Styl życia” w „Daily Standard”. Chcą zrobić z tobą wywiad do artykułu o kobietach, które mają wszystko. — Patrzy na mnie podekscytowana. — Och, i jeszcze dzwoniła Melody. Dobrych kilka razy.

Melody to sławna prezenterka telewizyjna, która niedawno urodziła dziecko, zrzuciła kilkanaście kilogramów i teraz zbija fortunę na dzieleniu się swoim „sekretem” na płycie DVD, w książkach i serialach telewizyjnych oraz na firmowaniu paczkowanych gotowych posiłków pod nazwą „Łatwo i zdrowo”, które promujemy.

— Jest trochę zdenerwowana niedzielnym wydaniem gazet. Beatrice podsuwa mi jeden z tabloidów. Na pierwszej stronie

Melody opycha się dużym Big Maćkiem i frytkami. Nagłówek głosi wielkimi literami: „Sekrety i frytki”.

— No tak — krzywię się. — Widziałam to.

— Prawdę mówiąc, powiedziała dosłownie... — Beatrice odrywa żółtą kartkę i cytuje z emfazą: — Jestem cholernie wpięprzona. Chętnie rozpieprzyłabym te całe pieprzone News of the Screws.

Mimo niepomyślnych wieści nie mogę powstrzymać uśmiechu. Przy nienagannym akcencie Bei brzmi to jak bluzgi w ustach królowej. Doprawdy, dobrze urodzeni ludzie nie powinni przeklinać. Po prostu nie bardzo im to wychodzi.

— Wyobrażam sobie. — Kiwam głową i rozkładam bulwarówkę na biurku; żołądek znów mi się zaciska.

Melody może sobie być ulubienicą narodu — sama słodycz

i uśmiech jak z reklamy pasty do zębów — ale poza kamerą potrafi zrobić większą awanturę niż... Cóż, nie będę wymieniać żadnych nazwisk, bo nie chcę zostać pozwana do sądu, ale jeśli znacie jakiegoś furiata, to jej napady furii są gorsze. Znacznie, znacznie gorsze.

— Myślisz, że wzięła największe porcje? — pyta Beatrice, patrząc mi przez ramię na zdjęcie.

Niedawno widziała film dokumentalny o mężczyźnie, który przez miesiąc żywił się wyłącznie u MacDonalda, i teraz nie daje jej to spokoju. To cała Bea. Ogląda filmy pięć lat po premierze. To samo dotyczy wszystkiego innego, muzyki, mody...

Patrzę na jej strój. Ma na sobie swój wierny bliźniak, długą do kolan spódnice z szarego tweedu, matowe rajstopy i czarne czółenka od Marksa i Spencera, które nosi od zawsze. Aha, i nie zapominajmy o perłach.

W gruncie rzeczy, gdyby się zastanowić, nie jestem pewna, czy to było modne nawet pięć lat temu.

— Co za różnica? — Wzruszam ramionami, pocierając skronie. Naprawdę głowa zaczyna mi pękać. Mniejsza o wielkość porcji, w przyszłym miesiącu wydaje swoją najnowszą książkę dietetyczną *Powiedz NIE Jasi foodom* — przypominam jej. — A my właśnie robimy promocję jej nowych zup z serii „Łatwo i zdrowo”.

Beatrice marszczy brwi.

— Hm... to rzeczywiście nieco niefortunne.

Jak zwykle wyraża się z typową dla siebie powściągliwością. Jako że jesteśmy małą niszową agencją, mamy tylko paru klientów — ja obsługuję tych większych, ona tych mniejszych — a linia produktów Melody jest jednym z naszych najważniejszych i najbardziej dochodowych zleceń. Tylko tego mi brakowało, żeby zdjęcie jakiegoś paparazzo pod-

ważyło jej autorytet współczesnego guru zdrowego żywienia i sprawności fizycznej.

— To potencjalna katastrofa — cedzę przez zęby, wytrząsając dwa paracetamole z dużej butelki, którą trzymam na biurku. Włączam komputer, po czym szybko wstukuję hasło do Google'a.

Beatrice zaciska rękę na perłach.

— O rany — szepcze. — Katastrofa?

Na ekranie pojawia się szereg materiałów prasowych, wybieram jeden z nich.

— Potencjalna — poprawiam ją, przebiegając wzrokiem artykuł. Po chwili mówię: — Zadzwoń do jej agenta i powiedz, że wydamy wspólne oświadczenie do prasy, że Melody ma hipoglikemię.

Beatrice patrzy na mnie zdumiona.

— Innymi słowy ma niski poziom cukru.

Jej twarz rozjaśnia się z wyrazem zrozumienia.

— Och, co za zbieg okoliczności! — wykrzykuje, podniecona tą informacją. — Moja mama tak samo. Nie rusza się nigdzie bez krakersów. Kiedyś zapomniała je wziąć, cukier jej opadł i zemdląła. Prosto do stóp księcia Filipa. — Widzi moją minę. — Byliśmy w sektorze królewskim w Ascot — wyjaśnia.

— Beatrice, Melody tak naprawdę nie ma hipoglikemii. Wpatruje się we mnie pustym wzrokiem, a potem to do niej dociera.

— Ach... rozumiem... a więc to wszystko tylko taka bajeczka...

Kiwam głową.

— Kurczę, Charlotte, jesteś taka mądra! Dlatego tak lubię dla ciebie pracować.

Ludzie często dają się zwieść Bei. Biorą ją za słodką idiotkę, podobnie jak ja, kiedy zjawiała się na rozmowie

kwalifikacyjnej, zadyszana po biegu z metra, z rozwianymi włosami i oczkiem w rajstopach. Ale w rzeczywistości ma umysł jak żyletka i pod maską głupiutkiej blondynki kryje się akademicki geniusz. Skończyła z wyróżnieniem matematykę stosowaną i fizykę teoretyczną w Cambridge, a w wolnym czasie rozwiązuje równania dla czystej rozrywki.

W gruncie rzeczy ma o wiele za wysokie kwalifikacje na moją asystentkę. Jesteśmy w tym samym wieku i powinna pracować w jakimś laboratorium naukowym, dokonując wiekopomnych odkryć. Ale uparła się na PR i kipiała entuzjazmem. No i mówiła z nieskazitelnym akcentem z wyższych sfer, co w świecie PR-u odgrywa niebagatelną rolę.

Zazwyczaj kobiety z tej branży należą do klasy średniej i pochodzą z okolic Londynu, a nie z dalekiej prowincji, co słychać w pierwszych słowach. Choć dziesięć lat w Londynie nieco zmieniło moje nawyki i mówię już „wziąć” zamiast „wziąć” i „podwieczorek” zamiast „herbatka”.

Niemniej arystokratyczny akcent Bei otwiera nam drzwi, których mój nigdy by nie otworzył. Pracujemy zespołowo. Jedna stanowi przynętę, druga przejmuje robotę. Ja zawieram umowy, zdobywam kontrakty i prowadzę klientów, a ona nawiązuje pierwszy kontakt z prasą i mediami. Do tych celów jej dar wysławiania się jak królowa jest nieoceniony.

Telefon zaczyna dzwonić i Bea biegnie go odebrać.

— Dzień dobry, Merryweather PR — szczebiocze. — Z jakiej gazety pan dzwoni? Z „Telegraphu”? Och, jak miło! Mój dziadek był tam przez wiele lat redaktorem naczelnym.

Rozumiecie już, o czym mówię?

Po uratowaniu Melody z tarapatów wpadam jak zawsze w wir pracy: rozmowy z dziennikarzami, pisanie oświadczeń

prasowych, konferencje telefoniczne z klientami. W jednej minucie jest dziewiąta rano i staram się wymyślić coś seksownego i fantastycznego na temat szamponu przeciwłupieżowego z nowej serii Johnny'ego Birda, słynnego fryzjera z West Endu, a w drugiej minucie jest niemal pierwsza po południu i tłukę się na tylnym siedzeniu taksówki na lunch biznesowy w Wolseley, modnej restauracji na Piccadilly. Zwykle jeżdżę swoim samochodem, ale tym razem uznałam, że taksówką będzie szybciej. A co ważniejsze, mogę w drodze nadrobić zaległości w pracy.

Zaciskam pas, żeby trzymał mnie mocniej, kiedy czytam e-mail, który właśnie wyskoczył na moim BlackBerry. Przewijam wiadomość kciukiem i już się szykuję do odpowiedzi, kiedy dzwoni komórka. Mam telefon BlackBerry i komórkę. Ten pierwszy służy do spraw zawodowych, drugi do prywatnych. Zwykle wyłączam komórkę w ciągu dnia, ale musiałam zapomnieć. Wyciągam ją z torebki i patrzę na wyświetlacz. Rodzice.

Kurczę blade. Urodziny taty. Miałam zadzwonić w pierwszej wolnej chwili. Problem w tym, że ciągle czekam na tę wolną chwilę.

— Dzień dobry, tu Charlotte Merryweather — mówię z przyzwyczajenia i gryzę się w język.

— A więc jednak żyjesz! — słyszę sarkastyczny głos.

— Och, cześć mamo — ćwierkam niewinnie, starając się nie myśleć o tych wszystkich wiadomościach głosowych, które musiała zostawić w ciągu ostatniego tygodnia. — Jak się masz?

— Nie dostałaś moich wiadomości? — pyta, nie dając się zagadać.

— Eee... tak, ale...

Nie pozwala mi skończyć.

— Cóż, miejmy nadzieję, że ojcu ani mnie nie przytrafi się jakieś nieszczęście — kontynuuje zgryźliwym tonem. — Zdążylibyśmy umrzeć i zostać pochowani, zanim ktoś by się do ciebie dodzwonił.

Przewracam oczami. Moja mama uwielbia wpadać w melodramatyczny ton. To wina tych wszystkich oper mydlanych, które ogląda.

— Pewno byłam na jakimś spotkaniu służbowym — tłumaczę się nieudolnie.

— Dzwoniłam do ciebie do domu dziś rano. Też nie odebrałaś telefonu.

Można by pomyśleć, że moja matka jest oficerem śledczym, nie sekretarką w szkole.

— Musiało mnie nie być. O szóstej byłam umówiona z trenerem.

— O szóstej rano? — Jest wyraźnie zszokowana.

— Taa, przebiegłam osiem kilometrów.

— Przebiegłaś osiem kilometrów? — Jej głos niebezpiecznie się wznosi. — Dobry Boże, Charlotte — ciągnie zdenerwowana — jesteś pewna, że nie przesadzasz? Powinnaś czasem dłużej pospać.

Dłużej pospać? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam taką okazję.

Chociaż owszem, pamiętam. To było nazajutrz po hucznym przyjęciu z okazji moich dwudziestych piątych urodzin. W końcu nie tak dawno.

Prawie siedem lat temu, myślę.

— Czy odżywasz się prawidłowo? Nie możesz ćwiczyć na pusty żołądek. — Nagle z oficera śledczego zmienia się w zatroskaną matkę.

— Tak. Wiem — kłamię.

Mój pusty żołądek wydaje gniewne burczenie; uciszam je

długim łykiem kawy z papierowego kubka, który porwałam, biegnąc do taksówki.

— Bo czytałam wczoraj w „Daily Mail”, że wegeterianom brak... Poczekaj chwilę... — Słyszę szelest papieru. — O mam... Wegeterianom brak podstawowych witamin i minerałów.

— Bzdura! — wykrzykuję, szperając w torebce i wygrzebuując różne witaminy i opakowania z suplementami diety.

Ciągle kupuję jakieś nowości. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu przeczytałam artykuł o mielonych pestkach moreli. Podobno można dożyć stu lat, jeśli się je łyka we właściwych ilościach. Otwieram wieczko i biorę garść tego świństwa. Niestety, te ilości są tak duże, że trzeba żyć sto lat, żeby móc je spożyć.

— Powinnaś jeść ciepłe śniadania.

— Nie mam czasu przyrządzać sobie śniadań — odpowiadam lekko zniecierpliwiona.

— Wiesz, jak to się mówi: sama praca bez przerwy czyni z Jacka nudziarza. — Prycha z dezaprobatą.

Znowu przewracam oczami.

— Założę się, że Jack przynajmniej odniósł sukces — mruczę pod nosem, nie mogąc się powstrzymać.

Mama ciągle mi powtarza, że za dużo pracuję. Co jest prawdą. Rzeczywiście pracuję za dużo, ale to jest niezbędne, jeśli chcę prowadzić cenioną agencję. Mama tego nie rozumie. Nigdy nie chciała robić kariery. Marzyła tylko, żeby wyjść za mąż i mieć rodzinę. Dla niej praca to tylko praca. Sposób na zarobienie kieszonkowego, jak to nazywa. Ale z drugiej strony zawsze miała tatę, który ją utrzymywał. W moim pokoleniu jest inaczej. Lepiej.

W każdym razie tak wolę myśleć.

— Mówiłam ci już, że Marion ma trzeciego wnuka? — pyta mama, rozmyślnie ignorując moją uwagę.

Tak, trzy razy, myślę, dopijając kawę.

— To wspaniale. Złóż jej ode mnie gratulacje.

— Jej córka jest w twoim wieku. — Nie daje za wygraną. — Pamiętasz Caroline Godfrey? Grałyście razem anioły w szkolnych jasełkach.

To jeszcze jeden ulubiony temat mamy. Z lubością opowiada mi o córkach przyjaciółek i ich rozmnażaniu się z zawrotną szybkością. Zaludniają wioskę gromadką rozbrykanych, różowiotkich pociech, a jej nieużyta, egoistyczna córka mieszka w odległości przeszło trzystu kilometrów w Londynie, ma osobistego trenera i na dodatek jest wegetarianką. A co najgorsze, dotąd nie wyszła za mąż.

Skoro już o tym mowa...

— Jak się ma Miles? Och, zaczyna się.

Pozwólcie mi wytłumaczyć. W języku mamy „Jak się ma Miles?” oznacza: „Czy wreszcie się oświadczył?”

Żeby oddać jej sprawiedliwość, muszę przyznać, że nie tylko mama o to pyta. Jestem już z Milesem od półtora roku i wszyscy zakładają, że się oświadczy. Oraz wszyscy zakładają, że przyjmę oświadczenia. W końcu czemu miałabym nie przyjąć? Spełnia wszystkie wymogi kobiecych magazynów: jest przystojny, zamożny, lojalny, odpowiedzialny i nigdy się nie kłócimy. W gruncie rzeczy przez cały ten czas nie było między nami ani jednej awantury. Niewiarygodne, prawda?

Tylko że czasami nie miałabym nic przeciwko drobnej sprzeczce. Powtarzam Milesowi, że mamy prawo do różnicy zdań. To może nawet dodać odrobiny pieprzu do naszego związku, podgrzać atmosferę.

Tak czy owak, jak mówiłam, nie widzę żadnego powodu, aby powiedzieć: „nie”. Nie mam zamiaru szukać dziury w całym.

— Miles ma się doskonale, dziękuję. Jest tato? — pytam szybko, uciekając od tematu. — Chciałam mu złożyć życzenia.

— Poczekaj chwilę, właśnie poszedł po listy. Krzywię się.

— David, złotko, to nasza Lottie — krzyczy głośno, po czym zniża głos konspiracyjnie. — Wysłałaś mu kartkę, prawda? — syczy.

— Eee... prawdę mówiąc, tym razem wysłałam mu kwiaty — mówię wesolutko.

— Kwiaty? — powtarza z niedowierzaniem. — Ojcu?

— Dlaczego nie? Tato lubi kwiaty — odpowiadam defensywnie. — Od rana do nocy zajmuje się ogrodem.

— Cóż, może i tak... — Zawiesza głos i już widzę, jak żałuje, że nie przysłałam ładnej kartki okolicznościowej z Hallmarku i pary skarpetek z Marksa i Spencera, jak normalna córka.

Doręczyciel z wielkim bukietem dla pana Merryweathera z pewnością wzbudzi sensację w ich małej wiosce. Teraz z kolei słyszę, jak mama usprawiedliwia się przed sąsiadami: „To od córki. Mieszka w Londynie...” — co na tamtejszej prowincji tłumaczy wszystko.

— Jak się masz, zabciu? — dobiega mnie głęboki głos taty i robi mi się ciepło na sercu.

Nasze relacje nigdy nie były łatwe, bo oboje jesteśmy uparci jak muły. Kiedy byłam nastolatką, bez końca kłóciliśmy się, jak głośno można słuchać zespołu The Smiths. (Ja: „Bardzo głośno.” Tata: „Wyłącz to natychmiast! Od tej muzyki można oszaleć!”). Ale mimo dzielących nas różnic (a może łączących podobieństw?) nadal jesteśmy bardzo blisko — nawet datę naszych urodzin dzielą tylko cztery dni.

— Cześć, tato, wszystkiego najlepszego — mówię z uśmiechem i wtykam telefon pod brodę. Zbliżamy się do Wolseley i chcę poprawić makijaż przed spotkaniem.

— Dziękuję, skarbie. Jeszcze nie otworzyłem poczty — odpowiada pogodnie.

Dźga mnie poczucie winy. Tato na pewno ucieszy się z kwiatów, jestem przekonana, ale jednak.

— Więc co masz zamiar dziś robić? — pytam, zmieniając temat.

Otwieram puderniczkę i przechylam do światła. Ciemne cienie pod oczami rysują się w lusterku z całą wyrazistością.

— Och, wiesz, to i tamto, nic szczególnego. A ty? Kiedy nas odwiedzisz?

— Wkrótce...

Pośpiesznie nakładam mój korektor Touche Eclat. Nie lubię wyglądać, jakbym była zbyt wypacykowana, więc dziś rano użyłam tylko lekkiego, rozświetlającego podkładu, korektora, pudru, kulek brązujących, odrobiny różu na policzki, tuszu do rzęs i błyszczyka na usta... Paradoks polega na tym, że trzeba zastosować całą baterię kosmetyków, żeby wyglądać naturalnie.

— Za każdym razem mówisz „wkrótce” — zrzędzi tata. — Nie widzieliśmy się od świąt Bożego Narodzenia.

Zastygam z korektorem w ręce. Kurczę, naprawdę tak długo? Wracam myślami do mojej szalonej jazdy na M1 w dniu Wigilii. Nie byłam w stanie wyrwać się wcześniej. Melody wypuszczała nową serię dietetycznych koktajli mlecznych w nowym roku, a Beatrice była chora na grypę, więc zasuwałam na okrągło, robiąc wszystko sama. Większość pierwszego dnia świąt spędziłam przy laptopie, starając się skończyć komunikat dla prasy, a drugiego dnia byłam już w pracy.

— Wiem. Przepraszam, tato. Mam tu straszny młyn, i tyle. Podczas weekendu musiałam pracować nad pilnym projektem, a w tym tygodniu próbuję złowić nowego klienta. — Daję sobie spokój z tuszowaniem cieni pod oczami i wkładam ciemne okulary. — Obiecuję, że w pierwszy wolny weekend przyjadę razem z Milesem. Zobacysz mój nowy samochód. Spodoba ci się. Będiesz mógł wybrać się nim na przejażdżkę.

— Hm... tak... czytałem artykuł o tych nowych modelach volkswagenów w magazynie, który mi przysłałaś...

Czuję, że tato mięknie. Uwielbia gmerać w samochodach, zaglądać pod maskę, podziwiać nowinki techniczne.

— Gdzie mam się zatrzymać, psze pani? — przerywa taksówkarz przez mikrofon.

— Poczekaj chwileczkę, tato. — Rozglądam się i widzę przed sobą restaurację. — Niech pan stanie tu, gdziekolwiek. — Nachyliłam się, żeby kierowca mnie usłyszał, i nagle zostaję odrzucona do tyłu, kiedy taksówka podjeżdża do krawężnika i gwałtownie hamuje. Szybko zbieram swoje rzeczy rozrzucone na tylnym siedzeniu.

— Przepraszam za to zamieszanie — dyszę do słuchawki, wychodząc na chodnik. — Dziękuję. Mogę prosić o rachunek? — Podaję kierowcy banknot dziesięciofuntowy, dostrzegam swój wizerunek odbity w szybie i natychmiast zaczynam przyglądać włosy. — Co mówiłeś, tato?

Stałam się mistrzynią w prowadzeniu dwóch rozmów naraz. Najpierw mnie to peszyło i zbijało z tropu, ale teraz się przyzwyczaiłam.

— Najważniejsze, że u ciebie wszystko w porządku — stwierdza dobrodusznie. — Tylko że tęsknimy za naszą małą dziewczynką.

Czuję przyływ czułości. Mała dziewczynka? Za cztery

dni skończę trzydzieści dwa lata. Za osiem lat będę miała czterdzieści! No dobrze, lepiej o tym nie myśleć.

— Ja też za wami tęsknię, tato — zapewniam go, wbiegając po frontowych schodach. — I nie musicie się o mnie martwić, naprawdę. — Popycham szklane drzwi, moje obcasy stukają po marmurowej podłodze holu.

— Ale jesteś szczęśliwa, prawda?

— Oczywiście — odpowiadam z roztargnieniem, przeglądając się w dużym lustrze na ścianie.

Kątem oka widzę podjeżdżającą taksówkę z dwójką dziennikarzy, z którymi jestem umówiona. Mam nerwy napięte jak postronki. Zawsze tak się czuję przed lunchem służbowym. Muszę zaprezentować nowy produkt, który promujemy; mam okazję pozyskać przychylną wzmiankę w prasie i reklamę. Choć jest to ubrane w lunch przy winie i pogawędkę, nadal to dla mnie wielki stres.

— Tato, słuchaj, muszę kończyć...

— Dobrze, dobrze, pędź do swoich zajęć. Miło było pogadać.

Robi mi się przykro. Ledwo zamieniliśmy parę zdań. Ale tak to już jest ostatnio. Kiedy byłam młodsza, wisiałam na telefonie przez całe godziny, rozmawiając o wszystkim i o niczym, a teraz mam szczęście, gdy trafi mi się wolne pięć minut.

— Zadzwoń wieczorem — dodaję pośpiesznie.

— No to pa, skarbie. Dobrego dnia.

— Dzięki. I nawzajem.

Zamykam kłapkę telefonu, ale przez chwilę nie mogę się ruszyć. W głowie kołacze mi się pytanie taty. Czy jestem szczęśliwa? To znaczy, naprawdę szczęśliwa?

— Charlotte!

Wyrwana z odrętwienia obracam się na pięcie i widzę kobietę po pięćdziesiątce. To Katie Proctor, dziennikarka, którą znam jeszcze z czasów, kiedy pisywałam do gazet jako wolny strzelec. Uśmiecha się szeroko i zamyka mnie w wyperfumowanym uścisku.

— O... nowe buty? Fantastyczne! — wzdycha z podziwem. Czuję się mile połączona.

— Nie spodziewałam się, że przyjdiesz. — Całuję ją w oba pokryte różem policzki. — Nie odpowiedziałaś na zaproszenie. — Żartobliwie karzę ją wzrokiem.

— Wiem, jestem okropna. — Przewraca oczami z wyrazem ubolewania. — Przebaczysz mi?

Gdyby to był kto inny, wpadłabym już w popłoch, ale Katie to bardziej przyjaciółka niż kontakt zawodowy.

— Oczywiście. Co u ciebie?

— W tej chwili usycham z pragnienia. Chodźmy na drinka i pogaduszkę od serca.

Bierze mnie pod ramię i kiedy wchodzimy do baru, zbieram się w sobie. Doprawdy, nie wiem, co mnie u licha dzisiaj naszło. Napływają inni dziennikarze i rozpoczyna się kakofonia cmokania w powietrzu, wzajemnych prezentacji i okrzyków zamawiających mocno schłodzone sauvignon blanc. Uzbrajam się w pogodny uśmiech i ruszam do roboty.

Oczywiście, że jestem szczęśliwa. Dlaczego miałabym nie być?

Rozdział czwarty

Lunch kończy się sukcesem.

Dziennikarze wychodzą wstawieni, wynosząc torby z łupami i obiecując mnóstwo wzmianek o nowym produkcie w prasie. Dopisuję olbrzymi rachunek do moich wydatków, macham ręką odjeżdżającym taksówkom i sama opadam bez sił na tylne siedzenie swojej.

Przynajmniej mam nadzieję, że to był sukces. Czuję znajomy skurcz niepokoju, kiedy zaczynamy kluczyć w ruchu ulicznym w drodze powrotnej do biura.

Twarz mnie boli od ciągłego uśmiechania się. Tak to jest w tym biznesie. Mogłoby się wydawać, że popijanie wina i pogryzanie grillowanego koziego sera z sałatką z rukoli to nic trudnego, ale pogaduszki przy tym to ciężka praca. Trzeba cały czas zachować czujność. Starać się połączyć interesy z przyjemnością, starać się znaleźć równowagę między rozmową o kliencie a rozmową o ostatnim zawodzie miłosnym rozmówczynie: „Co zrobił? Nie! To okropne! Biedaczka. Powinnaś wyjechać na kilka dni. Zafundować sobie weekend w spa. To mi przypomina, że znam jeden

cudowny ośrodek w Szkocji, akurat robimy dla nich promocję...".

Wracam do biurka koło trzeciej i spędzam resztę popołudnia przyklejona do klawiatury. Beatrice wychodzi punkt szósta. Chodzi na lekcje salsy w poniedziałki i kocha się w Pablu, brazylijskim instruktorem tańca. Ilekroć o nim mówi, przybiera przesadny południowoamerykański akcent, mocno sepleniąc i dramatycznie podkreślając wszystkie r, przy czym odrzuca zalotnie do tyłu włosy, co nie jest łatwe, jako że nosi krótką ciemną fryzurkę na pazia. Zmienia się nie do poznania. Z rzeczowej młodej Angielki przeistacza się w zmysłową latynoską kusicielkę. I mogłabym przysiąc, że widziałam w jej torebce kabaretki. Bea w kabaretkach! W głowie się nie mieści.

W każdym razie teraz stara się swoim zwyczajem zachęcić mnie, jak to określa, żebym wyszła razem z nią, i zaczyna gasić wszystkie światła, podczas gdy ja nadal tkwię przy komputerze. Bea nie należy do osób, które dają subtelne sygnały. Wierzcie mi, byłaby gotowa wyciągnąć mi wtyczkę, gdybym jej nie wmówiła, że tylko kończę przygotowywać materiały na jutrzejsze spotkanie i zaraz się zmywam.

Oczywiście wciskam jej kit i ona dobrze o tym wie. Kiedy indziej trzymałaby mnie za słowo i stała nade mną jak kat, ale dzisiaj Pablo i salsa przeważają szalę i Bea w mgnieniu oka znika za drzwiami.

W rezultacie dochodzi ósma, kiedy w końcu wyłączam komputer, zbieram swoje torby i wychodzę. I to też tylko dlatego, że Miles dzwonił już dwa razy z tego nowego gastropubu, pytając, gdzie się podziewam. Kłamię, że już dojeżdżam i będę za pięć minut.

Tak naprawdę to za dziesięć.

No dobrze, niech będzie, za dwadzieścia.

— Przepraszam za spóźnienie.

Kiedy wchodzę do pubu, Miles siedzi przy barze. Zamówił już dla nas butelkę wina i czyta dodatek ekonomiczny „Evening Standard”. Podnosi głowę znad gazety i wita mnie uśmiechem.

— Nie mają już muli — informuje mnie bez cienia irytacji, kiedy nachylam się, żeby go cmoknąć w policzek.

Pachnie wodą po goleniu i łaskocze mnie jasnym, miękkim meszkiem, który mu wyrósł od ostatniego golenia, co w wypadku Milesa miało zapewne miejsce parę dni temu. Ma takie delikatne włosy jak niemowlę. Mimo przekroczonej trzydziestki ciągle nie udaje mu się zapuścić bokobrodów.

— Och, to pech — wyrażam mu współczucie, wspinając się na sąsiedni stółek.

Sami widzicie, dlaczego uwielbiam Milesa. Nie wścieka się, że się spóźniłam. Nie robi żadnej sceny. Jest jak zwykle spokojny, miły, opanowany.

— A co tu jeszcze mają dobrego? — pytam, zdejmując płaszcz. Sięgam po miseczkę z oliwkami i pogryzam słonawy miąższ. — Mmm... są pyszne.

W końcu mogę się odrobinę zrelaksować. Napić drinka. Coś zjeść. Masuję dyskretnie żołądek. Ucisk, który czułam cały dzień, jakby nieco zelżał.

— Specjał rybny brzmi nieźle... — Mruży oczy w sposób charakterystyczny dla krótkowidza, ściąga brwi i w skupieniu wpatruje się w tablicę nad barem, starając się odcyfrować wypisane kredą menu. Wygląda tak słodko. Jak uczeń podstawówki, nie jak trzydziestokilkuletni, prężny przedsiębiorca.

— Dobry wybór — wtrąca męski głos.

Odwracam głowę. Parę stołków dalej siedzi samotnie nad talerzem jakiś facet. Ma krótkie, ciemne, kręcone włosy i okrągłe okulary zsunięte na czubek nosa, który, jak mimo woli zauważam, jest mocno skrzywiony.

— Polecam rybę. — Wskazuje na swój talerz i uśmiecha się, ukazując bliznę biegnącą od nozdrzy do ust, na wpół ukrytą pod popołudniowym zarostem.

— Hm... nie... Co to, to nie. — Potrząsam głową.

— Rozumiem, jest pani wegetarianką. — Kiwa głową z trochę zakłopotaną miną, jakby żałował, że się odezwał.

Teraz ja czuję się głupio. W końcu próbował tylko być przyjacielski.

— No tak, to prawda, choć jadam ryby — dodaję. — Tylko że jadłam wczoraj i nie chcę drugi raz z rzędu — tłumaczę się z uśmiechem. — Cała ta rć...

Znów oboje patrzymy na jego talerz. Na wpół zjedzony łosoś patrzy na nas. Następuje chwila niezręcznej ciszy.

— Cóż, w takim wypadku zawsze zostaje makaron z serem — sugeruje mężczyzna, przelatując oczami tablicę.

Krzywię się i wzruszam ramionami.

— Nabiał.

— To chyba nic złego? — Robi zdziwioną minę.

— Muszę unikać nabiału.

Mierzy mnie podejrzliwym wzrokiem.

— Ach tak... — mówi wolno i nagle widzę, że kąciki jego ust lekko się unoszą.

Natychmiast mija mi poczucie winy, że odrzucam jego sugestie. Chwileczkę, czy on uważa moje alergie pokarmowe za coś zabawnego? Czy aby przypadkiem — kipię z oburzenia — się ze mnie nie nabija?

— Taką dietę mam przepisaną — odpowiadam z godnością,

przypominając sobie rozmowę z doktor Bruce, dietetyczką Melody, podczas promocji jednej z książek. Poskarżyłam się, że jestem ciągle zmęczona, i wypisała mi długą listę rzeczy, których powinnam unikać.

Co mi przypomina, że unikam ich od pół roku i nadal czuję się wykończona.

— Nie wolno mi także jeść mąki i białego cukru — dodaję obronnym tonem. — Mój organizm ich nie toleruje.

— Coś podobnego! — Cmoka ze współczuciem, ale oczy go zdradzają. Ewidentnie się ze mnie śmieje.

Rozzłoszczona kieruję uwagę z powrotem na Milesa.

— Co bierzesz, kochanie? — pytam ostentacyjnie, odwracając się tyłem do mężczyzny przy barze. W końcu nie prosiłam go o radę. Sam mnie zagadnął.

— Chyba zdecyduję się na zielone warzywa w sosie curry po tajsku — mówi Miles z namysłem.

— Brzmi bardzo smakowicie — zgadzam się trochę głośniejszym niż to konieczne. — Ja też to wezmę.

To mu da nauczkę! Z satysfakcją, że wybieram coś całkiem innego, niż polecał, staram się przywołać kogoś z obsługi.

— Kurczę, ale tu tłoczno — sarkam, bez skutku machając na kelnera nalewającego kufel piwa, podczas gdy Miles czeka cierpliwie obok. — To zajmie całe wieki, zanim zostaniemy obsłużeni.

— Mają państwo szczęście, bo właśnie skończyła mi się przerwa — słyszę znajomy już głos.

Odwracam się i widzę, że mężczyzna wstaje z sąsiedniego stołka, bierze pusty talerz i podnosi haczyk na drzwiczkach do baru. Jednocześnie zauważam, że ma na sobie fartuch.

— Słucham. — Staję w gotowości z notesem i długopisem. Och, nie. Czuję mieszaninę konsternacji i ulgi. On tu pracuje.

— Poproszę curry po tajsku — mówi Miles uprzejmie.
— W porządku. — Tamten uśmiecha się i zapisuje. — A dla pani? — zwraca się do mnie i mogłabym przysiąc, że nadal ma w oczach błysk rozbawienia.

— Dla mnie to samo — oświadczam stanowczo.

— Jest pani pewna? — Podnosi głowę i zawiesza długopis.

— Absolutnie — podkreślam z naciskiem.

— Okay. — Wzdycha i zapisuje.

Poirytowana obserwuję, jak dochodzi do kasy, żeby wbić zamówienie, i nagle przesywa mnie pewna myśl.

— Chwileczkę, czy w tej potrawie są orzechy? Zastyga nad kasą i wbija we mnie wzrok.

— Jest pani uczulona także na orzechy? Moje poirytowanie zamienia się w złość.

— Owszem, jestem — warczę, rzucając mu wyzywające spojrzenie.

— Mogłabym doznać wstrząsu anafilaktycznego.

— Musi nosić ze sobą EpiPen — dodaje Miles, obejmując mnie opiekuńczo. — Nawet jeden orzeszek może być dla niej zabójczy. — Patrzy na mnie z troską. — Prawda, kochanie?

Kiedy napotykam jego czuły wzrok, złość mi przechodzi i ogarnia mnie fala miłości. Jakie to szczęście, że mam Milesa. Jest taki oddany i pełen zrozumienia.

— Co za pech...

W przeciwieństwie do innych mężczyzn, myślę, zezując niechętnie na barmana, któremu z trudem udaje się zachować powagę.

— Tak, wiem. To dość przerażające, prawda? Wręcz stanowi zagrożenie życia na co dzień. — Kiwa głową Miles, biorąc słowa tamtego za dobrą monetę i nie słysząc sarkazmu w jego głosie.

Ostentacyjnie ignoruję barmana, sięgam po „Evening Stan-

dard" i udają nagle zainteresowanie artykułem o cenie nieruchomości. To mu powinno dać czytelny sygnał. Nie daje.

— To straszne. Każdy posiłek jest śmiertelnie niebezpieczny.

— Jakoś sobie radzę — odszczekuję z za gazety.

— Tak, ale musimy zachowywać szczególną czujność — wyznaje Miles. — Pamiętasz, jak poszliśmy na drinka do Oxo Tower, kochanie? Zjadłaś precelka, który był skażony solonymi fistaszkami...

Rozeźlona zaciskam zęby. Tym razem Miles mnie rozzłościł. Doprawdy, musi temu facetowi wszystko mówić? Nie może go po prostu zignorować, jak ja?

— ...iw pewnym momencie naprawdę się przestraszyłem, niech mi pan wierzy. Biednej Charlotte spuchło gardło, nabrzmiały usta i dostała okropnej wysypki...

Na miły Bóg, przymknij się, Miles. Rzucam mu wymowne spojrzenie z ukosa, żeby go uciszyć, ale jest tak pochłonięty swoją opowieścią i broniem mojego honoru, że tego nie zauważa.

— Naprawdę? Dostała okropnej wysypki? — powtarza barman, robiąc współczującą minę. — A to dopiero!

Ty też mógłbyś się zamknąć, myślę, rzucając mu mordercze spojrzenie.

— Wyobraża pan sobie? Żeby użyć na precelki tej samej miseczki, w której przedtem były solone orzeszki? Bez mycia? — Miles kipi świętym oburzeniem. — Napisałem w tej sprawie bardzo stanowczy list do kierownictwa, prawda Charlotte? Zwrócili nam pieniądze za rachunek, ale przecież nie o to chodziło.

— Popatrz, tam zwalnia się stolik — wtrącam słabym głosem, widząc w rogu parę, która zbiera się do wyjścia. — Zajmijmy go, zanim nas ktoś uprzedzi!

Zeskakuję ze stołka, zgarniam swoje torby i płaszcz i odmaszerowuję. Byle tylko uwolnić się od tego irytującego barmana. Żeby tak wtykać nos w cudze sprawy. Coś podobnego!

Oglądam się przez ramię i przyzywam Milesa energicznym machaniem. Został sam przy barze i wydaje się trochę zagubiony, nie wie, gdzie się podziałam. Wypatrzywszy mnie, zaczyna uprzejmie żegnać się z barmanem. To cały Miles — jest taki dobrze wychowany. Tak samo zachowuje się, kiedy uprawiamy seks. Zawsze prosi o pozwolenie, a potem dziękuje, co moim zdaniem jest doprowadzeniem słów „proszę” i „dziękuję” do granic absurdu, ale to rezultat pobierania nauk w szkole prywatnej.

Wtyka gazetę pod ramię, bierze butelkę wina i kieliszki, i zmierza do stolika.

— Nie martw się, wszystko załatwiłem — mówi, siadając. — W naszym daniu nie ma orzechów, a barman obiecał, że uprzedzi kuchnię o twoich alergiach.

— To świetnie, dziękuję. — Uśmiecham się, przejmuję kieliszki i nalewam wino. — Jak tam w pracy? — pytam, szybko zmieniając temat.

Mimo niefortunnego początku mam szczerą wolę spędzić z Milesem miły wieczór. Nie mieliśmy dla siebie czasu przez cały tydzień. Ani nawet w poprzedni weekend.

— Och, jak zwykle. — Wzrusza ramionami, usadawia się wygodnie na krześle i pociąga duży łyk wina.

Miles działa w nieruchomościach — zarówno tutaj, jak i za granicą — i ma, jak to nazywa, niezgorsze portfolio. Jest prawdziwym ekspertem, jeśli chodzi o wartość domów, oprocentowanie kredytu hipotecznego i wynajdywanie obiecujących gruntów. To jeden z powodów, dla których nie mieszkamy razem. Mówi, że rozsądniej będzie poczekać, aż ceny

na rynku się ustabilizują, zanim... Jak to ujął? Ach, tak, zanim „połączymy siły”.

Pamiętam to, bo miał takie wymowne spojrzenie i wziął mnie za rękę, co jest niepodobne do Milesa, który nie lubi trzymać się za ręce. W ogóle publiczne okazywanie uczuć mocno go krępuje.

— Podpisałem umowę na Aquariususa — mówi teraz. — Zaczynają budować w przyszłym miesiącu.

— To wspaniale!

— I wygląda na to, że znajdę inwestorów dla mojego innego projektu, więc muszę tam jutro lecieć na kilka dni.

— Który to projekt?

— Ten w Leeds. — Podnosi brwi, jakby chciał mi przypomnieć.

— Och, przebudowa starego magazynu na luksusowe apartamenty?

— Nie, to w Manchesterze — poprawia mnie, marszcząc się lekko. — Ale nie chcę cię tym nudzić, kochanie. — Z uśmiechem gładzi mnie palcem po dłoni. — Porozmawiajmy o czymś innym.

— Nie, nie, mów dalej — zachęcam go. — To takie fascynujące.

No cóż, może „fascynujące” to zbyt dużo powiedziane, ale należy okazywać zainteresowanie pracą partnera. Na tym polega kochający, ciepły, dojrzały związek, jak wyczytałam ostatnio w książce *Dobry słuchacz, wspaniały kochanek*. Czytam mnóstwo takich książek. Nazywano je poradnikami, ale to było w latach dziewięćdziesiątych. Teraz mówi się, że nie tyle dają rady, ile wzbudzają samoświadomość. Jeśli tak, to powinnam być superświadoma siebie, bo mam ich całe stosy. Całe półki są nimi zapchane. I wciąż kupuję nowe.

— Może później — mówi Miles i sięga leniwie po gazetę, podnosząc kieliszek do ust.

Ale moje słowa wyraźnie sprawiły mu przyjemność. Zadowolona z siebie biorę inną część dziennika. Boże, co za ulga być nareszcie we właściwym, dorosłym, dojrzałym związku. Dwoje profesjonalistów siedzi sobie przy czerwonym winie, pogryza oliwki i czyta różne działy tej samej gazety.

Przerzucając z roztargnieniem strony, czuję, jak ogarnia mnie błogie zadowolenie. Kiedy byłam młodsza, miałam takie naiwne podejście do mężczyzn. Podobali mi się sami niewłaściwi faceci i spotykało mnie jedno rozczarowanie po drugim. Kiedy skończyłam trzydziestkę, postanowiłam, że koniec z tym. Żadnych więcej rockmanów. Żadnych niedobrych chłopców. Żadnych nieszczęśliwych przygód i burzliwych związków.

Pół roku później poznałam Milesa. Zostaliśmy sobie przedstawieni na prozanej kolacji i kiedy poluzował krawat i zająknął się przy powitaniu, wiedziałam już, że nigdy więcej nie będę musiała słuchać wieczorami brzdąkania na gitarze *Smells Like Teen Spirit* Nirvany, dyskutować o zobowiązaniach ani martwić się skokami w bok. Oto był mężczyzna, któremu mogłam zaufać. Który był dorosły. Który miał dobrą pracę, własne mieszkanie w Hampstead Heath i ani jednego T-shirtu z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami na piersiach. Patrę teraz na niego spod oka. Za to ma na sobie piękny kaszmirowy sweter, który mu dałam na urodziny w zeszłym roku. Świetnie w nim wygląda.

Biorąc łyk wina, Miles łapie moje spojrzenie.

Mężczyzna, z którym mam wspólne zainteresowania i mogę w cywilizowany sposób rozmawiać o wszystkim.

— Tak? — pyta, odkładając gazetę.

— Tak? — powtarzam, odkładając swoją.

Tylko że akurat w tym momencie nie przychodzi mi na myśl nic, co mogłabym powiedzieć. Mam pustkę w głowie. Dziwne uczucie. To mój brak snu musi dawać o sobie znać. Jestem totalnie przemęczona.

— Zastanawiam się nad zainwestowaniem w jeszcze jedną nieruchomość na wynajem za granicą — mówi Miles od niechcienia.

Nieruchomości! Oczywiście. O tym rozmawialiśmy. Jak mogłam zapomnieć?

— Ach tak, gdzie? — Robię zaciekawioną minę.

— Jeszcze nie jestem pewien... — wyznaje. — Ale myślałem o Dubaju.

— No, no... Fantastycznie!

Jeśli mam być szczerą, całe to gadanie o zabezpieczeniu finansowym i inwestycjach trochę mnie nudzi i często odpływam w inne rejony, ale teraz, kiedy jestem coraz starsza, muszę myśleć o takich rzeczach. Jak powtarza Miles, twoje mienie jest twoją emeryturą.

— Wygląda na to, że szykuje się parę nieplanowanych wcześniej inwestycji, które mogą przynieść niezły dochód.

— Naprawdę? To brzmi... eee... bardzo interesująco.

Tylko że bywają takie chwile, kiedy nie mam ochoty roztrząsać bez końca zysków i emerytur. Zgoda, za cztery dni skończę trzydzieści dwa lata, ale to jeszcze nie zgrzybiała starość. Miło byłoby czasem przestać myśleć o przyszłości i zająć się teraźniejszością. Zrobić coś spontanicznego. Coś szalonego.

— Dwa razy curry po tajsku i sałata mieszana? Nad nami stoi barman z trzema talerzami.

— Organiczna, jeśli by ktoś pytał — dodaje, patrząc na mnie wymownie.

— Doskonale, proszę postawić ją tutaj... — Miles wskazuje środek stołu. — Podzielimy się sałatą. Zgadzasz się, kochanie?

— Oczywiście. — Uśmiecham się promiennie, ignorując barmana. — Wygląda bardzo apetycznie.

Doprawdy, po co szukać dziury w całym? Jest super. Miles jest super. Wszystko jest super.

Miles podaje mi serwetkę i pod wpływem impulsu pochylam się, żeby go pocałować.

Jak widać, możemy być spontaniczni i trochę szaleni.

Tylko że Miles już cofnął głowę i dramatycznie chybiam celu, przewracając kieliszek wina.

— O cholera, przepraszam.

— Ups... — sapie Miles, chwytając szybko kieliszek i stawia, zanim rzeka czerwonego wina rozleje się po stole. — Mało brakowało. — Parska krótkim śmiechem. — To mogło być trochę krępujące, co?

— Taa... — Kiwam głową, podchwytyjąc spojrzenie barmana i czym prędzej odwracam wzrok.

Czuję się jak kompletna idiotka i szczytowa niezdara. Następuje chwila ciszy i zastanawiam się, czy nie spróbować pocałować go jeszcze raz, ale właściwy moment minął.

— Mmm... aż ślinka cieknie, prawda? — mówi Miles, biorąc widelec.

— Mhm... — potwierdzam, idąc jego śladem. Kierujemy uwagę na zawartość talerzy, zapadamy w milczenie i zaczynamy jeść.

Rozdział piąty

Laptop? Odhaczony? Teczka? Odhaczona. BlackBerry? Odhaczony. Jest rano następnego dnia i jak zawsze biegam po mieszkaniu, stosując zwykłą procedurę, żeby niczego nie zapomnieć. Okay, chyba wzięłam wszystko.

Chwytam klucze, zatrzaskuję frontowe drzwi i zbiegam po schodach. Wciskam się do mojego samochodu i wycofuję z miejsca do parkowania prosto w korki godziny szczytu. Już z daleka widzę znaki objazdu i kiedy wjeżdżam w jedno-pasmowy ruch, z rezygnacją myślę o jeszcze jednej długiej drodze do pracy.

Burczy mi w żołądku. Znowu nie miałam czasu zjeść śniadania. Otwieram schowek i grzebię w nim po omacku. Trzymam tam zapas batoników zbożowych, ot tak, na wszelki wypadek.

No dobrze, nie są tylko na wszelki wypadek — ostatnio zwykle zastępują mi śniadanie, jeżeli w ogóle jem jakieś śniadanie. Kupuję je hurtowo w sklepie ze zdrową żywnością. Kończę rozmawiać przez telefon, rozdieram opakowanie

i odgryzam kawałek. Batoniki smakują jak ciasteczka owsiane i są pyszne.

Właściwie nie takie znów pyszne. Prawdę mówiąc, przypominają mi sucharki, którymi żywiłam mojego myszokoczka, ale na pewno są o wiele zdrowsze niż Twixy, którymi zajadałam się w wieku dwudziestu paru lat.

Jem pośpiesznie, kiedy wlecemy się główną ulicą objazdu, korzystając z paru chwil ciszy w przerwie między telefonami.

I nagle znów widzę tego garbusa.

Staję na światłach jak wryta. To niemożliwe, co za zbieg okoliczności! Moje oczy same szukają kierowcy i zauważam w przelocie, dosłownie w ułamku sekundy, te same długie, ciemne, kręcone włosy, ale zaraz oślepia mnie poranne słońce odbite w przedniej szybie. I już dziewczyna za kierownicą mi znika, skryta za osłoną przeciwsłoneczną. Pozostaje mi wlepić się w samochód z głupią miną.

I z lekkim niepokojem.

Przypatruję mu się uważnie. A więc jednak to nie była gra mojej wyobraźni. Wygląda zupełnie jak mój stary garbus, widzę to teraz wyraźnie, leżąc na kierownicy i mrużąc oczy przed światłem. W gruncie rzeczy jest dokładnie taki sam, łącznie z naklejką o prawach zwierząt i zardzewiałymi reflektorami. I wgnieceniem na boku, pamiątką po tym, jak zapomniałam zaciągnąć hamulec ręczny i samochód stoczył się ze wzgórza do wioski prosto na traktor...

Kiedy światła się zmieniają i garbus przejeżdża obok mnie, wbijam w niego wzrok z osłupieniem i niedowierzaniem.

Nie ma co się oszukiwać: to musi być mój stary samochód. Nie przeszedł przez przegląd techniczny już lata temu z powodu tysiąca różnych usterek... Wraca wspomnienie mechanika, który nazwał go śmiertelną pułapką i ostrzegł, że kiedy następnym razem nacisnę hamulec, noga mi przejdzie na

wylot przez przerdzewiałą podłogę. Kochany tato kupił tego grata ode mnie, bo uwielbiał naprawiać stare samochody. A później ofiarował go mamie, żeby miała czym wywozić psy na długie błotniste spacery w okolicznych dolinach, aż w końcu go komuś sprzedali.

Komuś, kto teraz mieszka w Londynie. Komuś, kto wygląda zupełnie jak ja w wieku dwudziestu jeden lat, dochodzę do wniosku z triumfalnym uśmiechem. No jasne. Wiedziałam, że musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie.

Przed odjazdem zerkam jeszcze w lusterko wsteczne, ale garbus już zniknął. Pewno skręcił w którąś z bocznych uliczek, uznaję, przeprawiając się przez skrzyżowanie. A ja już zaczynałam myśleć...

Mniejsza o to. Wystarczy powiedzieć, że zaczęły mi przychodzić do głowy jakieś nonsensy.

Jak zwykle Beatrice czeka na mnie z filiżanką kawy w wyciągniętej ręce.

— Dzień dobry — ćwierka wesoło.

— Cześć — rzucam, chwytam kawę, maszeruję do biurka, włączam komputer i zaczynam przeglądać pocztę. — Coś się działo?

— Dzwonili od Larry'ego Goldsteina z przeprosinami, że się spóźni na lunch, ale bardzo się cieszy na spotkanie z tobą. Przełożyłam rezerwację na drugą. — Uśmiecha się promiennie i krzyżuje palce.

— Coś jeszcze?

— Aaa... jeszcze Miles dzwonił.

Patrzę na nią zdumiona. Miles nigdy nie dzwoni do mnie do biura, wie, jaka jestem zajęta. Poza tym miał dziś rano lecieć do Leeds. Ogarnia mnie niepokój.

— Coś mu się stało? — Wpadam w panikę na samą myśl o słowach „nagły wypadek”.

— Nie, nie, wszystko w porządku — zapewnia mnie Beatrice. — Właśnie wylądował.

Natychmiast się uspokajam.

— Powiedział, że nie mógł się rano dodzwonić na twoją komórkę.

— Cholera, pewno zapomniałam włączyć — jęczę, wyjmując ją z kieszeni. — Trochę się śpieszyłam. — Rzucam na nią okiem. Ciekawe. Jest włączona. Pewno nie było zasięgu. Jak wczoraj, przypominam sobie. — A BlackBerry? — myślę głośno. — Powinien był spróbować na telefon służbowy.

— Próbował. Też bez skutku.

— Naprawdę? Bardzo dziwne. — Zdumiona widzę, że BlackBerry też jest włączony i ma pięć kresek zasięgu.

— To są tak zwane zerwane połączenia — mówi Beatrice ze znajomością tematu. — Wygląda na to, że ten problem się nasila z powodu ogromnej ilości ludzi korzystających z komórek. Czytałam w „New Scientist”, że ich liczba będzie rosnąć w zawrotnym tempie i przewiduje się, że do roku dwa tysiące dziesiątego na świecie będzie więcej niż półtora miliarda użytkowników telefonów bezprzewodowych...

— Co Miles powiedział? — przerywam szybko, zanim zacytuje mi cały raport z „New Scientist”.

Ale ona już się rozkręciła.

— Chociaż technicznie rzecz biorąc, zerwane połączenie dotyczy głównie przerwanej rozmowy, a nie trudności z połączeniem się, ale w gruncie rzeczy chodzi o to samo, o przeciążenie sieci... — Milknie, widząc mój wzrok, i rumieni się. — Och, przepraszam. No więc Miles... — Sięga po swój notes i skrupulatnie odczytuje: — Dostał właśnie od znajo-

mego wiadomość, że lada chwila na rynku będzie do kupienia fantastyczny dom i chce się upewnić, że będziesz miała czas iść go z nim obejrzeć, kiedy wróci. — Patrzy na mnie błyszczącymi z podniecenia oczami. — Macie zamiar razem zamieszkać?

— Cóż, mówiliśmy o tym — bąkam, czując się jakoś niezręcznie.

— O kurczę, jakie to ekscytujące!

— Mhm... prawda?

Szczerze mówiąc, jestem trochę zdeprimowana. Co innego snuć takie plany, a co innego naprawdę iść oglądać domy. Nagle wszystko staje się przeraźliwie realne, nieodsunięte gdzieś w bliżej nieokreślonej przyszłość, o której gawędzimy czasem przy butelce czerwonego wina i oliwkach.

— Jak się okazało klucze będą do dyspozycji dopiero w czwartek; sprawdziłam już twój terminarz i na szczęście udało mi się przełożyć spotkanie z redaktorką z „Elle”, więc teraz masz wolny czas w przerwie na lunch — szczebiocze Beatrice. — Zadzwoiłam już do Milesa, żeby potwierdzić, że spotkasz się z nim na miejscu o pierwszej.

— No, no... Jesteś mistrzynią organizacji.

— Staram się. — Z szerokim uśmiechem podaje mi kartkę. — Tu masz adres.

Patrzę nieco zdezorientowana. Beatrice ma niezwykle staranne pismo, a jednak litery rozplývają mi się przed oczami. Biorę łyk upragnionej kawy.

— Ty i Miles jesteście najbardziej idealną parą, jaką znam. To związek o jakim marzę.

— Naprawdę? — Podnoszę oczy na jej rozanieloną twarz.

— Absolutnie! — Kiwa energicznie głową, przyciskając notatnik do piersi. — Jesteście oboje przebojowi, atrakcyjni i wieciecie takie ekscytujące życie ludzi sukcesu.

Słyszając jej słowa, czuję przypływ dumy. Coś w tym jest, myślę, i już widzę siebie i Milesa na błyszczących zdjęciach działu „Zacisze domowe” w „OK!": „Baron rynku nieruchomości, Miles, i jego partnerka Charlotte, właścicielka agencji Merryweather PR, odpoczywają w swoim nowym, stylowym domu i rozmawiają z nami o cenach posiadłości, planach emerytalnych i...”.

W rzeczywistości to nie brzmi zbyt ekscytująco, prawda? Staram się wymyślić coś innego. No dalej, skup się. Przecież musimy robić coś ekscytującego.

Ale mam pustkę w głowie. Jest za wcześnie — pewno mój umysł jeszcze jest nieco przyćmiony, dochodzę do wniosku. Poza tym muszę się teraz zająć innymi sprawami. Skoro już

O tym mowa...

— Daj mi teczkę Goldsteina, dobrze?

— Jasne, już się robi. — Beatrice wyrywa się z rozmarzenia i biegnie do ukochanych gablotek z segregatorami.

Wysączam resztkę kawy i otwieram pocztę — mam w skrzynce trzydzieści trzy nieodebrane e-maile.

Jeśli chodzi o mnie i Milesa, to postaram się przypomnieć sobie coś ekscytującego później.

— Jeszcze jedno macchiato? — pyta uprzejmie kelnerka. Patrzą na pustą filiżankę. Faszerowałam się kofeiną od

rana, żeby z klarowną myślą skoncentrować się na tym spotkaniu, i może trochę przesadziłam. Jestem bardziej roztrzęsiona i stremowana niż zwykle.

— Nie, dziękuję, poproszę wodę mineralną. Dochodzi druga i siedzę przy stoliku w Electric, modnym

prywatnym klubie w Notting Hill, czekając na Larry'ego Goldsteina, dentystę kosmetycznego z Hollywood, słynnego

z „bielszych niż białe” uśmiechów co bardziej znanych celebrytów, i właściciela popularnej w Stanach sieci klinik Uśmiech Gwiazdy. Przyjechał z Los Angeles, żeby rozejrzeć się za agencją PR, która pomoże mu wypromować pierwszą taką klinikę w Anglii.

Czekam w napięciu i nagle zdaję sobie sprawę, że zaczęłam drzeć na strzepy moją wizytówkę. Pod maską blichtru i elegancji trzęsę się ze zdenerwowania. Muszę pokonać ostrą konkurencję, ale jeśli zdobędę to zamówienie, Merryweather PR będzie miała międzynarodową reklamę i stałe miejsce na mapie.

— Gazowaną czy niegazowaną?

— Zdecydowanie niegazowaną — mówi jakiś głos z amerykańskim akcentem, ubiegając moją odpowiedź.

Podnoszę wzrok i widzę mężczyznę w sile wieku w jasnoniebieskiej koszuli od Ralpho Laurena. Jest na swój sposób atrakcyjny, ma klasyczną kwadratową szczękę i szpakowate włosy odgarnięte do tyłu z opalonego czoła, jakby je niedbale przeczesał palcami, schodząc ze swojego jachtu w Saint-Tropez. A nie, co bardziej prawdopodobne, spędził pół godziny przed lustrem i suszarką z mnóstwem odżywek. Przypomina mi Blake'a Carringtona z *Dynastii*. Prawdę mówiąc, przez chwilę myślę, że to jest Blake Carrington z *Dynastii*.

— Doktor Goldstein? — pytam, szybko zgarniam z obrusa confetti z wizytówki, wrzucam do torby pod stołem i wstaję.

— O ile dobrze pamiętam, to tak — odpowiada, śmiejąc się zadowolony z siebie.

— Charlotte Merryweather z Merryweather PR — przedstawiam się, obdarzając go jednym z profesjonalnych uśmiechów, kiedy wymieniamy uścisk dłoni. — Miło mi pana nareszcie poznać.

— Mów do mnie Lany. — Szczerzy zęby. — Zapewniam, że cała przyjemność po mojej stronie. — Bierze moją dłoń w obie ręce i ściska mi palce.

— W porządku, Lany — odpowiadam wesoło, zachowując pozory pewnej siebie bizneswoman z własną agencją PR-owską, gdy tymczasem jestem kłębkim nerwów i już czuję mokre plamy potu pod pachami mimo tony użytego antyperspirantu.

— Doskonale! — Rozjaśnia się.

Wciąż trzyma moją rękę i zaczynam się czuć nieswojo. Ale może to dlatego, że jest Amerykaninem, mówię sobie, kiedy w końcu mnie puszcza. Wszyscy oni są bardzo wylewni, prawda? W przeciwieństwie do nas, pełnych rezerwy Brytyjczyków, którzy zadowalamy się krótkim uściskiem dłoni.

Siadamy naprzeciwko siebie. Okazuje się, że jest o wiele starszy, niż się spodziewałam. Kiedy wyszukałam go w Google'u, miałam wrażenie, że jest pod pięćdziesiątkę, ale zdjęcia na jego stronie internetowej musiały być retuszowane, bo na żywo wygląda co najmniej dziesięć lat starzej. Jednak trzeba przyznać, że dobrze się trzyma. Botoks z pewnością nie jest mu obcy, czoło ma nienaturalnie gładkie, a oczy lekko naciągnięte, ale poza tym wygląda normalnie.

To znaczy pomijając uśmiech.

Kiedy kelnerka przynosi butelkę wody niegazowanej i zaczyna rozlewać, patrzę na ten jego uśmiech jak zahipnotyzowana. W Wielkiej Brytanii nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich uśmiechów. Te idealne, równe białe parkany są znakiem firmowym gwiazd hollywoodzkich i brytyjskich gwiazdek telewizyjnych, które myślą, że są gwiazdami hollywoodzkimi. Trochę dziwnie się czuję, widząc takie zęby w realu. Chodzi o to, że są takie białe. I takie, jak by to powiedzieć, wielkie.

— Napoje gazowane uszkadzają szkliwo — oznajmia teraz Larry, błyskając tym oślepiającym uśmiechem, który jest nie tyle zasługą szkliwa, ile porcelanowych koron wielkości talerzy. — To tylko taka mała wskazówka.

— Mhm... rozumiem... dziękuję. — Kiwam głową potakująco, w myśli skreślając jeszcze jeden produkt z mojej listy. Jak tak dalej pójdzie, nie będę mogła jeść ani pić dosłownie nic. W tym tempie wkrótce znajdę się pod kroplówką. — Byłeś już kiedyś w Londynie? — pytam błyskotliwie, odganiając niemiły obraz siebie żywionej dożylnie solą fizjologiczną.

— Wiele razy. Londyn to jedno z moich ulubionych miast. Czuję się tu jak w domu — odpowiada z entuzjazmem, popijając łyk wody.

Kryję rozbawienie. Ze swoją kalifornijską opalenizną i idealnym uśmiechem Larry Goldstein jest ostatnią osobą, która wygląda „jak w domu” pośród szarych twarzy i krzywych zgryzów londyńczyków.

— W każdym razie przywiozłeś ze sobą dobrą pogodę — intonuję starą śpiewkę na obłaskawienie klienta z zagranicy. — To tylko podróż służbowa czy masz w planie jakieś rozrywki?

— Cóż, mam nadzieję, że znajdę trochę czasu także na przyjemności. — Z uśmiechem pochyla się ku mnie, opierając łokcie na stole.

Przez chwilę czuję coś jakby niepokój, ale jestem zbyt zaabsorbowana tworzeniem przyjaznej atmosfery, żeby poświęcić temu głębszą myśl.

— W Tate Modern jest fascynująca wystawa malarstwa Fridy Kahlo — ciągnę. — Powinieneś koniecznie zobaczyć. — Jestem taka mądra tylko dlatego, że Beatrice ją zwiedziła w ostatni weekend i podzieliła się ze mną wrażeniami.

— Naprawdę? To brzmi interesująco. Uwielbiam Fridę Kahlo. Który jej obraz lubisz najbardziej?

Cholera. Wiem o niej tyle, że miała zrośnięte brwi i w filmie grała ją Salma Hayek.

— Wszystkie. — Uśmiecham się promiennie. — Wszystkie jej obrazy są cudowne.

— Odpowiedź godna pracownika PR-u. — Kwituje to śmiechem i przygważdża mnie spojrzeniem. Dopiero teraz zauważam, jakie niebieskie ma oczy. Aż trudno uwierzyć, że to ich prawdziwy kolor. W gruncie rzeczy cały Larry Goldstein jest taki idealny, że wydaje się sztucznym tworem. — Muszę przyznać, że z niecierpliwością czekałem na nasze spotkanie — dodaje. — Słyszałem dużo dobrego o tobie i twojej firmie.

— Dziękuję bardzo. — Z ulgą porzucam Fridę i przechodzę na znacznie bliższy mi temat: pracę. Korzystając z okazji, wyjmuję portfolio z teczki i otwieram na stole. — Oto przykłady materiałów prasowych, jakie udało mi się załatwić dla moich klientów, i obsługi medialnej, jaką zapewnia Merryweather PR... — Odwracam portfolio i podsuwam mu do przejrzania.

— Hmm... tak... imponujące. — Kiwa głową, patrząc na kolorową rozkładówkę w „The Times”.

Jestem mile połączona.

— Oczywiście, nie mogę niczego zagwarantować — ciągnę — ale popyt na usługi w twojej branży w połączeniu z moim doświadczeniem dziennikarskim i zaangażowaniem osobistym powinny nam przynieść niekłamany sukces i obopólną satysfakcję.

— Obopólną satysfakcję? — powtarza, zerkając znad portfolio i podnosząc brwi, które, jak teraz z bliska widzę, są wyskubane w dwa idealne łuki.

— Tak. Z pomocą kampanii w odpowiednich mediach możemy wyeksponować twoje osiągnięcia. Przedstawić cię

szerokiej publiczności w Wielkiej Brytanii. Opisać działalność firmy Uśmiech Gwiazdy. Agencja Merryweather PR ma w tym wprawę i chętnie podejmie się tego zadania. — Rozkręciłam się już i nabrałam pewności siebie.

Nie bez racji. Całe tygodnie szykowałam się do tego spotkania, zbierałam informacje, gromadziłam pomysły, starałam się niczego nie zaniedbać. Jestem na sto procent przygotowana.

— Wspomniałaś o zaangażowaniu osobistym?

Patrzy na mnie natarczywie i z jakiegoś powodu znów czuję dreszcz niepokoju na plecach. Podobnie jak wtedy, gdy ścisnął mnie za rękę.

— No cóż... owszem... — bąkam, ale szybko się otrząsam i przybieram znów w pełni profesjonalny ton. — Nasza agencja szczyli się bliską współpracą z klientem.

— Jak bliską? — Przytrzymuje mój wzrok i pochyla się ku mnie nad stołem. Ledwo dostrzegalnie, ale jednak. Mój niepokój rośnie.

— Pozwolą państwo polecić sobie coś z naszych dań firmowych? — Kelnerka wróciła i przerywa nam rozmowę.

— Tak, proszę... — mówię, z wdzięcznością witając jej nadejście.

— A więc z przystawek mamy sałatkę babuni... Skupiam uwagę na kelnerce, słuchając jej rekomendacji

i dopiero po chwili odważam się zerknąć z ukosa na Larry'ego Goldsteina. Tylko że on już nie patrzy na mnie, a na ładną, młodą kelnerkę. I to jej rzuca teraz swój olśniewający uśmiech.

Musiałam sobie coś przedtem uroić, myślę z ulgą i niejakim zażenowaniem. Zrobiłam z igły widły. To po prostu zwykły flirciarz, i tyle. Wystarczy być dla niego miłą. Wracam wzrokiem do kelnerki i koncentruję się na złożeniu zamówienia.

Rozdział szósty

Okazuje się, że pod maską idealnej opalenizny kryje się bardzo sprawny biznesmen. Larry Goldstein zadaje mi mnóstwo wnikliwych pytań i moje odpowiedzi wydają się go satysfakcjonować.

— A jak to się stało, że znalazłaś się w tej branży? — wyraża zainteresowanie przy przystawkach.

— Tak naprawdę zaczynałam od dziennikarstwa. Skończyłam filologię angielską na uniwersytecie i początkowo chciałam zostać pisarką.

— Mistrzynią słowa, hm? — Uśmiecha się, przestaje jeść i wbija we mnie wzrok.

— No właśnie... próbowałam sił — odpowiadam lekko, odrzucając włosy do tyłu pod jego spojrzeniem. — Pierwszą pracę dostałam w British Worldwide Press, dużej londyńskiej firmie wydawniczej, gdzie byłam redaktorką w jednym z ich pism.

— No, no... — Larry Goldstein otwiera szeroko oczy i robi stosowną, pełną podziwu minę. — Wspaniały start.

Rumienię się lekko.

— Tak, rzeczywiście — przyznaję skromnie, starając się

przyjąć ten komplement z nonszalancją, podczas gdy cichutki głos szepcze mi do ucha: „Tylko tak dalej, Charlotte, tylko tak dalej”. — Zdobyłam bogate doświadczenie i solidną wiedzę z pierwszej ręki, ale po paru latach uznałam, że czas na nowe wyzwania, i zostałam wolnym strzelcem.

— Zuch dziewczyna. — Kiwa głową z aprobatą.

— Na szczęście moja brawura się opłaciła, pisywałam do znanych magazynów z najwyższej półki i różnych gazet, co oczywiście pozwoliło mi nawiązać wiele bezcennych teraz kontaktów — mówię, wymachując z emfazą wiedelcem.

— Niewątpliwie — zgadza się ze mną z entuzjazmem i przenika mnie dreszczyk podniecenia. Nie chcę robić sobie fałszywych nadziei, ale wygląda na to, że sprawa jest na dobrej drodze. Na bardzo dobrej.

— Jednakże po jakimś czasie zaczęło mnie to nużyć, potrzebowałam nowych bodźców, więc kiedy otworzyła się możliwość wkroczenia w ekscytujący świat PR-u, natychmiast skorzystałam ze sposobności.

— I nie żałujesz, że nie poświęciłaś się karierze pisarskiej?

— Nigdy nie oglądam się wstecz — oświadczam stanowczo.

— Dobrze powiedziane — kwituje Larry Goldstein. Uśmiecham się powściągliwie. Nie chwaląc się, nieźle się zaprezentowałam, trzeba przyznać.

Tylko że to nieprawda. W każdym razie nie cała prawda. W rzeczywistości było tak: po skończeniu studiów marzyłam, żeby zostać pisarką i odpowiadałam na każdą ofertę, jaką znalazłam w rubryce „Media” w „Guardianie”. Po niemal setce listów odmownych zaproszono mnie w końcu na rozmowę do British Worldwide Press. Ten kawałek był prawdziwy. Podobnie jak to, że zostałam redaktorką w jednym z ich pism.

Nie wspomniałam jednak, że chodziło o pismo poświęcone krzyżówkom. No dobrze, nie było to „Vanity Fair”, ale to dopiero początek. Każdy musi gdzieś zacząć, tak czy nie?

Gorzej, że pozostawał jeden problem: jestem kompletną nogą w rozwiązywaniu krzyżówek.

Ale byłam zdesperowana. I bez grosza. I wciąż mieszkałam z rodzicami.

Na szczęście dostałam tę pracę, przeniosłam się do Londynu i przez trzy następne lata układałam hasła za dnia i bawiłam się nocą w barach i klubach na West Endzie.

A w przerwie na lunch? Uzupełniłam moje CV i rozsyłałam je do wszystkich możliwych magazynów i gazet. Aż pewnego dnia wylądowało na właściwym biurku we właściwym czasie. Nowy magazyn kobiecej szukał kreatywnej dziennikarki. Marzenie zaczynało się spełniać.

Niestety, ten sen trwał tylko sześć miesięcy, bo pismo splajtowało i znalazłam się na bruku, żyłam z zasiłku i szukałam nowej pracy. Ale nie mogłam jej znaleźć, więc zostałam wolnym strzelcem.

Wolny strzelec. To brzmi tak ekscytująco i efektownie, prawda? Już się widziałam, jak biegam z laptopem pod pachą, piszę w kawiarniach, zarywam noce w kłębach dymu z papierosów, żeby zdążyć na termin. Jak czadowo! Będę drugą Carrie z *Seksu w wielkim mieście*.

Ale życie nie jest serialem telewizyjnym i ta druga Carrie nie nosiła szpilek od Blahnika ani nie kosiła grubej kasy za pisanie dowcipnych felietonów w rubryce o seksie. Nic z tych rzeczy, ta Carrie proponowała artykuły na różne tematy niechętnym redaktorom, którzy nigdy nie oddzwaniali. W ciągu dnia oglądała w piżamie telewizję i martwiła się, z czego zapłaci czynsz. Wierście mi, nie było w tym nic seksownego. I ani krztyny wielkiego świata.

Tak wegetowałam przez wiele miesięcy, aż wreszcie przyjaciółka przyjaciółki zlitowała się nade mną i powiedziała mi o wolnym miejscu w agencji PR. Jednym z moich obowiązków miało być pisanie komunikatów prasowych. Więc nadal będziesz pisać, dowodziła. Cóż, jeśli tak można nazwać sklecenie tysiąca słów na temat szamponu. Ale to zajęcie pozwalało opłacić rachunki. I było tylko czasowe. Tylko dopóki nie skończę tej powieści, nad którą pracuję w wolnym czasie i którą sprzedam wydawcy po zaciętej bitwie o stawkę...

Dobrze by było.

Bo nigdy jej nie skończyłam. Zająłam się innymi sprawami. Nie miałam czasu. Dałam sobie spokój. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego nie wróciłam do książki, ale prawda jest taka, że moje marzenie o zostaniu pisarką z wolna się rozwiało i zastąpiła je szara rzeczywistość. Awansowałam, odnosiłam sukcesy, zarabiałam coraz więcej pieniędzy i w końcu założyłam własną agencję. I to prawda, nigdy nie oglądałam się wstecz.

Cóż, może czasami. Kiedy wchodzę do księgarni i biorę do ręki książkę jakiegoś debiutanta. Albo czytam fascynujący artykuł w którymś z magazynów i wyobrażam sobie, że teoretycznie, tylko teoretycznie, to mogłam być ja. Gdybym wytrwała. Bardziej się starała. Była lepszą pisarką. I przez krótką chwilę czuję niemal fizyczny ból.

Ale szybko wyrzucam to z głowy. Podjęłam jedynie słuszną decyzję. Gdybym poszła tamtą drogą, nie byłabym tu, gdzie jestem: nie siedziałabym w modnym prywatnym klubie w Notting Hill, bliska zdobycia ważnego klienta, który wywinduje moją firmę na szczybel międzynarodowy. Zerkam na Larry'ego Goldsteina, który przygląda mi się w zamyśleniu.

— Widzę w tobie wiele własnych cech — mówi.

— Naprawdę? — Nie jestem pewna, czy mam to uznać za komplement.

— Naprawdę — potwierdza. — Teraz, kiedy cię poznałem i usłyszałem coś więcej o twojej agencji, jestem przekonany, że Merryweather PR spełni moje oczekiwania.

Siedząc naprzeciwko niego, uśmiecham się skromnie — rzecz można: wcielenie profesjonalnego opanowania — ale mam ochotę wyrzucić pięść w powietrze z triumfem. Boję się dopuścić tę myśl, ale wygląda na to, że moja ciężka praca i cierpliwe oglądanie po nocach jego amerykańskiego show telewizyjnego *Klinika uśmiechniętych gwiazd* może się opłacić.

— Jak już mówiłam, będziemy zaszczyceni, mogąc pana reprezentować tutaj, w Wielkiej Brytanii, doktorze Goldstein. — Kurczę, sama nie wiem, jak mi się udaje zachować tak spokojny głos.

Podnosi dłoń w proteście.

— To znaczy Larry — poprawiam się szybko.

— Właściwie tak sobie myślę, że nie warto już kontaktować się z innymi agencjami — ciągnie gładko, podnosząc brwi. — A ty jak sądzisz?

Kontrakt jest mój! — przemyka mi przez głowę jak błyskawica.

— Nie warto — odpowiadam równie gładko.

Jestem tak podekscytowana, że z trudem to ukrywam. Jak mówiłam, najważniejsze to zachować zimną krew i profesjonalizm.

— Doskonale. A więc doszliśmy do porozumienia. — Uśmiecha się, sięgając pod stolik, żeby wygładzić serwetkę na kolanach.

O Boże, nie mogę się już doczekać, żeby zadzwonić do Beatrice i opowiedzieć jej, jak dobrze mi poszło.

Nagle czuję, że czyjeś palce wędrują mi po wewnętrznej stronie uda.
— Co do...?

Podskakuję na krześle i patrzę ostro na Lany'ego Goldsteina, ale on z niewinną miną nawija spaghetti na widelec. Przyglądam mu się z mieszaniną niedowierzania i wątpliwości. A może mi się tylko zdawało? Może nic takiego nie miało miejsca? Serce mi wali, wiercę się niespokojnie, obciągając spódnicę i krzyżując nogi.

— Wszystko w porządku? — Larry Goldsein patrzy na mnie z troską.

— Mhm... tak, w porządku — odpowiadam grzecznie, biorąc duży łyk wody.

Co niby mam powiedzieć? Czy właśnie włożył mi pan rękę pod spódnicę?

Chociaż powiedziałabym to, gdybym była młodsza. Wtedy mówiłam prosto z mostu, co myślę, i wygarnęłabym mu bez ogródek.

Ale teraz jest inaczej. Ja jestem inna. Nie jestem już impulsywną, krnąbrną dwudziestolatką, która nie ma nic do stracenia. Jestem trzydziestoparolatką, która robi karierę zawodową i ma do stracenia wszystko. Łącznie z reputacją i naprawdę ważnym kontraktem. Nie mogę rzucać bezpodstawnych oskarżeń i robić scen. Muszę myśleć o konsekwencjach.

Prostuję się, biorę kilka głębokich oddechów i staram się uspokoić. W końcu mogłam się pomylić. Czasem można sobie coś uroić, przekonuję sama siebie, wracając myślami do incydentu na światłach. Zapewne to tylko skrawek obrusa musnął mi nogę lub coś takiego. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że tak właśnie było.

— Jedzenie jest znakomite, prawda?

Podnoszę wzrok i widzę, że Larry Goldstein uśmiecha się do mnie przyjacielsko.

— Słucham? Tak... rzeczywiście... znakomite. Wytrącona z równowagi wracam do głównego dania, ale jakoś straciłam apetyt. Z ulgą witam kelnerkę, która parę minut później przychodzi po nasze talerze.

— Kawa? Coś na deser? — pyta.

— Nie, ja już dziękuję — odpowiadam, potrząsając głową.

Moja wcześniejsza radość ze zdobycia klienta jakoś przybladła. Wiem, że powinnam być w siódmym niebie, ale wciąż mnie dręczy to, co zaszło. Albo co sobie wyobraziłam, że zaszło, poprawiam się szybko.

— Ja też dziękuję. — Larry odchyła się i przygważdża mnie zadowolonym z siebie uśmiechem. — Kawa to główna przyczyna żółknięcia zębów.

— Naprawdę? — mówię słabym głosem.

— Więc skoro to mamy z głowy, możemy wrócić do interesów. — Kładzie swoje wymanikiowane ręce na obrusie, nie spuszczać ze mnie oka. — Ustalić plan działania.

— Z przyjemnością... — Ożywiam się, zadowolona, że skupimy się na pracy. Przeglądam w myślach swoją listę najpilniejszych spraw do załatwienia. — Kiedy chciałbyś wydać oświadczenie dla prasy? Im szybciej ukażą się pierwsze informacje, tym więcej będziemy mieli czasu, żeby obudzić zainteresowanie, rozkręcić kampanię...

— Całkowicie się zgadzam... — Kiwa głową. — Zaraz zobaczymy... — Wyjmuje swój iPhone. — Wracam do Stanów w następną środę, więc może we wtorek?

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

— Za tydzień od dzisiaj?

— Czy to jakiś problem? — Rzuca mi spojrzenie, z którego

niezbicie wynika, że jeśli to dla mnie problem, znajdzie sprawniejszą agencję.

— Nie, oczywiście, że nie — zapewniam go szybko, jednocześnie myśląc o ogromie pracy, jaki mnie czeka, o dodatkowych godzinach, jakie będę musiała poświęcić na przygotowania. Już czuję na barkach ciężar presji.

— To świetnie. — Uśmiecha się z pewnością siebie człowieka, któremu obce są jakiegokolwiek problemy. Ma lśniące białe zęby, idealną opaleniznę i swój program w amerykańskiej telewizji w godzinie największej oglądalności. I podobno gra w golfa z Jackiem Nicholsonem, jak wyczytałam w prasie. — A więc jesteś gotowa podjąć wyzwanie?

— Oczywiście. — Prostuję się i ściągam ramiona. Doprawdy, co się ze mną dzieje? Lubię wyzwania. I chcę dostać ten kontrakt. To moja wielka szansa. — Jak wspominałam, Merryweather PR jest niewielką agencją, ale to działa na korzyść klienta, bo możemy poświęcić mu więcej uwagi — ciągnę z nowym zapalem.

— To mi się podoba — stwierdza z uśmiechem igrającym na ustach.

— Znalazłeś już miejsce na klinikę? — pytam szybko, ignorując ukłucie niepokoju i przechodząc do następnego punktu z mojej listy.

— Jestem blisko. Mam gościa od nieruchomości, który od pewnego czasu rozgląda się za właściwą lokalizacją i na razie wybraliśmy dwie. Zwykle zdaję się na intuicję. — Kieruje lekki skłon głowy pod moim adresem. — Ale w tym wypadku niewiele mi pomogła.

— Może ja się tu na coś przydam? — proponuję.

— To byłoby wspaniale! — podchwytuje z entuzjazmem. — Jutro wylatuję do Brukseli na międzynarodową

konferencję na temat ostatnich osiągnięć w dentystyce kosmetycznej, ale następnego dnia wracam.

— Rozumiem. — Sięgam po telefon BlackBerry i przeglądam swój terminarz. — O której chcesz się umówić?

— Hm... cały dzień mam zajęty przez architektów. — Ogarnia mnie złe przeczucie, domyślam się, do czego to prowadzi. — Może spotkamy się wieczorem? Na kolacji?

A tak się łudziłam, że tego nie powie!

— Da nam to okazję, żeby się lepiej poznać.

Kiwam zgodnie głową podczas tej przemowy, ale wciąż nie daje mi spokoju tamten incydent. Czy tylko sobie to uroiłam? Czy mogłam to sobie uroić?

— I żeby się upewnić, czy mamy podobne koncepcje. To ważne, nie sądzisz?

Wyszczерza do mnie zęby jakby nigdy nic i automatycznie przybieram zawodowy uśmiech, ale w głowie mam zamęt. Bardzo mi zależało na tym kontrakcie, jednak teraz...

Lany Goldstein nadal patrzy na mnie pytająco, czekając na odpowiedź.

— Naturalnie. A więc w czwartek wieczorem! — słyszę nagle swój głos.

Rozpromienia się.

— No to mamy randkę!

Uśmiecham się radośnie. Udało się! Kontrakt jest mój. O Boże.

Rozdział siódmy

Macham na pożegnanie Larry'emu Goldsteinowi odjeżdżającemu taksówką i przechodzę przez ulicę do mojego samochodu. Patrzę na zegarek. Lunch zajął mi o wiele więcej czasu, niż się spodziewałam, i zrobiło się późno. Muszę czym prędzej wrócić do biura, powiedzieć Bei dobrą nowinę i...

— Lottie!

Znajomy głos za plecami przerywa mi tok myślenia i każe się odwrócić. Nikt mnie już tak nie nazywa oprócz... Mrużę oczy w jaskrawym słońcu i lustruję zatłoczony chodnik: ogródki kawiarniane, ludzi nad kawą z ciastkami, zakupowiczów obładowanych torbami firmowymi, matkę z podwójnym wózkiem i starzejącym się cocker-spanielem...

— Nessie! Co ty tutaj robisz?

— Mieszkam tu, idiotko — odpowiada wesoło. — A ty, co tu robisz?

Vanessa jest moją najstarszą przyjaciółką. Poznałam ją w dniu, kiedy przyjechałam na rozmowę kwalifikacyjną do pisma krzyżówkowego, w którym zdobyłam pierwszą pracę. Siedziała na murku, przed redakcją, paliła papierosa i wy-

glądała absolutnie super. W oczach zdenerwowanej dziewczyny, która właśnie wysiadła z pociągu z Yorkshire i była ubrana w kostium swojej matki, Vanessa uosabiała cały splendor Londynu. Była wysoką platynową blondynką, miała dwadzieścia pięć lat i dzieliła z przyjaciółmi mieszkanie na Kensingtonie. Budziła we mnie nabożny podziw.

I nadal poniekąd budzi. Jest szczęśliwą żoną Juliana, przystojnego prawnika, mamą dwójki uroczych dzieci i mieszka w wielkim, pełnym zakamarków domu w Notting Hill, gdzie lodówka jest pomazana przez małe paluszki, a ściany obwieszane setkami zdjęć rodzinnych. Każda z nas wie teraz inne życie i nie widzimy się tak często, jak byśmy chcieli, ale nadal jesteśmy sobie bardzo bliskie.

— Miałam służbowy lunch — wyjaśniam, wskazując na restaurację.
— I teraz pędzę z powrotem do biura.

— Nie pieprz. — Z groźnym marsem na czole zagarnia mnie ramieniem. — Ciocia Charlotte przyjdzie teraz do nas na herbatę, prawda? — Zagląda do podwójnego wózka, gdzie trzyletnia Ruby chichocze w odpowiedzi, a roczny Sam wtóruje jej gaworzeniem. — Widzisz, to znaczy „tak”, w razie gdybyś potrzebowała tłumacza.

Mimo woli wybucham śmiechem.

— Dobrze — poddaję się. Wiem, że z Vanessą nie ma co dyskutować.
— Ale tylko na chwilę.

— Na chwilę — potwierdza z niewinną miną; jedną ręką chwyta pałak wózka i smycz psa, a drugą mnie, i prowadzi nas zdecydowanym krokiem.

— Kurczę, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby mi ktoś włożył rękę pod spódnicę.

Przez ostatnich dziesięć minut opowiadałam jej o dziwnym

incydencie z Lanym Goldsteinem, i, prawdę mówiąc, nie takiej reakcji oczekiwałam.

— Vanesso! — wykrzykuję zgorziona.

— Przepraszam, kotku, tylko żartowałam — usprawiedliwia się beztrosko. — W pewnym sensie — mruczy pod nosem, z furią rozdrabniając coś w mikserze, aż zostaje pomarańczowa papka. — Chociaż widziałam Lany'ego Goldsteina w programie Oprah i muszę powiedzieć, że jest diablo przystojny.

— I co z tego? Wyłącznie za sprawą chirurgów plastycznych. — Nie mogę sobie darować kąśliwej uwagi. — To go nie upoważnia do napastowania mnie w restauracji. Nasze spotkanie było czysto służbowe.

Przerywa karmienie Sama, zawieszając rękę z pomarańczową papką w powietrzu.

— I... — droczy się ze mną. Z roztargnieniem wkłada sobie łyżkę do ust. Rozlega się głośny protest. — Och, przepraszam, skarbie — kwili, reflektując się. — Gapa mamusia też jest głodna. — Szybko nabiera następną porcję.

— I to jest absolutnie karygodne! — oświadczam. — To molestowanie seksualne. Nigdy nie słyszałaś o równouprawnieniu?

Marszczy czoło i udaje, że myśli.

— Piąte przez dziesiąte. Pamiętaj, że jestem pełnoetatową matką, która żyje w świecie pieluszek, kąpeli i dziecięcych napadów złości. Rzuciłam pracę i własne życie, żeby karmić piersią. Muszę coś dodawać? — Trzyma po łyżce w każdej ręce i ze znużonym uśmiechem kontynuuje wkładanie na przemian papki i makaronu do pary rozdziawionych ust.

— Przecież uwielbiasz bycie matką — zauważam.

— To prawda — rozjaśnia się. — Moje dzieci są najlepszą rzeczą, jaka mnie spotkała, nie wyobrażam sobie życia bez

nich... — Urywa z zakłopotaniem, kiedy napotyka mój wzrok; uśmiech gaśnie jej na twarzy. Przez krótką sekundę porozumiewamy się bez słów. — Ale cieszę się, że poczekałam z tym do skończenia trzydziestki — dodaje szybko.

Umyka oczami i następuje chwila ciszy. Żeby ją przerwać, zmieniam temat.

— I tak nienawidziłaś swojej pracy — przypominam jej. Vanessa pracowała w kancelarii prawniczej obok mojej redakcji. Tam poznała Juliana, swojego męża. — Mówiłaś, że już nie możesz się doczekać, żeby odejść.

— Fakt. — Potakuje i uśmiecha się szeroko na widok Ruby, która chichocze histerycznie, smarując swojego brata pomarańczową papką.

— Wydałaś przyjęcie pożegnalne — ciągnę.

— A ty nie przysłałaś... — Patrzy na mnie z wyrzutem.

— Gonił mnie pilny termin.

— Zawsze gonią cię pilne terminy — ripostuje. Otwieram usta, żeby zaprostestować, ale gryzę się w język.

Prawdę mówiąc, kiedy o tym myślę, nie pamiętam już swojego życia bez wiecznego pośpiechu.

— To było wspaniałe przyjęcie...

Patrzę na Vanesę, która ma rozmarzone oczy.

— Przyszło ponad sto osób i wszyscy tłoczyli się w tym starym domu. Byłam w ciąży, nie mogłam pić, więc Julian podawał mi bezalkoholowe drinki, i całą noc graliśmy UB40, żeby uczcić moje odejście z pracy: wiesz, będziesz bezrobotną czterdziestolatką. — Uśmiecha się tęsknie, wracając do tamtej nocy sprzed trzech lat. — Tak czy owak, nie jesteś nawet pewna, czy ten cały Goldstein rzeczywiście cię napastował. To wydaje się mało prawdopodobne. Sama powiedziałaś, że mogłaś się pomylić.

— To prawda — przyznaję. Coraz bardziej dochodzę do wniosku, że coś sobie ubzdurałam.

— I zdobyłaś kontrakt, na którym ci zależało, tak czy nie?

— Tak. — Kiwam głową.

— Więc przestań się zamartwiać — karci mnie.

— Wcale się nie zamartwiam — zaprzeczam, szybko spędzając zmarszczki z czoła.

No dobrze, trochę się martwię, ale nie mam zamiaru się do tego przyznawać.

— Czyżby? — wyraża zdziwienie Vanessa. — To do ciebie niepodobne. Zwykle martwisz się o wszystko.

— Nie powiedziałabym, że o wszystko — prostuję urażona.

— Martwisz się o to, że się martwisz — wytyka mi z uśmiechem.

— To nieprawda! — mówię defensywnie.

— A pamiętasz, jak obchodziliśmy twoje urodziny i kupiliśmy skrzynkę szampana? I kiedy mieliśmy go otworzyć, zaczęłaś się martwić, że korek wyskoczy i wybije komuś oko?

— Mógł wybić — bronię się. — Wykazałam tylko minimum ostrożności.

— Wrzeszcząc: „Kryć się!” i chowając się pod stołem? Rumienię się.

— Okay, może trochę przesadziłam, ale te korki potrafią być niebezpieczne. I uderzyć kogoś w oko — nie daję za wygraną, ale Vanessa już mnie nie słucha.

— A wtedy, kiedy pojechałyśmy do ośrodka spa na mój weekend paniński i wszystkie pluskałyśmy się w basenie, a ty leżałaś w cieniu i nie chciałaś się przyłączyć z obawy, że się poślizgniesz, uderzysz w głowę i zostaniesz sparaliżowana?

— To się często zdarza! — upieram się. — Nie widziałaś filmu *The Sea Inside*?

— Nie nurkowałyśmy ze skał do morza, Charlotte. Pływałyśmy sobie na nadmuchiwanym materacu.

— Wypadek zawsze może się zdarzyć — ostrzegam ją.

— Na nadmuchiwanym materacu?

Czajnik kipi, Vanessa się zrywa, wyjmując filiżanki i torebki z herbatą.

— Masz może rumianek? — pytam.

— Tylko earl greya — odpowiada. — Raz się żyje, pozwól sobie na odrobinę szaleństwa — pokpiwa sobie, widząc moją minę. — Pamiętam czasy, kiedy nawet nie wiedziałaś, że istnieją herbatki ziołowe, a już z całą pewnością nie wzięłabyś ich do ust. Prawdę mówiąc, nie piłaś wtedy nic, co nie zawierało alkoholu.

Krzywię się i ignoruję tę uwagę.

— Jak się ma Miles? — Rzuca mi spojrzenie spod oka. Vanessa nie jest, delikatnie rzecz ujmując, jego największą

fanką. Nigdy nic nie powiedziała, ale te jej spojrzenia mówią same za siebie.

— Doskonale — odpowiadam pogodnie. — Wczoraj wieczorem byliśmy na kolacji w naprawdę dobrym nowym gastropubie.

— A więc kiedy macie zamiar „połączyć siły”? — droczy się ze mną, wycierając chusteczką umorusane buzie Ruby i Sama.

Opowiedziałam jej kiedyś niebacznie całą historię i gorzko tego żałuję. Nigdy nie przestaje mi teraz dokuczać.

— Czekamy, aż rynek nieruchomości... yyy... — Cholera. Nie mam pojęcia, co powinien zrobić rynek. Musiałam przegapić ten kawałek przemowy Milesa. — Aż rynek się ruszy — kończę niejasno.

— Rozumiem — mruczy Vanessa, podnosząc brwi. Wiercę się niespokojnie na krześle. — A kiedy to ma nastąpić? — Podaje mi filiżankę herbaty.

Usiłuję sobie przypomnieć, co takiego Miles mówił. Rozmawialiśmy o tym godzinami. W gruncie rzeczy w nieskończoność. Tym dziwniejsze, że nic z tego nie pamiętam.

— To trudno przewidzieć — odpowiadam w końcu, dumna, że to tak mądrze zabrzmiało. — Ale w tym tygodniu mamy obejrzyć jeden dom. Dopiero został wystawiony na sprzedaż i podobno jest fantastyczny — cytuję Beatrice, która cytowała Milesa, więc to musi być prawda.

Vanessa jest pod wrażeniem.

— Gdzie to jest?

— Eee... — Urywam. Widziałam na kartce adres, ale jakoś mi uleciał.
— W Londynie — odpowiadam błyskotliwie i uprzedzam grad pytań:
— Ale na razie nie spieszymy się, żeby razem zamieszkać. Przynajmniej teraz mamy czas na odespanie się w ciągu tygodnia i na mnóstwo seksu w weekendy. To idealny układ — dodaję, chociaż nie wiem, czy bardziej chcę przekonać Vanessę, czy siebie.

— Odespanie się? Seks? — Vanessa marszczy brwi, podając dzieciom truskawki. — Co to takiego?

Wiem, że w jakimś sensie żartuje, bo zawsze się wygłupia, ale tym razem wychwytyję w jej głosie ostrą nutę, której przedtem nie słyszałam.

— W każdym razie teoretycznie — prostuję, szybko się wycofując.

W jednym z moich poradników jest cały rozdział o tym, jak życie seksualne pary może ucierpieć po przyjściu na świat dziecka. Wygląda na to, że można stać się mocno drażliwym na tym punkcie, więc zapewne powinnam bardziej uważać, poruszając temat seksu z Vanessą. Na wszelki wypadek.

— Chociaż jeśli chcesz znać prawdę, zwykle kończy się tym, że jedno z nas zasypia przed telewizorem — dodaję, żeby jej przypadkiem nie zrobić przykrości.

— Zanim przyszły na świat dzieci, Julian i ja parzyliśmy się jak króliki — odpowiada bardzo rzeczowym tonem.

— Naprawdę? — wydaję z siebie jakiś pisk.

Patrzę na nią nieco zszokowana. Nigdy nie rozmawiamy o seksie. Kiedy byłyśmy młodsze i miewałyśmy przygody, trochę o tym plotkowałyśmy, ale nie odkąd weszłyśmy w stałe związki.

— Żebyś wiedziała. Nie mogliśmy się od siebie oderwać — wzdycha, opadając na stołek kuchenny z nieobecną miną. — Robiliśmy to bez przerwy.

Ogarnia mnie lekki niepokój i jednocześnie ciekawość.

— To znaczy jak często? — pytam od niechcienia.

— Och, bo ja wiem...

Jeśli powie trzy „razy w tygodniu”, to wszystko w porządku. Miles i ja robimy to trzy razy w tygodniu. No, może raz.

— ...codziennie. Czasem dwa razy dziennie. Często robiliśmy szybki numerki przed pracą — wyznaje i płoni się jak niegrzeczna uczennica.

Codziennie? Czasem dwa razy dziennie?

Siedzę w jej kuchni, popijam herbatę i staram się zachować chłodny spokój, ale czuję, że szczęka opada mi niemal do podłogi. Przez ostatni rok przekonywałam sama siebie, że wszystkie pary po trzydziestce zachowują się jak Miles i ja: w sobotnie wieczory kochają się statecznie i wygodnie w łóżku, dla urozmaicenia zapalając czasem świeczkę zapachową lub masując się olejkiem, o ile dobrze pamiętam.

Ale teraz to odkrycie, że moja najlepsza przyjaciółka — czyli również ludzie w moim wieku — zwykli robić „szybkie numerki” przed pracą, nieco wytrąca mnie z równowagi. Zwłaszcza że ostatnio pocieszałam się myślą, że brak namiętnych uniesień między nami nie ma znaczenia, bo po ślubie ludzie i tak przestają uprawiać seks.

— Wiesz, jest takie powiedzenie: „Liczy się jakość, a nie ilość” — mówię pośpiesznie. — A Miles i ja mamy naprawdę doskonałej jakości seks. — Zdaję sobie sprawę, że to brzmi ciut defensywnie.

— Cieszę się, że ktoś ma — rzuca kwaśno, wyciąga książeczki do kolorowania i flamastry dla Ruby, huśtając jednocześnie Sama na biodrze.

— Może ci w czymś pomóc?

— Nie, nie, dam sobie radę. — Uśmiecha się i wpycha wymykające się kosmyki do końskiego ogona. Po raz pierwszy zauważam, że ma odrosty, co jest całkiem do niej niepodobne. Vanessa jest kobietą, która poszła do fryzjera na dzień przed porodem, a wszystkie ostrzeżenia, żeby nie farbować włosów w ciąży zbywała prychnięciem: „Też coś! Nigdy nie widziałam Gwen Stefani z odrostami”. Czym mi zaimponowała, bo nie sądziłam, że wie, kim jest Gwen Stefani.

— Może zrobić ci jeszcze herbaty? — proponuję.

— Prawdę mówiąc, wolałabym się napić pinot grigio i usiąść w ogrodzie. — Mruga okiem. — Co ty na to?

Już mam się zgodzić, kiedy przypominam sobie zabawne poranne przywidzenie na świątłach i zmieniam zdanie. Może alkohol to nie jest dobry pomysł. Poza tym prowadzę samochód.

— Lepiej nie. — Potrząsam głową. — Ostatnio piję za dużo wina. Chyba powinnam zrobić sobie tę kurację odtruwającą, którą tak poleca mi moja klientka Melody.

— Znowu? — Vanessa patrzy na mnie z niedowierzaniem. — Przecież dopiero robiłaś.

— To było wieki temu! — protestuję energicznie.

— W zeszłym miesiącu. Pamiętam, bo przyszłaś do mnie na kolację i odmówiłaś wzięcia czegokolwiek do ust.

— Ach tak, rzeczywiście. Byłam na diecie lemoniadowej — przypominam sobie.

— A teraz będziesz na coca-coli? — pyta z przekąsem.

— To nie taka lemoniada, jak myślisz — oburzam się, ale nie mogę powstrzymać uśmiechu. — To specjalny napój z syropu klonowego i świeżo wyciśniętych cytryn. Melody nie mogła się go nachwalić i zamieściła przepis w nowej książce, więc uważałam, że powinnam spróbować. Tak czy siak — dodaję — oczyściłam sobie organizm.

Vanessa robi kpiącą minę.

— I co, czujesz jakąś różnicę? — Patrzy na pusty stojak na wino i podchodzi do lodówki.

— Jest wielka różnica — oświadczam. — Rozmawiałam z dietetyczką, kiedy przygotowywałam reklamę prasową dla Melody, i ona twierdzi, że odtruwanie eliminuje wszystkie szkodliwe dla nas produkty. Jak na przykład wino, kawa i cukier.

Moja przyjaciółka otwiera drzwi wielkiej stalowej lodówki i krzywi się z niesmakiem.

— A oczyszczanie polega na tym, że w ogóle się nie je. Jednak zwykle pije się soki — dodaję po namyśle. — Oczywiście nie sok pomarańczowy, bo ma pełno cukru, ale można używać zielonych jarzyn, jak seler, pęczek brokułów, bakłażan... Chociaż nie, bakłażan jest fioletowy.

— Brzmi bardzo smakowicie — zauważa sarkastycznie. Wyjmuje otwartą butelkę wina i wyciąga korek. — Ja jednak zostanę przy winogronach. Też są zielone. — Do kieliszka spływa kilka kropel i Vanessa klnie pod nosem: — Cholera! To była ostatnia butelka.

— Mogę wyskoczyć i kupić — proponuję.

Słyszę trzask drzwi wejściowych i kroki w holu. George, cocker-spaniel, który spędza całe życie, drzemiąc w koszyku, zaczyna nagle machać ogonem.

— Mam lepszy pomysł — mówi Vanessa. — Może obie wyskoczmy?

— Ale co z...?

Chcę powiedzieć „z dziećmi”, lecz już słyszę okrzyki „Tatuś!” i Julian wkracza do kuchni. Wysoki, przystojny, z bujną jasną czupryną, odkłada elegancką teczkę i idzie prosto do pociech, które zgarnia w ramiona ku ich hałaśliwej radości.

— Moje małe skarby! — Obsypuje dzieci pocałunkami i grucha im czule we włosy u nasady karków.

Robi mi się ciepło koło serca. Jaki z niego kochający ojciec, myślę, ale potem widzę kątem oka, że Vanessa zamiast promienieć na widok szczęśliwej rodziny ma ściągniętą twarz.

— Wcześniej dziś wróciłeś.

Julian przestaje gruchać i patrzy na nią, jakby dopiero teraz ją dostrzegł.

— Niestety, nie mogę zostać. Wpadłem tylko po świeżą koszulę. Okazało się, że muszę iść na kolację z klientem. To wynikło w ostatniej chwili. — Robi przepraszającą minę.

— W takim razie wyjdę na parę minut — mówi Vanessa.

— Wyjdiesz? — Julian marszczy brwi.

— Skoczmy sobie z Charlotte na drinka.

— Tak? — pytam zdumiona.

Nadal trzymając w ramionach dzieci, Julian odwraca się i widzi mnie przycupniętą na stołku kuchennym. Macham do niego niepewnie. Mam wrażenie, że znalazłam się w środku domowego konfliktu i źle się z tym czuję.

— Cześć, Charlotte — mówi nieco speszony. — Nie zauważyłem cię.

— Cześć, Julian. — Zmuszam się do uśmiechu. — Jak tam w pracy?

Julian jest znanym prawnikiem i zawsze prowadzi jakąś sprawę, w której grube ryby walczą o miliony funtów. Zaledwie parę dni temu, kiedy ćwiczyłam w siłowni na bieżni,

widziałam go w jednym z telewizorów, jak udziela przed sądem wywiadu dla wieczornych wiadomości.

— Urwanie głowy. Na przykład dzisiaj podczas rozprawy ława przysięgłych...

Vanessa mu przerywa, nie dając skończyć zdania.

— Idziemy, Charlotte?

Rzuca mi znaczące spojrzenie. Czuję, że to bardziej rozkaz niż pytanie.

— Vee, proszę. Ledwo przekroczyłem próg — mówi Julian przez zaciśnięte zęby. — Najdalej za pół godziny muszę wyjść.

— Zaraz wrócę — odpowiada Vanessa, chwytając torebkę z lady kuchennej.

— Nie mogę ani chwili odzipnąć? Doigrał się. Vanessa naskakuje na niego.

— Ty chcesz chwilę odzipnąć? A ja? Nigdy nie przyszło ci do głowy, że ja też mogę tego chcieć?

Zsuwam się ze stołka i zaczynam wycofywać się z kuchni.

— Kim ja jestem? Darmową babysitterką?

Twarz mu tężeje. Widać, że cisną mu się na usta ostre słowa, ale gryzie się w język.

— W porządku, idź. — Wzdycha i zwraca się do dzieci, które wiercą mu się na rękach. — Kto chce obejrzeć *Sponge Boba*?

Rozlega się pisk radości. Vanessa rzuca mu piorunujące spojrzenie i wymaszerowuje przede mną z kuchni, a potem przez frontowe drzwi.

Rozdział ósmy

— Sponge Bob, cholerny Kanciastoporty! — warczy pod nosem. — Dasz temu wiarę? — Na zewnątrz odwraca się do mnie, szukając poparcia, i głowię się, jak powinnam zareagować, co nie jest łatwe, zważywszy na to, że nie mam pojęcia, o czym ona mówi. — Wyobrażasz to sobie? — nalega z twarzą ściągniętą złością.

Vanessa naprawdę potrafi wyglądać groźnie, kiedy się wścieknie. Czoło przecina jej głęboka bruzda, a nozdrza się rozszerzają.

No, ale przecież w gruncie rzeczy nie muszę koniecznie wiedzieć, o co chodzi. Wystarczy, że się z nią zgodzę.

— No nie, rzeczywiście przesada — mówię lojalnie i dla lepszego efektu dodaję: — Kanciasty Bob, też coś! — Prycham z należytych oburzeniem. Jak widzicie, potrafię być lojalną przyjaciółką.

— Chciałaś powiedzieć Sponge Bob — poprawia mnie, karcąc wzrokiem.

Cholera.

— Eee... tak, tak... oczywiście... właśnie to miałam na myśli — przytakuję szybko, starając się z tego wybrnąć, ale nie muszę się martwić, bo ona nie słucha.

— Wie, że nie lubię, jak oglądają zbyt dużo telewizji. Pół godziny dziennie wystarczy. Nie jestem oczywiście jedną z tych matek, które nie dopuszczają dziecka do telewizora, dopóki nie pójdzie na uniwersytet...

Ciągnie swoją tyradę, maszerując ulicą; torebka huśta się jej na ramieniu, ręce kołyszą się miarowo po bokach. Drepczę potulnie obok. Vanessa ma sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i sady wielkimi krokami. Z trudem nadążam.

— ...Ale to nie jest sprawiedliwe. Nigdy nie mam czasu dla siebie. Okay, wiem, że z własnej woli rzuciłam pracę i zostałam z dziećmi w domu, ale byłoby miło, gdyby mógł je czasem wziąć do parku. Dać mi chwilę oddechu. Masz pojęcie, że ani razu nie zaopiekował się obojgiem naraz? Sam ma już niemal trzynaście miesięcy...

— Gdzie jest ten pub, do którego idziemy? — przerywam bezlitośnie.

Vanessa przestaje perorować i robi zbolaną minę.

— Właśnie w tym rzecz. On wie, że tak naprawdę nie pójdziemy na drinka.

— Nie? — Jestem lekko skonfundowana.

— Nie mogę go zostawić samego jednocześnie z Ruby i z Samem. To by go zabiło. Choć może wytrzyma dziesięć minut. — Uśmiecha się blade. — Na rogu jest Tesco. Kupię butelkę wina i wezmę do domu.

Kiedy wkraczamy do chłodnego, klimatyzowanego, oświetlonego poblaskiem neonu wnętrza supermarketu, Vanessa zmierza prosto do stoiska z alkoholem i bez wahania bierze butelkę pinot grigio. Mam wrażenie, że robi to nie po raz pierwszy. Nie ma błakania się między półkami, szukania odpowiedniego działu, wybierania gatunku wina. To szybki, przeciwiczony zakup i już jesteśmy przy kasie, gdzie Vanessa wyjmuję kartę kredytową.

— Och, wezmę jeszcze to... — Chwyta dwie duże torebki kulek czekoladowych i rzuca je na ladę.

Nie jest dobrze. W zeszłym miesiącu zaczęła się odchudzać i naprawdę nieźle jej szło. Ostatnio w kółko mówi o kaloriach. Patrzę na butelkę wina i słodycze. To musi mieć więcej kalorii, niż wolno jej zjeść przez tydzień.

— I paczkę marlboro light.

— Myślałam, że rzuciłaś palenie — mówię, starając się, żeby to nie zabrzmiało jak przygana, potępienie czy strofowanie i oczywiście brzmi to dokładnie jak przygana, potępienie i strofowanie.

— Mhm... — potwierdza ponuro, wstukując swój PIN i wyrywając torbę z rąk kasjerki patrzącej z przestraszeniem na wysoką, rozwścieczoną kobietę, która z obłędem w oczach już zapala papierosa mimo ogromnej tabliczki „Palenie zabronione”.

Cóż, może to nie jest najlepszy moment na prawienie jej morałów o zgubnych skutkach palenia. Wychodzę za nią potulnie na chodnik, łamiąc sobie głowę, co by tu powiedzieć. Coś niezobowiązującego. Coś, co skieruje jej myśli na inny temat. Na przykład:

— Popatrz, jaki piękny obraz.

Przystaję przed antykwariatem. W oknie wystawowym stoi duży obraz olejny. Vanessa zaciąga się głęboko papierosem.

— Ten toreador, który zaraz zadźga ślaniającego się byka? — pyta zdumiona. — Rzeczywiście ci się to podoba?

Cholera, nawet nie spojrzałam, co przedstawia.

Teraz, kiedy przyglądam się bliżej, widzę rozwianą czerwoną pelerynę i piki w karku byka, który spływa krwią. Co za ohyda.

— Przecież jesteś wegetarianką. Myślałam, że takie widoki cię brzydzą.

— Brzydzą mnie — przyznaję szybko, wzdrygając się z niesmakiem.
— Ale można tu dostrzec pewne... yyy... interesujące pociągnięcia pędzla...

— Naprawdę? — wyraża wątpliwość. — Gdzie? Jasny gwint, po co w ogóle się odzywałam?

— Hm... owszem... popatrz tutaj... — Podchodzę do wystawy i zaglądam przez szybę. Vanessa staje obok. Robię nieokreślony ruch ręką. — Widzisz? No dobrze, możemy już iść. — Chwytam ją pod ramię i próbuję odciągnąć, ale stoi jak przymurowana.

— Gdzie? Nie widzę nic nadzwyczajnego — zgłasza pretensję.

Znacie to uczucie, kiedy plujecie sobie w brodę za zbyt długi język?

— O... tam... — mamroczę niejasno i ciągnę ją mocniej, ale ona ani drgnie.

— Naprawdę nie rozumiem, o czym ty mówisz — warczy, najwyraźniej w nastroju pasywno-agresywnym.

Widzicie? To jedno z tych określeń, których nauczyłam się z moich podręczników.

— Daj spokój, nieważne, chodźmy już — przekonuję i jednocześnie dostrzegam za szybą dwóch mężczyzn stojących w cieniu. Jeden jest starszy, siwy, ubrany w tweedową marynarkę. Zapewne właściciel, myślę mimo woli, kiedy bierze coś do ręki i pokazuje... barmanowi z gastropubu.

— O Boże, tylko nie on! — jęczę.

— Kto? — wykazuje natychmiast zainteresowanie Vanessa. Przysięgam, że ma koci refleks.

— Nikt — mruczę, spuszczaając głowę i odwracając twarz.

— Gdzie? W sklepie?

Vanessa jest jedną z tych osób, które słysząc „Nie patrz tam”, natychmiast popatrzą. I to wcale nie nazbyt dyskretnie.

— Ooo, ten tam? — wykrzykuje, przyciskając niemal nos do szyby. Cholera, zauważy mnie. Zaraz spojrzy i zobaczy moją przyjaciółkę przyklejoną do okna jak maskotka Garfielda w samochodzie. I mnie sterczącą obok jak jakiś głupek.

Odwraca się. I widzi mnie sterczącą tu jak jakiś głupek. Cholera. Kiedy nasze oczy się spotykają, czuję dreszcz zażenowania.

— No, no, całkiem przystojny — komentuje Vanessa z aprobatą. I na cały głos.

— Nesy! — syczę.

Szybko odwracam wzrok i umykam mu z widoku kilka sklepów dalej. Serce wali mi jak młot. Boże, co się ze mną dzieje?

— Co jest? — pyta Vanessa niewinnie. Odchodząc, rzuca jeszcze ostatnie spojrzenie przez szybę wystawową. — Kto to taki? — ciągnie mnie za ramię.

— Och, nikt. Po prostu barman, który niedawno mocno mnie wkurzył.

— Jesteś pewna? Wydaje mi się jakiś znajomy. No tak, to może być mąż jednej z kobiet, które spotykam w przedszkolu Ruby.

— Naprawdę? — Ni stąd, ni zowąd robi mi się jakoś nieswojo. Śmieszne. Jakby mnie to cokolwiek obchodziło, czy jest żonaty.

— Hm... może się mylę. — Wzrusza ramionami. — Och, nie wiem. Nic już nie wiem.

Widzę, że jest mocno przygnębiona, i ściskam ją pocieszająco za ramię.

— Vanessa, wszystko w porządku?

— Nic nie jest w porządku. — Potrząsa głową. — Myślę, że Julian ma romans ze swoją sekretarką.

Coś podobnego! Spada to jak grom z jasnego nieba. Patrzę na nią spod oka, niemal pewna, że to jeden z jej podszytych czarnym humorem żartów, ale ma całkiem poważną twarz. A więc w tym leży problem.

— Niemożliwe — mówię, stając w jego obronie. — Julian nigdy by ci tego nie zrobił.

— Od miesiący pracuje do późna, więc wpadłam go odwiedzić w biurze i wtedy zobaczyłam ich razem.

— Co takiego robili? — dopytuję się.

— Nic, co by stanowiło dowód w sądzie, ale... — Urywa i zaciąga się głęboko papierosem. — Zdradził ich język ciała. To było widać.

— Wyobrażasz sobie niestworzone rzeczy — twierdzą z całym przekonaniem. — Jesteś zmęczona opieką nad dziećmi. On późno wraca. Tobie przychodzą do głowy różne głupie pomysły.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

— Tak uważasz?

— No jasne. — Kiwam energicznie głową. Podchodzimy do jej domu i Vanessa siada na murku przy podjeździe. Schowana bezpiecznie za range-roverem Juliana gasi papierosa i natychmiast zapala następnego.

— Sama nie wiem... jestem pewna, że coś widziałam.

— Przysięgam, że sobie to wyobrażasz — mówię, przysiadając obok. — Posłuchaj, jeśli to będzie dla ciebie jakaś pociecha, to wczoraj rano, stojąc na światłach, miałam przez chwilę wrażenie, że widzę samą siebie w drugim samochodzie — wyznaję.

— Na szczęście ze mną nie jest jeszcze tak źle — konkluduje ze smutnym grymasem.

— Oczywiście ani przez chwilę nie myślałam, że to naprawdę ja — dodaję szybko. — Aż tak nie zgłupiałam, ale

mimo wszystko to było bardzo dziwne. Wyglądała zupełnie jak ja w wieku dwudziestu jeden lat.

— Dwadzieścia jeden lat — wzdycha Vanessa i wbija tęsknie wzrok w przestrzeń. — Gdybym tylko wtedy wiedziała to, co wiem teraz.

— Co na przykład?

— Na przykład to, że palenie wcale nie jest takie eleganckie, więc lepiej nie zaczynaj. Bo za dziesięć lat dasz sobie rękę obciąć, żeby to rzucić. — Wypuszcza dym przez nos. — I wylegaj się w łóżku do południa, bo jak będziesz miała dzieci, to możesz o tym zapomnieć. A... i noś minispódniczki.

Mówi to całkiem poważnie i patrzę na nią zdumiona. Nigdy nie widziałam jej w niczym innym jak tylko w czarnych spodniach.

— Przecież nigdy nie chodziłaś w minispódniczkach — zauważam.

— No właśnie — odpowiada. — A powinnam była. Zawsze uważałam, że mam za grube uda, ale kiedy patrzę na fotografie z młodości, widzę, że byłam chuda jak patyk.

— Więc noś je teraz.

— Zwariowałaś? — Patrzy z obrzydzeniem na swoje nogi. — Jestem za stara i za tłusta.

— Nie bądź śmieszna. Wyglądasz fantastycznie.

— Muszę zrzucić co najmniej dziesięć kilo. — Gasi papierosa i rozrywa zębami torebkę kulek czekoladowych. — Jutro mam ważenie kontrolne, a nie straciłam ani grama.

Ma tak nieszczęśliwą minę, że w żaden sposób nie mogę jej powiedzieć, żeby odłożyła tę torebkę i przestała opychać się słodyczami.

— Może powinnam zastosować tę dietę lemoniadową, o której mówiłaś. — Dźga się w brzuch, jakby to było obce

ciało, które nie wiadomo skąd się wzięło. — Co się je na tej diecie?
— Nic się nie je.

Patrzy na mnie przerażona, jej ręka automatycznie wędruje z torebki do ust i z powrotem.

— Pije się tylko lemoniadę — dodaję.

— Jak długo?

— Hm... w moim wypadku trwało to pięć dni.

— Jezus, Charlotte! — wykrzykuje ze zgrozą.

— Ale ja nie dałam rady i odpadłam w połowie. Należy wytrzymać przez dziesięć dni.

— Dziesięć dni! — jęczy. — Dziesięć dni!

— Melody, moja klientka, twierdzi, że w ten sposób można stracić pięć kilo.

Vanessa przestaje jęczeć.

— Dobrze, to przesądza sprawę — kwituje, nagle ożywiona. — Do cholery z liczeniem kalorii. Od czego zaczynam?

Patrzę na nią z powątpiewaniem. Vanessa? Na kuracji oczyszczającej?

— Jesteś pewna...? Nie będziesz mogła pić alkoholu i...

— Wiem, wiem — przerywa mi niecierpliwie. — To wszystko?

— No cóż... — waham się. — Są różne skutki uboczne.

— Oprócz schudnięcia? — żartuje.

— Tak. — Zastanawiam się, jak to powiedzieć. Chociaż jesteśmy starymi przyjaciółkami, nie potrafię tego ująć. — Nieprzyjemne skutki uboczne.

— Takie jak? — nalega.

Wstrzymuję oddech. Och, do diabła, lepiej niech wie.

— Wypierdki.

No, wykrztusiłam to z siebie.

— Słucham? — Vanessa podnosi brwi.

— To skutek lewatywy ze słonej wody, rozumiesz, którą stosuje się razem z pićiem lemoniady... — zaczynam szybko tłumaczyć, ale ona mi przerywa.

— Charlotte, co to, na Boga, znaczy wypierdki?

— To się zdarza wtedy, kiedy chcesz... no wiesz... pierdnąć — szepczę ostrożnie.

— Tylko tyle? — Przewraca oczami.

— No, nie tylko... zamiast tego... — Urywam. — No wiesz.

— Nie, nie wiem. To się nie trzyma kupy.

— Właśnie się trzyma, to połączenie jednego z drugim... — Krzywię się. Kurczę, to trudne. — Pierdnięcie i...

— Wypróżnienie — mówi ze zgrozą i nagle pojmuje w czym rzecz.

Otwiera buzię, przyciska rękę do ust i już myślę, że wygłosi pełen obrzydzenia komentarz, tymczasem ona wybucha histerycznym śmiechem.

— O kurczę, co za historia! — chichocze. — Wypierdki! — Ramiona jej się trzęsą, kołysze się na murku, wydając głośne kwiki, i sama nie mogę powstrzymać się od śmiechu. — Oto nasza stara Lottie, którą znam i kocham! Wymyślić coś takiego! W życiu nie słyszałam nic śmieszniejszego.

Nagle poważnieję.

— Co to znaczy: stara Lottie?

— No wiesz, teraz jesteś kobietą stateczną... nie wyskakujesz już z takimi słowami. Niestety... — dodaje i znów zaczyna rechotać.

Czuję się jakoś nieswojo. I wcale mi się to nie podoba.

— Vanessa? To ty? — dobiega z domu głos Juliana. Moja przyciółka natychmiast dusi chichot.

— Muszę iść — mówi niechętnie, wstaje i chowa swoją kontrabandę do torby.

— Taa... ja też... — Muszę jeszcze wskoczyć do biura przed powrotem do domu.

— Powinnyśmy się częściej spotykać.

— Zdecydowanie. — Kocham Vanesę, ale ostatnio prawie się nie widzimy. — Może za dwa tygodnie w czwartek? — pytam, sprawdzając terminarz w BlackBerry.

Vanessa wznosi oczy.

— Mówisz poważnie?

— To mój pierwszy wolny wieczór — tłumaczę się.

— A twoje urodziny? Nagle sobie przypominam.

— Boże, całkiem zapomniałam — przyznaję.

— Są w piątek — zaznacza, potrząsając głową. — Nie powiesz mi chyba, że miałaś zamiar ślęczeć w pracy?

— Nie, oczywiście, że nie! — Staram się zrobić obrażoną minę, ale to trochę trudne zważywszy na fakt, że ostatnie urodziny spędziłam na konferencji w Milton Keynes. — Nie miałam żadnych planów.

— Doprawdy, Charlotte! Co się stało z dziewczyną, która uwielbiała imprezować!

Nachodzi mnie tęskne wspomnienie, ale szybko je odsuwam.

— Wydoroślała — odpowiadam urażona.

— Wobec tego pójdziemy w czwórkę na kolację — oznajmia, ignorując moje fochy. — Ty, Miles, Julian i ja. Wynajmę babysitterkę. Sprawdzimy ten gastropub, który polecałaś. — Obejmuje mnie z triumfalną miną. — Załatwione.

— Potrafisz mnie rozbroić. — Oddaję jej uścisk. Odkąd ją znam, Vanessa zawsze stawiała na swoim.

— Nie, to ty mnie rozbrajasz... — Odbija piłeczkę. — Nie śmiałam się tak od wieków. Omal się nie posusiałam!

Macham jej na pożegnanie i kieruję się ku głównej ulicy, gdzie zaparkowałam samochód.

— Och, jest jeszcze jedna rzecz, którą powinnam wiedzieć, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat! — woła za mną, stojąc na frontowych stopniach.

— Tak? — Odwracam się. Vanessa rechocze rubasznie.

— Zaczynij już ćwiczyć mięśnie dna miednicy!

Rozdział dziewiąty

Ściśnij i trzymaj. Ściśnij i... Kurczę, to dość męczące, nie?

Czterdzieści pięć minut później, po zgarnięciu w przelocie papierów z biura, tkwię w korku w drodze do domu, pilnie wykonując ćwiczenia Kegla. Prawdę mówiąc, nigdy ich przedtem nie robiłam. Oczywiście, coś tam czytałam piąte przez dziesiąte, na przykład w poczekalni u lekarza, gdzie przerzucałam magazyny „dla dojrzałych kobiet” — wiecie, takie co zamieszczają reklamy bieżni i artykuły o odnawianiu mebli — i widziałam ogłoszenie KegelMaster 2000. Pamiętam, bo pomyślałam, że to brzmi jak nazwa kija od miotły u Harry'ego Pottera, a tymczasem to było coś w rodzaju hantli dla dolnych partii.

W każdym razie zawsze uważałam, że ten problem mnie nie dotyczy, dopóki nie będę w wieku, kiedy kupuje się kapcie w Marksie i Spencerze. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem dokładnie, jak się robi te ćwiczenia.

Ale po wyznaniu Vanessy, że jej zwieracze niemal puściły, trochę spanikowałam na myśl, że wyląduję zaraz w pieluszkach.

Zaciskając mocno zwieracze, włączam pierwszy bieg; sznur samochodów przede mną znów zaczął posuwać się do przodu. Z powodu objazdu nadal są niemożliwe korki. I tak będzie jeszcze do końca tygodnia, myślę, patrząc na duży żółty znak drogowy. Dojazd do domu zajmie mi całe wieki. Niemniej to znaczy, że będę miała mnóstwo czasu na robienie ćwiczeń Kegla. Wykonałam je już ze sto razy, myślę z dumą.

Chociaż nie potrafię z pewnością stwierdzić, czy ćwiczę odpowiednie mięśnie. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że po prostu ściskam pośladki. Wiercę się na siedzeniu, dojeżdżając do świateł. Dobrze, spróbuję jeszcze raz. I policzę do pięciu. Z mocną wolą koncentruję się na tych partiach i trzymam z całych sił.

Raz, dwa, trzy, cztery...

Przerywa mi świdrujący dzwonek telefonu. Wkładam słuchawki i odpowiadam.

— Cześć, skarbie — mówi charakterystyczny chropawy głos. To mój tato.

— Hm... cześć... — wykrztuszam z siebie z absurdalnym zażenowaniem. W końcu przyłapał mnie na ćwiczeniach mięśni dna miednicy, a nie na uprawianiu seksu. Na samą myśl, że mogłoby się tak stać, kurczy mi się żołądek. Odganiem czym prędzej ten obrazek.

— Dzwonię, żeby podziękować ci za piękne kwiaty. Przynieśli je wczoraj po południu.

— Och... to świetnie... — Uśmiecham się.

— Ale niepotrzebnie robiłaś sobie kłopot.

— Nie bądź niemądry, to żaden kłopot — odpowiadam. To prawda, zadzwoniłam tylko do kwiaciarni i podałam numer karty kredytowej, uzmysławiam to sobie teraz ze wstydem, kiedy myślę o latach, które ojciec mi poświęcił. — Cieszę się, że ci się podobały.

Kątem oka widzę pomarańczową smugę i nagle coś mi się przypomina.

— Tato, pamiętasz mojego starego garbusa? — pytam, rozglądając się na boki. Ale rzeczonygo samochodu już nie ma. Musiał przejechać na światłach w strumieniu innych aut.

— Dziecko, wracasz do historii sprzed stuleci...

— Konkretnie do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego... — odpowiadam automatycznie.

— Taa, to fakt. Jasny gwint, ale ty masz pamięć — chichocze z uznaniem. — Moja jest już jak sito.

— Ciekawe, czy może pamiętasz, komu go sprzedałeś?

— Próbuję sobie przypomnieć, jak to było...

Czekam niecierpliwie, przeglądając w myślach twarze sąsiadów z naszej wioski, którzy mogli stać się nabywcami mojego starego samochodu; w ostatnich latach rzadko tam bywałam i za nic nie mogę przywołać nikogo z długimi, ciemnymi, kręconymi włosami. Może ta dziewczyna, która pracowała w smażalni ryb? Nie, ona miała krótką trwałą ondulację, a poza tym jeśli pracowała za ladą, rąbiąc dorsza, to jak miałyby wozic się po zachodnim Londynie?

— ...Moim zdaniem oddaliśmy go na złomowanie. Zaskoczona tą odpowiedzią na moment zbaczam z kursu.

— Ale widziałam go tutaj — upieram się.

— Nie mogłaś go widzieć, słonko. Nie przeszedł przez przegląd techniczny, więc sprzedałem go facetowi od złomowania. Dobrze pamiętam.

— Sam mówiłeś, że masz pamięć jak sito — przypominam mu nieco złośliwie.

— Może i mam złą pamięć, ale nie jestem jeszcze dziecięciniały — odgryza się. — Sam go tam zaholowałem.

— Ktoś musiał go naprawić. — Nie daję za wygraną.

— Na własne oczy widziałem, jak go zgniatano.

Jest tak pewny swoich słów, że przez chwilę nachodzą mnie wątpliwości.

— To niemożliwe. — Trzymam się twardo.

— Niemożliwe jest to, żebyś widziała go w Londynie. No i znów wdaliśmy się w kłótnię. Tato nie ma racji i jak zwykle nie chce się do tego przyznać.

— Tato, mylisz się.

— Nie, to ty się mylisz.

Wrrr... Czuję znajomy przyływ irytacji. Zawsze tak jest. Spieramy się godzinami i nikt nigdy nie wygrywa, chyba że...

Nagle doznaję olśnienia. Tym razem udowodnię, że mam rację. Naciskam gaz, obracam ostro kierownicą i gwałtownie zawracam na środku drogi.

Pojadę za tym garbusem.

— Pewno już dawno przerobiono go na puszkę — rechocze mój ojciec w słuchawce.

Cholera. Gdzie mi zniknął? Widok zasłania mi wielka ciężarówka. Ale po chwili wypatruję go tuż przed sobą. Pomarańczowy obły kształt skręca w boczną uliczkę. Uwięziona za ciężarówką, śledzę swój cel, aż w końcu mogę włączyć lewy migacz i skręcić z objazdu w wąską zadrzewioną uliczkę. W samą porę, żeby zobaczyć tylne światła znikające za rogim. Podążam na nimi, klnąc pod nosem. To ślepy zaułek, więc przemykam pod mostem kolejowym i wyjeżdżam na główną ulicę.

A tuż przede mną stoi mój dawny garbus, czekając na przejściu dla pieszych. Hamuję za nim. I mam przed sobą tablicę rejestracyjną jak na dłoni.

— No i sam widzisz tato, że nie miałeś racji! — wykrzykuję z triumfem. — MUG 403P. To mój stary numer rejestracyjny.

Cha, cha, tato będzie musiał cofnąć swoje słowa!

Tylko że po drugiej stronie linii jest cisza.

— Tato? — Marszczę brwi, patrząc na komórkę: nie ma połączenia. Jakie to wkurzające. Że też ciągle mi się to zdarza!

Obiecuję sobie zadzwonić z reklamacją do operatora i odkładam komórkę na półkę nad deską rozdzielczą, po czym kieruję z powrotem uwagę na garbusa, który już opuścił skrzyżowanie. Przez chwilę rozważam odwrót. W końcu widziałam już tablicę rejestracyjną. To musi być mój stary samochód. Nie ma innego wytłumaczenia.

Z drugiej strony poświęciłam już tyle czasu na to śledztwo. No i zżera mnie ciekawość, kto jest za kierownicą... Poza tym, jeśli mam wygrać z tatą, muszę mieć twarde dowody, a w mojej komórce jest aparat fotograficzny.

Parę minut później krążymy po uliczkach Camden, w północnym Londynie. Teraz to jest droga dzielnica; mieszkałam niedaleko stąd, kiedy przeprowadziłam się do Londynu. Wtedy można było dostać tu pokój za pięćdziesiąt funtów tygodniowo i wynajmowałam dom z sześciorgiem osób w małym zaułku za kościołem.

W gruncie rzeczy dokładnie tą samą drogą jeździłam kiedyś do domu, uzmysławiam sobie, kiedy garbus nagle, bez migacza, skręca w lewo przy minirondzie. Boże, kimkolwiek jest ta dziewczyna, to jeździ jak noga. Nie włącza migacza ani nie zwalnia na progach zwalniających, klnę pod nosem, pędząc za nią. Doprawdy, jeśli nie będzie ostrożniejsza, zrujnuje podwozie.

Tak jak kiedyś ja.

Kiedy przemyka mi ta myśl, skręcamy za róg i nagle wyłania się przede mną moja dawna ulica. Jak obrazek

z przeszłości: Kilmaine Terrace. Boże mój, od lat tu nie byłam. Nie miałam żadnego powodu. To ślepa uliczka, jak pamiętam, i znów wbijam wzrok w garbusa, który sunie przede mną, aż nagle, bez ostrzeżenia, hamuje.

Kurczę, czy to nie byłoby dziwne, gdyby...

Skreca prosto w Kilmaine Terrace.

Żołądek wywraca mi fikołka.

To chyba jakieś żarty.

Kiedy patrzę, jak samochód znika w głębi ulicy, ogarnia mnie osłupienie. I jak tu nie mówić o niezwykłych zbiegach okoliczności! Włączam kierunkowskaz i jadę za garbusem. Ulica wygląda dokładnie tak samo. Duże, białe szeregowce domy, czereśnie... Wbijam wzrok przed siebie. Mieszkałam pod numerem trzydzieści dziewięć, przy małym skwerku na samym końcu. Hamuję, gdy garbus skreca w tamtym kierunku, z rykiem z rury wydechowej odbijającym się echem od ścian domów. Nie widać, żeby zwalniał.

Nie zatrzymuj się przed numerem trzydzieści dziewięć.

W głowie szmerze mi jakiś głos i podskakuję na siedzeniu. Zdaję sobie sprawę, że modłę się w duchu, żeby garbus zatrzymał się przed innym domem. Jakimkolwiek. Byle nie pod numerem trzydzieści dziewięć. To byłoby zbyt niesamowite. Zbyt niewyobrażalne. Przypadek przypadkiem, ale są jakieś granice.

Pisk opon.

Zapalają się czerwone światła stopu.

Tuż przed numerem trzydzieści dziewięć.

Czuję, jak włosy stają mi na karku. Z drugiej strony ciągle się słyszy o jakichś nieprawdopodobnych przypadkach. Czytałam kiedyś artykuł o kobiecie, która miała trzy razy trojaczki i wszystkie dzieliły tę samą datę urodzin. Ile razy na milion może się coś takiego przytrafić? A jednak się przytrafiło. To

dokładnie to samo, mówię sobie stanowczo. W każdym razie w pewnym sensie.

Szybko wjeżdżam w wolne miejsce między samochodami, gaszę silnik i zerkam przez ulicę. Cholera, stoję za daleko. Zaczynam się wahać, co robić dalej. E tam, skoro powiedziałam A, należy powiedzieć i B. Biorę torbę, wkładam okulary przeciwsłoneczne i nawet nie patrząc w kierunku garbusa, idę szybkim krokiem na skwer.

Nie zmienił się ani na jotę. Ten sam kawałek trawnika, te same klomby z kwiatami, ta sama mała ławeczka na środku. Siadam, wydaję książkę *Jak odnaleźć siebie*, i udaję, że czytam. Przechodzi mnie dreszcz podniecenia. Jakbym była jednym z telewizyjnych dziennikarzy śledczych działających pod przykrywką.

Albo jakimś prześladowcą.

Nagle uderza mnie absurdalność całej sytuacji. Jezu Chryste, jeszcze zostaniesz zaaresztowana! Co ci do głowy strzeliło? Siedzisz tu, szpiegujesz jakąś niewinną dziewczynę, patrzysz, jak stara się wcisnąć między samochody i robi to bez cienia umiejętności. Pakuje się na siłę, z całkowitą beztroską, uszkadzając oba zderzaki.

Naprawdę nie widziałam nikogo, kto by gorzej radził sobie z parkowaniem.

Oprócz mnie, swego czasu...

Nagle, ni stąd, ni zowąd, przypominam sobie, jak próbowałam zaparkować tyłem w wolnym miejscu przed lokalnym pubem i wjechałam na krawężnik, a klienci w ogródku rozpięchli się w panice, rozlewając drinki. Moje parkowanie stało się przedmiotem rodzinnych żartów. Kiedyś uszkodziłam o krawężnik wszystkie cztery koła nowego volvo taty i nie potrafiłabym już zliczyć zgnieceń i zadrapań na samochodach, które prowadziłam przez te lata. Dzięki Bogu, z czasem się

wyszkoliłam, ale w wieku dwudziestu jeden lat byłam istnym piratem drogowym. Pamiętam, że jak mieszkałam na tej ulicy, wpakowałam się raz prosto w...

Słyszę trzask metalu.

...w latarnię.

Silnik gaśnie, drzwi się otwierają, głośna muzyka wylewa się na cichy zaułek. (*What's the Story*) *Morning Glory*. Oasis. Czuję przyływ nostalgii. Kurczę, uwielbiałam ten album.

Serce zaczyna mi walić.

Nagle stereo gaśnie i pojawia się opalona noga, później druga, ukazując najkrótszą z krótkich minispódniczkę džinsową i głęboko wyciętą kamizelkę odsłaniającą pól biustu. Doprawdy, trzeba nie mieć wstydu, przemyka mi przez głowę. Ciemne, kręcone włosy dziewczyny zasłaniają jej część twarzy, kiedy idzie sprawdzić, co się stało.

— Pieprzyć to — klnie głośno na widok wgniecionego zderzaka. — Cholerna pierdolona latarnia.

I do tego klnie jak szewc, krzywię się z niesmakiem. I pomyśleć, że przez chwilę wzięłam ją za kogoś podobnego do mnie. Też coś! Zdegustowana wpycham książkę z powrotem do torebki i wstaję. Już się napatrzyłam. No dobrze, jeździ moim starym samochodem i mieszka na mojej dawnej ulicy. I co z tego?

Dziewczyna się odwraca.

Zastygam jak rażona piorunem.

To niemożliwe.

To jest po prostu niemożliwe...

Kiedy widzę z bliska jej twarz, zupełnie mnie zatyka. Przedtem sądziłam, że to jakaś gra świateł, wynik niedospania i stresu, ale teraz...

Chwytam się pobliskiego ogrodzenia i zaciskam powieki. Myśli wirują mi jak to kółeczko w iBooku, kiedy otworzę za

dużo programów i przeciążony komputer grozi, że zaraz padnie. To nie żadne przypadkowe podobieństwo ani zbieżność rysów. Wiedziałam, kim jest ta dziewczyna: miała mój wzrost, moją minispódniczkę, moje zmierzwione palcami włosy, moją opaleniznę i moje dwadzieścia jeden lat.

Z rozmysłem otwieram szeroko oczy.

To ja.

Ogarnia mnie przerażenie. To nie może być prawda. To nie może się naprawdę dziać. Wiem to każdą racjonalną szarą komórką mojego trzydziestoletniego umysłu. Wiem, że istnieję tylko jedna ja. To prawda absolutna, której nawet tato nie może podważyć. A to znaczy, że mam jakieś zwidy. Halucynacje. Popadam w obłąd.

Kiedy drzwi do numeru trzydzieści dziewięć się zatrząskują i ona znika w środku, zbieram się w garść i zmierzam cwałem do samochodu, stukając obcasami po chodniku. Okay, Charlotte, uspokój się. Wrócisz do domu, weźmiesz valium i pójdziesz do łóżka. Prześpisz się, dojdiesz do siebie. I może warto zrobić sobie jutro wolne przedpołudnie, odpocząć trochę...

Jasny gwint!

Znowu dostałam mandat za złe parkowanie. Już z daleka widzę znajomą plastikową kopertę na szybie. Coś mi to cholernie przypomina. Wyrywam ją spod wycieraczki i patrzę ze złością. To gruba przesada. Nie było mnie tylko pięć minut. Rozrywam kopertę i czytam:

Marka/model samochodu: VW 1300 Przekroczenie: Parkowanie w niedozwolonym miejscu Godzina: 18.28 Data: 21-08-1997

Co? Serce wali mi jak oszalałe, kiedy na to patrzę, data wiruje mi przed oczami: 1997, 1997, 1997...

Ręce mi się trzęsą. Nie, to jakiś absurd, niedorzeczność.

Spanikowana, upuszczam mandat. Kiedy spada na ziemię, wskakuję do samochodu, zapalam silnik i z piskiem opon odrywam się od chodnika. Muszę stąd czym prędzej czmychnąć. Im szybciej, tym lepiej...

Rozdział dziesiąty

— Cześć, Beatrice. To ja, Charlotte. Nie przyjdę, bo jestem chora.

— O mój Boże, biedactwo. Co się stało?

— Chyba mam guza mózgu.

— Ciii... — Słyszę głośny syk i patrzę przez hol na recepcjonistkę, która wbija we mnie potępiający wzrok nad paprotką w doniczce. — Nie widzi pani tabliczki? Nie wolno rozmawiać przez telefony komórkowe w poczekalni lekarskiej.

Następnego ranka siedzę na twardym plastikowym krześle otoczona wystrzępionymi magazynami i tłumem chorych pacjentów czekających w kolejce do mojego internisty. Zeszłego wieczoru wróciłam do domu, wzięłam valium i musiałam natychmiast paść, bo nie pamiętam nic do szóstej rano, kiedy to obudziłam się na łóżku w pełni ubrana i nieco zamroczone. Dopiero po chwili dotarło do mnie w nagłym przebłysku, co się wczoraj wydarzyło. Od razu oprzytomniałam.

I wpadłam w panikę.

Ludzie zawsze radzą, żeby się przespać ze swoim problemem, w teorii jakimś cudem budząc się z jasną głową i gotową odpowiedzią. Ale ja się przespałam i nadal nie

miałam odpowiedzi, przeciwnie: dręczyło mnie jeszcze więcej pytań. Więc zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam zrobić: odwołałam trenera. Po czym weszłam na Google'a...

„Halucynacje” wywołały 936 000 haseł, wszystkie budzące grozę. Niektóre diagnozowały poważne zaburzenia psychiczne, inne przepowiadały możliwość guza mózgu i pokazywały przerażające zdjęcia kobiety z odciętym czubkiem głowy. Ale to nie wszystko: było mnóstwo ostrzeżeń na temat uporczywych migren, zmęczenia i irracjonalnych zachowań.

Takich jak przemiana trzeźwo myślącej trzydziestoletniej profesjonalistki w ześwirowaną tropicielkę wyimaginowanego alter ego.

No w każdym razie coś w tym stylu. Nie pamiętam dokładnie, bo w szale przeskakiwałam z jednego linka na drugi, czytając rojące się od koszmarów błogi. W końcu, przekonana, że mam wszystkie symptomy, pobiegłam do lekarza rodzinnego z błaganem, żeby mnie przyjął bez zapowiedzi, bo to kwestia życia i śmierci.

To było czterdzieści pięć minut temu, denerwuję się, po raz setny patrząc na zegarek.

— Guz mózgu! — wrzeszczy Beatrice w mojego BlackBerry. — O mój Boże, jesteś w szpitalu?

— Jeszcze nie — szepczę, starając się ukryć komórkę w rękawie zakietu przed wścibskim wzrokiem recepcjonistki. — Jestem u lekarza. Ale na pewno każe mi zrobić badania. — Na samo słowo „badania” przechodzi mnie dreszcz paniki i muszę wziąć się w garść, żeby się opanować.

— Coś podobnego spotkało mojego kuzyna, Freddy'ego — odpowiada ponuro.

— Co mianowicie? — Zaciskam dłoń na telefonie.

— Niesamowita historia, pewnego dnia uderzył się w głowę

i nagle zaczęły go nękać różne dziwne zapachy. To było naprawdę niepokojące. Wszędzie czuł zapach czekolady, co mogłoby w teorii być miłe, gdyby nie to, że biedny Freddy jest uczulony na czekoladę. W gruncie rzeczy w ogóle nie lubi żadnych słodczy. Jest raczej zwolennikiem biskwitów i sera.

— Pani Merryweather? — Podnoszę wzrok na recepcjonistkę, która patrzy na mnie z kwaśną miną. — Doktor już na panią czeka...

— Och tak, dobrze, dziękuję.

— Chyba że woli pani kontynuować rozmowę na zewnątrz. Z telefonem przy uchu, słyszę ćwierkanie Beatrice: „Więc można powiedzieć, że to nie moja krew, bo jak mnie znasz, nigdy nie odmawiam deseru”.

— Beatrice, muszę kończyć — syczę, rozłączam się, uśmiecham promiennie do recepcjonistki i biegnę do gabinetu lekarza.

— Proszę.

Otwieram drzwi i widzę doktora Evansa, mojego lekarza rodzinnego. Ma przerzedzone siwiejące włosy zaczesane do tyłu i grube rogowe okulary na nosie; siedzi na fotelu obrotowym za obitym skórą blatem biurka. Zasepiony zapisuje coś w notesie.

— Proszę usiąść — zaprasza mnie na krzesło z zachęcającym uśmiechem, który nieco blednie na mój widok. — Aaa, panna Merryweather — mówi bez entuzjazmu. Odkłada pióro i zaplata palce. — Miło panią znów widzieć.

Siadam, uśmiechając się niepewnie.

— I to tak szybko — dodaje bystrze, sięgając po moje dossier, które leży na jego biurku w dużej niebieskiej teczce. Otwiera ją i zaczyna przeglądać.

Fakt faktem, teczka ciągle rośnie i jest już raczej pokaźna, ale zawsze twierdzą, że lepiej być ostrożnym, niż później żałować.

— Więc co z tą wysypką? — pyta, nawiązując do mojej ostatniej wizyty w zeszłym tygodniu.

— Och, wszystko w porządku — mówię szybko. — Miał pan rację. To tylko odezwała się znów moja egzema.

— A „ostry ból w prawym płucu”? — ciągnie, czytając z notatek.

Czuję się nieco zażenowana. To było dwa tygodnie temu. Poszłam na jogę; w środku ćwiczeń podczas intensywnego rozciągania poczułam gwałtowny ból i myślałam, że złamałam sobie żebro. Przysięgam, to było naprawdę bolesne. Wydawało mi się, że mogłam przebić sobie płuco, więc błagałam doktora Evansa, żeby wysłał mnie na prześwietlenie.

— Cóż... prawdę mówiąc, jest o wiele lepiej — przyznaję, zdejmując wymaginowaną nitkę z rękawa.

Jak się okazało, po prostu przedobrzyłam w ćwiczeniach, gorąca kąpiel i żel tygrysi załatwiły sprawę. Ale skąd mogłam to wiedzieć, prawda?

— No więc... — przeciąga słowa lekarz —jaki mamy tym razem problem?

Przełykam ślinę, zastanawiając się, jak to ująć, od czego zacząć, co mu powiedzieć.

— Chyba mam guza mózgu.

Te słowa bezmyślnie i bezwiednie spływają mi z ust i kiedy słyszę swoje najgorsze obawy wypowiedziane na głos przed lekarzem, ogarnia mnie strach. Prawdziwy strach.

Doktor Evans z drugiej strony pozostaje nieporuszony.

— Rozumiem... — Podnosi krzaczaste siwe brwi i wpisuje coś do notesu. Wyciągam szyję, żeby zobaczyć, co pisze, ale jest to oczywiście nie do roszczyfrowania. — A z czego pani to wnosi? — pyta uprzejmie, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

Biorę głęboki oddech i wracam myślami do dnia wczorajszego.

— Mam halucynacje — odpowiadam, starając się zachować spokojny, rzeczowy ton.

Nadal coś skrobie w notesie.

— Może je pani opisać?

— Widziałam siebie w wieku dwudziestu jeden lat. Uff... wydusiłam to. Tylko zamiast opadniętej szczęki

i zaciśniętej z niepokojem ręki na oparciu fotela, jak się spodziewałam, widzę jego uśmiechniętą dobrotliwie twarz.

— Och, wszystkim nam się to zdarza z wiekiem... — mówi uspokajająco.

— Naprawdę? — Patrzę na niego z niedowierzaniem.

— Naprawdę — potakuje. — Przy wielu okazjach wyobrażałem sobie, że mam znów dwadzieścia jeden lat, dopóki nie spojrzełam w lustro. — Rechocze, przyglądając siwe kosmyki.

— Nie rozumie pan — próbuję mu wytłumaczyć. — To się zdarzyło naprawdę — zapewniam go z całym przekonaniem. — A poza tym mam ciągle bóle głowy — dodaję, ściskając skronie. — Okropne, nie do wytrzymania.

No dobrze, nie jest aż tak źle, ale zawsze trzeba trochę podkoloryzować w rozmowie z lekarzem. Patrzy na mnie ze skupieniem nagle zaniepokojony.

— Więc musi pani leżeć w przyciemnionym pokoju? Sami widzicie.

— No nie, niekoniecznie...

— Mdłości i wymioty?

Waham się: trochę przesady to jedno, grube kłamstwo to co innego.

— No, zwykle anadin extra mi pomaga. Oczy mu się zwężają.

— Choć czasem muszę wziąć aż trzy — dodaję szybko.

— Panno Merryweather, muszę zadać pani parę pytań.

— W porządku — zgadzam się, nastawiona na najgorsze.

— Czy w pani rodzinie były jakieś przypadki choroby psychicznej?
— No cóż, tato zawsze mówi, że mama doprowadza go do szału. —
Uśmiecham się mimo woli, co nie budzi odzewu w kamiennej twarzy
doktora Evansa. — Ale nie, była jeszcze cioteczna babka, Mary, która
miała mówiącą papugę — dodaję po namyśle.

— Miała pani kiedyś atak drgawek?

Natychmiast dopada mnie wspomnienie chwili z zeszłego tygodnia,
kiedy otworzyłam rachunek kredytowy w banku, ale to się chyba się
nie liczy.

— Nie. — Potrząsam głową. — Nigdy.

— Jakież przypadki utraty pamięci?

— Zapomniałam o urodzinach ojca. — Z poczuciem winy spuszczam
wzrok na chusteczkę, którą mnę nerwowo w rękach. — Ale byłam
strasznie zajęta i po prostu wyleciało mi to z głowy.

Doktor Evans dopisuje sobie kolejną notkę.

— Ile godzin dziennie spędza pani w pracy?

— Eee... sześć. Nie, osiem. Nie... — Staram się policzyć na palcach.
— Dużo.

Znów coś zapisuje.

— Śpi pani osiem godzin na dobę?

— A czy ktoś śpi? — odpowiadam ze znużeniem. Mimo
dwunastogodzinnego, wywołanego środkami nasennymi snu, nadal
czuję się zmęczona.

— Je pani trzy pełnowartościowe posiłki dziennie? Myślę o braku
śniadań i byle jakich lunchach, które przegryzam na chybcika przy
biurku.

— No, nie mogłabym tego powiedzieć...

Następuje chwila ciszy, a potem doktor Evans odkłada długopis,
wstaje i sięga po stetoskop, żeby mnie osłuchać.

— Ehem... — Bada ciśnienie. — Ehem... — Podświetla mi małą latarką źrenice. — Ehem...

Bez słowa siada z powrotem za biurkiem. Czekam, szykując się na diagnozę.

— No i co, panie doktorze?

— Jest tak, jak myślałem. — Kiwa głową z przekonaniem.

— To znaczy? — nalegam już lekko drżącym głosem.

— Cierpi pani na syndrom stresu.

— Naprawdę? — Patrzę na niego ze zdziwieniem. — Ale czytałam w Internecie... — Przerывam, kiedy piorunuje mnie wzrokiem.

— Stres jest bardzo poważnym zagrożeniem — zaznacza sucho. — Moja rada to więcej spać, częściej odpoczywać, odżywiać się prawidłowo i ograniczyć kawę oraz alkohol. — Zamyka moją teczkę i wstaje. — A... i jeszcze jedno...

— Tak? — Zamieniam się w słuch.

— Wie pani, co to cyberchondria? Czuję napływ paniki.

— Nie. Czy to coś groźnego? — dopytuję się ze strachem. Cholera, a jeśli to właśnie mam?

— To samodiagnozowanie się na podstawie Internetu. — Patrzy na mnie potępiająco.

Oblewa mnie rumieniec wstydu.

— Rozumiem.

— Proszę trzymać się z daleka od Internetu, a sądzę, że pani zdrowie bardzo się poprawi — kontynuuje, przygważdżając mnie surowym spojrzeniem. — Otwiera drzwi i wyciąga rękę. — Miłego dnia, panno Merryweather.

Pobiegłam do lekarza we wczorajszym ubraniu, więc wracam do domu, żeby wziąć prysznic i przebrać się przed

wyjściem do biura. Na szczęście tym razem dojazd do pracy odbywa się bez niespodzianek. Żadnych dziwnych starych garbusów. Żadnych halucynacji. Żadnych niewyjaśnionych incydentów.

Kiedy parkuję na małym dziedzińcu i idę po kocich łbach, nachodzi mnie refleksja, że być może mój lekarz miał rację: jestem po prostu zestresowana. W końcu stres potrafi dać się człowiekowi we znaki. Czytałam w jednym z poradników, że niektórzy nawet tracą zmysły pod wpływem stresu. Jednego dnia żyją sobie całkiem normalnie, a następnego — bum! — chodzą nago po Brighton Pier, opowiadając o przybyszach z kosmosu.

Ale wpaść na samą siebie, dziewczynę, którą byłam w wieku dwudziestu jeden lat, to jednak ewenement, przyznanie.

No więc, postanowione. Przestaję serfować po Internecie, przestaję pochopnie ulegać emocjom, przestaję wymyślać niestworzone rzeczy. Otwieram drzwi do biura. Od tej pory będę się starała relaksować, żyć na luzie. Tak mi zalecił lekarz.

— Chwała Bogu, że żyjesz! — Beatrice na mój widok zrywa się z krzesła i spieszy mnie powitać. — Tak się martwiłam... Nie mogłam przestać o tobie myśleć... i o biednym kuzynie Freddym. Bo oczywiście wszystko na nowo stanęło mi w pamięci, wiesz, wizyty w szpitalu, badania, alarmujące zapachy... — Chwyta się za perły i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. — Czulaś może jakieś dziwne... — Urywa i wciąga głęboko powietrze — ...jakieś dziwne odory?

— Prawdę mówiąc, nic mi nie jest — odpowiadam lekkim tonem. — Postawiłam złą diagnozę.

— To znaczy... nie masz... — Spontanicznie chwyta mnie za ręce i zawstydzona szybko je puszcza. — Usiądź sobie i odpocznij, zaraz zrobię ci filiżankę dobrej, mocnej kawy. — Bierze się w garść i biegnie do ekspresu.

— Dzięki, ale chyba tym razem daruję sobie kawę i po prostu napiję się wody. Przy okazji, czy mamy coś do jedzenia?

Beatrice zastyga zdumiona.

— Na pewno nic ci nie jest?

— Wszystko w porządku, nie martw się. — Uśmiecham się z wdzięcznością.

Zrzucam żakiet, siadam przy biurku i włączam komputer.

— Więc co właściwie powiedział ci lekarz? — Zaczyna się kręcić w małej niszy kuchennej w rogu biura.

— Och, wiesz, jak to jest... — mówię wymijająco, otwierając skrzynkę odbiorczą. Od razu kurczy mi się żołądek. Mam pięćdziesiąt siedem nieodebranych wiadomości. — Po prostu muszę trochę zwolnić tempo.

— Dziś po południu mamy tylko spotkanie promocyjne w Exhale, tym nowym spa za rogiem. Rozmawiałam wcześniej z menadżerką i są zainteresowani współpracą. — Uśmiecha się konspiracyjnie. — Poza tym na pewno będą pyszne kanapki i szampan. Tego ci trzeba, trochę bąbelków — daje mądrą radę. — Mnie to zawsze dobrze robi.

— Nie wiem, czy powinnam pić alkohol...

— Nonsens. To najlepsze lekarstwo, jak mówi moja mama. — Podaje mi butelkę wody evian i makaronik zbożowy.

— Dzięki.

Wracam do poczty. Popijam wodę i czytam e-mail od redaktorki magazynu na temat reklamy prasowej dla jednego z naszych klientów.

— Wszystko w porządku?

Podnoszę wzrok na Beatrice, która nadal nade mną tkwi.

— Tak, tak. Nie przejmuj się — zbywam ją z uśmiechem.

— Super. — Ona też się uśmiecha i zaczyna przedstawiać bez sensu ramki z fotografiami na moim biurku. — A czy... —

zaczyna niepewnie, bez powodzenia starając się zachować swobodny ton — nie masz mi nic do powiedzenia?

— Eee... nie, chyba nie... — Potrząsam głową i wbijam wzrok w list. Nie daje się zniechęcić.

— Myślę o dniu wczorajszym. Włoski jeżą mi się na karku.

— Wczorajszym? — powtarzam trochę nerwowo.

— O twoim spotkaniu z Lanym Goldsteinem! — wybucha w końcu, nie mogąc się dłużej powstrzymać.

— Ach tak, oczywiście, masz rację... — Czuję się zakłopotana i nagle sprowadzona na ziemię. Całe tamto spotkanie wyleciało mi z głowy, co jest absurdalne, zważywszy na to, że przedtem poświęciłam mu tygodnie przygotowań.

— Siedziałam jak na szpilkach, ale bałam się zadzwonić, żeby nie przeszkadzać, a ty nie dałaś znaku życia.

— Spotkanie przebiegło naprawdę dobrze — zapewniam ją szybko.

— I prawdę mówiąc... — oznajmiam z triumfem — dostałyśmy ten kontrakt.

Szczęka jej opada, a oczy robią się okrągłe.

— O kurczę... to po prostu... — Przez chwilę brakuje jej słów. — To cud! — wyrzuca w końcu. — Po prostu cud! — Rozpromienia się, aż drżąc z przejęcia.

Patrzę na jej reakcję i nagle czuję się nieco zdeprymowana. Ma absolutną rację, chociaż sama określiłabym to raczej jako uśmiech fortuny, myślę rozbawiona jej podekscytowaniem. No i jednak...

Przypominam sobie obleśną minę Lany'ego Goldsteina nad stołem w restauracji i trochę mnie to uwiera. Szybko i stanowczo odsuwam tę myśl. Jak mówiłam, to wszystko wina mojej nadmiernie rozbudzonej wyobraźni.

— Prawda? — odpowiadam ze stosownym entuzjazmem.

— No właśnie. Zdumiewająca sprawa — entuzjazmuje się Beatrice, a potem przygważdża mnie surowym wzrokiem. — Po prostu nie mogę uwierzyć, że nie podzieliłaś się ze mną tą nowiną — dodaje z goryczą. — Kiedy się do mnie nie odezwałaś... — Robi płaczącą minę i wygina usta w pod-kówkę. — No, sama rozumiesz...

Przysięgam, że Beatrice ma dar wyzwalania we mnie poczucia winy jak u niegrzecznej uczennicy.

— Wiem, wiem, przepraszam — usprawiedliwiam się pokornie. — Zajrzałam do biura później, ale ty wyszłaś na jakieś spotkanie, a wieczorem nie czułam się zbyt dobrze... — Urywam, żeby się nie zapędzać. — Poza tym... jak obie wiemy... dopóki wszystko nie jest zapięte na ostatni guzik...

Nawiązuję do incydentu, który zdarzył się w zeszłym roku: byliśmy już pewne, że zdobyłyśmy wielki kontrakt na hotel sieciowy, kiedy nagle kierownictwo zmieniło zdanie i podpisało umowę z konkurencyjną agencją PR. Tymczasem Beatrice już otworzyła butelkę rocznikowego Bollingera, który „walał się u niej w domu”. U innych „walają się” co najwyżej resztki kawy i jakieś drobne monety leżące tu i tam.

— Fakt, zmarnowałyśmy wtedy dobrego szampana — przyznaje z grymasem. — Tym razem będziemy go trzymać na lodzie do odpowiedniej chwili. — Uśmiecha się wesoło i dodaje: — Więc kiedy masz następne spotkanie? Muszę sprawdzić kalendarz i upewnić się, że jesteś wolna.

Kalendarz rządzi naszym życiem, a kalendarzem rządzi Beatrice, która bardzo serio podchodzi do tego zadania. Z marszem na czole maszeruje do swojego komputera i zaczyna stukać w klawisze. Wywołuje kalendarium i wpatruje się intensywnie w zapiski.

— O jakim dniu myślałaś? Masz okienko o jedenastej w przyszły wtorek.

— We wtorek musimy już wydać oświadczenie dla prasy, więc uzgodniliśmy, że spotkamy się w czwartek.

— W czwartek w przyszłym tygodniu? Tak, da się zrobić, jeśli przesunę parę terminów... — Pochyliła się nad klawiaturą.

— Nie, w ten czwartek. Jutro. Beatrice wzdycha ciężko.

— Cóż, to ważne, żeby kuć żelazo póki gorące — dodaje. — Nie mamy zbyt dużo czasu.

— No tak, tak, jasne — potakuje z poważną miną. — To nie będzie łatwe, bo mamy dość zapchany terminarz, ale zrobię, co się da, możesz na mnie polegać. — Patrzy w monitor z wyrazem determinacji na twarzy. — Zaraz, niech sprawdzę, masz spotkanie o dziesiątej z Trinny z „Guardiana”, w porze lunchu spotykasz się z Milesem, a po południu z jakimiś dziennikarzami z magazynu „Sainbury”, ale jeśli chcesz, mogę to przenieść na inny termin...

— Właściwie mamy się zobaczyć jutro wieczorem.

— Wieczorem? — powtarza, podnosząc ze zdziwieniem brwi.

— Umówiliśmy się na kolację — dopowiadam od niechcienia. — W jego hotelu.

— Ach tak... — Przetrawia tę informację i kiwa głową. — Dość kameralnie. Chociaż zapewne tak załatwia się interesy w Hollywood — mruczy pod nosem.

— Zapewne — zgadzam się, odsuwając wątpliwości. Beatrice wraca do klawiatury i wpisuje: „Czwartek. Kolacja

z Lanym Goldsteinem"... No dobrze, jesteś zafiksowana. — Chwyta mysz i naciska „zachowaj.” — Już jest w kalendarzu.

Rozdział jedenasty

Reszta dnia mija na odbieraniu telefonów, rozmowach z dziennikarzami i negocjacjach z klientami, aż w końcu robi się późne popołudnie i wychodzimy z Beatrice, żeby przejść się parę metrów do Exhale, nowo otworzonego spa tuż obok.

Kiedy przychodzimy, wszyscy już bawią się w najlepsze w stylu spa: miękkie, łagodne dźwięki harfy sączą się z ukrytych mikrofonów, fontanna tryskająca z tysiącletniej indonezyjskiej skały łagodnie rozpyła wodę, a bosonoga obsługa snuje się wokół w tunikach, oferując kwiaty lotosu i poczęstunek.

Rozglądam się po gościach, biorę duży łyk schłodzonego szampana i rozkoszuję się bąbelkami na języku. Nigdy bym nie podejrzewała, że matka Beatrice może mieć rację. Okay, może to nie jest najlepsze lekarstwo na świecie i może nie podskakuję od razu z radości, ale wypiałam tylko pół kieliszka i muszę przyznać, że już zaczynam się czuć o wiele bardziej zrelaksowana.

— Kanapkę? — Kelnerka podchodzi z wielką srebrną tacą.

— Mmm... tak... poproszę. Z czym są?

— Przepiórcze jaja z pomidorkami — oznajmia wesoło, podając mi serwetkę.

Już mam wziąć kęs, ale w ostatniej chwili ręka mi zastyga.

— Czy to jajka ekologiczne?

No cóż, fakt, nie jestem aż tak zrelaksowana. Uśmiech znika z twarzy kelnerki.

— Prawdę mówiąc... nie jestem pewna...

— Ale wyglądają bardzo smakowicie — przerywa Beatrice, nakładając sobie parę na talerzyk. Gromi mnie wzrokiem. — Co? Nic nie zamierzasz wziąć do ust?

— W gruncie rzeczy nie jestem głodna — wykręcam się.

— Jeśli pani nie ma ochoty... — Kelnerka odchodzi, a Beatrice szybko bierze moją nietkniętą kanapkę.

— Mmm, trzeba przyznać, że mają doskonały catering. — Kiwa głową z aprobatą, ustawia na talerzu stosik przekąsek i wypija łyk szampana. — Może dasz sobie zrobić którąś z darmowych kuracji?

Zerkam na zegarek.

— Powinnam wracać do biura.

— Pięciominutowy masaż twarzy? — proponuje przepływająca obok masażystka w tunice. Patrzy na mnie pytająco.

— Och, Charlotte, zgódź się, powinnaś spróbować. Potrząsam głową.

— Naprawdę muszę skończyć ten komunikat prasowy.

— To tylko pięć minut — nalega z uporem. Doprawdy, można by pomyśleć, że to ona jest szefową,

a ja asystentką. Z drugiej strony — waham się — relaksujący masaż jest zgodny z zaleceniami lekarza i zawsze mogę wziąć robotę do domu. A skoro już o tym mowa, to właściwie kiedy nie biorę roboty do domu?

— No dobrze, czemu nie? Pani propozycja brzmi zachęcająco — zwracam się do masażystki.

Uśmiecha się promiennie. Włosy ma splecione w cienkie warkoczyki zaczesane rządками do tyłu i ten rodzaj zdumie-

wającej cery, którą można odziedziczyć tylko po egzotycznych przodkach i która stanowi przedmiot zazdrości każdej kobiety takiej jak ja, a na moje drzewo genealogiczne składają się całe pokolenia piegusów o myszowatych włosach, pochodzących z tak odległych zakątków jak Yorkshire, Newcastle i w najlepszym razie Skegness.

— Bardzo się cieszę. — Składa ręce z lekkim ukłonem. — Mam na imię Suki i jeśli zechce pani zająć miejsce...

Posłusznie idę za nią do jednego z trzech wielkich skórzanych foteli ustawionych za małym parawanem, zdobionym w motywy zen. Wokół palą się świece aromatyczne, w rogu stoi wielki wazon z pędami bambusa. Wszystko nawołuje do relaksu i wewnętrznego spokoju.

Zapadam się w miękką skórę i zamykam oczy, a masażystka zmywa mi makijaż i kładzie na twarz ciepły ręcznik, który pachnie eukaliptusem. Wdycham głęboko ten zapach.

— A teraz otworzymy pani pory — szemrze mi w uszach kojący głos Suki.

Kiedy zaczyna delikatnie naciskać ręcznik na moich policzkach, a potem na czole i podbródku, czuję, że moje ciało się rozluźnia i napięcie wycieka jak piasek w klepsydrze. Lekarz miał rację: jestem naprawdę zestresowana.

— Teraz nałożymy maseczkę, która oczyści pory. Opuszki palców Suki delikatnie masują mi twarz okrężnym ruchem i powoli odpływam. Boże, co za miłe uczucie.

— A potem nałożymy specjalną glinę mineralną, która zrewitalizuje skórę i pomoże utrzymać odpowiedni bilans nawilżenia...

Mmm, co za błogość. Po prostu raj.

— ...bo ma pani mocno zniszczoną słońcem cerę.

— Co? — Wyrwana z błogostanu otwieram szeroko oczy.

Masażystka cmoka z pełną troski dezaprobatą i kontynuuje masaż.
— Pani policzki i całe czoło... — Sztywnieję — ...mają nierówną pigmentację i przebarwienia.

Co takiego? Nierówną pigmentację i przebarwienia?

— Ale zawsze używam kremów ochronnych! — bronię się.

— Mhm... — mruczy i dalej masuje.

— Filtr czterdzieści pięć — przekonuję ją gorliwie i aż się podnoszę. Kładzie mnie stanowczym ruchem.

— Ciii... niech się pani odpręży — mówi kojąco. — Jest pani bardzo napięta.

— I nigdy się nie opalam — zapewniam ją, ale moje słowa giną pod gorącym ręcznikiem, którym zmywa mi podkład oczyszczający, po czym zaczyna nakładać grubą warstwę glinki.

Ta cała procedura staje się nieco irytująca.

— Osiemdziesiąt pięć procent nieodwracalnych zmian skórnych następuje przed dwudziestym piątym rokiem życia — informuje mnie. Przestaje paćkać mi glinkę na skronie i mierzy mnie przenikliwym wzrokiem. — Czy opalała się pani intensywnie w młodości?

W mojej pamięci wraca obrazek z tropikalnej plaży na Hawajach, kiedy z lubością smażyłam się na słońcu. Prawdę mówiąc, to niejedyn obrazek, jest ich cały album. Od wczesnej młodości po lata bardziej dojrzałe wkładałam bikini i wystawiałam się na każdy promień słońca.

— Trochę się opalałam — przyznaję z oporem.

— To wszystko tłumaczy. — Kiwa głową i cmoka z dezaprobatą. — Słońce jest wrogiem numer jeden. Powoduje przedwczesne starzenie się, bruzdy na twarzy, zmarszczki, wiotczenie, stratę kolagenu...

Z przerażeniem słucham listy zbrodni, jakich się dopuściłam. Takiej Suki to dobrze: ma cerę koloru kawy z mlekiem i nie musi się o nic martwić. Nigdy nie przejmowała się białymi łydkami, które stanowią zmorę kobiet o jasnej skórze, kiedy trzeba wiosną zrzucić ciuchy. Nie wie, co to trupio blada twarz, która, bez pudru brązującego, skłania obcych ludzi do troskliwych pytań o zdrowie.

— To co mam robić? — pytam zaniepokojona, dotykając policzka.

— No więc mamy specjalną kurację laserową, która może pomóc. — Suki podaje mi folder.

Zerkam na ceny.

— Pięćset funtów? — pytam z niedowierzaniem.

— Zalecałabym pięć do sześciu sesji.

— Pięć do sześciu? To by znaczyło... — Obliczam szybko w myślach.

O mój Boże, to cała fortuna. Patrzę na Suki, która uśmiecha się do mnie promiennie.

— Mam panią zapisać na pierwszą sesję jeszcze dzisiaj?

— Eee... muszę to jeszcze przemyśleć...

— Czy warto? Oferujemy darmowy masaż stóp jako specjalną promocję... — kontynuuje zachęcająco.

Zaczynam się czuć mocno zestresowana. Chciałam tylko spróbować relaksacyjnego masażu twarzy.

— ...i rekomendowałabym jeszcze całą nową serię kosmetyków, które zregenerują pani cerę...

— Przepraszam, ale moje obiecane pięć minut chyba już minęło — przerywam, kiedy bierze oddech.

— No tak, rzeczywiście. — Uśmiecha się i wacikami wyciera mi twarz. — Jeśli zmieni pani zdanie... — Podaje mi swoją wizytówkę i małą torebkę. — Proszę, oto parę próbek.

— Świetnie. Dziękuję. — Wstaję z ulgą. Jeszcze pięć minut i moja karta kredytowa i ja sama poległybyśmy pod presją.

Uśmiechając się szeroko, Suki składa ręce i lekko się skłania.

— *Namaste*.

Po szybkim nałożeniu makijażu w łazience odszukuję Beatrice, która wielce ożywiona rozmawia z jakimś dziennikarzem. Jak zwykle przy takich okazjach jest mnóstwo ludzi z prasy i z biznesu oraz chmara trzeciorzędnych gwiazdeczek z obowiązkowo powiększonym biustem i przedłużonymi blond włosami; obleczone w białe szaty spa pozują do zdjęć.

— Cześć, Charlotte. — Beatrice na mój widok przerywa rozmowę. — To jest Patrick. — Pokazuje go jak magik, który wyciąga królika z kapelusza: Ta... dammm... — Patrzy na mnie lśniącoymi oczami.

Znam to spojrzenie. Jest nim zauroczona i do tego podpita. Albo, jak to ona mówi: trochę na cyku. Wymieniam z Patrickiem zwykle uprzejmości. Ma na sobie blezer i koszulę w kratkę, pod którą widać biały T-shirt.

— Pracuje dla „Golfing Weekly” — oznajmia rozpromieniona Beatrice, bawiąc się swoimi perłami, jak inne bawią się włosami. Uśmiecha się szeroko. — Prawda, jakie to ekscytujące?

Patrick chrząka skromnie.

— A więc jesteś zapalonym golfiarzem? — staram się nawiązać konwersację.

— Mam handikap siedem — mówi ze znawstwem.

— Coś takiego, to zdumiewające — nasadza się Beatrice,

przysuwając się bliżej niby to przypadkiem, ale w gruncie rzeczy ze zgrabnością słonia.

Subtelność nie jest jej mocną stroną. Zawisa u ramienia Patricka, wpatrując się w jego błyszczącą, różową twarz.

— A moja żona ma handicap pięć, więc często jeździmy razem na turnieje. Algarve to nasz ulubiony.

— Żona?— powtarza Beatrice, usta opadają jej jak u karpia.

— Tak. Jest już prawie profesjonalistką— dodaje Patrick z dumą.

To dopiero cios.

— Przepraszam, wybaczycie mi panie? — pyta uprzejmie. — Właśnie zauważyłem tu kolegę. — Znika w tłumie.

Zerkam na Beatrice. Ma niewyraźną minę.

— No cóż — mówi, zmuszając się do uśmiechu. — Trudno. Widzę, że jest rozczarowana, ale nigdy się do tego nie

przyzna. Zacisnęła zęby i już. Beatrice to osoba, która po katastrofie samolotu, który spada do oceanu i zostaje otoczony stadem rekinów ludojadów, też powiedziała: „No cóż, trudno”.

Dopija szampana i bierze następny kieliszek z tacy przechodzącej kelnerki.

— Jak ci się podobał ten masaż twarzy? — Ze sztuczną wesołością zgrabnie zmienia temat.

„Strasznie stresujący” chcę powiedzieć, ale ograniczam się do:

— Bardzo pouczający — i daję jej torebkę od Suki na pocieszenie.

— Masz, dostałam parę próbek.

— To dla mnie? — Przyciska rękę do piersi i patrzy na mnie, jakbym właśnie ofiarowała jej brylanty. — Och, Charlotte, nie powinnaś.

— Beatrice, to są próbki — podkreślam. — Darmowe, jak to zwykle próbki.

— Wiem, wiem, ale i tak... — Sięga do torebki i wyjmuję jedną saszetkę po drugiej. — Balsam do ciała... krem do stóp... krem nawilżający. O kurczę, naprawdę potrzebuję nowego kremu nawilżającego. Pond's Cold Cream, który dała mi babcia, właśnie się skończył. — Zaczyna czytać informację z tyłu: — Odwróć bieg czasu z pomocą tego luksusowego produktu, który dzięki unikalnej formule zlikwiduje ci zmarszczki i odmłodzi twarz o dziesięć lat. — Prycha z ironią. — Co za nonsens.

— Mmm.. tak... wiem... — bąkam z roztargnieniem. Wciąż uwieram, że ta sesja niby-relaksacyjna.

— Żaden krem nie może odmłodzić cię o dziesięć lat. To po prostu niemożliwe.

— Tak... tak... jasne... — Wyciągam puderniczkę i wpatruję się w lusterko. Moja skóra nie wygląda tak źle, ale może jednak...

— Mam gdzieś, czy to jest robione z kruszonych pereł morskich z Adriatyku czy z czegoś innego...

Szybko zaczynam pudrować policzki i czoło.

— ...tylko jedna rzecz mogłaby zrobić ze mnie znów dwudziestolatkę, czyli podróż w czasie.

Ni stąd, ni zowąd ogarnia mnie przedziwne uczucie.

— Co powiedziałaś? — pytam z nagłym przeblyskiem i zatrząskuję puderniczkę.

— Powiedziałam: wszystko mi jedno, czy robią ten krem z kruszonych pereł z Adriatyku czy...

— Nie, nie, chodzi mi o to, co powiedziałaś potem... Beatrice marszczy brwi.

— Kurczę, nie pamiętam...

— Mówiłaś coś o byciu znów dwudziestolatką — podsuwam ze ściśniętym żołądkiem.

— A tak, wspomniałam o podróży w czasie. — Kiwa

rzeczowo głową. Wkłada kosmetyki z powrotem do torebki i bierze następny łyk szampana. — Chociaż ściśle rzecz biorąc, gdybyś miała przekroczyć granicę czasu, nie wyglądałabyś jak dwudziestolatka, spotkałabyś samą siebie, mniej więcej w tym wieku.

Czuję zawrót głowy, jestem zamroczona.

— Ale jak wiesz, Stephen Hawking twierdzi, że podróż w czasie nie jest możliwa — kontynuuje ze śmiechem. — Inaczej zostalibyśmy zalani falą turystów z przyszłości.

— Oczywiście, że to bzdura! — pryham, szybko się otrząsając. To wszystko wina szampana, mówię sobie, wachlując się ulotką. I naprawdę jest tu dość duszno.

— Niemniej ogólna teoria względności w pewnych szczególnych okolicznościach dopuszcza taką możliwość — dodaje Beatrice po namyśle.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

— Co? Chcesz powiedzieć, że wierzysz w coś takiego jak podróż w czasie? — Zawsze wiedziałam, że Beatrice jest trochę nawiedzona, ale żeby była całkiem stuknięta? — Daj spokój, żartujesz, co?

— Wcale nie żartuję. — Odpowiada sztywno i trochę się nadyma. — Zgodnie z prawami fizyki teoretycznie może się to zdarzyć. Istnieje grupa fizyków, która uważa, że każde wydarzenie historyczne rozwija się we wszechświecie w różnych wariantach. — Pociąga łyk szampana. — To się bierze / interpretacji wielu światów w mechanice kwantowej sformułowanej przez Hugh Everetta w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku, w przeciwieństwie do kopenhaskiej interpretacji zaproponowanej przez Nielsa Bohra i Wernera Heisenberga gdzieś około roku tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego.

Co takiego?

— Możesz to powtórzyć, ale jakoś po ludzku? — pytam, kompletnie zagubiona.

— Pomyśl o tym w ten sposób. — Odstawia kieliszek z szampanem i odwraca się do przechodzącej kelnerki. — Przepraszam. — Z uśmiechem zgarnia na serwetkę garść mini przekąsek. — Nasz świat — wyjaśnia, kładąc na środku stołu okrągłą mini pizzę — jest jednym z wielu rozłącznych wszechświatów. — Rozkłada wokół inne krążki. — I wszystkie te wszechświaty wspólnie tworzą wieloświat. Są to tak zwane światy równoległe. — Bierze okrągłą kanapeczkę i podtyka mi pod nos. — Wyobraź sobie, że to jest świat równoległy — sugeruje mi całkiem serio.

— Eee... no tak — potakuję niepewnie.

— Egzystuje w tym samym czasie, co wszystkie inne równoległe wszechświaty. — Pokazuje na pozostałe mini-kanapki. — I możesz między nimi podróżować, rozumiesz?

Wpatruję się zafascynowana w minipizzę, starając się jakoś przyswoić tę informację. Dla kogoś, kto porzucił zajęcia z fizyki na rzecz kreatywnego pisania, to raczej dość skomplikowane. Właściwie bardzo skomplikowane.

— Ale istnieją też oczywiście inne teorie, które dopuszczają podróż szybszą niż prędkość światła, przemieszczanie się ogromnej ilości materii fizycznej, co wyzwala energię i może spowodować załamanie w czasie, albo wykorzystanie strun kosmicznych czy przekraczanych czarnych dziur — dodaje nonszalancko, podgryzając równoległy wszechświat. To znaczy mini pizzę.

— Czarne dziury? — powtarzam z uśmiechem ironii. — Przepraszam, ale nie mogę brać tego poważnie. Co dalej? Humanoidy?

— Wiesz, to jest jak portal. — Wzrusza ramionami. — Albo jak rodzaj tunelu, który pozwala ci przejść z jedne-

go czasu — palcem nakreśla linię na serwetce — do drugiego.

Znów czuję ten dziwny skurcz w żołądku i przekręca mi się trybik w mózgu. Ale nie, to po prostu idiotyzm, mówię sobie stanowczo, odrzucając tę myśl, zanim się jeszcze sformułowała. W gruncie rzeczy to więcej niż idiotyzm, to jakaś paranoja.

— Sama tego nie rozumiem do końca. — Pociesza mnie Beatrice i poklepuje po ramieniu. — Gdybym próbowała to szczegółowiej wytłumaczyć, to obawiam się, że mózg by ci eksplodował albo implodował, w zależności od tego, w jakim wszechświecie się aktualnie znajdujemy i jakie fale rządzą prawami fizyki — dodaje, ściągając brwi. — A propos, strasznie mi się podobał *Powrót do przyszłości*, a tobie? — Wypija do dna kieliszek i uśmiecha się radośnie. — Jeszcze jedne bąbelki?

Rozdział dwunasty

Ze stosownymi przeprosinami zostawiam ją przy szampanie i wymykam się wcześniej z przyjęcia. Jadę do domu mocno niespokojna, jak to bywa w gorący letni dzień, tuż przed burzą, kiedy powietrze jest naładowane elektrycznością i napięciem, a ty przepełniona dziwnym podnieceniem i oczekiwaniem na coś, co się musi zdarzyć. Wyczekujesz. Wypatrujesz. Węszysz.

Co jest idiotyczne, jako że nic się nie zdarzy, karczę się ostro. Absolutnie nic.

Jest kolejny ciepły wieczór i jak zwykle godzina szczytu daje w kość. Kierowcy z łokciami wystawionymi przez spuszczone okna biją się o każdy metr jezdni, na chodnikach piesi biegną w pośpiechu jak mróweczki w kierunku metra. Podążając za znakami objazdu, włączam radio. Muzyka dudni w głośnikach i wypełnia mi przestrzeń żartami, dżinglami i rozmowami, a ja oddaję się chwili oddechu.

Na jakieś trzydzieści sekund.

Później mimo woli wracam myślami do rozmowy z Beatrice, jak ktoś komu nie dano dokończyć interesującej dyskusji. Jej słowa wciąż rozbrzmiewają mi w uszach: „...w pewnych

szczególnych okolicznościach... równoległe wszechświaty... przemieszczanie się ogromnej ilości materii... tunel, który pozwala przejść z jednego czasu do drugiego...".

Znów przeżywam wczorajszy dzień — mijam robotników kopiących fundamenty, zostaję skierowana w objazd, skręcam w boczną uliczkę i przejeżdżam dołem na skrzyżowaniu, trochę jak przez tunel...

Oczywiście, wiem. Naginam wyobraźnię. Jak mówiłam, to kompletnie absurdalne. Okay, Beatrice skończyła jakieś niepojęte studia matematyczne i fizyczne w Cambridge, ale podróż w czasie? Doprawdy, co dalej? UFO i małe zielone ludziki?

Ale co z datą na mandacie parkingowym? — wtrąca się głos w mojej głowie.

Stres, po prostu stres, mówię sobie stanowczo. Byłam rozkojarzona i źle przeczytałam datę. Gdybym nie wyrzuciła (ego świstka, mogłabym teraz wszystko sprawdzić i udowodnić sobie, że się pomyliłam, co by załatwiło sprawę.

A fakt, że ona wyglądała zupełnie jak ja, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat?

Wzięłam ją za kogoś innego. To się często zdarza. Kiedyś uszczypnęłam Milesa w tyłek, gdy stał w kolejce po popcorn w kinie. Tylko że to nie był jego tyłek. Należał do faceta innej dziewczyny i wierzcie mi, wcale nie była tym uszczęśliwiona.

A to, że jeździ twoim samochodem?

Przypadek.

Który był złomowany? Nie, nie był. Tato się pomylił. I mieszka w twoim dawnym domu? Na miłość boską, co to ma być? Przesłuchanie? Zamknij się, dobrze?

No więc tak. Nie będę już słuchać tych nonsensownych

podpowiedzi, mówię sobie stanowczo. Rozdrażniona nastawiam głośniej stereo i muzyka wybucha pełną mocą głośników. Co jest trochę krępujące, bo to Avril Lavigne i parę osób gapi się na mnie, jako że mam opuszczony dach. No i co z tego? Do diabła z nimi. Będę sobie słuchała tej piosenki i jechała prosto przed siebie. Co mnie to obchodzi, że władowała się w latarnię, zupełnie jak ja kiedyś... Cholera. Znow to robię.

Staram się trzymać myśli na wodzy, ale są jak rozbrykane dzieci i nie mogę nad nimi zapanować. Mimo woli wracam do tamtych pytań. Wiem, że musi być jakieś logiczne, racjonalne wyjaśnienie. Wiem.

Ale jednak.

Nagle przesywa mnie wątpliwość, która jak błyskawica rozjaśnia na chwilę moją mroczną zadumę.

A co, jeśli przez jakiś dziwny, tajemniczy, niewytłumaczalny przypadek naprawdę zobaczyłam samą siebie na skrzyżowaniu? Jeśli przez ten objazd mój świat zderzył się z tamtym, w którym żyłam jako dwudziestolatka i jeździłam tą drogą między domem a pracą tam i z powrotem swoim starym garbusem? I co, jeśli jakimś cudem wróciłam do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego?

Doprawdy, Charlotte, żeby jeden kieliszek szampana tak ci uderzył do głowy? Ganię się, usiłując poskromić swoją bujną wyobraźnię. To nie jest cholerny *Powrót do przyszłości*. To jest prawdziwe życie. Nie nazywam się Michael J. Fox; nie jeżdżę DeLoreanem. Jestem Charlotte; prowadzę agencję PR i mam najnowszy volkswagena. Którym, mówiąc szczerze, poruszam się jak żółw z powodu londyńskich korków.

Widzę przed sobą zakręt w boczną ulicę, którą ścigałam wczoraj tego starego garbusa...

Szybko odwracam wzrok. No dobrze, dość tego. Co ja

sobie wyobrażałam? Jakieś głupoty. Ale więcej nie mam zamiaru poświęcać temu ani chwili uwagi. Będę myśleć o czymś innym. Dostosuję się do rady lekarza i zrobię sobie relaksującą kąpiel w pianie. Posłucham tej płyty od mamy. Zapalę aromatyczną świeczkę.

A może by tak skrócić? — kusi mnie głosik w głowie. Nie, oczywiście, że nie. Jadę prosto do domu. To by zajęło tylko dziesięć minut.

Waham się, moje mocne postanowienie się chwieje. Zupełnie niepotrzebnie, skoro tak czy owak to czysty nonsens. Przecież nikt nie natyka się nagle na równej drodze na swoje młodsze wcielenie, prawda? Aż głupio to udowadniać. Bawi mnie sama myśl.

A nawet gdyby istniała taka magiczna możliwość, co jest oczywiście bzdurą, to wcale nie chcę natknąć się na siebie, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat. Wielkie dzięki. Zostawiłam tę dziewczynę za sobą lata temu. Po co miałabym znów ją spotykać?

Nagle, jakby ktoś nacisnął guzik w magnetofonie, słyszę głos Suki: „Osiemdziesiąt pięć procent uszkodzeń skóry powstaje przed dwudziestym piątym rokiem życia”. Widzę siebie w wieku dwudziestu jeden lat, jak zażywam topless kąpeli słonecznych na tyłach ogródka, smażę się na Hawajach i przekręcam z boku na bok na ręczniku, jak prosiak na rożnie.

Okay, spróbuję to naprawić.

Hamuję gwałtownie, skręcam szerokim łukiem i jadę tamtą ulicą.

Pięć minut później jestem na Kilmaine Terrace i już żałuję swojej decyzji. Wyobrażać coś sobie to jedno, a wprowadzać to w czyn — to całkiem co innego.

Co ty właściwie wyprawiasz, Charlotte? — znów brzęczy mi w głowie ten cichutki irytujący głosik.

Nie potrafię odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, jestem mocno zawstydzona. W gruncie rzeczy powinnam zabrać ze sobą ten sekret do grobu. Niech Bóg broni, żeby ktoś miał go odkryć. „Co robiłaś wczoraj wieczorem, Charlotte?”. „Och, pojechałam do domu, w którym dawniej mieszkałam, w poszukiwaniu siebie jako dwudziestolatki, bo moja asystentka powiedziała, że podróż w czasie jest możliwa i chciałam to sprawdzić”.

No jasne, stres nie stres, zapakują mnie w pasy bezpieczeństwa. Co tam babcia Mary z jej gadającą papugą, to ja przejdę do opowieści rodzinnych jako zwariowana stara panna, która próbowała robić karierę i całkiem jej odbiło. Już słyszę moją mamę: „Nic dziwnego, przecież wyprowadziła się do Londynu”.

Zmierzam w kierunku numeru trzydzieści dziewięć, wypatrując zdewastowanego pomarańczowego garbusa. Przeglądam wszystkie samochody w zasięgu wzroku. Ale nie, nic.

A czego się spodziewałaś, idiotko?

Czuję zażenowanie i ulgę. A jednocześnie coś na kształt... rozczarowania. Bo w głębi duszy fascynują mnie opowieści o zjawiskach paranormalnych i jestem zagorzałą fanką serialu *Z archiwum X*. Oglądałam każdy odcinek z zapartym tchem (byłam po uszy zakochana w Davidzie Duchovnym) i lubiłam sobie wyobrażać, że to wszystko jest możliwe. W końcu kto nie czytał *Żony podróżnika w czasie*?

Nagle mój pęcherz daje o sobie znać i wrywa mnie z zadumy. Cholera jasna, to ten szampan, w dodatku na pusty żołądek. Muszę znaleźć toaletę. I to szybko. Objeżdżam skwer w poszukiwaniu miejsca do parkowania; nie żebym się spodziewała, że je znajdę, ale należę do osób, które zawsze

muszą wszystko dwa razy sprawdzić — nawet wracam do domu upewnić się, czy zakręciłam gaz. Potem z czystym sumieniem zawracam na Kilmaine Terrace. Musi tu gdzieś być ubikacja...

Naraz sobie przypominam — Wellington. Pub został otwarty, kiedy tu mieszkałam, i byłyśmy z Vanessą stałymi gośćmi. Zatrzymuję się przy znaku stopu na końcu ulicy. Teraz chyba na lewo. Chociaż nie, może na prawo. Waham się przez chwilę, pęcherz mnie nagli i każe szybko podjąć decyzję.

Cholera, gdzie to jest?

Wpadam na genialny pomysł.

Skorzystam z pomocy GPS-u. To cudowny wynalazek, sam mnie skieruje we właściwą stronę. Wystukuję nazwę pubu... Dziwne.

Ekran się nie zapala. Naciskam na chybił trafił parę guzików w nadziei, że obudzi się do życia, a potem potrząsam lekko skrzynką, co jest moim naukowym sposobem na naprawę elektronicznych gadżetów i co — o dziwo — przeważnie działa.

Ale nie tym razem. Ekran pozostaje uparcie czarny.

Mój pęcherz nagli. Naprawdę muszę się wysiusiać. Cholera jasna, klnę zirytowana pod nosem. Gdzieś tu obok musi być ten pub. Muszę tylko odświeżyć pamięć. Na łut szczęścia skręcam w lewo i jadę ulicą wokół kościoła. Tak... coś mi to przypomina. To powinno być na prawo... skręcam za kolejny róg. Nie, to nie tu. Może za następnym rogiem?

Z radością widzę znajomy szyld. Hurra! Oto jest, Wellington Arms. Szybko parkuję i pędzę do pubu. Wcale się nie zmienił, myślę z nostalgią, wchodząc do środka. Ta sama zdarta podłoga, te same drewniane stoliki i krzesła, ten sam duży kominek, szerniały i zasmolony po zimie, ta sama tablica

zapisana dzisiejszym menu i długa karta win, która, jak pamiętam, była zupełną nowością w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym.

Łał... To jak powrót do starych czasów.

Oczywiście w sensie metaforycznym.

Mimo wczesnego wieczoru w środku kłębi się tłum ludzi złaknionych odpoczynku po pracy. Przeciskam się na tyły, żeby zbiec do toalet. Są w tym samym miejscu, dzięki Bogu. Czym prędzej zajmuję wolną kabinę.

Całe szczęście, że robiłam ćwiczenia Kegla, gratuluję sobie, rozluźniając w końcu mięśnie. Jejku, co za ulga!

Spuszczam wodę i idę umyć ręce. Łazienka też nic się nie zmieniła. Kiedy suszę ręce pod suszarką, machinalnie zerkam w lustro. Musiałam patrzeć tu na swoje odbicie tysiące razy, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat — sprawdzać, czy włosy są w porządku, podmalowywać usta i oczy — a teraz znów tu jestem, całą dekadę później. Przez chwilę się zamyślam. To dziwne. Tyle się zdarzyło od tamtego czasu. Moje życie jest zupełnie inne, ja czuję się inaczej, wyglądam inaczej i trudno mi sobie wyobrazić siebie sprzed tylu lat.

Wchodzi jakaś kobieta. Wyrywam się z zadumy, daję nura w drzwi, zanim się zatrzasną, i wbiegam po schodach z zamiarem szybkiego odwrotu. Ale nagle chwytam spojrzenie barmana, uczesanego w kitkę.

Podnosi brwi.

— No i jak je pani znajduje?

Zatrzymuję się w pół stopnia, jak złodziej złapany na gorącym uczynku. O Boże, czy on mówi do mnie?

— Eee... słucham? — pytam z miną niewiniątka.

— Mam na myśli nasze toalety — dodaje, patrząc na mnie wymownie. Spojrzeniem, które mówi: „Są takie typy, co to tylko wchodzi tutaj, żeby skorzystać z ubikacji i nawet nie

kupią drinka. Co pani sobie wyobraża, że to publiczna toaleta?". Wierzcie mi, znam ten rodzaj spojrzenia.

— Są w porządku, dziękuję. — Uśmiecham się głupio.

— Może mógłbym służyć czymś jeszcze?

— Poproszę o sok żurawinowy — słyszę swoje zamówienie.

Doprawdy, Charlotte, nie musisz kupować soku, jeśli nie masz ochoty. Po prostu odwróć się i wyjdź. Co cię obchodzi, co on sobie pomyśli? To tylko barman.

Ale już za późno. Nalewa Ocean Spray.

— Proszę bardzo. — Podaje mi szklankę. — Należy się jeden funt.

Jestem przyjemnie zdumiona. To świetnie, że ceny tutaj nadal są rozsądne, myślę, wyciągając portmonetkę. Nie ma nic gorszego niż te wypindrzone bary, liczące sobie po trzy i pół funta za bezalkoholowego drinka. No, ale Wellington zawsze słynął z przystępnych cen.

— Doskonale, dzięki.

Podaję pieniądze, biorę szklankę i rozglądam się za wolnym miejscem. Rzeczywiście jest dość tłoczno. W końcu wypatruję pusty stolik i opadam z ulgą na krzesło. Super! Wyciągam się wygodnie i już zaczynam czuć się swojsko... kiedy...

Marszczę nos. Chwileczkę, czy to papierosy?

Kiedy smuga dymu wędruje w moją stronę, rozglądam się na boki. No jasne, na prawo ode mnie siedzi para, która pali sobie w najlepsze. Wewnątrz! Nigdy nie słyszeli o zakazie palenia w lokalach publicznych?

— Mhm... przepraszam... — Oboje zwracają ku mnie twarze. — Czy mogłabym prosić...? — mówię grzecznie, wskazując na ich papierosy.

Nie cierpię zwracać ludziom uwagi, ale dym papierosowy naprawdę źle wpływa na moje zatoki. Więc nie powinnam

czuć się winna, zwłaszcza że palenie w pubach jest niedozwolone.

— Jasne, oczywiście, poczęstuj się. — Facet z uśmiechem wyciąga paczkę marlboro lights w moją stronę. — Chcesz ognia?

No... nie, kompletnie mnie nie zrozumiał.

— Och, nie... dziękuję — bąkam, potrząsając głową. — Miałam na myśli... Chodzi o to... — Patrzę, jak bez żenady wypuszcza dym w moją stronę, i wyrzucam śmiało: — Moje zatoki... — Ściskam się za skronie, pokaszując z emfazą.

— Fakt, mamy dość chłodne lato. Co za pech. — Kiwa zgodnie głową i zaciąga się mocno papierosem.

Jestem oburzona. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Arogancja niektórych ludzi przekracza wszelkie granice! Siedzi tu sobie i pali dalej jakby nigdy nic. Co za bezczelność. I to mimo że mu uprzejmie zwróciłam uwagę. Dość tego dobrego. Biorę szklankę z sokiem i ostentacyjnie wstaję.

— Najlepiej wyjdź na zewnątrz, złap trochę słońca — radzi mi, popijając piwo.

— Taki mam właśnie zamiar — oświadczam sztywno, zarzucam torbę na ramię i wymaszerowuję z godnością, stukając obcasami po zniszczonej drewnianej podłodze.

Ogródek piwny aż roi się od gości, którzy obsiedli kilka kutych żelaznych stolików. Dokładnie tak to zachowałam w pamięci: wesoły tłumek i gwar rozmów, myślę, torując sobie drogę. Równie tu miło jak dawniej. Koszyki z kwiatami wiszą na ogrodzeniu, rozsiewając wonny zapach, a w rogu powinien stać piękny jawor. Pamiętam, jak go sadzili: był wtedy wątłym patyczkiem. Teraz na pewno się rozrósł.

Och...

Kiedy go widzę, czuję rozczarowanie. Kurczę, niewiele urósł przez te dziesięć lat. Myślałam, że będzie wielkim,

rozłożystym drzewem i siądę sobie w jego cieniu. Patrzą na rachityczne, słabe gałązki. Gdybym nie wiedziała tego, co wiem, myślałabym, że to wciąż sadzonka.

Z drugiej strony to pokazuje, jak mało znam się na ogrodnictwie, mówię sobie, szukając miejsca, które pozwoli mi usiąść tyłem do słońca. Lepiej uważać na te uszkodzenia skóry...

Rozglądam się wokół. Całe towarzystwo niczym się nie różni od tego, które bywało tu przedtem — wszyscy w obwisłych biodrówkach albo powiewnych sukienkach, wszyscy ukazują letnią opaleniznę i te tak modne w latach dziewięćdziesiątych celtyckie tatuaże na ramionach. Jak to dobrze, że nie dałam się na to skusić — byłabym skazana na te okropieństwa na całe życie. A kiedyś uważałam, że to taka wyrafinowana ozdoba! Śmieszne!

Odstawiam szklankę na stół i wygrzebuję komórkę z torebki. Muszę oddzwonić do Milesa. Zostawił mi wiadomość, kiedy byłam u lekarza: „Nic ważnego, tylko się zgłaszam”, co zawsze mówi. Na początku naszej znajomości uważałam, że to słodkie — i nadal tak uważam. Jednak czasami wołałabym, żeby miał do powiedzenia coś ważnego.

Wybieram numer, przyciskam telefon do ucha i czekam na dzwonek po drugiej stronie.

Głucha cisza.

Marszczę brwi, patrzą na wyświetlacz i widzę, że wszystkie kreski zniknęły. I nie mam sygnału. Znów. Ogarnia mnie irytacja. Dzwoniłam wczoraj do T-mobile i zapewniali mnie, że nie ma żadnego problemu z zasięgiem w tym rejonie. Nie rozumiem. Wyciągam mojego BlackBerry — to samo. Brak sygnału. Jestem nieco skonfundowana. Co Beatrice kiedyś mówiła? Ach, tak, prawda. Za dużo ludzi używa telefonów komórkowych, przypominam sobie i rozglądam się wokół.

Tylko że...

Chwileczkę... To dziwne... Przenoszę wzrok z jednej osoby na drugą. Zwykle wszyscy gadają jak najęci, z bezprzewodowymi słuchawkami na uszach, jakby nawijali gdzieś w przestrzeń. Ale teraz nie widzę nikogo z telefonem.

Może nie wolno mieć tu komórek, co mnie o tyle zdumiewa, że nie dostrzegłam nigdzie żadnych tabliczek z zakazem. Zaraz... zaraz... przy jednym z dalszych stolików siedzi para i on rozmawia przez telefon. Kiedy kończy, podbiegam do niego.

— Przepraszam... — Podnosi na mnie wzrok. — Jest pan w sieci T-Mobile?

Patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

— Słucham?

— Widziałam, że rozmawia pan przez telefon — tłumaczę — a ja nie mam zasięgu.

— Hm... Jestem w sieci Vodafone i wszystko jest w najlepszym porządku. — Wzrusza ramionami, odkładając komórkę na stół. Zerkam na nią. Kurczę, musi mieć ją od wieków, wygląda naprawdę staroświecko. Ale jednak pokazuje pięć grubych czarnych kresek. W przeciwieństwie do moich telefonów.

— Cholera, to dziwne. — Skonfundowana znów sprawdzam kreski na moim BlackBerry. Nic. Wszystkie zniknęły.

— Co to jest? — Mój rozmówca patrzy na mnie pytająco. Powstrzymuję się od naukowej demonstracji, klikania w klawiaturę i stukania w ekran.

— Słucham?

— Czy to telefon?

— Ma pan na myśli mojego BlackBerry?

— BlackBerry? — powtarza, jakby to było obce słowo. — Pierwszy raz widzę coś takiego na oczy.

— Naprawdę? — Patrzę na niego zdumiona. Byłam pewna, że wszyscy znają ten aparat, nawet moja matka. Chociaż nadal nazywa go cudactwem. — To wcale nie taki ósmy cud świata, może mi pan wierzyć — krzywię się. — Choć przydaje się do odbierania e-maili.

— E-maili? — powtarza. — Przez telefon? — Śmieje się i potrząsa głową. — Od kiedy? Na to trzeba mieć komputer.

Znów ogarnia mnie to dziwne uczucie. On sobie ze mnie żartuje, prawda?

Przebiega mi dreszcz po krzyżu i mimo upału czuję gęsią skórę.

— Ups, przepraszam.

Jakiś głos przywraca mnie do rzeczywistości: ktoś wpada na mnie z tyłu i rozlewa mi reszkę soku na bluzkę. Cholera. Patrzę, jak materiał na piersiach nasiąka czerwonymi plamami.

— O Boże, naprawdę strasznie mi przykro. Co za pech! Wyciągam chusteczkę i zaczynam wycierać bluzkę. Jasny gwint. Jest z białego lnu. Nigdy nie wywabię tych plam.

— Mogę postawić pani następnego drinka?

— Nie, dziękuję.

Ale w uszach słyszę dzwonek alarmowy, rejestruję coś niepokojącego w jej głosie: brzmi znajomo. Sztywnieję. Chwileczkę. Odwracam się bez tchu, z sercem w gardle. Ponieważ już wiem, kto stoi za moimi plecami. Wiem, kim jest ta dziewczyna.

Znam ten głos.

Nasze oczy się spotykają. I w ułamku sekundy całe moje racjonalne rozumowanie diabli biorą. Ponieważ to jestem ja.

Rozdział trzynasty

Przez chwilę nic się nie dzieje. Czas zastyga. Jakby ktoś nacisnął przycisk „pauza” na DVD z moim życiem i spytał: „No dobrze, co o tym myślisz?”.

Tylko że ja nie potrafię odpowiedzieć.

Kiedy czytam w książkach o ludziach, którzy nagle zaniemówili, zawsze myślę, że to interesujący koncept, ale bardziej literacki niż z życia wzięty. W końcu nikomu nigdy tak naprawdę nie brakuje słów, zawsze można coś powiedzieć. Nawet gdy Colin Pickles ogłuszył mnie w liceum niespodziewanym wyznaniem: „Już mi się nie podobasz”, znalazłam język w gębie, żeby odpalić: „Ty mi też, pryszczatku”. Przyznaję, może nie była to najbardziej dowcipna riposta na świecie, jednak przynajmniej coś powiedziałam.

Ale nie teraz.

Teraz dosłownie mnie zamurowało. Zatkaną mnie. Byłam ogłuszona. I co tam chcecie na określenie, że wyparowała ze mnie cała wcześniejsza irytacja i zastąpiło ją osłupienie. To nie jest halucynacja. To się dzieje naprawdę. I wszystko, co mogę zrobić, to stać tu jak słup soli i patrzeć na siebie. Na

moją dwudziestojednoletnią postać. Z krwi i kości. Na wyciągnięcie ramienia. Tuż przede mną. Cholera.

Czuję przyływ paniki i myśli zaczynają wirować jak oszalała karuzela. Cholera, cholera, cholera.

— Dobrze się pani czuje? — pyta dziewczyna z silnym yorkshirskim akcentem.

Boże drogi, zdążyłam już zapomnieć, jak kiedyś mówiłam.

— Hm., tak... — bąkam. — Wszystko w porządku.

Co jest grubą przesadą, mój stan można by określić różnymi słowami, ale „w porządku” jest ostatnim z nich. Spanikowana? Zapewne. Skołowana? Zdecydowanie. Na granicy utraty zmysłów? Tak, to też.

Rozpaczliwie próbuję wziąć się w garść, ale to nie takie łatwe. Z konsternacją i przerażeniem patrzę na bluzkę: to moja ulubiona, od Nicole Farhi, teraz cała poplamiona sokiem żurawinowym. Kurczę blade! Ledwo ją kupiłam dwa tygodnie temu i już jest kompletnie zniszczona. Może jeśli dam ją do pralni chemicznej...

Och, kogo usiłuję oszukać? Mam gdzieś tę cholerną bluzkę. Staram się tylko za wszelką cenę nie myśleć o tym, że prowadzę rozmowę z dziewczyną w kusym topie, która, tak się akurat składa, jest mną sprzed dekady.

Uginają mi się kolana i niemal tracę równowagę. To całkiem coś nowego rozmawiać z samą sobą.

— Trochę mną to wstrząsnęło — mówię, starając się, żeby to zabrzmiało nonszalancko, ale czuję się, jakby świat stanął na głowie, a ja wisiała na krawędzi, walcząc o życie, podczas kiedy muszę udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. — Ale w końcu żaden problem. — Wzruszam ramionami i śmieję się beztrudnie.

Nie ma reakcji. Moje młodsze wcielenie wpatruje się we

mnie z uwagą, marszcząc brwi na gładkim czole. Jakby się nad czymś głęboko zastanawiała. Jakby coś ją gnębiło. Jakby... Nagle doznaję olśnienia.

Oczywiście! Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej? Poznała mnie.

Kiedy to do mnie dociera, wiem, że muszę zachować zimną krew. Z pewnością jest równie zszokowana jak ja, jeśli nie bardziej. I zapewne będę musiała ją uspokajać, jako ta dojralsza. Przyjąć rolę starszej siostry. Powiedzieć, żeby się nie martwiła. Nie ma powodu do paniki, trzeba zachować spokój, wszystko jakoś się ułoży...

Otwiera usta i mimo woli mam ochotę objąć ją protekcyjnie ramieniem.

— No już dobrze, dobrze...

— Sól — mówi.

A może wybuchnie płaczem albo zemdleje, albo dostanie ataku paniki, albo...

Chwileczkę, chwileczkę. Czy powiedziała...?

— Sól? — powtarzam ogłuszona.

— Tak, właśnie. I białe wino. — Kiwa głową, wskazując na moją bluzkę. — To powinno wywabić plamy, chociaż pewno będzie trzeba wymoczyć ją w gorącej wodzie. — Uśmiecha się przeprasząco.

Co? Nie poznaje mnie? Nie wie, kim jestem? Wbijam w nią wzrok z niedowierzaniem. Ależ musiała mnie poznać! Przecież jestem nią. To znaczy ona jest mną. To znaczy jesteśmy tą samą osobą. Cholera, to takie zagmatwane.

— Chyba się już spotkałyśmy — podsuwam.

Może to syndrom wyparcia. Podobnie jak przedtem u mnie.

— Spotkałyśmy się? — Przechyla głowę i widzę, że stara się sobie przypomnieć. — Nie, nie sędzę. — Kwituje z uśmiechem.

Przełykam ślinę i biorę głęboki oddech.

— To ja, Charlotte — szepczę, pochylając się ku niej. Szczeka jej opada ze zdumienia.

Zrozumiała. Nareszcie.

Zbieram się w sobie, szykując się do wyjaśnień. Na pewno zada mi mnóstwo pytań, dlaczego, jak, kiedy, co się dzieje. To będzie trudne, bo sama nie znam odpowiedzi. Ale nie szkodzi, coś wymyślę. Jak Vanessa, kiedy Ruby spytała, co takiego tatuś ma między nogami, a ona odpowiedziała, że ma ogonek, jak George, ich cocker-spaniel. Co było dość inowacyjne, muszę przyznać. Chociaż nie wiem, co tatuś by zrobił, gdyby córka poprosiła, żeby nim pomachał.

— O kurczę, co za zbieg okoliczności! — wykrzykuje moja rozmówczyni, rozpluwając się w uśmiechu. — Ja też mam tak na imię. Ale moi przyjaciele nazywają mnie Lottie.

Żadnego rozpoznania. Ani śladu. Jakbym była kimś zupełnie obcym.

Patrzę na nią skonfundowana. Jak to możliwe?

Chyba że to jakiś zwariowany sen, uszczypnę się i obudzę, żeby znaleźć Bobby'ego Ewinga pod prysznicem. Lub coś podobnego.

Szczypię się. Nic z tego, nadal tu jestem. Czy może powinnam powiedzieć: obie moje postaci nadal tu są?

— Przepraszam, zupełnie nie mam pamięci do twarzy. Zwłaszcza po drinku. — Wymachuje pustą szklanką i wybucha śmiechem, ukazując rząd srebrnych plomb.

Mój Boże, o tym też zapomniałam. Wymieniłam je wszystkie jakieś pięć lat temu, bo przeczytałam artykuł, że rtęć jest trująca, i spanikowałam. Wyprostowałam także aparatem dwa krzywe przednie zęby. I wybieliłam uzębienie. Teraz mój uśmiech wygląda zupełnie inaczej. Jak zresztą i ja sama.

Nagle doznaję olśnienia. Nic dziwnego, że mnie nie poznaje. Nie tylko wyglądamy teraz kompletnie inaczej, ale jesteśmy

inne. Oczywiście, że patrzy na mnie jak na kogoś obcego: jestem dla niej kimś obcym. Nie zna mnie jeszcze. Mnie, kobiety, którą się stanie w przyszłości, za dziesięć lat. Która już nie używa zdrobnienia Lottie, ale woli imię Charlotte jako poważniejsze i bardziej dojrzałe. Która nie ma już srebrnych plomb, długich, ciemnych, rozczesywanych palcami włosów, krzaczastych brwi i prowincjonalnego akcentu. Ja już nie jestem nią, a ona jeszcze nie jest mną. Jesteśmy dwiema zupełnie różnymi osobami.

Na Boga, przecież to nie mój dekolt! Patrzę ze zdumieniem. Moje młodsze wcielenie ma na sobie zwisający luźno top, z którego niemal wylewają się piersi. Automatycznie zapinam guzik przy szyi. Coś takiego, zapomniałam, o ile byłam grubsza w młodości, ale to nic dziwnego, skoro nie uprawiałam żadnej gimnastyki i jadłam byle co. Teraz regularnie ćwiczę, zdrowo się odżywiam, wyglądam lepiej i czuję się lepiej.

— Hm... ładny top — bąkam, widząc, że mnie przyłapała na wgapianiu się.

— Dziękuję. Sama robiłam. — Uśmiecha się z dumą. Tak, wiem. Z chusteczki do nosa. Przypominam sobie, jak

w owym czasie uważałam to za fantastyczny pomysł. Dziesięć lat później to wygląda dość bezwstydnie, jakbym była ubrana w serwetkę. Doprawdy, co ja sobie wtedy wyobrażałam? Jestem praktycznie naga.

— Nie jest ci... eee, trochę zimno? — pytam, powstrzymując się, żeby nie chwycić pierwszego lepszego zakietu z czyjegoś oparcia krzesła i nie zarzucić jej na ramiona.

— Zimno? — Śmieje się. — Nie, skądże. Przecież jest upał. — Zaczyna się wachlować podstawką pod piwo, na rękach ma mnóstwo bransoletek, które brzęczą głośno, kiedy nimi potrząsa i...

Sztywnieję. Nie tylko bransoletki się trzęsą. Chusteczka jest zrobiona z cienkiego jedwabistego materiału i — o mój

Boże. Czy widzę sutek? Nagle zdaję sobie sprawę z dwóch rzeczy: 1) nie mam na sobie stanika i 2) w jakiś magiczny sposób zmieniłam się we własną matkę.

No dobrze, dość. Wystarczy. Wychodzę stąd. Chwytam torebkę i zmierzam do wyjścia.

— Na pewno nie masz ochoty na jeszcze jednego drinka? — pyta Lottie, wchodząc za mną do środka.

— Eee... nie, dziękuję. Muszę już iść — mówię pospiesznie, potrząsając głową i wskazując na drzwi.

— No cóż, trudno. — Wzrusza ramionami i podchodzi do baru. Słyszę, jak zamawia jabłecznik.

Czuję niespodziewany przyptyw nostalgii. Jabłecznik był moim ulubionym drinkiem, zanim smak mi wysubtelniał i zaczęłam pić wino. Przystaję i patrzę w jej kierunku. Okręcając pasmo włosów na palcach, czeka na swoje zamówienie, prowadzi pogaduszkę z sąsiadem przy barze, bezmyślnie bawi się kolczykiem, śmieje z jakiegoś dowcipu, obgryza paznokcie, robi różne grymasy.

Obserwuję ją kompletnie zafascynowana. To najdziwniejsze uczucie na świecie. Trochę tak, jak wtedy kiedy przyjeżdżam do domu i oglądamy z rodzicami stare kasety wideo, zaśmiewając się z naszych dziwacznych ubrań i fryzur. Tylko że teraz się nie śmieję. Stoję jak wmurowana. To wszystko jest takie surrealistyczne. Czy naprawdę nosiłam takie krótkie spódniczki? A ta rozwichrzona szopa włosów? Chwileczkę... Patrzę, jak facet obok częstuje ją papierosem. To ja palę?

Jakiś głos w mojej głowie nawołuje, żebym czym prędzej stąd wyszła. Szybko! No dalej, zmykaj! To nie takie trudne — po prostu odwróć się, biegnij do samochodu i wracaj, skąd przyjechałaś. Nie zatrzymuj się, dopóki nie znajdziesz się bezpiecznie w domu, w piżamie, z butelką brandy i serialem na DVD *Seks w wielkim mieście*.

To moje gwarantowane lekarstwo na każdy kryzys.

To, co robisz, to szaleństwo, Charlotte. Czyste szaleństwo.

Ale to jest także bardzo ekscytujące, szepcze inny głos i nagle zwycięża chęć przygody. Może nie zaszkodzi zostać trochę dłużej, napić się jeszcze jednego drinka. W końcu takie historie nie zdarzają się codziennie, prawda?

— Właściwie, Lottie...

Odwraca się i obdarza mnie uśmiechem.

— Myślałam, że już wyszłaś.

— Jeszcze nie. Właściwie mam trochę czasu. Więc sobie pomyślałam...

— Sok żurawinowy, tak?

— Tak, poproszę. — Uśmiecham się i wyciągam monetę jednofuntową, ale ją odsuwa.

— Nie bądź niemądra. Ja stawiam — protestuje. Wiem, że jest bez grosza, bo ja zawsze byłam bez grosza

w tamtym czasie, i kiedy płaci barmanowi tymi swoim drobniakami, czuję przypływ sympatii do mojego własnego młodszego wcielenia. Co jest już poza wszelką racjonalnością, ale co tam. W tym momencie irracjonalność zaczyna być rzeczą normalną.

— Postaraj się go nie wylać tym razem — żartuje Lottie, podając mi sok.

— Dzięki. — Biorę szklankę. — Przy okazji — dodaję mimo woli — płamy wywabia się w zimnej wodzie.

— Nie w gorącej? — Patrzy na mnie ze zdumieniem.

— Nie, gorąca woda je utrwała.

— Niech mnie diabli, kto by pomyślał! — Śmieje się i puszcza do mnie oko. — Widzę, że będę musiała się jeszcze wiele nauczyć.

Uśmiecham się.

Ciekawe, że to powiedziała...

Rozdział czternasty

Okay, co teraz?

Pięć minut później Lottie i ja ewakuujemy się znów do ogródka piwnego. Siadamy razem przy stoliku i przez chwilę popijamy w milczeniu nasze drinki, podczas gdy ja się głowię, o czym by tu zacząć rozmowę. Czuję się absurdalnie zdenerwowana. Jakbym była na pierwszej randce.

— To fajnie — zaczynam — że... eee... mamy taką ładną pogodę.

Ledwo wypowiadam te słowa, skręcam się w środku. Brawo, Charlotte, tylko na tyle cię stać? Wpadasz na siebie samą w wieku dwudziestu jeden lat i z miliona rzeczy, które mogłabyś powiedzieć, wybierasz pogawędkę o cholernej pogodzie?

— Taa, fajnie, prawda? — Kiwa głową, zamykając oczy, i wystawia twarz do słońca.

Przypominam sobie wykład Suki na temat szkód wyrządzanych przez słońce.

— No nie, tylko nie to! — wymyka mi się, ale gryzę się w język.

Lottie podnosi głowę i patrzy na mnie ze zdumieniem.

— Jezu, co się stało?

Milknę niepewnie. Cholera jasna. Pospieszyłam się trochę, co? Kurczę, co teraz powiem? Zrujnujesz moją cerę? Mam kłopot z pigmentacją i przebarwieniami i to wszystko twoja wina?

— Hm... latała nad tobą osa — mamroczę słabym głosem.

— Och, kurczę, naprawdę? — Opędza się ręką, wypatrując na wszystkie strony niewidocznej osy.

— Chyba już odleciała — dodaję szybko.

— Tym lepiej. — Rozkłada się z powrotem na krześle, podciąga spódniczkę jeszcze wyżej i wyciąga nogi do słońca. — Boże, to zadziwiające, że jest ciągle naprawdę gorąco, prawda? — entuzjazmuje się, wygrzewając jak kot we wczesnych wieczornych promieniach.

— Tak, rzeczywiście — potwierdzam, obserwując ją bezradnie i starając się zagłuszyć głos Suki, który brzęczy mi w uszach. — Jesteś pewna, że nie chcesz usiąść w cieniu?

— W cieniu? — Moja dwudziestejednolatka odwraca się i patrzy na mnie z taką zgrozą, jakbym zaproponowała, żeby zjadła dżdżownicę.

— Dlaczego, na Boga, miałabym siadać w cieniu? Staram się opalić.

Wierzcie mi, ta dziewczyna jest opalona. Jej skóra ma kolor mahoni.

— Wiesz, sama używam cudownego samoopalacza — zwierzam się, ale mi przerywa.

— Samoopalacz? Też coś! — Prycha. — Nie, dziękuję. Chcę mieć prawdziwą opaleniznę.

Uśmiecham się. Krzywo.

Aż mną trzęsie, kiedy widzę, że znów wystawia się ku słońcu i zamyka oczy. Cholera, przecież nie mogę tak siedzieć beczynnie.

— Mam krem z filtrem przeciwsłonecznym, mogę ci pożyczyć — ofiarowuję się na pozór nonszalancko.

— Nie, dziękuję, wszystko jest okay. — Potrząsa głową beztrąsko. — Nie używam kremów z filtrem.

Teraz ja z kolei patrzę na nią ze zgrozą — staje mi przed oczami obraz mojej łazienki wypełnionej po brzegi produktami pielęgnacyjnymi, a zaraz potem obraz wyciągów ze wszystkich moich kart kredytowych. Wydałam taką fortunę na cudowne kremy obiecujące odwrócić oznaki starzenia, że można by nią uszczuplić dług Trzeciego Świata.

I nic dziwnego, uświadamiam sobie, obserwując, jak moje młodsze wcielenie smaży się na słońcu. W gruncie rzeczy, żeby być całkiem szczerą, mam szczęście, że nie wyglądam jak krwawy befsztyk.

— Cóż, nigdy nie jest za późno, żeby zacząć — odpowiadam, wyciągam z torebki mój krem z filtrem i z trudem się powstrzymuję, żeby nie wysmarować jej siłą od stóp do głów, aż będzie wyglądała jak pływaczka pokonująca kanał La Manche. — Jesteś pewna, że nie chcesz trochę? — Wyciskam porcję na rękę i wcieram w twarz.

— SPF czterdzieści pięć? — patrzy z przerażeniem. — Teraz rozumiem, dlaczego jesteś taka blada.

— Wcale nie jestem taka blada. — Krzywię się, patrząc na pozostałości mojej nasprejowanej opalenizny. — Tak czy siak, kąpiele słoneczne źle wpływają na stan skóry, sama wiesz. W gruncie rzeczy opalenizna to tylko melanina — cytuję z jednego z wielu kobiecych artykułów na ten temat — którą twoja skóra produkuje, żeby się chronić. Więc można powiedzieć, że opalenizna jest znakiem, że już ją zniszczyłaś — kończę, czując się dumna ze swojej wiedzy. Nie zdawałam sobie sprawy, ile człowiek się uczy z wiekiem, ale kiedy kobieta dochodzi do trzydziestki, ma już za sobą tyle

magazynów, produktów upiększających i luster, że staje się ekspertem w pielęgnacji skóry.

— Więc co z tego? — Lottie śmieje się bez troski.

No, ale ona jeszcze nie ma trzydziestki, prawda? Ma nadal dwadzieścia jeden lat, uświadamiam sobie, patrząc na moje młodsze wcielenie. Nic nie wie. Nie ma pojęcia, jaki potok pieniędzy popłynie z jej kieszeni na kosmetyki w przyszłych latach, jak wiele godzin spędzi, wklepując i wmasowując różne maści, żeby osiągnąć, co sama osiągnęłam i co uważam za rzecz oczywistą.

Ogarnia mnie frustracja. Boże, naprawdę byłam taka bezmyślna?

— Mówisz tak teraz — upieram się, starając nie myśleć

O wszystkich promieniach UVB i UVA, które właśnie atakują jej idealną, gładką cerę, zasiewając ziarno pod pigmentację

i dekoloryzację — ale będziesz tego żałować, kiedy skończysz trzydziestkę.

— Trzydziestkę? E tam, wtedy nie będzie mi już zależeć — odpowiada lekceważąco i pociąga jabłecznik. — Będę stara.

Kulę się w sobie.

— Trzydziestka to nie starość — mówię z rozdrażnieniem i sięgam po sok. Nie jestem właściwie wielką wielbicielką żurawin, ale mają mnóstwo witaminy C i antyoksydantów. Biorę pokaźny łyk. To o wiele zdrowsze niż jabłecznik, który jest po prostu pełen pustych kalorii.

— Owszem, jest się już wiekowym — ripostuje Lottie i lekko się wzdryga, jakby nawet nie chciała o tym myśleć.

Co? Powiedziała, że jestem wiekowa?

Trzęsę się z oburzenia. Staralam się być cierpliwa, ale tego już za wiele! Doprawdy, bezczelna smarkula! Jestem młodsza od Kylie! I nadal kupuję ciuchy w Top Shopie. Co prawda tylko przez Internet, ale zawsze. I mam nie jedną, ale dwie

pary obcisłych dżinsów. Jakim prawem ona śmie twierdzić, że jestem wiekowa?

Bo tak wtedy myślałaś, Charlotte, przypomina mi głos z tyłu głowy. Tak myślałaś.

Nagle wraca do mnie rozmowa z przyjaciółmi, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat. Mówiliśmy o dwutysięcznym roku i kiedy uświadomiłam sobie, że skończę wtedy dwadzieścia pięć lat, byłam wstrząśnięta. Będę taka stara. A co do tych kilkorga osób, które miały wejść w trzydziestkę, to było wprost niewyobrażalne. Nie znałam nikogo powyżej trzydziestki — oprócz moich rodziców — a co więcej, nawet ich nie dostrzegałam. Byli dla mnie niewidzialni.

Tak jak ja jestem niewidzialna dla niej, myślę, zerkając na tę dwudziestojednoletką, niemającą pojęcia, kim naprawdę jestem.

Podchwytuje mój wzrok i zasłania ręką usta, przerażona.

— Och, wybacz, nie miałam na myśli ciebie... — Urywa z przeproszającą miną. — Ta moja niewyparzona gęba!

— Nie szkodzi, nie ma sprawy — odpowiadam sztywno. — Mówiłam tylko... — Bezwiednie drapię się w egzeme na łokciu. — Poza tym słońce zaogni twoją egzeme — dodaję, nie mogąc się powstrzymać, i przesuwam się jeszcze głębiej w cień.

Marszczy brwi.

— Nie mam egzemy. Patrzę na nią skonfundowana.

— Nie masz?

— Nie, skąd ci to przyszło do głowy?

— Och, bez powodu. — Wzruszam ramionami. — To jest po prostu bardzo częste schorzenie.

Zdezorientowana staram się przypomnieć sobie, kiedy nabawiłam się egzemy. Czuję się, jakby doskwierała mi całe

życie, ale faktycznie, ona ma rację — nie pamiętam, żeby egzema mi doskwierała w jej wieku. W gnacie rzeczy pierwsze symptomy pokazały się, kiedy byłam mocno zestresowana nieprzekraczalnym terminem w pracy.

— Która godzina? — Odwracam się i widzę, że wskazuje na mój zegarek. — Nie mam zegarka — wyjaśnia z uśmiechem.

— Nie masz zegarka? — powtarzam ze zdumieniem. To nie do pomyślenia.

— Nie, nie noszę.

Starając się przyswoić sobie tę szokującą wiadomość, zerkam na mój własny po raz setny tego dnia. — Hm... niemal dwadzieścia po szóstej.

Parska zirytowana.

— Typowe. Zawsze się spóźnia.

— Kto? — pytam, choć już wiem. Vanessa. To musi być ona.

— Moja przyjaciółka Nessay. Miałyśmy się spotkać tu na drinka, ale ona nigdy nie przychodzi na czas.

Cóż, przynajmniej niektóre rzeczy się nie zmieniają, myślę, tłumiąc sarkastyczny uśmiech.

— Dam jej jeszcze dziesięć minut, a potem idę do domu. Mieszkam niedaleko, więc mogę iść pieszo. Całe szczęście, bo tak się składa, że mój samochód jest w naprawie. — Krzywi się. — Miałam mały wypadek.

Oczywiście. Latarnia. Dlatego mój stary garbus nie był zaparkowany przed domem.

— Do jakiego warsztatu go oddałaś?

— Och, gdzieś na Hanow Road.

— Barry's Motors?

— Tak, właśnie. — Kiwa głową. — Skąd wiesz?

Bo mnie totalnie oskubali, przypominam sobie ze złością, ale mówię tylko zdawkowo:

— Och, sama oddałam tam kiedyś mój samochód.

Nie pamiętam już dokładnie szczegółów, ale nigdy nie zapomnę, jak wystawili mi horrendalnie zawyżony rachunek, bo byłam młoda, niedoświadczona i nie umiałam go zakwestionować, a potem musiałam pożyczyć pieniądze od Vanessy, bo zabrakło mi forsy na czynsz.

— I kiedy ma być gotowy?

— Powiedzieli, że w przyszłym tygodniu.

— Gdybym była tobą... — Ironia tego stwierdzenia mnie poraża i na chwilę milknę. — No cóż, na twoim miejscu wzięłabym tam ze sobą jakiegoś mężczyznę, żeby sprawdził, czy zrobili dobrą robotę — sugeruję. — Jeśli jesteś podobna do mnie, to nie masz zielonego pojęcia o samochodach.

Uśmiecha się z wdzięcznością.

— Dziękuję za radę.

— Nie ma sprawy. — Tłumię ziewanie, które pojawiło się ni stąd, ni zowąd.

Rozmowa się urywa. Nagle czuję się wykończona. To był długi dzień. Najdziwniejszy, najosobliwszy, najbardziej niezwykły dzień w moim życiu, ale teraz czuję to w kościach i już mam dość. Chcę, żeby wszystko wróciło do normy.

Ogarnia mnie fala zmęczenia, wysuszam szklankę i sięgam po torebkę. Jeśli teraz wyjdę, będę mogła się wcześniej położyć. A rano wszystko zamieni się w jedną z tych historyjek, które ludzie opowiadają sobie na przyjęciach i które zawsze zaczynają się: „Nigdy nie uwierzycie, ale...”. Jak opowieść Vanessy o duchu, którego zobaczyła siedzącego na podeście schodów, kiedy miała osiem lat.

Chociaż muszę przyznać, że natknięcie się na samą siebie jest nieco lepsze niż jakiś tam marny duch pobrzękujący łańcuchami. Ale jak mówiłam, nikt mi nigdy nie uwierzy. Ja

sama sobie nie wierzę, a widzę to na własne oczy, uświadamiam sobie, rozglądając się po raz ostatni po otoczeniu.

— Słuchaj, Lottie, myślę, że na mnie...

Urywam, kiedy mój wzrok pada na plakat „Opętany Geniusz, koncert w Wellington, sobota, wszystkie bilety wyprzedane”. Chwileczkę, to mi coś mówi... Pod spodem jest ziarniste zdjęcie zespołu. Mrużę oczy i przyglądam się uważniej.

— Słyszałaś o nich? Są cudowni! — Na dźwięk jej głosu odwracam się i widzę, że wskazuje na plakat.

Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co to za zespół, ale kiwam niepewnie głową i szybko szukam w pamięci. Jestem taka zmęczona, że wszystko mi się zaciera, ale wiem, że lada sekunda sobie przypomnę.

— Mam wolny bilet, gdybyś chciała iść. Moja przyjaciółka Nessy miała mi towarzyszyć, ale teraz woli spotkać się z Julianem. — Przewraca oczami i uśmiecha się. — Jest jej nowym chłopakiem i świata poza nim nie widzi.

Jaka ja byłam kiedyś przyjacielska! — uderza mnie myśl. Niedawno przyjechałam z Yorkshire, stawiałam tu pierwsze kroki i miasto jeszcze nie odcisnęło na mnie swojego piętna. Teraz, po dziesięcioletnim pobycie, trzymam się z rezerwą i jestem ostrożna w kontaktach z obcymi. Londyn tak już wpływa na ludzi.

— Dzięki, ale tego wieczoru jestem chyba zajęta — odpowiadam, potrząsając głową. Spotkać się z samą sobą raz to wystarczająco dziwaczne przeżycie, ale dwa razy? Nie sądzę, by moje zdrowie psychiczne zniosło powtórkę tego doświadczenia.

— Och, jaka szkoda... — wzdycha z żalem. — Ja nie mogę się już doczekać. Kocham ich wokalistę.

— Wokalistę?

— To Billy Romani — szepcze z przejęciem.

Kiedy to wymawia, twarz rozjaśnia się jej jak Oxford Street w Boże Narodzenie, a ja czuję, że sztywnieję. Nie słyszałam tego pseudonimu od lat i całkiem wyrzuciłam go z głowy, ale teraz wszystko wraca niepowstrzymaną falą. Billy Romani był kimś, w kim kochałam się na zabój przez kilka miesięcy, a potem, kiedy w końcu spędziliśmy razem noc, myślałam, że to początek wielkiej miłości.

Miłość trwała jakieś dwa dni. Aż przekonałam się, że byłam tylko jednonocną przygodą, a on już się zajął inną dziewczyną.

Czuję ukłucie bólu. Tak czy owak, szczegóły nie są ważne. Wystarczy powiedzieć, że w tamtym czasie miałam złamane serce, ale oczywiście jakoś się pozbierałam, i od tej pory nie poświęciłam mu ani jednej myśli. No cóż, może czasem, przy szczególnych okazjach, zastanawiałam się, co by było, gdyby sprawy potoczyły się między nami inaczej.

Ale stało się, jak się stało, i nie żałuję. Nie poświęcam temu uwagi. To było tak dawno temu. Już prawie zapomniałam.

— On ma taki talent, nie uważasz? — pyta Lottie z entuzjazmem.

— Hm... tak, w pewnym sensie.

Talent do robienia ludziom świństw, myślę ponuro.

Powraca niejasne wspomnienie. Zaraz... zaraz... Czy to nie po jednym z koncertów poszłam z nim do łóżka? Ogarnia mnie wstyd. Boże, gdybym tylko wtedy tego nie zrobiła, gdyby ktoś mnie powstrzymał...

Nagle przychodzi mi do głowy pomysł, który jest do zrealizowania.

Ale nie. Nie mogę.

A może jednak?

Jakby jakieś światełko zapaliło mi się w mózgu. Jeszcze chwilę temu chciałam wrócić do normalności, zostawić to wszystko za sobą, ale teraz... Waham się, ściska mnie nerwowo w żołądku, kiedy decyduję, co zrobię. Wiedziałam to od początku.

— Z drugiej strony nie mam aż tak pilnych zajęć... — Słyszę siebie mówiącą na głos.

Mogę nie wiedzieć, dlaczego mi się to przydarzyło ani jak się to stało, ale jedna rzecz jest pewna: jeśli pójdę na ten koncert, mogę oszczędzić sobie zawodu miłosnego.

Podniecona uśmiecham się z determinacją.

— Ile chcesz za ten bilet?

Rozdział piętnasty

Tej nocy mam przedziwny sen. Jestem z Christopherem Lloydem, zwariowanym naukowcem z *Powrotu do przyszłości*, i jedziemy autostradą w samochodzie DeLorean. Ale nie podróżujemy z szybkością światła, tylko jedziemy około dziesięciu kilometrów na godzinę z powodu objazdu i naraz samochód zmienia się w mojego starego garbusa, a Christopher Lloyd, jako Amerykanin, nie umie prowadzić auta z ręczną skrzynią biegów, więc zamieniamy się miejscami.

Lecz gdy siadam z powrotem na swoje miejsce, nie jestem już w samochodzie, jestem w pubie Wellington, a towarzyszy mi nie zwariowany naukowiec, tylko Suki, która cmoka z zatroskaniem i trzyma lustro, żebym zobaczyła swoją zniszczoną słońcem cerę. Jednak moje odbicie pokazuje nieskazitelną, gładką twarz i nagle zdaję sobie sprawę, że nie ma żadnego lustra. To ja, w wieku dwudziestu jeden lat.

I opalam się. Bez kremu ochronnego.

Moja opalenizna staje się coraz ciemniejsza i głębsza, staram się sama sobie to wyperswadować, zanim zamienię się w starą skórzaną torbę, ale nie słucham głosu rozsądku. Palę papierosy, popijam jabłecznik i śpiewam do wtóru Billy'emu Romani.

Chwileczkę, jesteś pewna, że to sen, Charlotte?

Otwieram powieki, zdejmuję maskę na oczy i patrzę na budzik: druga nad ranem. Świetnie. Jest środek nocy, a ja jestem kompletnie rozbudzona. Przez chwilę leżę bez ruchu, patrząc, jak cyfry na wyświetlaczu przeskakują z drugiej na drugą zero jeden, przez głowę wciąż od nowa przewija mi się film z pubu...

No dobra, dość tego. Za niecałe pięć godzin wstaję do pracy. Muszę z powrotem iść spać, inaczej będę wyczerpana. Zaczyna mnie trawić niepokój. Nie ma nic, co bardziej utrudnia zaśnięcie, niż świadomość, że trzeba zasnąć, prawda?

Opadam na poduszkę i wkładam maskę na oczy. Po prostu muszę się wyciszyć. Odpłynąć myślami. W tle szmerze *Relaxing Ocean Lullaby* i słucham, jak fale przyplływają i odpływają, przyplływają i odpływają...

Ta poduszka jest za gorąca. Odwracam ją na drugą stronę i kładę policzek na chłodnej poszewce. Tak, teraz lepiej. Zamykam oczy i staram się zasnąć.

Jest także trochę zbita. Opieram się na łokciu i spulchniam ją pięścią, zmuszając antyalergiczne pierze do posłuszeństwa. A teraz czas spać. Wiercę się pod kołdrę. Z głośnika nadal płynie muzyka szumiących rytmicznie fal, nawilżacz nadal dmucha parą. Lada chwila ukołyszają mnie do spokojnego snu.

Ale najpierw muszę ułożyć się wygodnie. Przewracam się z boku na bok i z powrotem. Kurczę, czy mi się wydaje, czy naprawdę jest tu za gorąco? Odrzucam kołdrę i leżę, rozkoszując się chłodnym powietrzem. Mmm, tak jest lepiej. Dużo, dużo lepiej...

Chociaż teraz czuję, że mam zimne stopy. Może jest przeciąg? W gruncie rzeczy jestem całkiem zmarznięta. Naciągam z powrotem kołdrę i wypracowuję kompromis, przykrywając się tylko połowicznie. Okay. Jest idealnie.

Leżę bez ruchu i skupiam się na wyciszeniu, na usunięciu wszystkich myśli. Na przykład o sobie z krzaczastymi brwiami, szopą włosów i z okropnym srebrnym cieniem na powiekach, którego dawno nie używam. Albo o sobie, jak piję, palę, opalam się i ogólnie robię wszystko, co jest niewskazane dla zdrowia. Albo o sobie zadurzonej w takim dupku jak pieprzony Billy Romani.

O Boże, to na nic. Zawsze mam kłopoty z zasypianiem, a teraz, z tym całym kłębowiskiem w głowie? Nie ma szans. Wiem, poczytam trochę, decyduję. Zapalam lampkę nocną, siadam i sięgam po mój nowy poradnik: *Stres to słowo na pięć liter*. Otwieram rozdział drugi: *Zrelaksuj się*. „Idziesz przez piękny las. Słońce świeci. Ptaki śpiewają, przefruwając ci z gracją nad głową. Podnosisz twarz do nieba, obserwujesz je i zastanawiasz się, jak by to było być ptakiem”.

Ptakiem? Ale jakim ptakiem? Już wiem, będę orłem. Nie, nie mogę być orłem — one nie śpiewają. Może wróblem? Nie, to nudne. Może drozdem? Dobrze, będę drozdem.

„Wyobrażasz sobie, jak by to było móc odlecieć, wzbić się w niebo, coraz wyżej i wyżej”.

Jak wysoko? Nie lubię wysokości. Mam lęk wysokości. Prawdę mówiąc, nie jestem też wielką miłośniczką latania, zwłaszcza po tym koszmarnym locie z Hiszpanii lata temu. Były straszne turbulencje, do dziś się wzdragam na to wspomnienie. Wszyscy krzyczeli, nawet stewardesy! Przysięgam, byłam pewna, że zaraz zginę...

Okay, wystarczy. Do diabła z tym.

Zamykam książkę i odkładam na półkę. To nic nie da, nie mogę się zrelaksować, jestem zbyt roztrzęsiona. Zaledwie parę dni temu żyłam sobie normalnie, głowę miałam pełną zupełnie normalnych problemów, takich jak pilne terminy w pracy, umówienie się z Milesem, te dwa kilo nadwagi, które próbo-

wałam zrzucić od Bożego Narodzenia, a teraz wszystko zostało wytracone ze swoich torów, postawione na głowie i co mi zostało?

Oprócz stresu, oczywiście.

Wyskakuję z łóżka i wkładam szlafrok. Podenerwowana idę do kuchni, nastawiam czajnik i sięgam do lodówki po mleko sojowe, ale kiedy kładę rękę na uchwycie, zastygam. Mam jedną z tych wielkich, amerykańskich lodówek, do których się przyczepia różne rzeczy — dawny plan lekcji z liceum, jakieś fotografie Ruby i Sama, parę przepisów wydartych z magazynów, które mam zamiar kiedyś tam wykorzystać, i magnesy ze złotymi myślami w rodzaju: „Podróż to nie cel” i „Kobiety są jak torebki z herbatą: nie wiedzą, jakie są mocne, dopóki nie wpadną do gorącej wody — Eleanor Roosevelt”. Ten ostatni dostałam od Vanessy.

Ale teraz moją uwagę przyciąga stara fotografia, na wpół ukryta pod pocztówką, którą mama i tata przysłali mi z Turcji. To zdjęcie grupki podpitych młodych ludzi, zrobione przed laty na jakiejś imprezie. Zdejmuję je z lodówki i przyglądam się uważnie. Trochę wyblakło, kolory wypłowiały, a szczegóły się zatarły, ale nadal można rozróżnić twarze.

Uśmiecham się z nostalgią. To ja, na samym skraju, umalowana teraz już znajomym okropnym srebrnym cieniem do oczu, a obok mnie Vanessa. Ubrana na czarno, jak zawsze, obejmuje Juliana, który wystawia dwa rozczapirzone palce za jej głowę. Uśmiecham się do siebie. Zawsze robili sobie psikusy. Odwracam fotografię i czytam podpis: „Moje dwudzieste drugie urodziny”. Kurczę, co za przypadek. W piątek kończę trzydzieści dwa lata, co znaczy, że ta fotografia była zrobiona niemal dokładnie dziesięć lat temu. Wpatruję się w nią, usiłując przypomnieć sobie jakieś detale, ale nic już nie pamiętam. Minęły całe wieki...

Czajnik gwizdże, zalewam torebkę gorącą wodą i bezmyślnie patrzę, jak herbata brązowieje. Wyteżam umysł. Co jeszcze zapomniałam? Kto jeszcze umknął mi z pamięci? Ile jeszcze koszmarnych głupstw wymazałam nonszalancko z mojego wewnętrznego twardego dysku?

Pod wpływem impulsu zostawiam herbatę, wyjmuję latarkę z jednej z kuchennych szuflad i wychodzę na korytarz. Pod schodami zrobiłam sobie schowek. Kucam, otwieram go i wpełzam do środka. Pełno tu kurzu i wielkich pajęczyn. Fuj, boję się pajaków. Biorę głęboki oddech i staram się przypomnieć sobie, co czytałam w podręczniku *Zrób to mimo strachu* na temat zwalczania lęków. Nawet jeśli są czarne i mają osiem włochatych nóg.

Odsuwając myśli o pajakach spadających mi na głowę albo wędrujących po kołnierzu szlafroka (i oczywiście myśląc tylko o pajakach spadających mi na głowę i wędrujących po moim szlafroku), zaczynam grzebać w rupieciach. To, czego szukam, musi tu gdzieś być pomiędzy gratami... Dekoracje choinkowe, pamiątkowy serwis do herbaty mojej babki, stare ciuchy, które trzymam na wypadek, gdyby znów stały się modne. Biorę do ręki parę wyblakłych, wystrzępionych džinsów Levi 501 s z bandaną w charakterze łąty na kolanie. To był kiedyś wielki szyk...

Aaa, wreszcie jest. Za dwoma zakurzonymi walizkami dostrzegam duże, staroświeckie pudło na kapelusze. Wyciągam je, zanoszę do salonu i stawiam na dywanie, a potem siadam ze skrzyżowanymi nogami obok i zdejmuję zakurzone wieko.

Pudło jest wypełnione fotografiami. Teraz wszyscy mają aparaty cyfrowe i rzadko kto drukuje potem zdjęcia. Trzyma się je w komputerze — moje zdjęcie z Milesem z jego ostatnich urodzin służy mi jako wygaszacz ekranu — ale

w dawnych czasach wywoływałam filmy w Snappy Snaps i wkładałam do albumów. Mam ich dziesiątki.

Zaczynam przeglądać pierwszy lepszy, a potem następny i następny, aż znajduję to, czego szukam: moje zdjęcia w wieku dwudziestu jeden lat. Z nowo rozbudzoną ciekawością otwieram album i przyglądam się fotografiom. Właśnie wtedy przeprowadziłam się do Londynu i zdjęcia przedstawiają głównie rozmaite imprezy, puby i pikniki. Tutaj jest jedno z wielu przyjęć bożonarodzeniowych w domu na Kilmaine Terrace, na którym migdałam się z Simonem, kolegą z pracy. Kulę się w sobie. Żałowałam tego jak cholera następnego ranka.

O, a tutaj Vanessa i ja tańczymy pijane na Notting Hill Carnival — zaraz po zrobieniu tego zdjęcia wpadłam w krzaki i skręciłam kostkę, tak byłam zalana. Potem przez miesiące nie mogłam nosić szpilek. Co było bolesne. Dosłownie.

Odwracam stronę. Tutaj znowu ja w jakichś horrendalnych dzwonach w kratkę, które kupiłam na Camden Market. Wzdrygam się. Uważałam, że są szalone, ale patrząc na nie z perspektywy czasu, mam wrażenie, że wyglądałam jak kanapa. Boże, co za fatalny gust! Teraz za nic bym na siebie czegoś takiego nie włożyła.

Zamyślam się pośród rozrzuconych albumów. Dojrzewa we mnie pewien pomysł. Chwileczkę... Jeśli mogę zapobiec przespaniu się z Billym, niedoszłą gwiazdą rocka, i tym samym oszczędzić sobie cierpienia, czemu na tym poprzestać? A co z całą setką błędów, pomyłek i głupstw, jakie popełnię, bo jestem naiwna, beztroska i niedoświadczona? Nie zapominajmy też o wpadkach z modą. Krzywię się na widok innej fotografii. Tym razem mam na sobie spodnie ze skaju i wyglądam, jakbym owinęła nogi foliowymi workami na śmieci. Delikatnie mówiąc.

Nagle obraz zaczyna się powiększać, jak ekran w kinie, kiedy kurtyna się rozsuwa, i widzę przed sobą szerokie spektrum możliwości. Nie muszę się ograniczać do przestróg przed ostrym słońcem, nieuczciwym warsztatem czy dupkiem Billym Romani — mogę z nią rozmawiać o wszystkim.

O wszystkich życiowych sprawach, wyborach, wątpliwościach... To moja jedna na bilion szansa kontaktu ze sobą jako dwudziestojednolatką.

Jak powiedziała Vanessa: gdybyśmy tylko wiedziały wtedy, co wiemy teraz. Mam taką szansę.

Czuję przyływ podniecenia i ekscytacji, potencjalnej siły. Doznaję olśnienia. Pomyślcie tylko! Będę jak Yoda! Mądry mistrz uczący mnie, jak iść przez świat, dający światłe rady i wskazówki, dzielący się ze mną doświadczeniem i wiedzą. Już wiem, jaka będę. Będę twarda, ale sprawiedliwa, mądra, ale przystępna, jak Dumbledore w *Harrym Potterze*, albo pan Miyagi w *The Karate Kid*.

Ale nie wolno mi zanadto szarżować — duszę szybko entuzjazm. W końcu Lottie nie ma pojęcia, kim jestem, więc to ważne, żeby nie uznała mnie za przemądrzałą. Nie mam zamiaru dawać jej zbioru instrukcji, zakazów czy nakazów. Nie, tylko rzucę kilka subtelnych aluzji, delikatnie poprowadzę ją we właściwym kierunku, ofiaruję parę przyjacielskich uwag. Nie będę z tego robić wielkiej sprawy.

Rozdział szesnasty

Okay, sporządziłam listę.

Już dziewiąta nazajutrz rano i przed spotkaniem z dziennikarzem z „Guardiana” wpadam do drogerii. Wyposażona w koszyk krążę między zastawionymi półkami w poszukiwaniu pęsety do brwi.

Jeśli mam to zrobić jak należy, nie chcę o niczym zapomnieć, więc wypisałam kilka punktów na chybił trafił na kartce. Nic specjalnego, tylko luźne myśli. Najpierw najważniejsze:

1. Nie śpij z Billym Romani.

Mam w nosie, że jest przystojny. Że potrafi być czarujący. Że umie robić zdumiewające rzeczy językiem... No dobra, Charlotte, dość tych wspominków. Jest także kłamcą, oszustem i uwodzicielem.

2. Zainwestuj w nieruchomości.

Mottem mojego ojca było zawsze: „Kupuj, nie wynajmuj”. Oczywiście, nie słuchałam go. Może teraz posłucham sama siebie.

3. Jeszcze lepiej, zainwestuj w którąś z następujących firm:
Starbucks, Google lub YouTube

Trzeba przyznać, że to może być trochę mało realistyczne. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że ledwo udawało mi się przeżyć do końca miesiąca. No i nawet nie wiem, czy te firmy wtedy istniały. Niemniej to istotne, żeby...

4. MYŚL O RZECZACH WIELKICH

I nie mówimy tu o-tym-co-wiecie.

Chociaż oczywiście to też jest ważne, nachodzi mnie tęskna refleksja, myśli dryfują w różnych kierunkach, aż biorę się w garść i szybko zerkam na listę instrukcji. Dobrze, gdzie byłam? Aha, tu.

5. Zaczynij, odkładać na emeryturę.

Okay, muszę najpierw omówić nudne sprawy finansowe, żeby mieć to z głowy i przejść do ważniejszych punktów na liście. Udaje mi się wypatrzeć superprofesjonalną pęsetkę z nierdzewnej stali przemysłowej z „precyzyjnymi końcówkami” przeznaczoną do gabinetów kosmetycznych.

6. Wyskub sobie brwi

Nie mam nic przeciwko gęstym brwiom, ale co innego mieć seksowne gęste brwi jak Brooke Shields w *Błękitnej lagunie*, a co innego zrośniętą kreskę Noela Gallaghery. A skoro już jesteśmy przy pielęgnacji...

7. Wydepiluj sobie linie bikini.

Wiem, na sto procent, że pierwszy raz zastosowałam wosk w tych okolicach dopiero koło trzydziestki. Pamiętam, bo to było tak bolesne, że nadal noszę emocjonalne blizny. Co znaczy, że tam na dole przypominałam w owym czasie niemiecką turystkę. *Nicht gut.*

Chwytam krem depilujący i wrzucam do koszyka.

8. *Istnieje, taki błąd jak zbyt jaskrawy makijaż, więc wyrzuć ten srebrny cień do powiek.*

A przy okazji...

9. *Wyrzuć też tę piankę.*

Włosy czesane palcami nie wyglądają dobrze. Nigdy nie wyglądały. I nigdy nie będą.

10. *Nie próbuj rozjaśniać włosów sokiem z cytryny.*

A) to nie działa i B) przyciąga osy.

11. *Zacznij ćwiczyć mięśnie dna miednicy już teraz.*

Pamiętacie radę Vanessy? Ćwiczenia Kegla są jak buty — nigdy ich za wiele.

Przypomniawszy to sobie, zatrzymuję się między półkami, żeby trochę poćwiczyć, i zauważam, że stoję w dziale kremów ochronnych. Jak mówiłam...

12. *Używaj mnóstwa kremów z filtrami.*

Wrzucam kilka dużych opakowań SP45. I jeszcze kilka. Lepiej być bezpiecznym niż spalonym słońcem.

13. *Odlóż te, spodnie, z wężowej skóry i zapomnij o nich.*

Niestety, to smutna prawda. Zeszłej nocy znalazłam cholerny dowód: fotografię siebie, wciśniętej w parę obcisłych, ukazujących pępek, lśniących, wężowych biodro wek. Obrzydlistwo to mało powiedziane.

14. *Zrezygnuj z podróży, na Sycylio w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.*

Przez cały tydzień lało i byłam zmuszona pocieszać się pizzą i gelato.

15. *Chociaż z drugiej, strony, nie, rezygnuj z tej, podróży,.*

Dochodzę do końca alejki i skręcam w następną. Jest jeszcze kilka rzeczy, których nie znalazłam, i nagle wypatruję tę rzadką postać: asystentkę sklepową.

— Przepraszam?

Przez chwilę myślę, że ma zamiar udawać, że mnie nie zauważyła i czmychnąć na zaplecze — trochę jak cocker-spaniel Vanessy, gdy się go przyłapie na kanapie — ale w ostatniej minucie zmieniam zdanie.

— Tak? — pyta, odwracając się.

— Szukam plastrów Nicorette. Co mnie sprowadza do...

16. *Rzuć palenie.*

— Rozumiem. — Kiwa energicznie głową. — Mają pani pomóc przestać palić?

— Nie, nie, ja nie palę. — Szybko wyprowadzam ją z błędu. Dopiero patrząc na jej zdziwioną minę, zdaję sobie sprawę, że to może nie była najlepsza odpowiedź.

— Hm... to znaczy, już nie palę — poprawiam się. Patrzy na mnie zdezorientowana.

— Przepraszam, chyba nie bardzo rozumiem...

Witaj w moim świecie, myślę ponuro, przekładając koszyk do drugiej ręki. Wypakowałam go po brzegi i jest naprawdę ciężki.

— Nie radziłabym nosić plastrów z nikotyną, chyba że jest pani na głodzie — kontynuuje surowym tonem.

O Boże, pewno bierze mnie za jedną z tych osób, które się narkotyzują syropem na kaszel czy czymś takim.

— Jasne — zgadzam się z powagą. — Oczywiście. Jak będę na głodzie. Co pewno nastąpi.

Cholera. Wkopuję się coraz bardziej. Patrzy na mnie ostro, potem przywołuje się do porządku i mówi:

— Trzymamy plastry w dziale z lekami na receptę, zaraz na lewo.

— Rozumiem, dziękuję.

Szybko się odwracam i zmierzam w kierunku tabliczki „Recepty”, gdzie widzę w przelocie znajomą marynarkę i znany mi profil. Boże, to mi wygląda na Juliana, chociaż to niemożliwe — co on by robił w tej części miasta? Jego biuro jest całe kilometry stąd. Przyglądam się bliżej. A jednak to Julian. Z szerokim uśmiechem biegnę się przywitać.

— Cześć, Julian, kto by się tu ciebie spodziewał! — wykrzykuję, klepiąc go w ramię.

Odwraca się gwałtownie, jakby dostał postrzał w plecy.

— Charlotte! — wykrztusza z szeroko otwartymi oczami, przyciskając ręką krawat do piersi.

— Och, przepraszam — usprawiedliwiam się z uśmiechem. — Przestraszyłam cię?

Szybko bierze się w garść.

— Trochę. — Śmieje się z zażenowaniem.

— Więc co tu robisz?

— Słucham? — Patrzy na mnie pustym wzrokiem.

— W tej części miasta. Myślałam, że twoje biuro jest na Chancery Lane.

Kurczę, on naprawdę zachowuje się dziwnie. Nawet podejrzenie. Co jest absurdalne. Co może być podejrzanego w Julianie?

— No tak, rzeczywiście. — Potrząsa głową z nieobecną miną. — Mam tu niedaleko spotkanie.

— Co za przypadek! — Uśmiecham się, ale on nie. — Ja też. Z dziennikarzem, w knajpce za rogiem... — Zawieszam głos i bezmyślnie patrzę w jego koszyk. I tam, pomiędzy pianką do golenia i maszynkami Gillette, widzę je.

Trojany. Extra large. Karbowane.

Nagle mnie olśniewa, dlaczego Julian zachowuje się tak dziwnie. Jest spięty, podobnie jak ja, myślę z wypiekami zażenowania. Co jest głupie, jako że oboje jesteśmy dorośli.

— Słuchaj, Charlotte, muszę lecieć. — Zerka na zegarek. — Eee, ja też. — Uśmiecham się czerwona jak burak. —

Cóż, zobaczymy się jutro.

Patrzy na mnie, jakby nie miał pojęcia, o czym mówię.

— Na kolacji — dodaję, żeby ożywić jego pamięć. — To moje urodziny. Vanessa ci nie wspominała?

— O Jezus, oczywiście... — Przeczesuje włosy palcami ze skruszoną miną. — Przepraszam, mam ostatnio tyle rzeczy na głowie.

— No to na razie.

— Na razie, Charlotte.

Odprowadzam go wzrokiem, kiedy idzie długimi krokami wzdłuż alejki, jego wysoka sylwetka w ciemnym eleganckim garniturze przyciąga wzrok kilku dziewczyn przy ladzie z kosmetykami. Nie sądziłam, że Vanessa jest taka skryta. Nie uprawiali seksu od wieków, akurat! Jak tylko ją dorwę, porządnie natrę jej uszu.

I uśmiechając się do siebie, wracam do mojej listy. Na czym skończyłam?

— Cześć.

Po spotkaniu z dziennikarzem wracam do biura i otwieram matowe szklane drzwi, spodziewając się jak zwykle powitania Beatrice, ale tymczasem widzę ją z głową na biurku, śpiącą głębokim snem, ze strużką śliny ciekącą z ust. Kiedy drzwi się za mną zamykają, wyskakuje nagle w górę jak diabeł z pudełka.

— Och... eee... — bąka, mrugając zawzięcie. Klawiatura odcisnęła się jej na twarzy, dając śmieszny efekt różowego tatuażu na lewym policzku.

— Robiłam... eee... czyściłam naszą bazę danych. Dziwna rzecz: czyszczenie bazy danych to coś, co Beatrice

robi tylko wtedy, kiedy cierpi na kaca. A co dziwniejsze, wygląda na to, że potrafi to robić z twarzą na blacie i z zamkniętymi oczami.

Szybko dusząc ziewnięcie, bierze łyk napoju energetycznego, który pieni się radośnie na biurku. Obok leży egzemplarz „Vogue'a”, który czyta w autobusie w drodze do pracy. Albo przynajmniej chce, żeby ludzie myśleli, że to czyta. I ja też tak myślałam, dopóki nie pożyczyłam magazynu w porze lunchu i nie odkryłam jej wstydliwego sekretu: pisma „New Scientist” wsadzonego do środka.

— Dobrze się czujesz? — pytam, patrząc na nią z troską.

Jej zwykle różane policzki są pokryte szarą bladością, a niebieskie oczy przekrwione.

— Nic mi nie jest. — Krzywi się, masując skronie.

— Bo mam mnóstwo paracetamolu — proponuję, sięgając po moją wielką butlę.

Wzdryga się na hałas.

— Nie, wszystko w porządku, naprawdę — szepcze, chwiejnie podnosząc się z krzesła i idąc niepewnie w stronę ekspresu do kawy. — Trochę mnie tylko mdli. Myślę, że to mogły być te mini pizze.

— Albo nadmiar szampana — dodaję złośliwie. Patrzy na mnie przerażona.

— O Boże, rzeczywiście nieco się wstawiłam. Mam nadzieję, że nie zrobiłam ani nie powiedziałam nic głupiego.

Bez ostrzeżenia moje myśli wracają do wczorajszego popołudnia i kusi mnie, żeby podzielić się z nią moim sekretem. Może Béatrice pomoże mi rzucić światło, jak i dlaczego to mi się przydarzyło. Tak czy owak, to będzie jakaś ulga zwierzyć się komuś, kto nie skieruje mnie prosto do świrowni. Zwłaszcza że ona sama jest nieco świrnięta.

— Posłuchaj, jest jedna rzecz... — zaczynam.

— Nie, nie, nic już nie mów. — Zatyka uszy, żeby odciąć się od moich słów, i zaciska oczy, jakby się obawiała konfrontacji z jakimś wielkim, zenującym *faux pas*.

— Chodzi o Patricka, tak?

— Patricka? — Myślę intensywnie. — Kto to jest Patrick?

— Dziennikarz, z którym cię poznałam — przypomina mi. — Wiesz, ten superatrakcyjny facet, który ma żonę.

Nagle zdaję sobie sprawę, że Béatrice była nie tyle lekko zawiana, ile mocno pijana. Tylko perspektywa znad kufła z piwem czy też raczej w jej przypadku znad kieliszka z szampanem mogła usprawiedliwić przemianę krępego, spoconego,

różowego Patricka, którego spotkałam, w superatrakcyjnego faceta.

— Nie. Dlaczego? Powinnam go pamiętać? Czerwieni się, jej kark pokrywa purpurowa gęsia skórka.

Otwiera jedno ze swoich wielkich niebieskich oczu i patrzy na mnie żałośnie.

— Boję się, że kiedy wyszłaś, wdałam się we flirt... — chrząka z zażenowaniem.

— Rozumiem.

Chociaż właściwie nie, nie rozumiem. Trudno wyobrazić sobie flirtującą Beatrice.

— I nagle zjawiała się jego żona.

— O kurczę! — krzywię się.

— Ni stąd, ni zowąd. Trzask, prask. Stoi przede mną w sweterku Pringle.

— No tak, podobno jest wytrawną golfistką. Beatrice spuszcza głowę ze wstydu.

— Wiem, że postąpiłam okropnie. Wiedziałam, że jest żonaty. I nie miałam zamiaru nic robić, naprawdę. Tylko że... Och, Charlotte, myślisz, że ja kiedyś kogoś spotkam?

Wygląda na tak załamana, że jest mi jej gorąco żal.

— Oczywiście, że spotkasz — mówię, ściskając ją za ramię. — Jesteś słodka, miła, super inteligentna...

— To tylko pogarsza sprawę — przerywa mi. — Mężczyźni nie chcą inteligentnej partnerki. Kręci ich uroda, nie rozum.

— To nieprawda — protestuję. — Popatrz na... — Milknę. — Właściwie teraz, kiedy o tym myślę, nikt mi nie przychodzi do głowy.

— Widzisz? Nie potrafisz nikogo wymienić — mówi oskarżycielsko, choć ze smutkiem.

— Oczywiście, że potrafię — upieram się, szukając kogoś w zakamarkach pamięci. Rusz głową, Charlotte. Ktoś taki

musi być... — Już wiem! A Miranda z *Seksu w wielkim mieście?* — wykrzykuję z triumfem. Beatrice rzuca mi mordercze spojrzenie.

— Co z Mirandą?

— No, jest super inteligentną prawniczką i ma Steve'a — zauważam. To ją tylko jeszcze bardziej przygnębia.

— No właśnie — kwituje i z grobową miną odwraca się do ekspresu. Już chcę dowodzić swoich racji, ale zmieniam zdanie. Prawdę mówiąc, coś w tym jest. Okay, Steve to porządny facet, ale raczej nie kawał chłopaka jak Aiden albo Mr Big, prawda? I ma ten naprawdę irytujący, piskliwy, nosowy głos.

— Mężczyźni lubią, jak kobiety wydają forszę na ciuchy, kosmetyki i markowe buty, a nie na teleskop za trzy tysiące funtów — ciągnie, nalewając świeżo parzoną kawę do dwóch kubków.

— Wierz mi, mężczyźni mają gdzieś, na co wydajesz forszę, pod warunkiem że to nie ich forsa... — Urywam. — Wydałaś trzy tysiące funtów na teleskop? — pytam zdumiona.

— Tak, wylicytowałam go na eBay'u. Charlotte, nie masz pojęcia, to prawdziwe cudo — entuzjazmuje się, wracając do życia, jej oczy lśnią z emocji. — Nowiutki Meade LX200R z zaawansowaną optyką systemu Ritchey-Chretien.

— Hm... to dobrze?

Beatrice chwyta się za perły i patrzy na mnie, jakbym właśnie spytała, czy ciasteczka Red Velvet z maślanym lukrem z cukierni Sprinkles na rogu są warte spróbowania.

— Niemal wszystkie teleskopy w obserwatoriach światowych mają reflektory Ritchey-Chretien, łącznie z należącym do NASA teleskopem kosmicznym Hubble'a! — oznajmia z dumą, jej twarz jaśnieje radosnym podnieceniem. Które

w mgnieniu oka gaśnie. — Widzisz, tak jest zawsze — mówi oskarżycielsko.

— Co jest zawsze?

— Ta mina.

— Jaka mina? — pytam zrezygnowana.

— Ten pusty wyraz na twojej twarzy.

— Cholera, to aż tak widać? Taką widocznie mam twarz — tłumaczę się szybko. — Po prostu tak wyglądam.

— Wcale nie. — Wydyma wargi nadąsana. — Spotyka mnie to z każdym. Zaczynam rozmawiać z ludźmi, a oni się po prostu wyłączają. Mama radziła mi podjąć pracę w PR-rze, ponieważ żaden mężczyzna nie chce mieć żony naukowca. I ma rację. Mama ma zawsze rację.

Jej wielkie niebieskie oczy wilgotnieją i szybko mruga, starając się powstrzymać łzy. Chwyta filtr do kawy jako chusteczkę.

— Nie każda mama zjadła wszystkie rozumy — protestuję gorąco, po czym szybko przywołuję się do porządku. — To znaczy, twoja mama... matka — poprawiam się — nie zawsze ma rację.

— Tak sądzisz? — Patrzy na mnie z powątpiewaniem, międląc w rękach filtr do kawy.

— Jasne. — Kiwam głową stanowczo, a potem rzucam jej pełen otuchy uśmiech. — Nie spotkałaś jeszcze odpowiedniego mężczyzny, i tyle.

— Tak jak ty Milesa... — Puszczam do mnie oko.

— Tak jak ja Milesa.

Czuję się trochę niezręcznie, kiedy uświadamiam sobie, że przez ostatnich parę dni właściwie nie poświęciłam mu myśli. Tyle się działo, miałam na głowie mnóstwo spraw. Ale teraz ta wzmianka przypomina mi, że mamy się widzieć w porze lunchu, żeby obejrzeć dom.

Ni stąd, ni zowąd ogarnia mnie zdenerwowanie. Pewno dlatego, że jestem podekscytowana, tłumaczę sobie szybko. W końcu, kto by nie był podekscytowany, idąc oglądać przyszły dom z narzeczoną?

— Skąd wiedziałaś, że to odpowiedni mężczyzna? Odwracam się, Beatrice nadal na mnie patrzy.

— Och, sama nie wiem, przyciągnęło mnie do niego mnóstwo rzeczy... — Głos mi zamiera.

— Co na przykład? — pyta z niekłamana ciekawością.

Nagle się czuję, jakbym stała na scenie, w świetle reflektorów, i miała wygłosić swoją kwestię. Ale ogarnia mnie trema i nic nie pamiętam.

— Wszystko — odpowiadam po prostu.

— Jezu, ale to romantyczne... — Wzdycha i podaje mi kawę. — Jesteś taką szczęściarą, wiesz.

— Tak, wiem.

I to prawda. Jestem szczęściarą. Powtarzam to sobie każdego dnia.

— Oho, ktoś tu zaszalał w sklepach! — przerywa Beatrice. — Robisz sobie metamorfozę?

Widzę, jak z ciekawością zagląda do mojej wypchanej torby. Jednocześnie zauważam plastry Nicorette i kilka paczek prezerwatyw, które wrzuciłam na wszelki wypadek w ostatniej chwili.

— Można by tak powiedzieć — przyznaję, szybko je zgarniam i wpycham do szuflady.

— Ale ubaw! — Śmieje się Beatrice, bierze kubek z kawą i wycofuje się do swojego biurka.

Zostawiając mnie ze spłoszonym uśmiechem i mnóstwem wątpliwości, w co się właściwie pakuję. Niewątpliwie w ciągu następnych dni będzie się wiele działo, ale nie jestem pewna, czy można to określić mianem ubaw.

Rozdział siedemnasty

— Cześć, kochanie.

Kiedy o pierwszej parkuję przed dużym wiktoriańskim domem z czerwonej cegły w zadrzewionej uliczce zachodniego Londynu, Miles już czeka przy furtce, z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Czy nie jest wprost idealny? — Kipi z radości, obejmuje mnie ramieniem w pasie i stajemy na chodniku, wlepiając wzrok w 43 Andlebury Avenue.

— No i co powiesz?

Patrzy na mnie oczami lśniącymi z podniecenia. Zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie wydałam głosu.

— O rany... — To wszystko, co z siebie wyduszam. Miles uśmiecha się.

— O rany? — pokpiwa. Wykrzywia usta z rozbawieniem. — I tyle masz do powiedzenia?

— No więc... to znaczy... — Milknę, żeby obejrzeć wielkie okna, ścieżkę z czarno-białych kafelków wiodącą do frontowych drzwi, błyszczącą miedzianą gałkę. To prawdziwy, odpowiedni, dorosły dom. Dom, w którym można zapuścić korzenie, założyć rodzinę i mieszkać przez następnych trzydzieści lat.

— Jesteś pewien, że możemy sobie na to pozwolić? — wrywa mi się.

— Och, na pewno coś wymyślimy — mówi jak zawsze, cmokając mnie czule w nos. — Ale nie ma co teraz dywagować, nawet nie obejrzelśmy go od środka.

— Nie... Tak. To znaczy masz rację — kiwam głową.

Boże, nigdy nie widziałam, żeby Miles był tak podniecony. Normalnie jest zrównoważony i trzeźwo myślący, ale dzisiaj kipi entuzjazmem. Czuję się dziwnie odizolowana. Dlaczego ja też się nie entuzjazmuję? W końcu jestem pewna, że pokocham ten dom; już na pierwszy rzut oka podobają mi się granatowe drzwi i dwie wielkie donice z juką po obu stronach. Od dawna planowaliśmy zamieszkać razem. To logiczny następny krok. Całkiem sensowny.

— Pan Richards?

Ostry głos sprawia, że odwracamy się jak na komendę i widzimy gościa w szarym garniturze w prążki, który zmierza ku nam chodnikiem. Panuje upał i pod rozchyłonymi połami jego marynarki widać plamy poru na niebieskiej koszuli.

— Benedict Meyers, agencja nieruchomości. Wymienia uścisk dłoni z Milesem i zwraca się do mnie z wyciągniętą ręką:

— I pani Richards?

— Och, nie — poprawiam go szybko i rumienię się. — To znaczy...

— Jeszcze nie — żartuje Miles i wszyscy uprzejmie chichoczemy.

— Jeśli zechcą państwo za mną pójść... — Agent nieruchomości sprawnie wyciąga wielki pęk kluczy, wyłącza alarm, otwiera drzwi i zapala światło, nie szczędząc przy tym komentarzy. — Z głównego holu na lewo mamy duży salon,

otwarty na jadalnię, co zapewnia wygodę na co dzień i elegancką przestrzeń do przyjmowania gości.

Idę wolno z tyłu, nieśmiało rozglądając się na boki. Zawsze uważałam oglądanie cudzych domów od środka za rzecz nieco wstydliwą. Jakby się wchodziło z butami w cudze życie. Historia tego domu i wspomnienia należą do kogoś innego... Przebiegam oczami po fotografiach stojących na półkach, staram się w wyobraźni umieścić tam siebie i Milesa.

— ...i działający kominek.

Zwracam wzrok na agenta nieruchomości, który zatrzymał się przed wielkim otwartym paleniskiem ceglanego kominka. Ojej, naprawdę? Uśmiecham się oczarowana. Miles mówił mi kiedyś, że nie należy okazywać zbyt dużego entuzjazmu dla oglądanej posesji, bo trudniej potem negocjować cenę, ale nie mogę się powstrzymać. Zawsze marzyłam o prawdziwym kominku.

— Hmm, czy jest także doprowadzone ogrzewanie gazowe? — wtrąca Miles, marszcząc brwi.

— Po co ci ogrzewanie gazowe? — pytam zdziwiona.

— Prawdziwy ogień wygląda czarująco, kochanie, ale to mnóstwo roboty.

— Ale wszyscy uwielbiają tańczące płomienie! — protestuję gorąco. — Są takie romantyczne.

— Może w hotelach — mówi stanowczo. — Ale nie wtedy, gdy z rana trzeba wygarniać popiół. Kiedy byłem w internacie, musiałem czyścić kominek mojego wychowawcy i wierz mi, nie należało to do przyjemności.

— Właściwie wydaje mi się, że wewnątrz komina jest kurek z gazem... — Agent przykuca i pokazuje coś. — Więc jeśli pan woli, może pan jednym ruchem to zmienić.

— Hmm... rzeczywiście.

Patrzę, jak Miles przykuca obok, głowa przy głowie.

— I może pan dostać jeden z tych bardzo realistycznych gazowych rusztów. Dają ogień, który wygląda prawie jak prawdziwy.

— Ale my możemy mieć ten najprawdziwszy! — protestuję głośno. Obaj odwracają głowy i patrzą prosto na mnie.

— Kochanie, nie miałem pojęcia, że tak lubisz żywy ogień! — mówi Miles zdumiony.

— Mhm... właściwie... w pewnym sensie — mamroczę, czerwieniąc się lekko.

Boże, teraz czuję się jak jakaś idiotka. Nie miałam zamiaru robić z tego wielkiej sprawy.

— Moja żona i ja w niczym się nie zgadzamy — wtrąca agent jowialnie. — Kłóćmy się o wszystko.

— Och, my z pewnością dojdziemy do porozumienia — zapewnia go Miles. Podchodzi i obejmuje mnie ramieniem. — Nie lubimy się sprzeczać, prawda, kochanie? — Uśmiecha się z dumą.

— Prawda — bąkam speszona.

— No widzisz. A więc załatwione. — Śmieje się Miles i zwraca do agenta. — Możemy przejść do kuchni?

Przez następne dziesięć minut zwiedzamy resztę parteru, a potem przenosimy się do ogrodu. W moim obecnym mieszkaniu mam tylko niewielki balkon, a zawsze marzyłam o dużym ogrodzie. Ten byłby idealny, myślę, patrząc na starannie przystrzyżoną trawę, na klomby kolorowych kwiatów i roślin, których nazw nawet nie znam. Ale na pewno będę mogła dostać odpowiednią książkę, decyduję, notując sobie w pamięci, żeby zajrzeć do Amazona.

— Och, popatrz, możemy urządzać barbecue! — wykrzy-

kuję, wypatrzywszy ruszt pod ogromną paprocią. Już sobie wyobrażam, jak Miles w pasiastym fartuchu przerzuca na drugą stronę hamburgery, podczas gdy ja roznoszę gościom w ogrodzie drinki na tacy. Chociaż prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, kiedy miałabym czas zorganizować barbecue, bo oboje jesteśmy zawsze tacy zajęci. Patrzę na Milesa, ale on nie zwraca uwagi ani na grill, ani na ogród. Wpatruje się w dach.

— Jak wiadomo, ta posiadłość ma tylko dwie sypialnie, ale istnieje możliwość dobudowania trzeciego, a nawet czwartego pokoju, jeśli się podniesie i zaadaptuje strych — mówi nasz agent. — Może pan zechce rzucić okiem...

— Adaptacja strychu? — Miles aż się pali do tego pomysłu.

— Tak, mnóstwo właścicieli na tej ulicy tak zrobiło. Może zajrzymy na górę?

— Miles, nie chcesz obejrzeć ogrodu?

Ale nie ma szans — wszedł już do środka z agentem nieruchomości. Czuję się trochę rozczarowana. Chciałam pokazać mu małą fontannę, barbecue i te wszystkie śliczne rośliny. W ogóle ich nie zauważył. Nie szkodzi, pokażę mu później, mówię sobie i podążam za nimi.

Na górze są dwie sypialnie z łazienką, i właśnie je podziwiam, kiedy wchodzi Miles.

— No, jak ci się podoba? — szepcze poza zasięgiem słuchu agenta.

— Jestem zachwycona! — wyrażam entuzjazm.

— Naprawdę? — Twarz Milesa przybiera wyraz błogiej ulgi.

— Tak, tu jest cudownie. — Kiwam głową z przekonaniem. — Mamy rozkoszny kominek i ogród. — Szacuję wielkość pokoju i nagle wpadam na genialną myśl. — Ten pokój byłby idealny na biuro. — Wyobrażnia już pracuje mi

na pełnych obrotach. — Biurko mogłoby stać przy oknie i zostanie jeszcze mnóstwo miejsca na drukarkę i wszystko inne.

— Osobiście mam inny pomysł...

— Chcesz postawić biurko przy ścianie? — Marszczę brwi, starając się to sobie wyobrazić. — Okay, może być.

— Nie, głuptasie. — Obejmuje mnie w talii, przytula i patrzy mi wymownie w oczy. — Myślałem, że ten pokój przeznaczymy dla dziecka.

— Dla dziecka? — Aż mnie zatyka.

— A gdzie indziej urządziłabyś pokój dziecienny? — Śmieje się i mierzwi mi włosy.

— Eee...

Zakładam włosy za uszy i staram się wymyślić, co by tu powiedzieć. Nagle czuję przyływ paniki. W jednej minucie rozmawiamy o zamieszkaniu razem, a już w następnej o dziecku? A co między jednym a drugim? Przeszliśmy po prostu nad tym do porządku dziennego. Jego prośba o rękę, moja zgoda, ślub...

Nie żebym uważała, że należy być mężatką, aby mieć dziecko, ani żebym nie chciała mieć dziecka — kiedyś — ale nigdy nawet nie rozmawialiśmy o dzieciach, oprócz jednej okazji, kiedy byliśmy na chrzcinach bratanka Milesa (dali mu na imię Horatio, co uznałam za nieco pretensjonalne, w końcu był tylko niemowlakiem). W drodze do domu dyskutowaliśmy żartobliwie, jak nazwalibyśmy własne dzieci, co wyglądało mniej więcej tak:

Ja: — Dla dziewczynki wybrałabym Tallulah.

Miles: — Brr... Brzmi jak pseudonim striptizerki. Co powiesz na Tarquin dla chłopca?

Ja: — Fuj. Brzmi jak idiota.

I tak dalej, i tak dalej, aż się znudziliśmy, i zaczęliśmy

mówić o czymś innym, zapominając o całej sprawie. W każdym razie ja zapomniałam.

— A więc są państwo zainteresowani? — Agent nieruchomości pojawia się z irytującym świergotem i odsuwamy się od siebie.

— Cóż, wystawimy nasze własne mieszkania na rynek. Nie będzie z tym żadnego problemu, bo to zawsze poszukiwane kawalerki — mówi Miles z pewnością siebie.

Patrzę na niego ostro. Wystawimy? Już? Nie pamiętam, żebym się na to zgadzała.

— Ależ oczywiście, kochanie. Przecież rozmawialiśmy o tym, nie przypominasz sobie? Skonsolidowanie naszych zasobów, sprzedanie obu mieszkań...

— Bardzo mądra decyzja — wtrąca agent.

— Hmm... tak, chyba tak — mamroczę nieco ogłuszona. Sprzedaż naszych oddzielnych mieszkań? Pewno mówił o tym, kiedy nie słuchałam.

— To idealne rozwiązanie finansowe.

— Wiem, tylko że... — bąkam, wracając myślą do kominka i braku zrozumienia Milesa dla uroku żywego ognia. Nie wiem, jak to wyrazić. Nie umiem tego wytłumaczyć nawet sobie, a co dopiero jemu. Albo agentowi, który z niepokojem obserwuje moje wahanie.

— Uprzedzam państwa, że ten dom cieszy się sporym zainteresowaniem klientów — ostrzega. — Otrzymaliśmy już nawet kilka propozycji przebijających cenę wyjściową, więc będą państwo musieli złożyć naprawdę dobrą ofertę, żeby sfinalizować umowę.

Żołądek mi się ściska. Boże, to wszystko staje się takie realne. Kupno domu to coś, o czym gawędziliśmy z Milesem przy oliwkach i butelce wina, i co w teorii brzmiało zachęcająco, ale tak naprawdę nigdy do końca tego nie przemyś-

lałam. Nie zdawałam sobie sprawy ze wszystkich konsekwencji.

— Jestem chyba trochę zdenerwowana — wyznaję.

— Wiem, kochanie. — Miles uśmiecha się dobrodusznie. — Ale czy ten dom nie jest uroczy? Zawsze mówiłaś, że chcesz mieć ogród i masę miejsca...

To prawda. Zawsze to mówiłam. Może niepotrzebnie się martwię. Patrzę na Milesa. Jest taki przystojny i elegancki, znalazł nam ten piękny dom, chce go kupić i zamieszkać ze mną.

A ja marudzę?

Weź się w garść, Charlotte, kompletnie ci odbiło? Czego więcej chcesz? Czego więcej może chcieć każda kobieta?

— Masz rację — mówię zdecydowanie. Zarzucam mu ramiona na szyję i całuję go. — Złożmy ofertę!

Rozdział osiemnasty

Po powrocie do pracy siadam przy biurku, zjadam sałatkę i patrzę na błyszczącą broszurę, którą dał nam agent. Dom wygląda zachwycająco. Ma wszystko, o czym marzyłam: lśniące drewniane podłogi, wielkie okiennice, ogród od południa. Po prostu чудо. A mimo wszystko przez całe popołudnie dręczy mnie ten nieprzyjemny ucisk w żołądku. I podczas pisania komunikatu prasowego i nawet podczas spotkania z dziennikarzem z magazynu „Sainsbury” prześladowuje mnie obraz Milesa, który mówi o pokoju dzieciennym i z rozjaśnioną twarzą rozprawia o adaptacji poddasza.

Kiedy cyfrowy zegar na monitorze przeskakuje z osiemnastej dwadzieścia dziewięć na osiemnastą trzydzieści, wyłączam komputer. Za pół godziny jestem umówiona na kolację z Larrym Goldsteinem.

— A więc do zobaczenia rano — mówię do Beatrice, schowanej za barykadą teczek, które piętrzą się na jej biurku. Pomysł, żeby zrobić porządek w gablotach o czwartej po południu, nie był najszcześniejszy.

— Wychodzisz? — Wychyla się zza stosu arkuszy A4 i patrzy na mnie z niedowierzaniem. — Już?

— Mam kolację z Larrym Goldsteinem w Claridge's — przypominam jej.

Przewraca oczami.

— Oczywiście. — Kiwa głową i przesyła mi promienny uśmiech. — Powodzenia! I nie zapomnij zamówić czekoladowych profitrolek.

W Claridge's oddaję samochód parkingowemu i wbiegam po schodach. Umundurowany odźwierny otwiera przede mną drzwi i uśmiecha się z aprobatą. Kurczę, uwielbiam Claridge's. To musi być najmiłszy hotel w Londynie. Zawsze marzyłam, żeby się tu zatrzymać. Kiedyś, po wieczorze spędzonym na West Endzie, zaproponowałam Milesowi, żebyśmy zaszaleli i spędzili tu noc, ale spojrzał na mnie, jakbym straciła rozum. Dlaczego, na miłość boską, mielibyśmy wydawać fortunę na hotel, kiedy mieszkamy zaledwie parę mil stąd? Nie o to przecież chodziło, ale cóż...

Jestem trochę wcześniej, więc przechodzę przez wielki marmurowy hol, gdzie para wymuskanych recepcjonistów odbiera telefony i przekazuje informacje gościom.

— Dzień dobry, jestem umówiona z Larrym Goldsteinem. Na tę wzmiankę para wymienia spojrzenia.

— Ach tak, Pan Uśmiech Celebrytów... — Recepcjonistka wyszczerza zęby. Trochę zbyt ostentacyjnie. Mam wrażenie, że mój klient nie jest najmilej widzianym gościem w tym hotelu. — Zadzwoń do jego pokoju. Mogę prosić pani godność?

— Charlotte Merryweather, z agencji Merryweather — dodaję z przyzwyczajenia.

— Jedna chwilka.

Kiedy wykręca numer, rozglądam się po eleganckim holu i staram się ukoić nerwy. Wokół kręci się grupa dobrze ubranych gości, a w rogu jakiś blondyn w okularach przeciwsłonecznych szepcze coś do telefonu komórkowego. Przypomina trochę Daniela Craiga. W gnicie rzeczy wydaje mi się, że to jest Daniel Craig! Ogarnia mnie podniecenie. O mój Boże, nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć Milesowi! Prawdziwy, żywy 007. I jest cudowny. Chociaż oczywiście Miles nie lubi Daniela Craiga. Mówi, że to blond karykatura Jamesa Bonda...

Odwraca się twarzą do mnie. Och, to jednak nie on.

— Miss Merryweather?

— Tak? — wrywam się z mrzonki i patrzę na recepcjonistkę.

— Pan Goldstein jest nieco spóźniony, więc zaprasza panią do swojego pokoju na drinka przed kolacją.

Serce staje mi w gardle. Do pokoju?

— Na trzecim piętrze. Numer trzydzieści pięć. Winda jest na prawo.

Cholera. A więc stało się. Teraz nie ma już ucieczki. Chwytam rączkę torebki i nerwowo zmierzam do windy. Dłonie zaczynają mi się pocić i kiedy winda nadjeżdża, wchodzę do środka pełna obaw. Daj spokój, Charlotte, mówię sobie stanowczo. Przestań się martwić. On jest tylko uprzejmy i gościnnie.

Wjeżdżam na trzecie piętro i wychodzę na słabo oświetlony korytarz. Nerwowo wygładzam spódnicę, zakładam włosy za uszy i ostrożnie pukam do jego pokoju. Słyszę kroki.

Nagle wyobraźnia podsuwa mi obraz Larry'ego Goldsteina witającego mnie w jedwabnym szlafroku.

Tylko nie to. Przestań.

Drzwi się otwierają i zbierając siły, przyklejam uśmiech na twarz.

— Dzień dobry, doktorze Goldstein...

Tylko że to nie jest doktor Goldstein. To platynowa blondynka w różowym aksamitnym dresie z puszystym małym pieskiem w objęciach. Na pierwszy rzut oka wygląda na dwadzieścia pięć lat, ale po bliższej inspekcji zdaję sobie sprawę, że jest znacznie starsza. Chociaż nie umiem powiedzieć, skąd to wiem. To jedna z tych dziwnych sytuacji, kiedy nie ma widocznych oznak starzenia się — zmarszczek, worków pod oczami, obwisłej szyi — a jednak w jakiś sposób jest oczywiste, że ta kobieta dobiega sześćdziesiątki.

— Ty musisz być Charlene! — cedzi nosowo z identycznym uśmiechem jak Goldstein.

— Charlotte — poprawiam, starając się na nią nie gapić.

— Wejdz, wejdz — zaprasza mnie, kiwając upiornym paznokciem z akrylu.

Wchodzę do środka, szumi mi w głowie. Co się tu właściwie dzieje? Gdzie jest Larry Goldstein? Rozglądam się po ogromnym apartamencie, umeblowanym antykami, na środku stoi wielki bukiet kwiatów i wszędzie leżą w nieładzie torebki z wypukłymi znakami firmowymi znanych designerów: Gucci, Prada, Dior...

— Przepraszam, nie przedstawiłam się...

— Och, uwielbiam te wasze angielskie maniery, takie formalne. — Śmieje się wesoło, przyciska futrzaną kulkę w zagłębieniu ramienia i wyciąga wybrylantowaną dłoń. — Jestem Cindy, żona Larry'ego.

Żona Larry'ego Goldsteina? To by tłumaczyło ten uśmiech. Pary upodobniają się do siebie, przypominam

sobie, patrząc na nią ze zdumieniem, że nie wspomnę już o wielkiej uldze.

— Dwadzieścia pięć lat. — Uśmiecha się z dumą.

— Moje gratulacje.

— Widzę, że jest pani zdumiona. — Poprawia włosy, nadal z uśmiechem. — Większość ludzi się dziwi, kiedy to słyszy.

— No tak, naturalnie, ponieważ on nie nosi obrączki — oddaję jej uśmiech.

— Nie, ponieważ ja nie wyglądam na swoje lata — odpowiada ostro.

— Larry nie nosi obrączki, bo jest dentystą kosmetycznym. Ręce są jego narzędziem pracy.

Na szczęście, zanim rozmowa staje się jeszcze bardziej niezręczna, z łazienki wyłania się Larry w kłębach pary jak superbohater w wirze suchego lodu. Wymuskany, pachnący mocno wodą po goleniu, rozmawia głośno przez telefon: „Tak, Roger, dostałem faks. Projekt wygląda imponująco...”. Na mój widok macha. „Akurat jest u mnie agentka PR, więc pokażę jej te pomysły i dam do opracowania. Okay, później”.

Rozłącza się i kieruje uwagę na mnie.

— Przepraszam, że jestem niegotowy — mówi, choć wcale nie sprawia wrażenia skruszonego. — Jak widzę, zdążyłyście się poznać.

Podchodzi do żony i obejmuje ją ramieniem. Oboje uśmiechają się, jakby ktoś robił im zdjęcie: Cindy, Larry i piesek. Przypomina mi to oficjalne zdjęcia amerykańskiego prezydenta i pierwszej damy.

— Cindy przyleciała do mnie wczoraj. Chciała trochę pozwiedzać, zrobić jakieś zakupy.

— Och, uwielbiam tę waszą Bond Street! — Wykrzykuje z emfazą.

— No i Harrodsa!

Domyślam się po tych okrzykach, że wyraża entuzjazm, ale trudno powiedzieć, bo jej twarz jest prawie nieruchoma z powodu nadmiaru wstrzykniętego botoksu.

— To najlepsze centrum handlowe, w jakim byłam! Nawet lepsze od Macy's.

— Właściwie to nie centrum... — zaczynam, ale nie daje mi skończyć.

— I te egipskie schody! — Przewraca oczami. — Kto by pomyślał, że w piramidach były ruchome schody! Powiedziałam do Larry'ego: „Prawda, że to niewiarygodne? I to tyle lat temu”.

Patrzę na nią ze zdumieniem. Chyba nie myśli... a może myśli?

— Dirty Martini?

Przenoszę wzrok na Larry'go, który potrząsa shakerem.

— Mój ulubiony trunek! — Twarz Cindy się rozjaśnia. Co robi wrażenie pod tym całym makijażem.

— Charlene?

— Nie, dziękuję, właściwie nie powinnam.

— Rozumiem. Dwanaście kroków? — Cindy postukuje palcem po nosie konspiracyjnie.

Patrzę na nią nierozumiejącym wzrokiem.

— AA — wyjaśnia, zniżając głos, jakby ktoś mógł usłyszeć. — Wszyscy nasi przyjaciele są w tych grupach. Właśnie ostatnio zaproponowałam Larry'emu, żebyśmy też się przyłączyli. Mają fantastyczne osiągnięcia.

— Nie, nie. — Potrząsam głową. — Po prostu przyjechałam samochodem.

— Wszyscy tak mówią. — Uśmiecha się, kiedy Larry podaje jej martini.

— Nie, ja naprawdę... Cindy znów przerywa.

— Nie martw się. Nikomu nie piśniemy ani słowa. — Przykłada wymanikiurowany szpon do powiększonych kolagenem ust i mówi szeptem: — Lany i ja jesteśmy wcieleniem dyskrecji.

— Charlene nie pije wina, jest w AA. — Cindy przykrywa dłonią mój kieliszek, oznajmiając to na cały głos kelnerowi, który okrąża stół z butelką cabernet sauvignon. Kilka osób przy sąsiednich stolikach odwraca głowy w moją stronę. Czuję, że policzki mi płoną.

— Właściwie ja wcale...

— Wszystko w porządku, skarbie. Nie musisz się tłumaczyć — mówi scenicznym szeptem, poklepując mnie po ręce.

Niech będzie. Daję za wygraną. Mam na imię Charlene i jestem alkoholiczką.

Po dwóch następnych Dirty Martini schodzimy do restauracji na dole. Cindy nalega, żeby wziąć ze sobą Foo-Foo, miniaturową suczkę rasy chihuahua i po krótkiej sprzeczce z maître d'hôtel — „Nie wolno tu wprowadzać psów, madame”. „Foo-Foo nie jest psem, to moje dziecko!” — dostajemy stolik, pod warunkiem że „dziecko” zostanie w jej torebce Fendi.

— Więc jak mówiłem, chętnie usłyszę twoją opinię na temat lokalizacji i wystroju naszej nowej modelowej kliniki Uśmiech Gwiazdy — mówi Lany Goldstein; wyjmuje teczkę i robi dla niej miejsce na stole.

— Tak, rozumiem. — Kiwam głową z ulgą, że w końcu przechodzimy do interesów.

— Dostałem właśnie faks od projektantów z Los Angeles i Londynu, którzy proponują rozwiązanie wnętrza. Ma być

organiczne, totalnie awangardowe pod względem wizualnym, bardzo nowoczesne, minimalistyczne, ale przestrzenne, sexy, ale z najnowszym wysokospecjalistycznym sprzętem. Coś w rodzaju Barbarella zwiedza General Hospital.

— Dobrze, w porządku — mówię, szybko starając się jakoś to ogarnąć.

— Naturalnie, w związku z generalnym remontem w najlepszym razie wystartujemy późną jesienią, chociaż realistycznie rzecz biorąc, przeciągnie się to zapewne do grudnia.

— Tym lepiej — cieszę się. — Dzięki temu będziemy mieli więcej czasu, żeby rozniecić ciekawość i rozbudzić zainteresowanie, przedstawić twoje osiągnięcia... To znaczy bliżej przedstawić — dodaję szybko, widząc jego grymas. — Trzeba zorganizować huczne otwarcie Uśmiechu Gwiazdy, zdobyć pierwszych pacjentów, zaprosić paru celebrytów, zrobić szum w mediach...

— Wspaniale. — Teraz na jego twarzy gości zadowolenie.

— Wspominałeś coś, że moja pomoc może się przydać w wybraniu odpowiedniej lokalizacji...

— Mamy na oku dwa lokale, o które się staramy, oba na Harley Street. — Wyjmuje z teczki arkusz papieru i podsuwa w moim kierunku.

— Rozumiem — przytakuję i rozpościeram arkusz. To plan dwóch pięter ze zdjęciami i szkicami architekta. — Okay, popatrzmy. Oba lokale są duże i mają wszystkie udogodnienia.

— Mhm... tak, tak. — Kiwa głową i popija wino.

— No i oczywiście Harley Street to prestiżowy adres, znany w świecie z najlepszych lekarzy.

Lany Goldstein uśmiecha się z satysfakcją.

— Właśnie to powiedział łowca terenów, dlatego walczymy o umieszczenie tam kliniki.

Waham się.

— Ale pozwolę sobie zauważyć, że to miejsce trochę... — Urywam.

— Mów, mów... — zachęca Lany Goldstein.

— Pachnie starością.

— Pachnie starością? — Do tej pory Cindy pieściła Foo-Foo i piła wino, ale na te słowa w widoczny sposób się skuliła. Jak wampir, który właśnie poczuł zapach czosnku.

Larry Goldstein mruży oczy i przygważdża mnie spojrzeniem.

— Zapewniano mnie, że jest najlepsze — mówi naburmuszony.

— Zależy, co kto uważa za najlepsze — dodaję szybko. — Twoi potencjalni klienci powinni wiedzieć, że jesteś nie tylko najlepszy, ale i nowatorski.

Na słowo „nowatorski” twarz nieco mu się rozchmurza.

— Jesteś nie tylko światowej sławy dentystą kosmetycznym — podlizuję się bezwstydnie — a Uśmiech Gwiazdy jest nie tylko kliniką dentystyczną. Jest propozycją nowego stylu życia.

Przytakuje mi teraz, kąćki jego ust się podnoszą.

— Większość ludzi nie chce wydawać fortuny na dentystę. Brytyjczycy nie lubią dentystów; mamy fobię na punkcie grzebania w zębach.

Larry Goldstein lekko się wzdryga.

— Zauważyłem.

— Chodzenie do dentysty nie jest naszym ulubionym zajęciem, ale gdyby stworzyć coś atrakcyjnego, coś pożądanego...

— Na przykład?

— Na przykład potraktuj Uśmiech Gwiazdy jak najnowszą designerską torebkę, parę butów albo luksusowy samochód. Wtedy będziesz bliski wygranej.

— Wygrana — powtarza Cindy z aprobatą z drugiego końca stołu. — Wszyscy chcemy być wygrani w życiu, prawda? Pamiętasz, jak byliśmy w Vegas, kochanie...

— A więc, co mówiłaś? — pyta Larry, ignorując żonę i wpatrując się we mnie intensywnie.

— Że powinieneś mieć klinikę w jakimś modniejszym miejscu — wyznaję szczerze. Co prawda, może się obrazić za krytykę jego wcześniejszego wyboru, ale, do diabła, po to mnie wynajął. — Że potrzebny ci jest nowy, modny adres. Gdzie celebryci będą z chęcią pozować do fotografii, zamiast wymykać się ukradkiem od dentysty z Harley Street.

— Hm, tak, myślę, że możesz mieć rację... — Larry kiwa głową z namysłem. Nagle z ożywieniem wyjmuje swojego iPhone'a. — Skontaktuję się zaraz z moimi agentami nieruchomości.

Cudownie, myślę z biciem serca. Mam ochotę poklepać się po ramieniu. To spotkanie naprawdę dobrze mi poszło.

— Chcecie jeszcze dokądś pojechać, korzystając z pobytu w Europie? — zwracam się do Cindy.

Trochę mi nieswojo, że została wyłączona z rozmowy. Ale jej to najwyraźniej nie przeszkadza, wesoło przyzywa kelnera, żeby ponownie napełnił jej kieliszek. Jeśli ktoś myśli, że Amerykanie nie piją, to nie zna Cindy.

— No cóż, mówiliśmy o Paryżu... — ćwierka.

— Jasne, możecie wziąć Eurostar. Teraz mamy wygodne szybkie połączenie z St Pancras Station. Podróż zajmuje tylko dwie i pół godziny.

— Ale z drugiej strony powiedziałam do Larry'ego: „Właściwie po co tyle trudu? Przecież widzieliśmy wieżę Eiffla w Vegas”.

Patrzę na nią ogłupiała.

— Przepraszam, czy powiedziałaś Vegas?

— Tak, na Stripie! — Marszczy brwi, jakbym była trochę niedorozwinięta. — Odtworzyli tam mnóstwo miast: Paryż, Nowy York, Wenecję... Płynęliśmy gondolą, było cudownie. — Siorbie swojego szampana. — Powinnaś koniecznie tam pojechać.

— Eee... tak, na pewno — obiecuję.

— Może złożymy zamówienie? — proponuje Larry Goldstein.

Zgadzam się z ulgą i szybko zasłaniam twarz menu.

Rozdział dziewiętnasty

Do domu wracam tuż przed dziesiątą. Ciskam torby w przedpokoju i zrzucam szpilki. Stopy bołą mnie jak diabli. Wlokę się bosą do salonu, rzucam na sofę i włączam telewizor. Pooglądam coś przez kilka minut, zanim wezmę się do roboty, którą przyniosłam z biura, mówię sobie, wyciągając się na poduszkach z potężnym ziewnięciem.

Boże, ale jestem zmęczona. Prawie nie spałam zeszłej nocy. Ani poprzedniej, jeśli już o to chodzi. Połowę nocy oglądałam zdjęcia. Skoro o tym mowa... Zerkam na albumy: są nadal rozrzucone po podłodze, a stosiki luźnych fotografii leżą obok w nieładzie. Dziś rano nie miałam czasu, żeby je pozbierać, bo śpieszyłam się jak zwykle, ale lepiej zrobić to teraz, zanim jutro przyjdzie sprzątaczką.

Uwielbiam mieć sprzątaczkę. To jedna z korzyści dorosłego wieku, móc sobie pozwolić na luksus sprzątaczkę. Tylko że jak na ironię sama zwykle sprzątam przed jej przyjściem, bo nie chcę, żeby uważała mnie za fleję.

Wstaję z sofy i zabieram się do porządkowania fotografii, kiedy dzwoni mój BlackBerry. Patrzę na ekran. To Beatrice.

— Zamówiłaś profitrolki? — Brzmia jej pierwsze słowa.

— Co?

— Na deser?

— Hm... nie... piliśmy zieloną herbatę.

— Tylko herbatę? — wykrzykuje. — Jaka szkoda. One są takie pyszne.

Patrzę na zegarek.

— Beatrice, zadzwoniłaś do mnie, żeby porozmawiać o deserach? Bo jest dość późno...

— Ups, przepraszam — mówi bez tchu. Beatrice zawsze mówi bez tchu, nawet jeśli siedzi na krześle. — Chciałam się dowiedzieć, jak ci poszło z Lanym Goldsteinem i czy nie potrzebujesz jakichś faktów albo liczb, czegokolwiek, jutro od samego rana.

Moje zniecierpliwienie zamienia się we wdzięczność. Są asystentki i jest Beatrice.

— Wszystko poszło jak z płatka — mówię i wtykam telefon pod brodę, żeby dalej zbierać fotografie. — Chyba kupił mój pomysł na lokalizację jego nowej reprezentacyjnej kliniki, więc umówiliśmy się na kontakt w poniedziałek, żeby omówić szczegóły przed wydaniem ostatecznego oświadczenia dla prasy.

— Brawo! — chwali mnie. — Sprawdzić kalendarz i zobaczyć, kiedy jesteś wolna? Mam go tu pod ręką...

Jak mówiłam, Beatrice traktuje prowadzenie kalendarza bardzo serio.

— Doskonale.

Wracam do fotografii. Jezu, tyle ich jest, a ja wciąż nie przejrzałam wszystkich albumów, myślę, patrząc na te zostawione w pudle. Wyjmuję dwa z wierzchu. Chwileczkę, co to takiego? Jeden jest mniejszy i oprawiony w skórę. Kiedy go otwieram, okazuje się, że nie ma w nim zdjęć, tylko strony

zapisane moim pismem. O rany, to mój stary pamiętnik! I są jeszcze inne.

Wyciągam je z dna pudła i wybieram ten z wytłoczonym na okładce rokiem 1997. Serce skacze mi do gardła. Pisałam go, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat.

— No więc tak: o dziewiątej masz konferencję telefoniczną z ludźmi z Cloud Nine, żeby omówić ich nową serię wody perfumowanej. Później o dziesiątej jesteś umówiona na kawę z Katie Proctor, dziennikarką, a dalej, o jedenastej masz spotkanie...

Kiedy Beatrice skupia się na terminarzu, czytam mój własny pamiętnik sprzed dziesięciu lat. Oto pierwszy dzień w Londynie pod datą 23 lutego 1997 roku. Przebiegam oczami opisy biura, mojego szefa, Nesy:

Wysoka blondynka, paliła papierosa na murku przed biurem, wygląda naprawdę szalowo, ale trochę mnie onieśmiela. Ma na imię Vanessa, powiedziała, że zostało wzięte z „Podróży Guliwera”, Jonathana Swifta. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami.

Uśmiechając się do siebie, przerzucam drżącą ręką strony na datę dzisiejszą. Ciekawe, co robiłam tego dnia dziesięć lat temu? Zerkam na zawijasy na kartce.

Jestem taka podekscytowana! Nie, mogę się na niczym skupić.

Hę? Czym mogłam się tak ekscytować?

Cały, tydzień czekałam na to, żeby zobaczyć ten zespół. Jest fantastyczny! Nie, ma jak Opętany Geniusz!

Zaraz, chwileczkę.

Z niepokojem patrzę jeszcze raz na wpis. Poszłam na Opętanego Geniusza? Ale to się nie zgadza — to było dopiero w sobotę. Znów zerkam na datę. Źle ją odczytałam? Nie, z całą pewnością jest tam dzisiejsza data: dwudziesty trzeci sierpnia.

— To niemożliwe — mówię zdumiona. Przeglądam pamiętnik do tyłu.

Po drugiej stronie telefonu Beatrice wpada w panikę.

— Ale to konieczne. Już potwierdziłam twoje spotkanie o trzeciej — mówi zatroskana.

— Och nie, nie o to chodzi. Przeglądałam tylko stary pamiętnik i dzisiejszy dzień tygodnia nie zgadza się z tamtą datą. Musiałam coś pokręcić.

— Jasne, że się nie zgadza — odpowiada z widoczną ulgą. — Kalendarze różnią się z roku na rok.

O mój Boże, oczywiście. Jaka ja jestem głupia! Nawet o tym nie pomyślałam.

— Gregoriański kalendarz słoneczny jest kalendarzem arytmetycznym — ciągnie rzeczowo. — Podstawową jednostką czasu jest dzień, a rok liczy sobie od trzystu sześćdziesięciu pięciu do trzystu sześćdziesięciu sześciu dni. Kalendarz słoneczny powtarza każdy ze stu czterdziestu sześciu tysięcy, dziewięćdziesięciu siedmiu dni, które wypełniają czterysta lat i dają dwadzieścia tysięcy osiemset siedemdziesiąt jeden siedmiodniowych tygodni.

— Rzeczywiście? — pytam niezbyt przytomnie, patrząc na pamiętnik na moich kolanach.

To by wszystko tłumaczyło. Dzisiaj jest czwartek, ale kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, była sobota. Co znaczy, że... Kurczę, to oczywiste: zespół Billy'ego Romani gra dzisiaj. Jasny gwint.

— Z tych czterystu lat trzysta trzy, tak zwane lata zwykłe, mają trzysta sześćdziesiąt pięć dni, a dziewięćdziesiąt siedem, lata przestępne, ma trzysta sześćdziesiąt sześć dni. To daje średnią długość roku dokładnie trzysta sześćdziesiąt pięć przecinek dwa tysiące czterysta dwadzieścia pięć dni albo trzysta sześćdziesiąt pięć dni, pięć godzin, czterdzieści dziewięć minut i dwanaście sekund.

Beatrice dalej nawija, ale ja już nie słucham. Nie mogę oderwać zmartwiałego wzroku od napisu na samym dole. Bo tam, drukowanymi literami, podkreślone dwa razy i z czterema, nie, z pięcioma wykrzyknikami, widnieją słowa, których się tak bałam:

SPALAM Z Billym Romani!!!!

Biorę głęboki oddech.

— Pieprzyć to!

No właśnie. Pieprzyliśmy się całą noc, o ile dobrze pamiętam.

— Charlotte? — pyta Beatrice niepewnie. — Wszystko w porządku?

Nie, nie w porządku. Nic nie jest, do cholery, w porządku! Właśnie jestem o krok od zrobienia straszliwego błędu!

— Jasne, nie przejmuj się... — uspokajam ją. Szumi mi w głowie, zerkam na zegarek. Może nie jest za późno. Może jeszcze zdołam wszystko odkręcić. Zrzucam pamiętnik na podłogę i zrywam się na równe nogi. — Ale muszę już iść.

— Iść?

— Eee... tak — jąkam się. W telewizji rozlega się jakaś muzyka i zerkam na ekran. — Zaraz będzie *Project Runway* — wypalam. — To mój... hm... ulubiony show.

— Naprawdę? No to baw się dobrze. Do zobaczenia jutro.

— Do zobaczenia.

Odkładam słuchawkę i szukam z obłądem w oczach kluczyków do samochodu. Są! Zgarniam je ze stolika do kawy, chwytam pilota i wyłączam telewizor.

Niby byłam wielbicielek zespołu Opętany Geniusz, ale nie pamiętam żadnego ich utworu. Ani jednego. Co jest dziwne, biorąc pod uwagę, że wciąż mam w pamięci słowa piosenki *Making Your Mind Up* zespołu Bucks Fizz, a nie mogłam mieć więcej niż pięć lat, kiedy wygrali konkurs Euro wizji.

Ale jestem pewna, że to wszystko wróci, gdy usłyszę ich dziś na scenie, mówię sobie, jadąc znów objazdem. Niespodziewanie czuję dreszczyk emocji. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam na koncercie. Choć nie, pamiętam. To był występ zespołu Licencja na Zachwycanie, który powstał ku czci Jamesa Bonda i wykonywał wszystkie motywy muzyczne z jego filmów.

Niechętnie wspominam tamten wieczór sprzed paru miesięcy. Miles kupił bilety. Jest zagorzałym fanem Jamesa Bonda. Setki razy przeczytał wszystkie książki Iana Fleminga i może cytować całe dialogi filmowe z pamięci. Co mogłoby doprowadzać mnie do szału, gdyby nie Daniel Craig w tych kąpielówkach. Mogłabym oglądać go bez końca. Chociaż zdaniem Milesa prawdziwy sympatyk 007 uznaje tylko Seana Connery.

Niemniej lubię piosenkę Shirley Bassey w *Goldfinger*, jak każdy, ale podstarzałe trio z Manchesteru grające na syntezatorach, w oprawie migających kolorowych świateł, to było trochę za dużo. Ich wielki finał głosił: „Nikt nie robi

tego lepiej", chociaż, całkiem szczerze, przysięgam, że ja zrobiłabym to lepiej. W gruncie rzeczy gadająca papuga babki Mary zrobiłaby to lepiej. Ale oczywiście nie powiedziałam tego Milesowi. Nie chciałam sprawiać mu przykrości, więc rozplęwałam się w zachwytach, jacy byli nadzwyczajni.

Niestety, gorzko się to na mnie zemściło, jako że poszedł i kupił mi ich płytę, „bo tak bardzo ci się podobają”. Więc teraz muszę udawać, że ich ciągle słucham, ilekroć Miles jest ze mną w samochodzie.

Jadąc tą samą drogą co wczoraj, ścinam zakręt w boczną ulicę. Na szczęście jest późno i prawie nie ma ruchu, więc wkrótce zatrzymuję się przed pubem Wellington. Kiedy przekręcam kluczyk, słyszę chaotyczny harmider dochodzący ze środka.

O kurczę. Nagle lekkie podniecenie, które czułam wcześniej, zastępuje gwałtowny atak strachu i widzę się w obskurnym klubie, gęstym od dymu papierosowego, rozedrganym od huków, który niemal rozrywa głośniki. Może to nie był taki dobry pomysł. Może nie bez powodu zapomniałam wszystkie piosenki Opętanego Geniusza.

Czując, że moja determinacja słabnie, zmuszam się do wejścia. Nie mogę się teraz wycofać. Jestem tu dla siebie, upominam się. Dla Lottie, dwudziestojednoletniej dziewczyny, którą byłam. I która właśnie jest na najlepszej drodze do nieszczęsnej przygody z Billym Romani.

Chyba że ją uratuję.

Zdecydowanie chwytam za klamkę i otwieram drzwi samochodu. Kiedy wychodzę na chodnik, słyszę stłumiony łomot bębnowy, towarzyszy mu jakieś dziwne zawodzenie, które nie przypomina głosu istoty ludzkiej. Okay, może to nie brzmi zachęcająco, ale przynajmniej nie może być gorsze niż Licencja na Zachwywanie, pocieszam się, zatrząskując drzwi

i śpiesznie zmierzając do pubu. Poza tym byłam fanką tego zespołu, prawda? Moje upodobania muzyczne nie mogły się aż tak zmienić. Poważnie, czy mogłam mieć naprawdę zły gust?

Mogłam. Bardzo zły. Koszmarny.

Kiedy otwieram drzwi do Wellington, wita mnie huk, jakby perkusja została zrzucona ze schodów razem z perkusistą.

— Dzięki Bogu, zdążyłaś!

I Lottie, która wypatrzyła, jak stoję niepewnie w drzwiach, podbiega kłusem. Jest zaopatrzona w jabłecznik i ma na sobie spodnie ze skaju, w których jej nogi wyglądają, jakby były próżniowo zapakowane w parę błyszczących czarnych foliowych worków na śmieci. Boże, zapomniałam o nich. Muszę je dodać do listy rzeczy „czego nie nosić”. Przy tym wszystkim, jej figura wygląda fantastycznie, stwierdzam ze zdumieniem.

— Cześć. Przepraszam za spóźnienie, ale musiałam...

— Straciłaś niemal cały występ — sapie ze zniecierpliwieniem, wciskając mi bilet do ręki. — Pośpieszmy się, zaraz zaczną grać wersję unplugged.

Kiedy muzyka milknie, Lottie chwyta mnie za ramię i ciągnie do małej salki na tyłach. Ciasnej i zatłoczonej do granic możliwości; są tylko miejsca stojące. Lottie przeciska się do prowizorycznej sceny. Opętany Geniusz zniknął na zapleczu, a pracownik techniczny ustawia teraz krzesło i mikrofon.

— Więc naprawdę kochasz ten zespół, co? — Przebijam się do Lottie, której oczy są przyklejone nieruchomo do sceny.

— Wiesz, kocham wokalistę, Billy'ego Romani — wyznaje, popijając jabłecznik.

Nagle za sceną słycać jakiś ruch.

— O mój Boże, już idzie, już idzie — dyszy Lottie. Czuję ucisk w klatce piersiowej i staram się opanować.

Ogarnia mnie ciekawość i niepokój zarazem na myśl, że go znów zobaczę. Po wszystkich tych latach ledwo pamiętam, jak wyglądał; prawdę mówiąc, zostało mi tylko mgliste wspomnienie pożądania. No i oczywiście robiłam wszystko, żeby o nim zapomnieć.

W zamieszaniu zostaję wypchnięta za Lottie, ale ona nosi płaskie pantofle, jak przedtem ja, więc teraz na obcasach jestem o wiele wyższa i widzę ponad jej głowę. Mój żołądek wypuszcza chmurę motyli. Lada moment znów go zobaczę i nie mam pojęcia, co będę czuła.

I oto jest: potężna postać ubrana na czarno przemierza z gitarą scenę. Opada na krzesło i przedłuża ciszę, żeby pociągnąć łyk piwa.

A ja nie czuję zupełnie nic.

Patrzę na niego zdumiona.

To on? To jest mężczyzna, na którego punkcie szalałam? Spodziewałam się silnych emocji — pożądania, smutku, złości, czegokolwiek — a tu nic, tylko ogromne rozczarowanie. Wydawał mi się taki niesamowity, taki wyrafinowany, a tu...

— Ma na sobie skórzane spodnie — syczę, nagle rozśmieszona. Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale nie tego, że będzie śmieszny. Wygląda jak kompletny idiota, właściwie jest mi go żal. — Na dodatek aż do bólu obcisłe! — pryham. Ha! To powinno zdecydowanie ją zniechęcić.

— Wiem. — Kiwa głową, oczy majak spodki. — Sexy, co? Patrzę na nią skonfundowana. Nie takiej reakcji oczekiwa-

łam. Dlaczego nie kpię? Nie szydę? Nie rzucam żartu na temat Michaela Flatleya, Lorda Tańca? Czyżby...? W głowie dojrzeła mi absurdalna myśl. Czyżby dawno, dawno temu podobali mi się mężczyźni w skórzanych spodniach?

I ze sznurowanym rozporkiem, zauważam ze zgrozą. Szturcham szybko Lottie.

— Patrz na jego rozporek!

— Hej, trzymaj łapy przy sobie, on jest mój — chichocze.

— Nie, nie to miałam... — Nie dane mi skończyć.

— To piosenka, którą napisałem o tym szalonym roller-coasterze, zwanym życiem — cedzi chropawym głosem Billy Romani do mikrofonu, ze spuszczonej oczami, jakby się czuł skrępowany pod światłem reflektorów.

Ludzie, zmiłujcie się! On jest równie nieśmiały jak Paris Hilton, myślę, kiedy zamyka oczy i zaczyna zawodzić żałośnie, nie szczędząc płuc. Ciągnie się to i ciągnie. Aż w końcu, po dwóch bisach, jest po wszystkim i czym prędzej steruję Lottie z powrotem do głównego baru, gdzie będzie bezpieczna.

— O, tam są wolne miejsca. — Wypatrujemy dwa wolne krzesła i siadamy.

Uff! Czuję niekłamaną ulgę. To nie było takie trudne. Teraz musi tylko skończyć swojego drinka, a potem możemy wyjść i mieć to wszystko za sobą.

— Hej, czy to krzesło jest zajęte? Cholera jasna. Za wcześnie triumfowałam.

Obie podrywamy głowy i widzimy nad sobą Billa z leniwym uśmiechem. Pod tym uśmiechem kiedyś cała bym się rozplynęła, teraz pozostaję twarda jak skała.

— Tak!

— Nie.

Obie odpowiadamy jednocześnie, Lottie i ja. Potem pat-

rzymy na siebie. Robi załosną minę, jakby chciała powiedzieć: „Co ty wyprawiasz?” i rzuca mi zdesperowane spojrzenie. Od razu serce mi mięknie. Teraz on mógł dla mnie nie istnieć, ale kiedyś kochałam się w nim na śmierć i życie.

— Nie, nikt tu nie siedzi — mówi Lottie szybko. Patrzę, jak się przymilnie uśmiecha, wyraźnie zauroczona.

Boże, on mi się naprawdę, naprawdę podobał. Widzę w moich oczach to pełne nadziei pragnienie, żeby się spotkać z wzajemnością.

I na krótki moment wszystko do mnie wraca. Uczucie uniesienia tej nocy, którą spędziliśmy razem. Było cudownie. Całkiem poważnie myślałam, że on będzie tym jedynym. A potem znalazłam się w głębokim dole, kiedy okazało się, że nie będzie. Ale popełniałam mnóstwo błędów, kiedy byłam młoda, myślę, patrząc na niego i zastanawiając się, co takiego w nim widziałam. Boże, gdybym tylko wiedziała wtedy to, co wiem teraz...

— Fajnie. — Stawia krzesło tyłem, siada okrakiem i obejmuje oparcie. Przebiegam wzrokiem jego koszulę, rozpiętą do pępka, krzyż zawieszony na szyi, gładki, bezwłosy tors. Patrzę na Lottie, mając nadzieję, że z ironią wzniesie oczy do nieba i wymieni ze mną konspiracyjny chichot, ale nie — jej oczy zasnuwa mgiełka rozmarzenia, jak u mężczyzn oglądających magazyn z gołymi babami.

— Przy okazji, jestem Billy. — Wyciąga rękę i widzę błysk srebra w półmroku pubu.

O mój Boże, czy to...? Przyglądam się bliżej.

Już kiedy myślałam, że nie może być nic gorszego niż sznurowane w kroku skórzane spodnie i krzyż na piersiach, okazało się, że może. On nosi pierścionek z trupią czaszką i pieszczelami.

— Jestem Lottie.

— A ja Charlotte — mówię, chwytając jego rękę i uprzedzając Lottie. Przy czym ściskam mu palce trochę mocniej niż to konieczne.

— Masz uścisk co się zowie — kwituje, kiedy w końcu go puszczam.

— O mało nie złamałaś mi palców.

Jak ty mi serca, mam ochotę odpowiedzieć, ale ograniczam się do:

— Och, naprawdę?

Rozmasowując palce, zwraca się do Lottie, która siedzi obok i patrzy na niego z uwielbieniem.

— Więc jak ci się podobał występ?

— Był genialny. Ty byłeś genialny — wyraża zachwyt i nagle speszona czerwieni się.

Brrr... Czy nie mogłam być wtedy choć trochę bardziej powściągliwa?

Billy Romani uśmiecha się zadowolony, odgarnia gęstą czarną czuprynę spadającą mu na czoło i pochyla się nad stołem — światło oświetla mu twarz. Jest dokładnie taki, jak pamiętałam: wysokie kości policzkowe, ciemne, wyraziste oczy, zmysłowe usta o idealnym zarysie. Muszę przyznać, że mimo biżuterii i skórzanych spodni to nadal najbardziej seksowny mężczyzna, jakiego znałam.

Co, oczywiście, siłą rzeczy, zrobiło z niego skończonego drania.

— Miło mi to słyszeć, zwłaszcza że pracujemy teraz w studiu nad nowym albumem, szlifując ścieżki dźwiękowe. To będzie prawdziwa bomba. Totalnie świeży dźwięk. Kombinacja pierwiastka duchowego z fizycznym i z metafizyką.

— Kombinacja pierwiastka duchowego z fizycznym i z metafizyką?

— parskam ironicznie. On może sobie czarować Lottie, wciskając jej ten swój kit, ale nie mnie.

Jednak on nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Nagle stałam się tą brzydką przyjaciółką, odsuwaną na bok, a nasz rozmówca skupił się bez reszty na Lottie.

— Czy już ci ktoś mówił, że masz naprawdę długie rzęsy? — pyta teraz, wpatrując się w nią intensywnie.

To tusz do rzęs, ty głupku, myślę, ale moja młodsza ja tylko chichocze zachęcająco.

— I cudownie pachniesz.

No nie. Chyba się przesłyszałam. Nie powiedział tego banału.

— Dziękuję.

Rzucam Lottie ostre spojrzenie. Nie mogę uwierzyć, że ja kiedyś załapywałam się na takie wyświechtane frazesy.

Mało powiedziane: załapywałam, myślę, obserwując siebie zarzucającą włosami jak w reklamie szamponu. Jeszcze chwila, a będę leżała plackiem u jego stóp.

Z wolna ogarnia mnie panika. Jasny gwint, jest gorzej niż myślałam. Popatrzcie tylko na mnie! Jestem kompletnym wyciruchem. Rozlega się perlisty śmiech i widzę, jak moje dziewczęce ciało pochyla się ku niemu. Przysięgam, jeszcze minuta, a wczepię się w niego. Tak jest. Wczepię.

A to nie jest nawet pierwsza randka! Doprawdy, Charlotte Merryweather, jaka ty byłaś? Nie miałam pojęcia, że taka łatwa.

— Masz chłopaka?

Cholera. Muszę coś zrobić. I to szybko. Spanikowana, rozpaczliwie szukam w myśli rozwiązania; kątem oka widzę, jak on kładzie rękę na kolanie Lottie, i nie mogę się powstrzymać...

— Co jest?

„Niechący" kopię stół, niedopity jabłecznik Lottie przewraca się i zalewa mu spodnie. Natychmiast odsuwają się od siebie i on skacze na równe nogi.

— Ups, ale ze mnie niezdarą — mówię przeprasząco. Poważnie, powinnam być aktorką. Dostałabym Oscara.

— Nic nie szkodzi — odpowiada Billy, uśmiechając się krzywo.

— Mam chusteczkę. — Lottie wyjmuję chusteczkę z torebki i zaczyna gorliwie wycierać go w kroku, podczas gdy on z obrzydzeniem patrzy na rozlewającą się wokół jego nóg kałużę.

— Hej, może pan to sprzątnąć? — wrzeszczy do barmana, który zbiera szklanki z pobliskiego stolika.

— Słucham?

Kiedy się odwraca, widzę, że to ten sam barman co poprzednim razem.

— O kurczę, nie, ja to zrobię, to była moja wina — zaczynam szybko, ale Billy Romani mnie powstrzymuje.

— To jego praca — mówi wesolutko. — Prawda, stary? Zauważam, że szczęki barmana się zaciskają.

— Prawda. — Uśmiecha się uprzejmie, bierze ścierkę i wyciera plamę. — Mały wypadek, co? — Mruga do mnie.

— Mhm... tak... niestety. — Kiwam głową, czerwieniąc się, kiedy odchodzi.

— Masz ochotę na jeszcze jednego drinka? Odwracam się do Billa, który proponuje to Lottie. Ale

jestem niezrażona. Z wiekiem zrozumiałam, że powstrzymanie szarżującego samca wymaga skóry grubszej niż podeszwa.

— Tak, proszę — odpowiadam głośno. — Dla mnie wódka z tonikiem. — Co prawda nie piję, bo prowadzę, ale przez lata nauczyłam się jednej rzeczy: nie tak nie wkurza mężczyzn, jak konieczność stawiania drinków „przyjaciółce”. — Może być podwójna — dodaję słodko.

Wysłała mi jadowity uśmiech.

— A dla ciebie? — Tym razem jego uśmiechu nie powstydzilby się Larry Goldstein.

Lottie czerwieni się jak piwonia.

— Hmm... jabłecznik, poproszę.

— Zaraz wracam. — Uśmiecha się znowu i wstaje od stołu. Jak tylko znika, Lottie zwraca się do mnie podekscytowana.

— No i co myślisz?

— Że prześpi się z tobą, naobiecuje ci Bóg wie co, a potem cię zostawi!
— chcę wykrzyknąć, ale zdaniem poradnika *Jak być dobrą przyjaciółką*, należy zachować się dyplomatycznie, kiedy przyjaciółka zasięga twojej opinii. Poza tym nie chcę wyjść na starą zrzędę.

Więc wybieram bardziej taktowne podejście i mruczę niezobowiązująco:

— Hmm...

— Co? — Marszczy brwi z konsternacją.

— Och, nic. — Wzruszam ramionami.

Co jest oczywiście najpewniejszym sposobem, żeby zaczęła wiercić mi dziurę w brzuchu.

— No, nie bądź taka — przymiła się.

— Cóż, nie chciałam nic mówić...

— Nie, powiedz — domaga się, jak się spodziewałam.

— Po prostu on ma bardzo złą reputację.

Lottie patrzy na mnie z mieszaniną niepokoju i niedowierzania.

— To z pewnością tylko plotki zazdrośników — odpowiada po chwili.

Waham się, co robić. Zdaję sobie sprawę, że stąпам po bardzo kruchym lodzie. Chcę ją ostrzec, ale nie chcę, żeby myślała, że to dlatego, że sama na niego leczę.

— Posłuchaj, znałam facetów dokładnie takich jak on i możesz mi wierzyć: to dupek.

Robi żalospną minę.

— Ale on jest taki super.

— On myśli, że jest super — poprawiam ją. — A to pewna różnica. Powinnaś chodzić z kimś, kto cię będzie kochał, a nie kochał samego siebie. Kto cię będzie wspierał i naprawdę rozumiał.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, przychodzi mi na myśl Miles i nasza rozmowa na temat kominka. Boże, o co chodzi z tym głupim kominkiem? Nie jest to przecież nic szczególnie ważnego.

— Z kimś, komu możesz ufać, z kimś, kto cię nie zawiedzie — dodaję szybko. Przy wszystkich wadach Milesa wiem jedno: zawsze mogę na nim polegać, a to się naprawdę liczy.

Lottie kiwa głową, ale widzę, że nie kręci jej lojalność ani zaufanie, kręci ją atrakcyjność i luz. Bo mnie w jej wieku też tylko to kręciło, kiedy chodziło o potencjalnych chłopaków. Skoro już o tym mowa...

— I z kimś, kto nie chce zostać następnym Liamem Gallagherem — dorzucam znacząco, mając w pamięci Roba, który spał z płytami Oasis. I paru innych nieudaczników, z którymi się związałam później.

— I z kimś, kto nie jest alkoholikiem. — Jak Archie, praktykant adwokacki. Zerwałam z nim, ale był wtedy tak pijany, że nie pamiętał.

— Dam ci dobrą radę: jeśli facet jest tak zalany, że traci przytomność na chodniku przed pubem, zostaw mu numer najbliższego AA i zmykaj gdzie pieprz rośnie, nie czekając na taksówkę.

Lottie śmieje się, nieświadoma faktu, że wszystko to ją w przyszłości czeka. Chociaż przy odrobinie szczęścia może posłucha moich rad i nauczy się czegoś na moich błędach, myślę z nadzieją.

— Aha, i dobrze by było, żeby miał ambicję — dodaję na wspomnienie Zaca, który mieszkał w namiocie na tyłach czyjegóż ogrodu. Zac cierpiał katusze, był głęboko uduchowiony i miotany gniewem, i mówił bez przerwy o agonii

świata, integralności i pasji. Zgadzałam się z każdym słowem, a sekretnie marzyłam, żeby być równie głęboka i miotana gniewem. Niestety, byłam zbyt płytka i kończyło się na tym, że za wszystko sama płaciłam. — I jakieś perspektywy — kończę z emfazą.

— Billy ma zespół — odpowiada szybko.

— No właśnie. Nigdy nie umawiaj się z muzykiem ani z deskorolkowcem.

Rzuca mi zdumione spojrzenie i śmieje się.

— Nie bądź niemądra.

— On cię skrzywdzi, Lottie — ostrzegam, nagle poważniejąc. Bolesne wspomnienia, które pogrzebałam gdzieś głęboko, zaczynają wypływać na powierzchnię i czuję, że należy się śpieszyć. — Proszę cię, trzymaj się od niego z daleka.

— Hej.

Przerywa nam nadejście Billa, który pojawia się z pustymi rękami.

— Pomyślałem sobie, że zamiast tu siedzieć, moglibyśmy kupić po drodze coś mocniejszego i skoczyć do chaty mojego przyjaciela, który urządza małą imprezkę. Parę osób się tam wybiera. — Patrzy prosto na Lottie, jakbym była niewidzialna. — Masz ochotę się przyłączyć?

Serce mi wali jak młot. A więc nadeszła decydująca chwila.

— No i jak? — Czeka z rękami na biodrach. — Co powiesz?

Nie! Powiedz nie!

— Umm... — Lottie zerka na mnie niepewnie.

Wyczuwam jej wahanie. Z jednej strony jestem ja, krzycząca w jej głowie „nie”, a z drugiej jest jej чуć, krzycząca głośno „tak, tak!”.

— Jakoś nagle źle się poczułam — rzucam w ostatnim akcie desperacji... Cóż, nie mogę teraz pozwolić, żeby decy-

dowała moja dwudziestojednoletnia dawna chuć, prawda? — Jest mi niedobrze. Chyba muszę iść do toalety. Lottie patrzy na mnie zaniepokojona.

— Chcesz, żebym poszła z tobą?

— Mogłabyś? — pytam słabym głosem.

Zgoda, to trochę nieładnie tak oszukiwać, ale jak już mówiłam, robię to dla mojego własnego dobra.

Lottie obejmuje mnie ramieniem i zwraca się do Billa:

— Przykro mi, ale nie, dziękuję.

— Nie szkodzi. Może innym razem. — Billy wzrusza ramionami, odwraca się na pięcie i sprężystym krokiem wychodzi z pubu.

Odprawdzając go wzrokiem, tłumię dyskretny, ale zwycięski uśmiech.

Rozdział dwudziesty

Wspaniale. Pierwszy punkt mogę wykreślić z listy.

Siedząc nazajutrz rano przy biurku, rozkładałam zmięty kawałek papieru, na którym wypisałam moje wskazówki oraz rady. Biorę gruby czarny flamaster i przekreślam słowa:

~~1. Nie spij z Billym Romani.~~

Jestem naprawdę z siebie zadowolona. Zeszłego wieczoru odniosłam nieklamany sukces. Kiedy Billy Romani wyszedł, w cudowny sposób ozdrowiałam; w istocie rzeczy dziesięć minut później czułam się już tak dobrze, że mogłam prowadzić samochód i odwieźć Lottie do domu. Co częściowo tłumaczy mój dobry humor. Drugim powodem jest to, że dzisiaj są moje...

— Sto lat, sto lat!

Podnoszę wzrok i widzę, że drzwi otwierają się szeroko, a do nich przyklejona jest Beatrice, trochę jak asystentka sztukmistrza do deski w tym numerze z nożem. Ma w rękach wielkie pudło z nazwą znanej cukierni Sprinkles, wypisaną dużymi zawijasami.

— Jest nas tylko dwie, więc nie kupowałam tortu — szczeniaki, policzki ma zaróżowione z przejęcia. — Zamiast tego wzięłam babeczki Red Velvet ze specjalnym lukrem. Tylko poczekaj, a zobaczysz, że się uzależnisz!

Co naprawdę znaczy: „Pomocy! Ja już jestem uzależniona. Nazywam się Beatrice Spencer i jestem babeczko-holiczką”.

— Nie powinnaś! — Uśmiecham się z rozczuleniem.

— Nonsens. — Stawia pudełko na moim biurku. — Nie zjadłaś wczoraj deseru, więc należy ci się coś dobrego. — Zdejmuje przykrywkę i z rozmarzoną miną wdycha głęboko zapach.

— Cztery?

— Jedna nigdy nie wystarcza — mówi ze znajomością rzeczy, rozsuwając papier.

Wygląda na to, że Beatrice zaczęła wpychać ludziom babeczki, żeby zaspokoić (całkiem dosłownie) swój własny narkotyczny głód.

— Mmm... — jęczy z rozkoszy, zagłębiając zęby w lukier. Patrząc na babeczki, diabolicznie czerwone, naładowane

nabiałem, mąką pszenną i białym cukrem, i zapewne skażone orzechami, jeśli stały obok tych z masłem orzechowym. Przy wszystkich moich alergiach w żaden sposób nie mogę ich jeść. Poza tym staram się zdrowo odżywiać.

Z drugiej strony nie chcę urazić Beatrice — mały kawałek chyba nie zaszkodzi, mówię sobie, biorąc kęs. I w końcu mam urodziny.

To bomba cukrowa. Miękki, słodki, maślany wierzch i bogate w czekoladę, wilgotne wnętrze. Teraz rozumiem, dlaczego Beatrice złapała haczyk. Mnie to nie grozi, mówię sobie szybko, myśląc z poczuciem winy o mojej porannej sesji treningowej. Czym prędzej odkładam babeczkę.

— Więc jak zamierzasz świętować wieczorem? — Beatrice wynurza się zza ciastka i patrzy na mnie. Ma czubek nosa pokryty lukrem.

— Idę na kolację z Milesem i dwojgiem przyjaciół. — Biorę łyk kawy. — Pamiętasz Vanessę i Juliana?

— Cholera, nie, chyba nie. — Pociera nos z namysłem, odkrywa lukier na palcu i łapczywie go oblizuje.

— Popatrz... — Stukam w klawiaturę i przeglądam zdjęcia w moim komputerze, aż trafiam na nich oboje.

— O tak, teraz sobie przypominam. — Kiwa głową. — On jest prawnikiem.

— Tak, masz rację.

— Bardzo sexy — dodaje.

— Tak myślisz? — patrzę jeszcze raz na fotografię. Wiem, że Julian jest atrakcyjny, ale trudno jest postrzegać

męża twojej najlepszej przyjaciółki jako kogoś sexy. Po prostu nigdy na niego w ten sposób nie patrzyłam. Zwłaszcza skoro znam wszystkie jego osobiste zwyczaje, jak przycinanie włosów w nosie i zostawianie resztek w umywalce.

— To znaczy gdyby był singlem — dodaje Beatrice szybko, pamiętając zapewne o swoim wyznaniu, że flirtowała z Patrickiem, żonatym mężczyzną, w spa. — Nie zwróciłabym na niego uwagi ani nic takiego teraz. — Czerwieni się gwałtownie i zaczyna robić sobie drugą filiżankę kawy. — Więc dokąd idziecie?

— Znów do tego gastropubu, w którym byłam z Milesem w poniedziałek.

— Fantastycznie! Co masz zamiar włożyć?

Zainteresowanie Beatrice moją garderobą nigdy nie przestaje mnie zdumiewać. Sama nie przywiązuje wagi do swojego ubrania ani do mody. Ostatnio spytała mnie, kim jest ta dziewczyna, której zdjęcia są wszędzie.

To była Kate Moss.

— Sukienkę od Chloe — mówię. — Tę z małymi, bufiastymi rękawkami. Miles kupił mi ją na Gwiazdkę.

W gruncie rzeczy to nie do końca prawda. Miles podarował mi bon zakupowy do House of Fraser, ale nigdy nie mam czasu chodzić na zakupy, więc sprawiłam sobie piękną sukienkę z Net-a-Porter przez Internet. On i tak nigdy się nie dowie.

Ani ile kosztowała.

Wierzcie mi, dawno temu nauczyłam się mówić Milesowi, że wszystko kosztuje ułamek prawdziwej ceny, dzięki czemu oszczędziłam mu ataku serca, a sobie kolejnego wykładu na tematy finansowe.

— Co mi przypomina, że muszę ją odebrać z pralni w drodze do domu... — Przerywa mi telefon i patrzę na zegarek. Jest punktualnie dziewiąta.

— To na pewno ludzie z Cloud Nine — zauważa Beatrice, kończąc kolejną babeczkę.

Kiedy idę odebrać telefon, kątem oka dostrzegam, że patrzy żarłocznym wzrokiem na tę pozostawioną przeze mnie. Widzę, że leci jej ślinka.

— Nie krępuj się, zjedz! — zachęcam, sięgając po słuchawkę.

— Och nie, skąd, w żadnym wypadku... — protestuje. I zaraz dodaje jednym tchem: — No dobrze, skoro nalegasz... — Rzuca się na babeczkę i wydaje pomruk czystej, niczym nieskrępowanej rozkoszy.

Kiedy byłam młodsza, moje urodziny były wielkim wydarzeniem. Pamiętam, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku, gdy sprowadziłam się do Londynu, spędziłam cały ten dzień na nieustannym świętowaniu: od-

bierałam liczne telefony od przyjaciół i rodziny, rozpakowywałam prezenty od współpracowników, z którymi potem bawiłam się wesoło na lunchu podlewanym alkoholem, i dopiero późnym popołudniem wróciłam do biura, żeby zjeść tort i wytrzeźwieć trochę na wieczorną balangę. Boże, uwielbiałam dzień moich urodzin!

Teraz oczywiście jest to dzień pracy, jak zwykle.

Po naradzie z Cloud Nine biegnę do kawiarni w Liberty na spotkanie z Katie Proctor; oficjalnie w celu omówienia artykułów promocyjnych dla naszych klientów w gazetach, do których ona pisuje, a nieoficjalnie — żeby przy okazji trochę poplotkować nad kawą mrożoną. Potem łapię pięć minut, żeby odpowiedzieć na e-maile czekające w BlackBerry — moja skrzynka zdaje się wypełniać, ilekroć wychodzę z biura — i pędzę na kolejne spotkanie.

I kolejne. I kolejne. A kilka godzin później siedzę przy okrągłym konferencyjnym stole, z mnóstwem mężczyzn w garniturach, i omawiamy kampanię reklamową nowej serii maseczek do włosów Johnny'ego Birda, a ja ukradkiem zerkam na zegar ścienny. To moje ostatnie spotkanie i robi się późno. Naprawdę bardzo, bardzo późno.

O tej porze pralnia chemiczna może już być zamknięta. Pół godziny później zatrzymuję się z piskiem opon przy

chodniku, wyskakuję z samochodu i biegnę przez ulicę, ale pralnia jest pogrążona w głębokiej ciemności. Niech to diabli.

Z obrzydzeniem patrzę na tabliczkę „Zamknięte” na drzwiach.

I co teraz zrobię? Tam jest moja sukienka. Wraz ze wszystkim innym, uświadamiam sobie, myśląc o wielkiej górze rzeczy do prania, które wreszcie zebrałam i parę dni temu oddałam do pralni. Problem z drogimi, designerskimi ubra-

niami jest taki, że muszą być prane chemicznie. Nie można ich po prostu wrzucić do pralki, jak wrzucałam stare ciuchy.

Ale oczywiście to dlatego, że są lepiej zaprojektowane, lepiej skrojone i uszyte ze znacznie lepszych materiałów, mówię sobie.

Tyle że co mi z tego, skoro nie mogę, cholera jasna, z nich skorzystać, myślę z irytacją. Odchodzę spod pralni i wsiadam z powrotem do samochodu. Inna rzecz, że nawet gdybym miała coś eleganckiego, i tak nie miałabym czasu jechać teraz do domu i się przebrać, uzmysławiam sobie, patrząc na zegar na desce rozdzielczej. Rezerwację mamy na ósmą, zostało mi dziesięć minut.

Wyjmuję kosmetyczkę i szybko poprawiam makijaż: szminka, trochę różu na policzki i tuszu na rzęsy, po czym przekręcam kluczyk i włączam się w ruch uliczny.

— Białe czy czerwone?

Kiedy wchodzę do pubu, Vanessa podrywa się od stolika i wita mnie, obejmując z całych sił.

— Nie możemy się zdecydować, a że jesteś solenizantką, to ty musisz wybrać!

— Hmm... — Uwalniam się z jej niedźwiedziego uścisku i siadam obok Milesa, który przestaje żuć pałeczkę chlebową i cmoka mnie na powitanie.

— Wszystkiego najlepszego, kochanie. — Uśmiecha się uprzejmie, po czym marszczy brwi. — Myślałem, że włożysz sukienkę, którą ci kupiłem?

— To długa historia. — Przewracam oczami i zerkam na puste krzesło. — Gdzie jest Julian?

— Pracuje do późna — mówi Vanessa i wymieniamy spojrzenia. — Powiedział, żebyśmy zaczęli bez niego, a on

do nas dojdzie, najszybciej jak będzie mógł. — Uśmiecha się pogodnie. Każdego innego zwiódłaby tym szerokim uśmiechem, ale nie mnie, znam ją za długo: nie ma go w jej oczach. — Więc co bierzemy? — pyta wesoło, zmieniając temat i podając mi kartę win.

— O rany. — Patrzę na długą listę. Nie znam się za dobrze na winach. Z biegiem lat zrobiłam postęp i przeszłam z jabłecznika na Liebfraumilch, a potem na białe wytrawne i nauczyłam się, że jeśli zapłacisz mniej niż piątaka, obudzisz się rano z potwornym kacem, ale to cała moja wiedza.

— Może to sauvignon blanc z Australii...?

— Nie, nie, nie. — Miles wydyma wargi. Lubi myśleć o sobie jako o znawcy win. — Jeśli masz ochotę na sauvignon blanc, to musi być z regionu Marlborough w Nowej Zelandii.

— Niech ci będzie. — Wzruszam ramionami.

— Chociaż myślę, że powinniśmy wybrać dobre czerwone o bogatym bukicie.

— Może merlot? — proponuje Vanessa, odrywając kawałek chleba.

— Merlot? — powtarza Miles, krzywiąc się.

— Och, daj spokój, co to ma być? Jakiś popis sommeliera? — prychna Vanessa i wznosi oczy do nieba.

— Nigdy nie zaszkodzi doskonalic podniebienie — odpowiada Miles nieco urażony.

— Ona tylko żartowała — mówię pocieszająco, głaszcząc go po ramieniu i gromiąc wzrokiem Vanesę, która zanurza twarz w bułeczce.

W gruncie rzeczy wiem, że to nie był do końca żart. Vanessa i Miles nigdy w niczym się nie zgadzają. Są jak ogień i woda.

— Nic jeszcze nie pijecie? — Julian zbliża się sprężystym krokiem. Z teczką pod pachą, w eleganckim granatowym

garniturze wygląda w każdym calu nienagannie: typowy człowiek sukcesu.

— Wszystkiego najlepszego, Charlotte. — Pochyla się nad stolikiem, żeby mnie pocałować.

— Jeszcze nie wybraliśmy wina — wyjaśnia Miles nieco kwaśnym tonem.

— Byle było mokre. — Szczerzy zęby Julian, całuje lekko Vanessę w czoło ze słowami: — Cześć, skarbie — i siada. — Przepraszam, miałem urwanie głowy w pracy.

— Jak zawsze — mruczy Vanessa, ale jeśli Julian ją słyszy, nie daje po sobie poznać.

— Najlepiej poradzmy się kelnera — sugeruję kompromis i zamykając kartę, odwracam się, żeby go przywołać.

Kończy sprzątać sąsiedni stolik i podnosi głowę.

— Tak?

O Boże. Serce mi staje, kiedy zdaję sobie sprawę, że to ten sam barman, który nas obsługiwał w poniedziałek. Ten, który uważał moje alergie za przezabawne.

— Chcielibyśmy zamówić jakieś wino — mówi z uśmiechem Julian.

— Co państwo lubią?

— Myślałem o pinot... — zaczyna Miles, ale Vanessa mu przerywa.

— Nie możemy się zdecydować — kończy i wzrokiem zamyka mu usta.

— W takim razie proponuję rioję, jeśli państwo wolą czerwone, albo sancerre, jeśli ma być białe.

Kulę się na krześle, starając się schować za menu z nadzieją, że mnie nie pozna.

— Oba zapowiadają się obiecująco — uśmiecha się Julian. — Weźmy jedno i drugie.

— Doskonale. — Barman kiwa głową i sięga po pusty

koszyczek na pieczywo, którego większość pochłonęła Vanessa. —
Donieść chleba?

— Nie, nie, nie dla mnie — mruczy Vanessa z poczuciem winy. —
Charlotte?

— Charlotte nie je pieczywa — wyskakuje Miles, uprzedzając moją
odповідź. — Ma nietolerancję glutenu.

— Ach tak, teraz pamiętam. Pani ma alergię na różne produkty. — W
jego oczach znów błyszczy ten chochlik.

— No więc co nowego, Miles? — pyta Julian, kiedy barman
szczęśliwie odchodzi.

— Cóż, wczoraj złożyliśmy z Charlotte ofertę na dom.

— Naprawdę? — Vanessa patrzy na mnie zelektryzowana. — Nic mi
nie mówiłaś, Charlotte!

— Nie wspomniałam ci? Ale... eee... miałam zamiar to zrobić. — Na
wzmiankę o domu czuję ukłucie niepokoju. — Musiało mi to całkiem
wylecieć z głowy.

— No, no, to ekscytujące — Julian podnosi brwi, jakby był pod
wrażeniem.

— Prawda? — rozjaśnia się Miles.

— Założę się, że pani M. nie posiada się z radości — zauważa
Vanessa, mówiąc o mojej mamie. Zna mnie od tak dawna, że wie, jaka
jest moja matka.

— Nie powiedziałam jej.

— Nie powiedziałaś? — Miles odwraca się do mnie zszokowany.

— Przecież jeszcze nie wiemy na pewno, czy uda się go kupić,
prawda? — mówię szybko.

— Kiedy się dowiecie, czy wasza oferta została zaakceptowana? —
pyta Julian gładko.

— Mam nadzieję, że wkrótce. Oddałem ją prosto do agencji w
załakowanej kopercie i teraz tylko czekamy na odpowiedź.

— Może coś zamówimy? — proponuję od niechcienia, żeby zmienić temat. Ta rozmowa o domu działa mi na nerwy.

— Ale najpierw dam ci prezent — oświadcza Vanessa, wyjmując kopertę z torebki. Podaje mi ją przez stół. — I nie chcę słyszeć żadnych wymówek, że nie masz czasu.

Patrzę na nią pytająco i otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale mnie ucisza, więc rozdieram kopertę. Ze środka wypadają dwa bilety na Eurostar do Paryża.

— O mój Boże, nie powinnaś była!

— Wiem. — Uśmiecha się łobuzersko. — Ale teraz będziesz musiała jechać na weekend i odpocząć, inaczej sumienie nie da ci spokoju, że marnujesz moje pieniądze.

Oddaję jej uśmiech. Zna mnie tak dobrze. Właśnie tak by było.

— Cóż, pieniądze Juliana — uśmiecha się krzywo. Wiem, jak teraz żałuje, że rzuciła pracę i nie ma własnych pieniędzy. — Tak czy siak, będę żyła twoimi przeżyciami. — Zerka na Juliana. — Nie pamiętam, kiedy ostami raz wyjechaliśmy na weekend.

— Wyjedziemy — obiecuje, wierząc się na krześle. — Tylko że mam teraz absolutny młyn w pracy. To mi przypomina: będę musiał iść do biura w niedzielę.

Vanessie rzędzie mina.

— Mieliśmy wziąć dzieci do oceanarium.

— Wiem, przepraszam, skarbie. Zrobimy to innym razem.

— Dobrze, teraz moja kolej. — Na pozór nieświadomy napięcia przy stole, Miles przerywa pogodnym tonem. Vanessa i Julian milkną; pod obstrzałem naszych oczu Miles sięga do kieszeni na piersi i wyjmuje czarne aksamitne pudełeczko.

Czarne aksamitne pudełeczko na biżuterię. Czuję przyśpieszone bicie serca. O mój Boże, czy to jest to, co myślę? Czy ma zamiar zrobić to, czego się spodziewam?

Nie spuszczałam oczu z pudełka w jego ręce, zbyt przerażona, żeby spojrzeć mu w twarz. Co mu odpowiem tu i teraz, w obecności wszystkich? Cóż, „tak”, oczywiście. To jasne. Powiem „tak”, to chyba nie ulega wątpliwości?

— Charlotte?

Jego głos przywraca mnie do rzeczywistości. Miles podaje mi pudełko, minę ma poważną, choć niepewną. Przełykam ślinę. A więc to jest to. To jest to.

Biorę głęboki oddech, moje palce zmagają się z zameczkiem. Serce mi wali. Nagle widzę mroczki przed oczami, czas biegnie wolniej, a szum rozmów w pubie odpłynął, jak na filmie w zwolnionym tempie z wyłączonym dźwiękiem. Zameczek puszcza i ze wstrzymanym oddechem otwieram wieczko.

Kolczyki z perłami?

Patrzę na nie tępo: białe i błyszczące, leżą na czarnym aksamicie, a ja z trudem hamuję wybuch szalonego śmiechu, podszytego ulgą. Czuję się jak kompletna idiotka. Co sobie, na Boga, wyobrażałam? Oczywiście, że nie miał zamiaru się oświadczyć. Trochę cię, Charlotte, poniosło.

— Podobają ci się? Skupiam uwagę na kolczykach.

— Hmm... eee... są bardzo ładne — mamroczę i przyglądam się im z bliska.

— Byłem pewien, że ci się spodobają — mówi Miles, na jego twarzy maluje się satysfakcja. — Pasują do ciebie.

— Tak myślisz? — Odzywa się we mnie cichutki głos protestu. Nie czuję się jak ktoś, kto nosi perły w uszach. Czy na to nie trzeba skończyć pięćdziesiątki? Albo być królową lub kimś takim?

— Absolutnie! Włóż je — zachęca.

Wyjmuję je z pudełka i wkładam w uszy. Zbieram włosy do tyłu, żeby zaprezentować się towarzystwu, które wydaje szmer podziwu.

— Dziękuję ci, Miles, są cudowne. — Uśmiecham się i całuję go, ignorując wątpliwości.

No to co, jeśli nawet do mnie nie pasują? W końcu liczą się dobre chęci.

Reszta wieczoru upływa nad talerzami z wyśmienitym jedzeniem, podlewanym kilkoma butelkami wina i na znajomej rozmowie o pracy, rynku nieruchomości i ostatnich psotach Ruby i Sama.

— Musiałem kupić nowy telefon, bo Ruby martwiła się, że jej złota rybka jest samotna — wzdycha Julian, kończąc opowiadać historię o tym, jak Ruby postanowiła wrzucić jego komórkę do akwarium, żeby Borys, złota rybka, mógł zadzwonić do przyjaciół.

— Podejrzewam, że to był jej sposób, żeby oderwać cię od telefonu — komentuje sucho Vanessa, kiedy Miles uśmiecha się ze współczuciem. — I trzeba przyznać, że dość skuteczny — dodaje, po czym przeprasza na chwilę, żeby iść do toalety, zanim przyniosą deser.

— Pójdę z tobą — mówię, odsuwając krzesło.

— Co jest z tymi kobietami, że zawsze razem chodzą do łazienki? — zastanawia się głośno Julian, kiedy opuszczamy stół.

— To po to, żeby cię obgadać — żartuje Vanessa. Przynajmniej myślę, że żartuje, ale kiedy wchodzimy razem

do damskiej toalety i dziękuję jej jeszcze raz za prezent, instruuje mnie:

— Pamiętaj, żebyś jadała, piła i kochała się w Paryżu ile się da. Ktoś musi.

— Och, daj spokój — protestuję. — Wiem, że ty i Julian też knujecie upojne chwile. — Daję jej kuksańca w zębra i uśmiecham się znacząco, myśląc o zawartości koszyka z zakupami Juliana.

— Upojne chwile? — prychna drwiąco. — Nie mam nawet na to siły. Jestem wyczerpana. Jedyne upojne chwile to nasze kłótnie o to, kto wstanie do Sama, który budzi się po raz trzeci w środku nocy.

— Ale myślałam... — Urywam, kiedy wraca mi w pamięć wczorajszy dzień. Julian rzeczywiście wydawał się spłoszony. A nawet zdenerwowany. Jakby nasze spotkanie było dla niego niemiłą niespodzianką. Przypominam sobie zgryźliwą uwagę Vanessy, że ma romans z sekretarką.

— Co myślałaś? — pyta Vanessa i przygląda mi się bacznie.

— Hmm... nic, tylko wydawało mi się, że ostatnio jesteście sobie bliżsi. — Szybko wyrzucam tamten obraz z głowy. Wpadam w jakąś paranoję jak Vanessa.

— Nie sędzę. — Uśmiecha się blado. — Ledwo go widziałam w tym tygodniu. Zawsze tylko praca i praca. Jesteśmy jak dwoje obcych ludzi — kończy, jej ramiona opadają w bezradnym geście.

Nienawidzę, jak Vanessa jest taka smutna.

— Wiem, czego ci trzeba. — Uśmiecham się wesoło, zmieniając temat.

— Nowego męża?

— Nie, głupia, nowej błyszczącej szminki — dodaję szybko, wyciągając ich garść z torebki.

Oczy Vanessy się rozjaśniają. Odkąd urodziła Sama, przestała nosić makijaż. Mówi, że zabiera jej zbyt dużo czasu.

To samo z włosami. Zamiast je wymodelować na szczotce, zawiązuje je teraz w ciasny koczek.

— Och, gdzie to dostałaś? — pyta, otwierając szminkę.

— To jedna z korzyści pracy w PR.

— Przy okazji, chciałam cię spytać... — Urywa, przygryzając dolną wargę. — Czy to ten sam barman, którego widziałyśmy w antykwariacie?

Na wzmiankę o nim każda moja komórka staje na baczność. Dopada mnie to całkiem niespodziewanie. Dlaczego ktoś tak irytujący wywiera na mnie takie wrażenie?

— Niestety — odpowiadam z grymasem, szybko odsuwając te myśli.

— Mmm... — Vanessa uśmiecha się szelmowsko. — Ciekawe, co da na deser.

— Cokolwiek to będzie, przekroczysz dozwoloną ilość kalorii. — Oddaję uśmiech i uchylam się od jej żartobliwego ciosu w ramię.

Pięć minut później uszminkowana Vanessa i ja zbliżamy się do stolika.

— W samą porę! — mówi Julian.

— Na co? — pytam, rozglądając się.

— Na szampana! — oznajmia Miles, kiedy zjawia się barman z butelką veuve clicquot i czterema wąskimi kieliszkami.

— Czy to jest moment, kiedy zaczynamy bardzo głośno śpiewać *Sto lat!* i zawstydzamy Charlotte przed całym towarzystwem? — pyta Vanessa.

— Nie — odpowiada Miles, patrząc na nią spode łba.

— Ty to potrafisz zepsuć każdą zabawę.

Obok mnie barman zręcznie wyciąga korek z butelki i kiedy zaczyna rozlewać szampana, zauważam mały tatuaż na wewnętrznej stronie jego nadgarstka. Zaciekawiona wlepiam wzrok, żeby dostrzec, co sobie wytatuował.

— To żaba.
Podnoszę oczy: przyłapał mnie.
— Aha, rozumiem. — Kiwam głową, mocno zażenowana.
— Moja matka jest Francuzką — wyjaśnia, leciutki uśmiech igra mu na ustach.
Znowu pokpiwa sobie ze mnie? To ma być jakiś żart?
— Czy to nie jest obraźliwe dla Francuzów? — pytam nieco sztywno.
— Nie zna pani mojej matki — odpowiada ze stoickim spokojem.
Patrzemy na siebie jak zahipnotyzowani i nagle przenika mnie dziwny dreszcz.
— To prawda... — bąkam, usiłując wymyślić jakąś dowcipną ripostę, ale mam w głowie pustkę. — Rzecz jasna... — dodaję słabym głosem.
— Chciałbym zaproponować toast...
Na głos Milesa przytomnieję, odwracam się do niego i widzę, że podnosi kieliszek.
— ...za Charlotte w dniu jej urodzin. Julian i Vanessa też podnoszą kieliszki.
— Za Charlotte — mówią chórem.
— I za nasz nowy dom.
— Za nowy dom? — Wbijam w niego zdziwiony wzrok.
— Najlepsze zostawiłem na koniec. Dziś rano zadzwonił agent nieruchomości, ale chciałem ci zrobić niespodziankę — wyjaśnia radośnie. — Zaakceptowali naszą ofertę. Dom jest nasz!
— Nasz? — powtarzam zaskoczona, tak zaskoczona, że reaguję jak echo.
— Służę uprzejmie... — Barman podsuwa mi kieliszek z szampanem.
— Nie ma pani alergii na bąbelki, prawda? — Rzuca mi znaczące spojrzenie.

— Hmm... nie... nie mam... dziękują... — mamroczą, napotykam jego jasnoszare oczy i szybko odwracam wzrok. — To znaczy, hurra, to wspaniale! — wyrażam entuzjazm, zwracając się do Milesa, który nadal śmieje się od ucha do ucha.

Podnosi swój kieliszek i stuka się ze mną.

— A to za nas!

— Za nas! — odpowiadam nieco nieprzytomnie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wychodzimy dość wcześnie.

— Te babysitterki — wzdycha Vanessa z przeproszającą miną, kiedy stoimy na chodniku.

— Jeśli nie wrócimy przed dziesiątą, każda następna godzina płatna jest trzykrotnie — dodaje Julian, podnosząc nastroszone brwi.

— Do licha, chyba wybrałem zły zawód — rechocze Miles nieco zarumieniony po zbyt dużej ilości szampana.

— Nie przejmuj się. — Ściskam z uśmiechem Vanesę. — I tak chciałam wcześniej położyć się spać.

Co jest prawdą. Padam z nóg. Zwłaszcza po ostatniej nocy. To bez znaczenia, że mam urodziny. I co z tego? To tylko jeszcze jedno urodziny. Wcale nie jestem rozczarowana, nic z tych rzeczy, mówię sobie twardo, kiedy się żegnamy.

Machamy za ich odjeżdżającą taksówką i idziemy z Milesem do mojego samochodu.

— Możesz prowadzić? — pyta, gdy wyłączam alarm i wsuwam się na siedzenie kierowcy.

Miles nie ma samochodu. Mówi, że posiadanie samochodu

w Londynie to jak wyrzucanie pieniędzy w błoto i zawsze namawia mnie, żebym korzystała z transportu miejskiego.

— Tylko pomyśl — powtarza — całą tę zaoszczędzoną gotówkę mogłabyś zainwestować w jakiś fundusz.

Racja. Mogłabym.

Mogłabym także kupić sobie wystrzałową torebkę.

— Bo prosto stąd jedzie numer siedemdziesiąt dwa. Miles zna na pamięć rozkład jazdy autobusów. Na naszej

pierwszej randce wziął mnie na kolację, ale nie chciał jechać taksówką—mimo że padał deszcz, a ja byłam w nowych butach. W nowych, zamszowych sandałkach z beżowych paseczków.

Cóż, były z beżowych paseczków. Po dziesięciominutowym spacerze na przystanek autobusowy i jeździe w tłoku miały kolor mulistego błota i były całkowicie zniszczone.

— Wszystko w porządku. — Zapewniam go teraz, przekręcając kluczyk. — To pięć minut drogi stąd. Poza tym wypiałam tylko kieliszek wina.

— I szampana — przypomina mi z naciskiem, zapinając pas. Zaczyna dopasowywać swój fotel za pomocą elektronicznych dźwigni.

— No tak — przyznaję niechętnie. Sygnalizuję i wyjeżdżam na główną ulicę.

— Chociaż zostawiłaś większość szampana w kieliszku — dodaje Miles, nadal walcząc z dźwigniami. Fotel wysuwa się do przodu, potem cofa i znów szturmuje przód.

— Przecież nie mogłam pić i potem prowadzić, prawda? — zauważam łagodnie, starając się włączyć w ruch.

— Mogliśmy jechać autobusem — powtarza z uporem. Jego oparcie odchyła się za bardzo i teraz Miles stara się ustawić je pionowo. — Jedzie prosto tą trasą.

— Tak, wiem — odpowiadam. Zaczynam się czuć lekko wkurzona. — Mówiłeś.

Nagle słyszę głośny trzask i jego siedzenie otwiera się płasko do tyłu jak scyzoryk.

— Miles, możesz przestać? — rzucam niecierpliwie.

— Co przestać? — pyta niewinnie. — Próbuję tylko wygodnie się usadowić.

— Rozumiem, tylko że... — Urywam i biorę głęboki wdech. Nie wiem co mnie ugryzło, ale jestem cała podenerwowana i na skraju wybuchu. — Przepraszam, nie chciałam na ciebie naskoczyć — usprawiedliwiam się szybko.

— Wiem. — Uśmiecha się i czule dotyka mojej ręki. Czuję się okropnie winna. Boże, co się ze mną dzieje?

Miles jest taki słodki i kochany. Dlaczego zrzędzę na wszystko i zachowuję się jak gderliwa stara baba?

— Nie martw się, to już nie potrwa długo — mówi pogodnie.

— Co nie potrwa? — pytam półprzytomnie, skręcając w prawo.

— To krążenie między naszymi mieszkaniami co tydzień — dodaje jako rzecz oczywistą. — Wkrótce będziemy w nowym domu.

— No tak, jasne. — Odchrząkuję, bo jakoś zaczęło drapać mnie w gardle. — Oczywiście.

— Nie będzie już tego jeżdżenia tam i z powrotem, bo ty mieszkasz w swoim mieszkaniu, a ja w swoim. Tylko pomyśl! Każdą noc będziemy spędzać razem.

Uśmiecha się do mnie podekscytowany, a ja oddaję mu uśmiech, myśląc o spędzaniu każdej nocy z Milesem. Budzeniu się obok niego co rano. Myciu zębów ramię w ramię w łazience. I tak dzień w dzień.

Do końca życia.

Biorę się w garść. Na miłość boską, Charlotte, nie wiem, czym się martwisz, mówię sobie stanowczo. Wszystko będzie

dobrze. Ty kochasz Milesa, on kocha ciebie. I ta nowa sytuacja nie będzie się niczym różniła od weekendów, które spędzacie razem, prawda? To tylko znaczy, że nie będziesz już musiała trzymać zapasu ubrań w jego mieszkaniu ani kupować podwójnego zestawu kosmetyków, ani wpychać bielizny do jednej ciasnej małej szufladki. Poza tym przypomniałam sobie, jakie to było irytujące, kiedy parę tygodni temu zostawiłam swoją nakładkę na zęby u siebie i obudziłam się nazajutrz rano u Milesa z bólem głowy od zgrzytania. A w ten sposób będę mieć wszystko w jednym miejscu.

Podniesiona na duchu zatrzymuję się przed swoim mieszkaniem. I tylko pomyśleć, biedny Miles nie będzie już nigdy musiał grać w squasha w moich szortach, jak zapomni wziąć swoich; tłumię chichot na wspomnienie jego raczej okazałych ud wciśniętych w moje czarne obcisłe spodenki gimnastyczne z lycry.

— Jestem pewna, że będzie wspaniale — zgadzam się, gasząc silnik. Z drugiej strony, kiedy się zastanowić, to może być porażka...

W przedpokoju zbieram z podłogi pocztę. Jak zwykle wyszłam wcześniej rano, zanim przyszedł listonosz. Pośród wyciągów z banku i papierów dotyczących spłaty kredytu hipotecznego znajduję kopertę z kartką urodzinową od mamy i taty. Punktualnie jak w zegarku. Mama jest niesamowita. Ma dar przewidywania, kiedy bez pudła wysłać kartkę, żeby przybyła dokładnie na czas, nie dzień wcześniej ani dzień później, bez względu na wątpliwą jakość usług pocztowych.

Z salonu słyszę dźwięk telewizora, otwieram kopertę i wchodzę — Miles już rozlokował się na kanapie z pilotem w ręce.

— Czy nagrałaś ostatni odcinek *Location, Location, Location*? — pyta, nie podnosząc głowy.

— Hmm... nie — odpowiadam z roztargnieniem.

Zaglądam do koperty i znajduję kupony do Marksa i Spencera oraz przykazanie na kartce urodzinowej: „Kup sobie coś dobrego do jedzenia”. Uśmiecham się do siebie. Dostaję to samo co roku od czasów uniwersyteckich. Zerkam na zegarek — rodzice dzwoniли wcześniej, ale byłam na spotkaniu. Zastanawiam się, czy nie za późno, żeby oddzwonić, i z żalem rezygnuję. Moi rodzice robią wszystko wcześniej: lunch o dwunastej, obiad o piątej trzydzieści, potem podwójna dawka telewizji: *Emmerdale* i *Coronation Street*, a o dziewiątej trzydzieści są już w łóżkach. Będę musiała zadzwonić do nich jutro.

— Nie nagrałaś? — Miles marszczy brwi z dezaprobatą. Wracam do rzeczywistości.

— Przepraszam, całkiem zapomniałam.

— Och, nic nie szkodzi. — Wzrusza ramionami, przeskakując z kanału na kanał. — Na pewno coś się znajdzie. — Na ekranie pojawia się stary film z Clintem Eastwoodem.

— Jeśli o mnie chodzi, to chyba położę się do łóżka — mówię, stawiając kartkę na półce nad kominkiem.

— Zaraz przyjdę — mruczy, już całkowicie pochłonięty akcją.

Zostawiam go przyklejonego do telewizora, idę do łazienki, rozbieram się i zaczynam swoją zwykłą wieczorną procedurę: zmywam makijaż mleczkiem i tonikiem, potem nakładam krem nawilżający. Mam dziesiątki rodzajów kremów nawilżających. Jest tu żel pod oczy, który muszę wklepywać serdecznym palcem, krem do twarzy, który należy wmasowywać powłóczystym ruchem zgodnie z ruchem wskazówek zegara (albo może odwrotnie?) i emulsja na szyję i dekolt.

Otwieram szafkę łazienkową i przebiegam wzrokiem zapchane do granic półki. Prawdę mówiąc, męczy mnie już sam ich widok. Mam tu chyba milion produktów, które obiecują usunąć, wygładzić, rozjaśnić i wymazać zmarszczki, i mimo tego, że właściwie niczym się nie różnią, ciągle kupuję następne. To jest silniejsze ode mnie. Właśnie kupiłam nowe serum, które zostało okrzyknięte cudem w słoiku. W środku pływają złote drobinki i mają zlikwidować pory.

Skoro już o tym mowa, nigdy nie doszłam, dlaczego właściwie miałabym chcieć likwidować swoje pory, ale rezultat jest podobno zdumiewający. Szczerze mówiąc, za tę cenę, lepiej, żeby tak było.

Nałożywszy szereg różnych kosmetyków na twarz (cóż, jeśli już, to trzeba iść na całego, co wyciąga mi z kieszeni setki funtów), myję zęby szczoteczką elektryczną i pastą wybielającą, czyszczę nicią dentystyczną i płuczę usta.

Gotowe.

Przy szumie telewizji wciąż dochodzącym z salonu patrzę na swoje odbicie w lustrze, na swoje trzydziestodwuletnie odbicie. Nieumalowana, z włosami ściągniętymi gumką, w za dużej kwiecistej piżamie wyglądam tak seksownie jak... cóż... jak ktoś w za dużej piżamie z włosami niedbale ściągniętymi gumką.

Nagle jak neon zapala mi się w głowie wyznanie Vanessy, że ona i Julian uprawiali seks wszędzie, gdzie się dało, zanim przyszły na świat dzieci. Minął już przeszło tydzień, odkąd spędziłam noc z Milesem, a nawet ze dwa tygodnie, odkąd doszło do seksu. Naturalnie, oboje jesteśmy zestresowani pracą i wiem, że namiętność nieco wygasa, kiedy się jest w długim, stałym związku, ale tym bardziej trzeba się starać.

Stąpam na palcach do sypialni, wkładam szybko satynową krótką haleczkę i rozpuszczam włosy. Miejmy nadzieję, że

to doda trochę pieprzyku naszemu spotkaniu, mówię sobie, spryskując nadgarstki perfumami i wklepując trochę w dekolt, jak to zawsze radzą w kobiecych magazynach.

Zapalam lampkę nocną i wskakuję do łóżka, potem znów wyskakuję, żeby zgasić górne światło. Nastrojowy półmrok. To bardzo ważne. Spulchniam poduszkę i układam się nęcąco. Potem czekam niecierpliwie. Wciąż słyszę telewizję, ale jestem pewna, że on zaraz tu będzie.

Nadal czekam.

Może powinnam zapalić świeczkę.

Zapalam świeczkę. Ma zapach wanilii, piżma i jaśminu, pachnie cudownie. Wdycham jej aromat i bawię się ramiączkami halki. Spuszczam jedno na ramię. Potem oba. Ymm, kurczę, to wygląda zbyt nachalnie, decyduję, podciągając jedno i drugie.

Nad słuchuję jakiejś oznaki ruchu, ale słyszę tylko telewizor. Nerwowo patrzę na zegarek. Minęło już dwadzieścia minut. Waham się, potem wołam moim najbardziej kuszącym głosem:

— Miles? Nie idziesz do łóżka? Nic.

Czekam jeszcze chwilę, potem podnoszę nieco głos.

— Miles?

Znowu nic. Tylko odgłos strzału z telewizora i wycie policyjnej syreny. Niech to diabli!

— Miles! — wrzeszczę już teraz. — Czy mnie słyszysz?

Najwyraźniej nie słyszy, bo nie ma odpowiedzi. Sfrustrowana wychodzę z łóżka i wkraczam do salonu, gdzie znaj duję go leżącego na kanapie, z odchyłoną głową i otwartymi ustami, z których wydobywa się regularne pochrapywanie.

Patrzę na niego przez chwilę, na wpół skłonna go obudzić

i domagać się seksu w moje urodziny, ale szybko się rozmyślałam. Miles jest do niczego po paru drinkach. Jakby na zawołanie bełkocze coś nieskładnie, przewraca się na drugi bok i wtula, sapiąc, w poduszkę. Poza tym, całkiem szczerze, ten ogień namiętności, który próbowałam rozniecić, teraz bez reszty zgasł.

Wyłączam telewizor, przykrywam Milesa zapasową kołdrą i wracam do łóżka. I leżę tam bezsennie.

Patrzę na budzik cyfrowy. Pokazuje dziesiątą trzydzieści, a ja już jestem w łóżku. W dzień moich urodzin. Dobry Boże, gdyby ktoś mi powiedział dziesięć lat temu, że w takim dniu pójdę spać przed jedenastą, nigdy bym nie uwierzyła. Wtedy urodziny obchodziło się hucznie, urządzało się imprezy z mnóstwem alkoholu i balangowało aż do świtu. Chociaż, z drugiej strony, naprawdę przyda mi się trochę snu.

Puszczam płytę, włączam nawilżacz, gaszę świeczkę i lampkę nocną. Wkładam maskę i zamykam oczy, ale w głowie kłębią mi się różne myśli.

Ciekawe, co robi Lottie? — szepcze mi coś do ucha.

Nie wiem, pewno się bawi, myślę, starając się to zignorować.

Gdzie się bawi? — dopytuje się głos, tym razem głośniejszy.

Niespokojnie przewracam się na drugi bok. Jak to gdzie? W moim poprzednim domu, uświadamiam sobie, wracając pamięcią do przyjęcia, które wydałam na swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Moje wspomnienia z tego wydarzenia są nieco zamglone. W gruncie rzeczy przypomniałam sobie o tym, kiedy Lottie napomknęła zeszłego wieczoru, że urządza party. A nawet mnie zaprosiła. Co było, nawiasem mówiąc, nieco dziwne, ale oczywiście i tak nie mogłam pójść.

Ale teraz możesz, podpowiada głos, podsuwając mi ten pomysł.

Rzecz jasna, natychmiast go odrzucam. To po prostu śmieszne. Opuścić ciepłe, wygodne łóżko i pędzić na przyjęcie? Właśnie byłam na pysznej kolacji urodzinowej z moim narzeczonym, moją najlepszą przyjaciółką i jej mężem. Nie mam zamiaru iść na jakąś głupią imprezę.

Z drugiej strony to mogłaby być dobra zabawa.

O wiele lepsza niż bezsenne, samotne leżenie w łóżku, podczas gdy twój narzeczony pochrapuje na kanapie, nie daje za wygraną słaby głosik.

Czuję, że się trzęsę.

Ale co z Milesem?

Co ma być? Śpi jak suseł. Wrócisz, zanim się obudzi. Waham się, mam wirówkę myśli. Nie, nie mogę. To wariactwo... czyste szaleństwo... To... Och, zamknij się, Charlotte. Już za późno na te wątpliwości, prawda?

Odrzucam kołdrę, wyskakuję z łóżka i zaczynam się szykować.

Rozdział dwudziesty drugi

Już po kwadransie jestem w drodze do dawnego mieszkania. To zadziwiające, jak szybko można się przygotować, mając wszystkie ciuchy w pralni chemicznej i żadnego wyboru, rozważam, walcząc z kołnierzem od zakietu, który w pośpiechu podwinął mi się do środka.

Oczywiście Miles się nie obudził. Nawet pomyślałam, żeby zostawić mu kartkę, albo ułożyć poduszki tak, żeby łóżko wyglądało jakbym ciągle spała, ale: a) to prawdziwe życie, a nie scena ze *Skazanych na Shawshank* oraz b) w odróżnieniu ode mnie, Miles zawsze śpi jak zabity, nawet bez kropli wina czy szampana. Kiedyś przespał alarm pożarowy, gdy włączył się czujnik dymu od zapalanej przeze mnie świeczki zapachowej. Ale to zupełnie inna historia.

W piątkowy wieczór Londyn tętni życiem i pokonanie go samochodem zajmuje sporo czasu, choćby ze względu na konieczność lawirowania pomiędzy czarnymi londyńskimi taksówkami, które bez ostrzeżenia zatrzymują się nagle pośrodku drogi, żeby zabrać lub wysadzić pasażerów, nie mówiąc

o uciążliwych korkach spowodowanych objazdem. I choć znam drogę coraz lepiej, zjawiam się na Kilmaine Terrace prawie o północy.

U liczka jest wypełniona parkującymi samochodami. Wciskam się w wolne miejsce bez żadnej stłuczki (tak, tak, umiejętność parkowania znacznie się poprawiła przez ostatnie lata, oddaję sobie sprawiedliwość) i sprawdzwszy naprędce /robiony makijaż, wysiadam. W tym momencie zdaję sobie sprawę, że nie mam prezentu.

Cholera. Nie mogę iść na przyjęcie z gołymi rękami. Nawet na swoje własne. No, w pewnym sensie na własne, myślę, przeszukując schowek na rękawiczki i licząc na znalezienie jakichś darmowych próbek szminek. Zaraz, mam pomysł. Wiem! Gdzie są te torby z wczorajszymi zakupami z Bootsa? Zastanawiałam się, jak wręczyć te produkty pielęgnacyjne mojemu młodszemu wcieleniu, by nie wyglądało to dziwnie, i oto idealne rozwiązanie.

Wyciągam torby z bagażnika, wygładzam spódnicę i ruszam w stronę domu. Wiązka kolorowych balonów przywiązanych u wejścia kołysze się na ciepłym letnim wietrze, a z domu dobiegają dźwięki *Słodko-gorzkiej symfonii* zespołu Verve.

Otwieram furtkę, wbiegam po stopniach i nagle przez chwilę zastygam z ręką zaciśniętą na znajomej kołatce w kształcie delfina. Mam wrażenie, że ledwie wczoraj otwierałam te drzwi własnym kluczem, w końcu to był mój dom, w którym mieszkałam, kochałam, marzyłam...

— Ju-huuuu!

Drzwi otwierają się gwałtownie i na podest wytacza się rozchichotana para. Rozbawione twarze, puszki piwa i papierosy w rękach, spleceni w żelaznym uścisku, ledwo trzymają się na nogach. Uskakuję, zanim mnie stratuja.

— Uups — bełkocą i z pijackim rechotem zaczynają się migdalić, nie krępując się moją obecnością.

Wzdrygam się. O Boże, już zapomniałam, jak wyglądały imprezy, gdy miałam dwadzieścia parę lat. Może to jednak nie był najlepszy pomysł?

Blokują mi wejście, więc z wypchanymi torbami cofam się do żywopłotu i czekam, aż skończą się pożerać i rozplączą języki.

— Przepraszamy, właśnie wychodzimy — mówią, szczerząc radośnie zęby.

— A więc impreza się skończyła? — pytam na widok kolejnych osób przeciskających się do wyjścia.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiada chłopak, odwracając się do uwieszanej na nim dziewczyny i liżąc ją po twarzy.

Fuj. Rozkoszne.

— Charlotte!

Spostrzegam Lottie stojącą w drzwiach. Wita mnie szerokim uśmiechem.

— Mówiłaś, że nie możesz przyjść?

— Tak, ale... moje plany na wieczór uległy zmianie — przedstawiam coś w rodzaju tłumaczenia. — W każdym razie, wszystkiego najlepszego! — Wręczam jej z uśmiechem torby. — Przepraszam, nie miałam czasu ich zapakować — dodaję, nagle zażenowana, że wręczam dwie reklamówki, zamiast pięknie opakowanego prezentu.

Ale jeśli ma mi to za złe, nic po sobie nie pokazuje. Przeciwnie, jej twarz z oczami jak spodki promienieje zachwytem.

— Och, super, to wszystko dla mnie?

— To tylko trochę drobiazgów.

— Wszystko? Dla mnie? — powtarza zdumiona. Nigdy bym nie przypuszczała, że tak ją to uszczęśliwi.

Jakby dostała gwiazdkę z nieba, a nie kilka rzeczy z Boofsa. Ja byłam chyba mniej przejęta moim nowym samochodem, myślę z dziwną mieszaniną satysfakcji i zazdrości, patrząc na jej rozradowaną buzię.

— Tak, oczywiście — potwierdzam.

— Kurczę, nie mogę w to uwierzyć! Musiałaś wydać fortunę — wykrzykuje, wyciągając podkład Estee Lauder w subtelnym odcieniu, w odróżnieniu od jaskrawopomarańczowej taniocy, której, jak wiem, używa. — To naprawdę miło z twojej strony.

— Drobiazg, nie ma o czym mówić — uśmiecham się skromnie. Już zdążyłam zapomnieć, jaką radość sprawiały mi kiedyś nowe rzeczy, konstatuje, myśląc z poczuciem winy o szafce w mojej łazience, pełnej po brzegi nigdy nieotwartych kosmetyków. Ale przynajmniej moja lista rad i przykazań ma szansę odnieść wielki sukces, gratuluję sobie w duchu.

— Chętnie bym cię zaprosiła do środka, tylko że wszyscy właśnie zbierają się do wyjścia.

— Naprawdę? — Jestem rozczarowana. Tyle zachodu i z przyjęcia nici. — No tak, zrobiło się późno. Chyba też powinnam już iść spać.

— Spać? — Patrzy na mnie z niedowierzaniem i wybucha perlistym śmiechem. — Hi, hi, bardzo zabawne. Żartujesz, jak rozumiem?

— Nooo, oczywiście. — Uśmiecham się niepewnie. — Wobec tego... hmm... co zamierzacie robić dalej?

— Clubbing! — wykrzykuje.

Clubbing. Mój uśmiech blednie. Cholera, już całkiem zapomniałam, jak uwielbiałam wędrowki po klubach, a tu nagle pamięć mi bezlitośnie wraca, wałąc obuchem po głowie. Sztuczny dym, migoczące stroboskopy, ogłuszająca muzyka...

— Przecież dziś jest niedziela? — bąkam z nadzieją w głosie.

— Tak, ale jutro mamy wolny poniedziałek i z tej okazji Canal Club urządza specjalną imprezę. — Promienieje energią. — Idziesz z nami, rzecz jasna?

— Ja? — piszczę zduszonym głosem.

Ja i dubbing? Już nie. To nie dla mnie. Raczej pilates, joga i akupunktura, gdy mnie strzyka w krzyżu.

— A niby kto? Idziemy, ja zapraszam.

Grzebię w pamięci jak w szufladzie ze skarpetkami, kiedy nerwowo poszukuję pary. Tylko że nie mogę znaleźć żadnego fragmentu pasującego do tamtego wieczoru. Z drugiej strony to było dziesięć lat temu i byłam bardzo pijana. Prawdę mówiąc, wszystkie moje urodziny przed trzydziestką okrywa lekka mgiełka...

Przez chwilę chcę się wymówić i uciec do domu, ale Lottie nie daje mi szansy i bierze mnie pod ramię z bojowym okrzykiem:

— Naprzód! Do klubu maaaarsz! Jest już za późno.

Ratunku!

Klub znajduje się tylko dwie przecznice dalej, więc idziemy pieszo. To znaczy ja idę. Lottie, po raz pierwszy odkąd ją znam, jest w szpilkach i raczej kuśtyka chwiejnie po chodniku na dziesięciocentymetrowych obcasach, chichocząc po pijacku. Ma na sobie sukienkę w malutkie niebieskie chabry, którą wypatrzyłam kiedyś na pchlim targu. Pamiętam, że targowałam się o nią bez końca, zanim była na moją kieszeń, a kosztowała tylko kilka funtów.

Dzisiaj stać mnie na zakupy markowych ciuchów w mar-

kowych sklepach. Nie stać mnie tylko na chodzenie po sklepach, w związku z czym większość rzeczy kupuję przez Internet, zazwyczaj dwa razy do roku: w lecie i w zimie. Dawniej bywałam tak splukana, że moja garderoba pochodziła głównie ze stoisk organizacji charytatywnych lub z targowisk w Camden czy Portobello, gdzie spędzałam weekendy wśród wieszaków, polując na okazje.

Takie jak ta sukienka, którą w końcu zdobyłam za pół ceny, ze względu na urwane ramiączko, przypominam sobie. I jak widać, nigdy nie pofatygowałam się, żeby je przyszyć — do dziś trzyma się na agrafce. Trochę mi wstyd. Naprawdę byłam taką fleją? Machinalnie strzepuję drobinki kurzu z klap żakietu. Miałam wszystko w nosie? Najwyraźniej tak, konstatuje, widząc, jak moje młodsze ja z upodobaniem zaciąga się papierosem, niczym się nie przejmując. Przyglądam się temu z dezaprobatą.

Przed nami długa, zakręcona kolejka, niknąca za rogiem. W pierwszej chwili myślę: kurczę, co się dzieje, na co ci wszyscy ludzie czekają? Chwilę później: cholera, to nasza kolejka do wejścia.

Lottie ignoruje kolejkę, tanecznym krokiem zmierza do drzwi i dopada bramkarza, potężnego, dwumetrowego Jamajczyka o bicepsach jak arbuzy i kamiennej twarzy z nieprzeniknionym grymasem. Oblewa mnie zimny pot. Boże, co ja robię? Co ja tu robię? Kulę się w sobie, sparaliżowana perspektywą publicznego upokorzenia, kiedy mnie odeśle na koniec kolejki na oczach wszystkich tych ludzi.

A raczej na oczach tych dzieciaków, myślę, przebiegając wzrokiem czapeczki baseballowe, celtyckie tatuaże i kolczyki w pępkach dziewcząt co najwyżej dwudziestoletnich. Lub nawet młodszych, jak oceniam, przyglądając się chudym jak patyki siksom w mikroskopijnych minispódniczkach. Widać,

że walczą jeszcze z młodzieńczym trądzikiem. Zerkam znów na bramkarza, który właśnie, jak w zwolnionym tempie na starych filmach o dinozaurach, odwraca się ogromną posturą do Lottie niczym budzący grozę brontozaur, który już szykuje się do pożarcia bezbronnej ofiary.

— Cześć, stary! — szczebioce Lottie z uśmiechem od ucha do ucha, zaciągając się papierosem.

O Boże, wszyscy na nich patrzą. Wzdrygam się, odwracając wzrok, oczekując najgorszego. Ale nie, instynkt opiekuńczy nie pozwala mi stać bezczynnie — miałam podzielić się z nią moim doświadczeniem i ustrzec przed robieniem głupstw. Uznaję, że nie mogę jej tak zostawić i maszeruję do wejścia klubu pulsującego muzyką.

— Cześć skarbie, wszystko gra? — Zaraz, zaraz. Chwileczkę. Co on powiedział...? — Fajnie cię widzieć. Jak leci?

Patrzę w osłupieniu na bramkarza, który jakby nagle się odmienił. Zniknął groźny ponury grymas. Wręcz promiennie uśmiecha się do Lottie.

Czyżby ona się przyjaźniła z bramkarzem?

Ja się przyjaźnię z bramkarzem?

— Super, dziś są moje urodziny. — Z uśmiechem wspina się na palce i całuje go w oba policzki. — I właśnie chciałam to uczcić w klubie.

Zgroza. Ja z nim flirtuję, żeby się dostać na imprezę. Niezła ze mnie sztuka.

— No to wszystkiego najlepszego! — huczy donośnie bramkarz, nadstawiając jeszcze raz oba policzki. Podnosi linę i cofa się, żeby ją przepuścić. — Baw się dobrze, miłego wieczoru!

— Wielkie dzięki — Lottie macha mu z wdziękiem na pożegnanie i znika za pluszową kotarą.

Okay. Wygląda na to, że tym razem moja pomoc nie była

potrzebna, oddycham z ulgą, gdy reszta naszego towarzystwa wchodzi za nią do środka. No i nie będę musiała stać w kolejce, pocieszam się, choć moje przerażenie rośnie, w miarę jak zbliżam się do ogłuszającego hałasu, dudnienia perkusji i błysków stroboskopów oślepiających przez szparę w kotarze. Teraz ja.

Nagle bramkarz zatrzymuje mnie w pół kroku.

— Proszę zaczekać. — I zamyka przede mną przejście czerwoną liną.

Patrzę zdumiona. Jak to? Nie wpuszcza mnie? Po chwili mnie ośniewa. No jasne. Na pewno nie wie, że jestem z Lottie.

— Chwileczkę — uśmiecham się konfidencjonalnie. — Jestem z tą grupą — wyjaśniam, wskazując na moich poprzedników, którzy właśnie weszli. — Jestem z Lottie.

Bramkarz, marszcząc brwi, lustruje mnie od stóp do głów.

— Nic z tego, złotko. — Kręci głową. — Nie dzisiaj. Mina mi rzędnie, patrzę na niego niepewnie. — Lottie —

powtarzam z braku innego argumentu. — Zna ją pan, bujne włosy, mocno opalona, sukienka spięta agrafką.

— Nic z tego — powtarza, tym razem bardziej stanowczo. — Nie dzisiaj.

Gapię się na niego i powoli prawda zaczyna do mnie docierać.

— Chce pan powiedzieć, że mnie nie wpuści?

— Mamy dziś komplet — rzuca na odczepnego i gestem odsuwa mnie na bok, by przepuścić ludzi z kolejki.

Co za bezczelność. Podczas gdy ja stoję tu i czekam. Łypię na niego z wściekłością.

— Przecież przed chwilą wpuścił pan tych wszystkich ludzi! — zauważam nie bez racji.

Wracając do mnie wzrokiem, ponownie mnie lustruje.

— A poza tym obowiązują tu pewne zasady w kwestii stroju — burczy, wskazując na moje ubranie.

— Co pan opowiada? — oburzam się. — Przecież jestem w kostiumie!

— No właśnie — odpowiada, potrząsając głową współczująco.

Czuję oblewający mnie rumieniec. Trzeba przyznać, że moja grafitowa, obcisła spódniczka z dopasowanym jednorzędowym żakietem nie jest specjalnie odjazdowa. Gdybym wiedziała, że idę do klubu, włożyłabym pewnie coś bardziej luzackiego. Chociaż nie. Gdybym wiedziała, że idę do klubu, włożyłabym przede wszystkim zatyczki do uszu. I co z tego, że jestem w kostiumie. Jest elegancki. Jest klasyczny. Na miłość boską, jest od Prądy!

Słyszę, jak ludzie za mną złorzeczą, że blokuję kolejkę. Patrzę zdesperowana na bramkarza. Mój Boże, to nie do wiary. Takie upokorzenie. Korci mnie, by odwrócić się na pięcie i uciec do domu. W końcu nie miałam najmniejszej ochoty iść do tego hałaśliwego, śmierdzącego, zapoconego klubu. W gruncie rzeczy nie ma na świecie miejsca, które nęciło by mnie mniej. Może Afganistan. Ewentualnie Blackpool w lutym.

Ale nie mogę się teraz wycofać. Nawet gdybym chciała, duma mi na to nie pozwala.

Odwracam się tyłem do bramkarza i biorę głęboki oddech. A więc uważa, że nie jestem odpowiednio na luzie, tak? Myśli, że skoro nie flirtuję z nim i nie mam dwudziestu lat, to nie jestem godna wejść do jego kretyńskiego klubu? Ogarnia mnie gniew. Jeszcze zobaczymy.

Sięgam do torebki, wyciągam portfel i odliczam trzy dwudziestki. Okay, może nie jestem dość młoda i dość wystrzałowa, żeby uśpić czujność bramkarzy, ale dorosłość ma jedną wielką zaletę: nie muszę być.

Pluszowa lina znika jak za dotknięciem różdżki.

— Życzę dobrej zabawy — kłania się bramkarz, cofając się, by mnie przepuścić.

— Liczę na to. — Uśmiecham się triumfalnie i wchodzę do środka.
Ponieważ teraz mogę sobie pozwolić nawet na łapówki.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jeśli chcecie wiedzieć, jak wygląda Canal Club, zróbcie sobie w domu następujący eksperyment:

1. Nastawcie ogrzewanie na maksa, żeby porządnie się wypocić.
2. Wybierzcie płytę hip-hopową (najlepiej taką której wszystkie ścieżki brzmią identycznie) i puśćcie tak głośno, żeby zagłuszyć własne słowa i zagrozić bębenkom w uszach.
3. Teraz zwiększcie głośność.
4. Wstawcie brytfankę z olejem do mocno rozgrzanego piekarnika, żeby całe pomieszczenie wypełniło się dymem.
5. Zablokujcie klozet rolką papieru toaletowego, żeby nie dało się spuścić wody.
6. A teraz wpuśćcie do salonu tyle osób, ile się tylko da.
7. Zamknijcie wszystkie okna na głucho i zachęćcie gości do palenia.
8. Żądajcie piąta za każdą szklankę wody.
9. I pogaście światła, żeby nic nie było widać.

— Auu, uważaj gdzie leziesz! — wrzeszczy mi prosto do ucha gardłowy głos.

— Och, przepraszam! — bąkam, szybko zdejmując obcas szpilki z czyjejs stopy.

Próbuję dostosować wzrok do zadymionej, przecinanej błyskami stroboskopu ciemności i przedzieram się przez klub w poszukiwaniu Lottie. Nigdzie jej nie widzę. Ale trudno się dziwić, skoro nie widzę zupełnie nic. I nic nie słyszę w tym ogłuszającym łomocie. Jakbym nagle straciła dwa z moich zmysłów.

Odrzucam pokusę zatkania uszu palcami, zdejmuję żakiet i próbuję łokciami utorować sobie drogę przez tłum klubowiczów. Powietrze aż lepi się od potu i mdlących perfum; już czuję łaskoczące strużki ciekące po karku, gdy posuwam się w głąb buchającego żaru. Jezu, gorąco tu jak w piekle!

Bo to jest piekło, szepcze mi gdzieś w głębi zdesperowany głos, gdy ląduję pod owłosioną pachą jakiegoś mężczyzny. Chyba mężczyzny. Jak mówiłam, niewiele tu widać.

Przed oczami błyska mi obraz mojego łóżka. Mojego ciepłutkiego, wygodnego łóżka, z pikowanym materacem, kołdrą z gęsiego puchu i spulchnionymi poduszkami. Wtulam się w nie delikatnie, przy wtórze szumiących fal i cichym pomruku nawilżacza. Świeczka zapachowa zniewala nutą lawendy, a...

Pot.

Skondensowana fala odoru przywraca mnie do rzeczywistości. Okay, mam dość. Dłużej tego nie wytrzymam. Przypomina mi się piosenka *It's My Party and VII Cry if Want to*. Pasuje jak ulał. Wierście mi, zaraz się rozpłaczę, jeśli nie znajdę Lottie. Zastanawiam się rozpaczliwie, gdzie ona, do jasnej cholery, może się podziewać?

Zbieram się w sobie i ruszam w głąb klubu. Po lewej

znajduję mały bar, a po prawej kilka kanap zajętych przez obściskujące się pary. Ale ani śladu Lottie. Odwracam wzrok, próbując przebić się przez kłęby dymu papierosowego i mgłę suchego lodu. Widzę niewielki parkiet do tańca. Błyski stroboskopu omiatają przestrzeń, oświetlając przelotnie podłogę usłaną niedopałkami i rozdeptanymi resztkami przeżutej gumy. To jedno z tych miejsc, gdzie po zapaleniu światła szuka się na gwałt środków odkażających.

A przecież uwielbiałam ten klub, przypominam sobie, gdy zaczynają powracać mgliste, dawno zapomniane obrazy spędzonych tu wieczorów. Jak to możliwe, zastanawiam się teraz, zdumiona. Co tu było do uwielbiania?

Podchodzę do krawędzi parkietu, stoję, przeczesuję wzrokiem morze ludzkich ciał. W samym środku widzę grupkę dziewcząt tańczących wokół sterty damskich torebek, dalej jakąś parę w jednakowych skórzanych spodniach, podskakującą obok kolumn głośnikowych; w końcu dostrzegam Lottie.

Nagle zaskoczenie.

Ja? Tańczę?

Ja nigdy nie tańczę.

Powiedzmy, już nie, myślę, obserwując z fascynacją siebie samą, podrygującą wokół didżeja, rytmicznie poruszającą biodrami bez żadnych zahamowań. W ostatnich latach muszę być kompletnie pijana, żeby zatańczyć. Jestem po prostu zbyt nieśmiała. A tu patrzcie tylko: potrząsam pupą przed całym światem, w dodatku całkiem na trzeźwo, co widać po butelce wody mineralnej, którą trzymam w ręku.

No właśnie, woda. Wiedziona pragnieniem, przepycham się do baru, by zdobyć coś do picia. Jest tu nieco spokojniej i z satysfakcją gramolę się na wolny stółek przy kontuarze.

— Witam, co podać?

Podnoszę wzrok na parę jasnoszarych oczu spoglądających na mnie z wyczekiwaniem. Przez ułamek sekundy automatycznie mam ochotę się uśmiechnąć i powiedzieć: „Cześć, jak się masz”, jak do starego znajomego, ale nie mam pojęcia, skąd mogłabym go znać, i nie chcę wyjść na idiotkę.

— Eee... poproszę wodę mineralną.

— Już się robi. — Barman kiwa głową.

Kiedy sięga do lodówki, moja ciekawość zwycięża.

— Przepraszam?

Odwraca się do mnie uprzejmie.

— Czy my się skądś znamy? — pytam. Przygląda mi się przez chwilę i potrząsa głową.

— Raczej nie, nie sędzę. Ogarnia mnie lekkie zażenowanie.

— Musiałam pana z kimś pomylić. Mogłabym przysiąc, że już się gdzieś widzieliśmy.

— Bardzo możliwe. Pracuję jako barman w Wellington Arms.

— No tak, oczywiście! — Wracam myślą do poprzedniego wieczoru.

— Przepraszam za wczoraj.

Unosi brwi.

— Wylałam drinka. A pan po mnie sprzątał.

— A tak, rzeczywiście. — Kiwa głową. — Była pani z facetem z zespołu. Billy Romani.

— Niech mi pan tego nie przypomina... — Krzywię się, a on się uśmiecha.

— Nie jest pani jego fanką?

— Delikatnie mówiąc. — Odwzajemniam uśmiech z kpiącą miną. —

A pan?

Wciąga ze świstem powietrze.

- Nie przepadam za taką muzyką— odpowiada dyplomatycznie, ale zaciska szczękę, co skłania mnie do zmiany tematu.

— No więc... tu pan też pracuje? — pytam i natychmiast gryzę się w język, bo odpowiedź jest raczej oczywista, skoro stoi za barem.

Nawet jeżeli uznał pytanie za głupie, nie daje tego po sobie poznać.

— Cóż, ktoś musi — rzuca.

— Nie podoba się panu tutaj? — Czuję nagłą więź. Nie ja jedna cierpię.

— Nie jest to praca moich marzeń — przyznaje — ale potrzebuję pieniędzy i praktyki. No i napiwki też są nie do pogardzenia. — Mruga porozumiewawczo.

Oblewam się rumieńcem jak licealistka, a kiedy odwraca się po moją wodę, przyglądam mu się ukradkiem. Wtedy w Wellingtonie nie zwróciłam na niego większej uwagi. Ma włosy niedbale spięte w kucyk i T-shirt w maziare, ale mimo to jest całkiem, całkiem, dochodzę do wniosku, starając się nie gapić na jego opalone, muskularne ramiona, i oczywiście gapię się bezwstydnie na jego opalone, muskularne ramiona.

Ale wyłącznie ze względów czysto estetycznych, ma się rozumieć. Nie to, żebym na niego leciała czy coś takiego. Mam narzeczonego. Mam wspaniałego narzeczonego. Kupujemy dom, w którym będziemy razem mieszkać.

A ten — to jeszcze chłopiec. Można powiedzieć, że dzieciak, właściwie.

Gdy pochyla się, by wyciągnąć butelkę wody z lodówki, koszulka podjeżdża mu do góry, odsłaniając napięte mięśnie pleców. Spłoszona odwracam oczy. Jejku, tu naprawdę jest gorąco... Czuję strużki potu spływające między miseczkami stanika, chwytam podstawkę pod piwo i wachluję się nią gwałtownie.

— Proszę bardzo! — Z uśmiechem podaje mi butelkę wody, kusząc mój wzrok opalonym przedramieniem.

— Mhm, dziękuję... — Sięgam po butelkę, ale nasze dłonie nagle się zderzają, a moje palce jakimś cudem zahaczają o jego palce. Butelka wyslizguje się.

— Mało brakowało. — Zręcznie ją łapie i znów mi podaje.

— Cholera, zwykle nie jestem taką niezdara. Podnoszę oczy, napotykać jego spojrzenie. Czuję dziwny

ucisk w dołku. Ki diabeł? Ogarnia mnie przerażenie. No nie, tylko nie to, przecież to niemożliwe. Stałam się amatorką małolatów.

Jedną z tych starszych pań, które okupują kluby, by upolować znacznie młodszego mężczyznę. Płaczę w pośpiechu, czując, że policzki płoną mi jak pochodnie. Doprawdy, do czego to podobne pożądać barmana co najmniej dziesięć lat młodszego ode mnie? Przecież mogłabym być jego matką! No, może nie matką, ale starszą siostrą. Dużo starszą.

Niemniej nie ma co robić z tego wielkiego halo, reflektuję się szybko. W końcu to nic złego uznać, że ktoś jest atrakcyjny, (oż tego, że dziesięć lat młodszy? Faceci zawsze gapią się na młode dziewczyny. To całkiem naturalne. Nic nie znaczy. Z pewnością Miles robi to na okrągło.

No, może nie na okrągło, wycofuję się chyłkiem. Czasami. Choćby na tę swoją księgową, Helen, małą biuściastą myszkę w obcisłych bluzeczkach z lycry. Mimo że jestem kobietą, sama chętnie zerkam w jej dekolt.

Popijając lodowatą wodę, odwracam się tyłem do barmana i kieruję wzrok na parkiet, gdzie przecież nadal tańczę. Ale nie ma lekko.

— Fantastyczna, prawda? — słyszę tuż przy uchu i widzę go obok, przechylonego przez kontuar, z podbródkiem opartym na łokciach.

Rozglądam się, niepewna, czy mówi do mnie.

— Słucham? Może pan powtórzyć?

Z rozmarzoną miną wskazuje na parkiet.

— Ta dziewczyna w sukience.

Czuję ukłucie zazdrości. Która dziewczyna, zastanawiam się, idąc za jego wzrokiem.

— W niebieskie kwiatki. Kompletnie mnie zaskoczył.

— Często przychodzi do pubu — dodaje.

Ja? Czy on mówi o mnie? Znów patrzę na siebie na parkiecie poprzez ścianę wirujących ciał. Tak, jestem tam, udając podskakującego kurczaka. Coś się tu nie zgadza. On uważa, że ja jestem fantastyczna?

— Uważa pan, że jest fantastyczna? — powtarzam z niedowierzaniem. Może się przesłyszałam. W końcu jest naprawdę głośno.

— Absolutnie — wzdycha.

Nie, nie przesłyszałam się, a jego westchnienie nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Wracam do mojego młodszego ja, tańczącego w zapamiętaniu, podczas gdy starsze ja usiłuje przetrwać słowa barmana. Nie przypominam sobie, żeby ktoś kiedykolwiek powiedział o mnie „fantastyczna”. Komplementowano mnie, że jestem ładna, seksowna albo atrakcyjna, ale nigdy — fantastyczna. Fantastyczne mogą być gwiazdy i celebrytki w rodzaju Angeliny Jolie, ale nie Charlotte Merryweather w wieku dwudziestu jeden lat. Dwudziestu dwóch. Od dziś.

— Ma na imię Lottie — mówię, ciągle nieco oszołomiona.

— Rzeczywiście — potakuje. — To znaczy, że się znacie?

— Można powiedzieć, że jesteśmy spokrewnione. — Uśmiecham się. Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

— Niemożliwe — prycha. — Ani śladu podobieństwa. Uśmiech mi gaśnie. Okay, wiem, że wyglądam inaczej niż

dziesięć lat temu, ale mógłby sobie darować prychnięcie. Dziś jestem o wiele bardziej zadbana i stokroć bardziej elegancka.

Wystarczy porównać nasze brwi.

— Mamy identyczne nosy — zauważam cierpko. Przygląda mi się jakby chwilę dłużej niż to konieczne.

— Hm... być może — zgadza się dość niechętnie. — W pewnym sensie.

Czuję się dziwnie urażona i odrobinę zazdrosna. Co jest po prostu śmieszne. Jak można być zazdrosną o samą siebie?

— No dobrze, niech mi pan powie, co w niej jest takiego fantastycznego? — pytam zaciekawiona.

— Och, nie wiem. — Potrząsa głową. — Wszystko.

— A konkretniej? — nalegam.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć. — Wzrusza ramionami. — Ma w sobie coś. Niczego bym w niej nie zmieniał.

— Niczego? — Patrzę na niego z niedowierzaniem.

— Nie. — Ucina. — Jest pod każdym względem... — Urywa, jakby brakowało mu właściwego określenia, wreszcie je znajduje: — doskonała.

— Doskonała?

— Gdy ją pierwszy raz zobaczyłem, natychmiast mnie powaliło.

— Powaliło? — Zdaję sobie sprawę, że zaczynam przypominać papugę babki Mary, ale nie mogę się powstrzymać.

— Tak, powaliło. Po prostu. Straciłem dla niej głowę. Patrzę na niego osłupiała. Jak mogłam tego nie zauważyć?

Juk to możliwe, że kogoś „powaliłam” i nawet nie miałam o tym bladego pojęcia?

- Jezu, gadam jak sentymentalny palant, co? — odzywa się, opacznie interpretując moje milczenie. Uśmiecha się z zakłopotaniem. — Pewnie ma mnie pani za jakiegoś idiotę.

— Ależ skąd — protestuję, potrząsając głową. Przeciwnie. Gdyby nie Miles, mogłabym się w nim zakochać. Mimo że jest o dziesięć lat młodszy.

— Powinien pan do niej zagadać, dać do zrozumienia, co pan czuje...
— podsuwam.

Krzywi się na sam pomysł.

— Rozmawiałem z nią kilka razy, ale wątpię, czy mnie w ogóle zapamiętała.

Ma rację, nie zapamiętałam, myślę.

— Pewnie nie wie, że w ogóle istnieję — ciągnie. — W końcu jestem zwykłym barmanem, a ona, wystarczy spojrzeć, może mieć każdego na pstryknięcie palcem.

Czuję do siebie żal. Boże, dlaczego lata temu nawet nie zwróciłam na niego uwagi? Jest taki słodki i uroczy, i taki z niego miły chłopak.

Bo nie interesowałaś się słodkimi i uroczyymi, Charlotte. Mili chłopcy cię nie kręcili. Kręcili cię muzycy i skaterzy, i ogólnie rzecz biorąc sami nieodpowiedni faceci, nie pamiętasz? — wypominam sobie. On ma rację. Nie zwróciłabym uwagi na barmana z potarganym kucykiem i w koszulce w maziaje. Nie byłby wystarczająco *cool*.

— Moim zdaniem byłaby szczęściarą, mając takiego chłopaka jak pan. — Uśmiecham się.

Odwzajemnia uśmiech szelmowsko i unosi jedną brew.

— Tak pani sądzi?

— Oczywiście — potakuję. — I jak na barmana jest pan całkiem, całkiem... — dodaję żartobliwie.

Śmieje się.

— Pani też jest niczego sobie — odpowiada. — Właściwie, gdyby była pani o dziesięć lat młodsza, pewnie sam bym się koło pani zakręcił.

— No nie! — Obrażona biorę zamach, żeby go pacnąć.

— Żartowałem, żartowałem! — Broni się i uchyla z rechotem. Wyciąga rękę: — Przy okazji, mam na imię Olly.

— A ja Charlotte.

Kiedy wymieniamy uścisk dłoni, dostrzegam coś po wewnętrznej stronie jego nadgarstka. W klubie jest ciemno, widzę to tylko przez moment w świetle zza baru, ale wzrok mnie nie myli: to wytatuowana żabka.

Co za zbieg okoliczności! Taką samą miał barman w gastro-pubie.

Ledwo mi ta myśl przemknęła przez głowę, nawet nie zdążyłam jej zarejestrować, a już goni ją następna.

Robi mi się słabo. Nie, to niemożliwe. Absolutnie niemożliwe.

Możliwe?

Widzę w myślach podwójny obraz. Po jednej stronie Olly w kucyku, mazajowatym T-shircie i hipisowskich bransoletkach, a po drugiej barman z gastropubu z krótkimi kręconymi włosami, złamanym nosem i blizną przecinającą górną wargę. Nie, to niemożliwe. Wyglądają zupełnie inaczej.

Ty też dziesięć lat temu wyglądałaś inaczej, szepce mój głosik.

Wtem obrazy zlewają się i z dwóch osób powstaje jedna. O mój Boże, to dlatego wydawał mi się znajomy! Słodki, uroczy Olly, na którego nawet mam chrapkę, jest barmanem wyśmiewającym się z moich alergii pokarmowych. Barmanem, który nalewając mi dziś urodzinowego szampana, spytał, czy nie mam alergii na bąbelki. I który wkurza mnie do nieprzytomności.

To on. W jednej i tej samej osobie. Niech to diabli!

Rozdział dwudziesty czwarty

— A, tu jesteś!

Czyjaś dłoń spada mi na ramię, okręcam się na barowym stołku i widzę Lottie z roziskrzonym wzrokiem, zdyszana tańcem. — Zastanawiałam się, gdzie się podziewasz.

— Och... cześć... — bąkam z trudem. Czuję się, jakbym dostała młotkiem po głowie i zobaczyła gwiazdy.

— Podpiera bar, gdzieżby indziej — błyska dowcipem Olly, próbując ją zagadnąć, ale ona porządkuje fryzurę, nie zwracając na niego uwagi.

— Mhm, Lottie, czy znasz... — usiłuję dopełnić prezentacji, jednak przerywa mi, wykrzykując z entuzjazmem: — Chodź, lecimy tańczyć!

— Nie, nie... raczej nie. — Odruchowo kulę się w sobie.

— No chodź — nalega i ciągnie mnie za rękę.

Z drugiej strony nie bardzo mam ochotę zostawać tutaj z Ollym, teraz, gdy odkryłam, kim jest. To zbyt krępujące. No bo co mu powiem? Dlaczego się pan zrobił taki wredny?

No właśnie.

— Dobrze, pójdę. — Poddaję się. — Ale tylko na jeden kawałek.

Lottie nie słucha zaabsorbowana ściąganiem mnie z barowego stołka. I nie dając mi żadnej szansy, ciągnie mnie żywcem i wbrew mojej woli na parkiet.

Szlag by to trafił.

To przeżycie jak ze złego snu, w którym kroczy się całkiem nago przez centrum miasta. Tylko że to nie sen. To przerażająca rzeczywistość, przeklinam w duchu, z rozpaczą zdając sobie sprawę, że nie ma ucieczki.

Czuję się jak zając złapany w światła reflektorów. A raczej w światła stroboskopów, w tym przypadku. Uwięziona w kręgu wirujących ciał, nie mam gdzie się schować.

Uuuch, co za koszmar. Przekonana, że wszyscy na mnie patrzą, oddycham głęboko i staram się przebierać nogami, choć sprawiają wrażenie zatopionych w bloki betonu. Za to nie mam pojęcia, co zrobić z rękami, luźno przyfastrygowanymi do ciała. Wymachuję nimi niepewnie i kołyszę łokciami, próbując imitować podskakującego kurczaka, czyli najnowszy taniec *funky chicken*. Nie wiem, czy robię to, jak należy, wiem tylko, że wyglądam jak skończona idiotka.

Problem w tym, że jestem beznadziejną tancerką. Niektórych los obdarował poczuciem rytmu, ale ja do nich nie należę. Pamiętacie taką piosenkę Glorii Estefan *The Rhythm 's Gonna (lei You!* No więc mnie, jak dotąd, nie porwał. Ciągle czekam. Byłam chyba jedyną osobą na całym stadionie Wembley, która klaskała nie w takt do *We Will Rock You* na koncercie Queen. Spróbujcie, to prawie niemożliwe. Ale mnie się udało.

Jednak Lottie najwyraźniej to nie przeszkadza, myślę, patrząc na nią. Macha ramionami, podryguje i przykuca, zupełnie się nie przejmując, że przypomina kaczkę. Zresztą nikt inny też się nie przejmuje. Nie wiem nawet, czy ktokolwiek to w ogóle zauważa, uświadamiam sobie, obserwując ludzi na parkiecie.

Z niechęcią zdejmuję zakiet, obwiązuję wokół talii i staram się naśladować przysiady Lottie. Niestety, jestem teraz starsza i dużo mi trudniej wstać z powrotem. Au. Krzywię się, czując strzykanie w krzyżu. Przecież to tortura. Bogu dzięki, że już nie muszę przeżywać takich urodzin. Fakt, urodzinową kolację skończyliśmy ciut za wcześnie, a Miles przysypiający na kanapie był nieco irytujący, ale miły, spokojny wieczór w restauracji jest o niebo lepszym sposobem świętowania niż uwięzienie w jakimś dusznym, przepełnionym klubie i konieczności tańczenia. Przenika mnie uczucie ulgi. Bogu dzięki, że nie jestem już dwudziestolatką. Bogu dzięki, że nie muszę się już włóczyć po klubach. Bogu dzięki, że...

Nieruchomieję, prostuję się nagle i podnoszę głowę. Do tej pory muzyka opływała mnie jednostajnym łomotem, ale teraz dociera do mnie kilka znajomych dźwięków.

Moment. Czy to nie...?

Jakbym dostała zastrzyk radości.

Boże, to jest to! Alanis Morissette śpiewa *Ironie*. Nie słyszałam jej od wieków. Jak ja kocham tę piosenkę!

Czując przyływ energii, zaczynam mimo woli kręcić biodrami. Potem talią. Teraz ramionami. Rany, co za wspaniałe uczucie! Zaczynam poruszać się w rytm metalicznych dźwięków gitary. Nic nie poradzę. Moje ciało nie może ustać spokojnie. To po prostu niemożliwe! Nawet pamiętam wszystkie słowa! Zawiazany naprędce kucyk rozwiązuje się w tańcu. Nie zwracam na to uwagi, zaczynam śpiewać. Z początku cichutko, potem coraz głośniej.

Teraz jest refren, zamykam oczy i wyrzucam ramiona w górę, śpiewając słowa piosenki na całe gardło. W tym momencie o niczym nie myślę. O niczym oprócz tańca do tej melodii. Zatracam się w refrenie. Zostawiam za sobą

wszystkie swoje zmartwienia i wątpliwości, i kompletnie się rozluźniam.

To jest zdumiewające! Czuję się wspaniale, euforycznie. Ktoś ociera się o mój tyłek.

Otwieram oczy, odwracam się gwałtownie i staję ciało w ciało z mężczyzną, który ma T-shirt o cztery numery za mały i kozią bródkę na wystającej szczęce. Uśmiecha się do mnie lubieżnie.

Och nie, tylko nie to.

Nie, nie, nie, nie.

Wracam do tańca, starając się uciec jak najdalej, ale amator końskich zalotów nie daje za wygraną. Naciera na mnie, podążając za mną po całym parkiecie jak cień, aż w końcu mam dość.

Idę do klo! — krzyczę Lottie do ucha, zostawiam faceta z jego napierającym krocem i umykam do damskiej toalety. Uff.

Z westchnieniem ulgi docieram do bezpiecznej przystani łazienki i wciskam się do środka. Jak zwykle, stoi tu długa kolejka, ale po wypiciu butelki wody naprawdę muszę się wysiusiać, więc z rezygnacją przygotowuję się na długie czekanie. Opieram się o ścianę. Stopy mi pulsują. Już przedtem dawały mi w kość w tych wysokich szpilkach, a teraz, po tańcu, zupełnie mnie dobijają. Z grymasem bólu zdejmuję jedną szpilkę i uwalniam ściśniętą stopę jak korek z butelki.

Rozmasowując obolałe palce, wracam myślą na parkiet. Mogę sobie pogratulować ucieczki. Chwila dłużej, a zostałabym przyszpilona do pulpitu didżeja krocem tego faceta. Wzdrygam się, ale nagle ta sytuacja niespodziewanie mnie rozśmiesza. On musiał wyglądać naprawdę komicznie, wykonując te swoje dziwne pompujące ruchy biodrami. Przynajmniej miałam dobrą wymówkę, żeby opuścić parkiet.

Co mi uświadamia, że wcale nie chciałam opuszczać parkietu. Nie było tak źle. Prawdę mówiąc, zaczynałam się całkiem dobrze bawić.

Och, co tu kryć! Miałam totalny ubaw.

Kiedy przypominam sobie, jak płąsałam, mimo woli się uśmiecham. To musiało wyzwolić wszystkie te endorfiny, czy jak to się tam nazywa, uznaję, tłumacząc sobie mój dobry humor. Nigdy bym siebie o to nie podejrzewała, ale rzeczywiście włączyłam się do zabawy. I to całkiem na trzeźwo. Co za szok!

Skoro o szoku mowa, to co z Ollym? Ciągle nie mogę dojść do siebie po odkryciu, że ten naprawdę miły barman i ten naprawdę irytujący facet z gastropubu to jedna i ta sama osoba. Po prostu nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Ani przewidzieć konsekwencji.

Chodzi o to, że nie ma nic złego w chwilowym zauroczeniu kimś, kto jest dziesięć lat młodszy. To pozostaje w świecie fantazji, jak podkochiwanie się w księciu Harrym (tak, tak, przyznaję się, ale nikomu o tym nie mówcie), jednak co w sytuacji, kiedy nie ma między nami dekady różnicy? Kiedy on jest w tym samym wieku co ja? Kiedy wszystko dzieje się w realnym świecie? Czy to nadal jest niegroźne? Czuję przyływ paniki.

Co jest oczywiście śmieszne, bo go nawet teraz nie lubię, więc w ogóle nie ma o czym mówić.

— Przepraszam, ma pani może ogień?

Moje rozmyślenia przerywa czyjeś pytanie, więc przestaję masować stopę i podnoszę głowę.

Chwileczkę, znam ten głos, czy to nie...?

Vanessa.

Stoi obok mnie, ufarbowana na platynowy blond, umalowana jaskrawoczerwoną szminką, i macha z nadzieją niezapalonym papierosem, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Boże, jak się cieszę! W pierwszym odruchu mam ochotę rzucić się jej na szyję, ale się powstrzymuję.

— Jezu...

Nagle zdaję sobie sprawę, że przypatruje mi się, marszcząc brwi z konsternacją, jakby dopiero teraz mnie dostrzegła.

— Słucham? — staram się mówić normalnym głosem, ale serce skacze mi do gardła. Ona wie, że to ja.

— Och, nic takiego. — Wzrusza ramionami. — Przez chwilę wydawało mi się, że kogoś mi pani przypomina.

— Tak? — Czekam z niepokojem, rozdarta między strachem a podnieceniem.

— Nie, już nie. Tylko mi się tak wydawało przez sekundę. Ale w gruncie rzeczy wcale nie jest pani do niej podobna.

Przez moment czuję dziwne rozczarowanie. Wiem, że się bardzo zmieniłam, i dzięki Bogu, ale chyba nie jestem kompletnie inną osobą niż jej najlepsza przyjaciółka z tamtych czasów?

A może jestem?

— Niech pani nie zwraca na mnie uwagi — ciągnie Vanessa. — Jestem zupełnie nieprzytomna. To prawdziwy kłopot, jak się człowiek zakocha. — Wzdycha ciężko, choć od razu widać, że to dla niej żaden kłopot. Wręcz przeciwnie. — Wie pani, ktoś kiedyś powiedział, że stan zakochania to rodzaj szaleństwa. I miał rację! — Parska śmiechem i zaczyna przeszukiwać swoją różową, pikowaną kopertówkę w kształcie truskawki.

Obserwuję ją. To dziwne uczucie widzieć Vanesę z taką malutką torebką. Odkąd ma Ruby i Sama, nigdzie się nie rusza bez tych ogromnych toreb na zakupy wypełnionych po brzegi całą masą różnych rzeczy.

Cholera, mogłabym przysiąc, że miałam tu gdzieś zapalniczkę.

— Chwileczkę, chyba mam zapalki.

Wkładam rękę do kieszeni żakietu i wygrzebuję kartonik, który wzięłam z miski na kontuarze baru. Teraz nikt nie pali i zapalki reklamowe wyszły z mody, a mnie ich wiecznie brakuje do świec zapachowych. Podaję je Vanessie.

— Dzięki. — Uśmiecha się z wdzięcznością, zapala papierosa i zaciąga się głęboko, podczas gdy w żółtym tempie posuwamy się w kolejce. — Chryste, to zajmie całe wieki — jęczy, wydmuchując dym przez nos. — Mój chłopak gotów pomyśleć, że dałam dyla z innym. — Nachyla się ku mnie i wyznaje: — Właściwie nie jest jeszcze moim chłopakiem. Spotkaliśmy się tylko trzy razy, ale już zdążyłam śmiertelnie się w nim zakochać. Ma na imię Julian — dodaje z przejęciem. — I studiuje prawo.

Z fascynacją słucham, jak mi się zwierza, mnie, zupełnie obcej osobie, jak to robią zakochane po uszy dziewczęta, które opowiadają na prawo i lewo każdemu, kto zechce słuchać, jakie są szczęśliwe, jakie to cudowne uczucie i jaki wspaniały jest ich chłopak. Chociaż oczywiście znam to wszystko od podszewki.

Jednakże...

Podczas jej paplaniny uderza mnie nagle myśl, jak inna jest ta Vanessa od Vanessy, którą widziałam zaledwie parę godzin temu na mojej kolacji urodzinowej, od Vanessy, która stała ze mną w innej damskiej toalecie i mówiła o Julianie.

Ta tutaj uśmiecha się z rozmarzeniem, a potem chichocze:

— A może po prostu jestem wariatką.

Ma roziskrzone oczy, tryska nadzieją i radością, promienieje tym nowym błyszczącym klejnotem, który zwie się miłość. Tymczasem dziś wieczorem, kilka godzin wcześniej, wydawała się taka zrezygnowana, nieszczęśliwa i przygnębiona.

Patrzę, jak wyjmuje puderniczkę i poprawia usta swoją

charakterystyczną jaskrawoczerwoną szminką. Robi dwa idealne łuki na górnej wardze i szybkim, wprawnym ruchem podkreśla dolną. Od jakiegoś czasu Vanessa nie używa czerwonej szminki. W gruncie rzeczy nawet dziś wieczorem nie miała żadnego makijażu, dopóki nie dałam jej błyszczyka, przypominam sobie, a jej włosy były jak zwykle ściągnięte do tyłu w ciasny koczek. Widocznie nie miała czasu na prysznic, bo babysitterka się spóźniła.

Ale to coś więcej. Więcej niż nieumyte włosy i brak szminki; to jak oglądanie fotografii, która kiedyś była kolorowa, a teraz jest czarno-biała.

— Och, nareszcie! Jedna się zwolniła. — Daje mi gestem znak, żebym zajęła pustą kabinę, której nie zauważyłam.

— Rzeczywiście... dzięki.

Zostawiam ją przy retuszowaniu rzęs i zamykam się w środku. Nagle ogarnia mnie bezbrzeżny smutek. Tyle się zmieniło przez te dziesięć lat i po raz pierwszy mnie uderza, że niekoniecznie na lepsze.

Rozdział dwudziesty piąty

Czas pędzi nieubłaganie i jest już trzecia nad ranem. Żeby tylko.

Szukając spokoju na kanapie w ciemnym kącie, po raz setny patrzę na zegarek. Czuję się, jakbym była tu od wielu godzin. Dni. Prawie tygodni. Jestem już znudzona i zmęczona, boli mnie głowa, pieką stopy i chcę iść do domu.

Ale nie mogę. Muszę tu zostać i pilnować Lottie, która w jakimś momencie porzuciła wodę i zaczęła się systematycznie zalewać stawianymi jej z okazji urodzin drinkami. Zapomniałam już, jak sama potrafiłam się upić. Kiedyś nawet tańczyłam na stole.

I to w wysokich szpilkach. Nie wiem, jak to zrobiłam.

Rozcieram skronie i automatycznie — jak światła latarni morskiej — przeczesuję wzrokiem klub, sprawdzając, gdzie podziewa się Lottie i czy nie łąduje się w jakieś kłopoty. Albo czy nie spadła ze stołu. Właśnie w tym momencie muzyka nagle się urywa i zapalają się światła.

Ożywiam się; aż boję się uwierzyć własnym oczom. Czy to znaczy...? Nadzieja ściska mnie za gardło, kiedy klubowicze zaczynają opuszczać parkiet i zmierzać do wyjścia. Tak, to

się dzieje naprawdę! Mam ochotę uklęknąć i ucałować podłogę. „Ulga” to mało powiedziane w stosunku do tego, co czuję.

Hurra! Hurra! Nareszcie. Jest po wszystkim.

— Kurczę, co za świństwo! — bełkocze Lottie, wynurzając się z tłumu. Jej spocona twarz wyraża głębokie rozczarowanie. — Nie do wiary, że już się skończyło. Tak wcześnie?

— No właśnie, wielka szkoda — wtóruję jej kłamliwie, łapię torebkę i wkładam żakiet. — Okay, chodźmy. — Szybkim krokiem wychodzę, moje obolałe nogi nagle wracają do życia.

Na zewnątrz wszyscy się żegnają, tłocząc na chodniku.

— Poczekaście chwilę, chcę zrobić fotkę na pamiątkę! — wrzeszczy Lottie. Wyjmuje aparat z torebki i zaczyna zgarniać ludzi w zwartą grupę.

— Ale przede wszystkim ty musisz na niej być! — krzyczy ktoś.

Lottie zwraca się do mnie z pytaniem:

— Pstrykniesz zdjęcie, Charlotte?

— Oczywiście.

Biorę aparat; chcę jak najszybciej mieć to z głowy i zmyć się stąd, ale kiedy patrzę przez wizjer, uderza mnie nagle znajomy układ grupy, ubrania, uśmiechy.

O Boże. To fotografia, którą mam w domu na lodówce. Zrobiona w dniu moich urodzin.

Przeze mnie?

Mam w głowie zamęt. Ale jakim cudem? To niemożliwe. Chyba że...

— Dalej, pośpiesz się! — poganiam mnie ktoś. Szybko się otrząsam.

— Okay, proszę o uśmiech!

Wszyscy szczerzą zęby do obiektywu i kiedy naciskam spust, patrzę na Lottie: moje młodsze wcielenie uśmiecha się szeroko i ma radość w oczach. Błyska flesz, klika migawka i utrwalam tę chwilę na zawsze.

Oferuję się odprowadzić Lottie do domu. Stoi tam mój samochód, a co ważniejsze, ona ledwo trzyma się na nogach i potrzebuje eskorty. Wątpię, czy beze mnie w ogóle by dotarła na miejsce.

Objęte ramionami toczymy się przed siebie. Jest naprawdę ciepła noc. A może powinnam powiedzieć wczesny ranek? Wokół panuje spokój i niemal magiczna cisza — jakby cały świat spał oprócz nas.

Przed domem Lottie walczy z kluczami i kiedy upuszcza je na ziemię po raz trzeci, przejmuję inicjatywę. Bez problemu otwieram drzwi i holuję ją do środka.

— Może zrobię ci kawę, to ci pomoże wytrzeźwieć — proponuję. Ciągnę ją do kuchni, która jest pogrążona w ciemności, i sadzam na krześle.

A właściwie posadziłabym ją na krześle, gdyby na każdym nie piętrzyły się stosy rzeczy. Brudne ścierki do naczyń, gazety i... O Boże, czy to majtki? Wzdrygam się na widok porzuconych tu stringów. W mroku nie widzę, czy są czyste, czy wręcz przeciwnie, ale nie kwapię się sprawdzać. Wolną ręką sięgam po drewnianą łyżkę, nawlekam je na trzonek i szybko przerzucam na inny stos. Wierzcie mi, jest w czym wybierać, piętrzą się wszędzie — jakby był tu kret, tylko zamiast kopczyków ziemi zostawił kopce śmieci. Usuwam jeden kopiec i opuszczam Lottie na krzesło.

Dobrze, teraz nastawię czajnik.

Zapalam światło, które pada z gołej żarówki zawieszanej niedbale u sufitu — kuchnię nagle zalewa sto watów ostrego światła.

Zastygam.

O Jezu, ktoś się tu włamał i splądrował mieszkanie!

To pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy i wprawia w popłoch. Muszę zadzwonić po policję i to szybko. Może skradziono jakieś cenne rzeczy? A może — Boże broń — włamywacz nadal tu jest? Panika rośnie i chwyta mnie za gardło. Cholera, gdzie tu jest telefon?

I nagle widzę, że moje młodsze wcielenie nie zrywa się z krzykiem: „Okradli nas!”. Wręcz przeciwnie, siedzi całkiem spokojnie, jakby wszystko wyglądało jak zwykle.

Bo wygląda jak zwykle, Charlotte.

Naraz to do mnie dociera. Nie było żadnego włamania i nikt nie zrobił tu niebotycznego bałaganu — oprócz ludzi, którzy tu mieszkają. Przez chwilę to przetrawiam. Czy naprawdę żyłam w ten sposób? Ja i moi współlokatorzy byliśmy prosiakami! Chociaż nie, prosiaki są czystsze. I nie rozrzucają wokół brudnych majtek... Przebiegam wzrokiem pomieszczenie — każda powierzchnia jest zavalona brudnymi kubkami, resztkami jedzenia, sparciałymi torebkami herbaty i miskami z zastygłymi w breję płatkami śniadaniowymi, które trzeba by chyba odkuwać dłutem i młotkiem; w zlewie wznosi się niebotyczna piramida brudnych naczyń, wysoka jak wieżowiec. A gdzie śmieci? Patrzę ze zgrozą na plastikowy kubeł, bez przykrywki: z czarnego worka wysypują się puste puszki, większość po fasolkach w sosie pomidorowym Heinza.

No i ten zapach.

Krztuszę się i odwracam głowę. Wykopuję skądś czajnik elektryczny, nawiasem mówiąc tak obrośnięty kamieniem, że użytkownicy mogą już nigdy nie zażywać wapnia. Napełniam go wodą (co nie jest łatwym zadaniem, muszę dokonywać cudów ekwilibrystyki, żeby wcisnąć czubek dziobka między kran a stos naczyń) i naciskam pstryczek.

Myślę o moim własnym, wypielęgnowanym, nieskazitelnie czystym mieszkaniu. Nie po raz pierwszy cieszę się, że nie jestem już Lottie.

Odwracam się do niej — leży twarzą na stole, z zamkniętymi oczami.

— Zaraz będzie kawa — pocieszam ją, starając się nie wydawać okrzyków obrzydzenia, kiedy szukam kubka, który nie jest obrośnięty pleśnią.

— Mhm... — mamrocze Lottie sennie.

W jakiś sposób w ciągu paru minut przeistoczyła się z pijanej duszy towarzystwa w pijaną jak bela, śpiącą w ubraniu, zaślinioną denatkę.

— Może powinnaś też coś zjeść — sugeruję.

— Mhm...

Ostrożnie otwieram szafkę po szafce. U siebie w domu mam półki wypełnione paczkami organicznego razowego makaronu, słoikami suszonych na słońcu pomidorów, butelkami oliwy z oliwek z pierwszego tłoczenia...

Zupki chińskie.

Patrzę na nie w osłupieniu. To wszystko?

Robię małe przeszukanie. Musi być coś jeszcze oprócz zupek chińskich. Chwileczkę, coś znajduję. Butelkę wyschniętego keczupu z białym nalotem na górze, która ma do zaoferowania najwyżej kilka kropel, i to, jeśli postawiłoby się ją do góry nogami na tydzień.

Niemniej ona powinna coś zjeść, więc musi to być zupka chińska albo nic. W desperacji biorę jeden pojemnik i zdejmuję folię aluminiową z wierzchu. Hmm... bardzo pożywne danie, myślę z przekąsem, patrząc z obrzydzeniem na proszek w pudełku. Nawet nie chcę wiedzieć, ile tam jest niezdrowych dodatków i numerków E.

Czajnik się wyłącza i wypełniam pojemnik po brzegi gorącą

wodą, potem zabieram się do robienia kawy. Wyskrobuje resztki z dna słoika z neską i podchodzę do lodówki po mleko. Szczerze mówiąc, boję się, co znajdę w środku. I nie bez racji.

Zbierając się na odwagę, otwieram drzwi i staję oko w oko z ilością lodu większą niż w Arktyce. Każdy, kto martwi się globalnym ociepleniem, powinien nabrać otuchy na widok lej lodówki. „Rozmrażanie” to najwyraźniej słowo, którego w młodości nie znałam.

Nie byłam też za pan brat ze słowami „owoce” czy „warzywa”. Natomiast na górnej półce, która jest moja we wspólnej lodówce, są dwa serki topione, na wpół wyjedzony słoik ragu i niezidentyfikowany, skamieniały kawałek, który może być wszystkim. Patrząc na niego z ciekawością.

A więc na tym przeżyłam? Na zupkach chińskich, keczupie, serkach topionych i ragu? Jestem zdumiona, że nigdy nie miałam szkorbutu, krzywicy czy czegoś takiego.

Wracam myślami do mojej listy i dopisuję:

17. Odżywiaj, się zdrowo.

— Wiesz, naprawdę powinnaś przejść na zdrową dietę — radzę Lottie; wypatruję z tyłu otwarty karton mleka i sięgam po niego skwapliwie. — Powinnaś jeść zalecane pięć porcji warzyw i owoców dziennie, żeby obniżyć cholesterol i zmniejszyć ryzyko raka okrężnicy.

Zerkam na Lottie, ale ona nie słucha. Padła na stół i cichutko pochrapuje.

Daję sobie spokój z radami dietetycznymi — przynajmniej na razie — i wracam do robienia kawy. Wącham mleko. Faj, jest całkiem skwaśniałe. A nawet już skrzepnięte w rodzaj stężałej galarety. Szybko wkładam karton z powrotem do

lodówki. (Wyrzuciłabym go do śmieci, ale kubek już się przelewa).
Będzie musiała wypić czarną kawę. To lepsze niż nic.

Stawiam przed nią kubek i zupkę chińską. Nawet nie drgnie. Śpi jak zabita. Potrząsam nią i budzi się, mrużąc oczy w świetle. Przez chwilę rozgląda się nieprzytomnie wokół, jakby nie wiedziała, gdzie jest; potem rzuca się na kawę.

— Mmm... dzięki — mamrocze; prostuje się i wypija duży łyk, a potem zjada łyżkę glupy, to znaczy zupki chińskiej. — Pyszna. — Szczerzy zęby. — Chcesz trochę? — Podsuwa mi plastikowy pojemnik.

— Nie, dziękuję — mówię szybko. — Nie jestem głodna.

— Jak wolisz — odpowiada beztrosko, nie przerywając jedzenia. — Będzie więcej dla mnie.

Tak czy owak, to przynosi dobry efekt i wkrótce Lottie ożywia się na tyle, by wejść po schodach do swojego pokoju. Idę z nią, po części z ciekawości, a po części z obawy, że się potknie i spadnie ze schodów. Podtrzymuję ją ramieniem, kiedy chwieje się niebezpiecznie na ostatnim stopniu. Uff, mało brakowało.

— Nie ma to jak w domu — wzdycha.

Z zupką chińską w jednej ręce i kubkiem kawy w drugiej, popycha biodrem drzwi. Otwierają się szeroko, ujawniając, że zostawiła zapalone światło. Oszczędność energii nie była moją mocną stroną w tamtych czasach. Ani, jak się okazuje, zbieranie ubrań z podłogi.

Kiedy wchodzę, wita mnie obraz, który najlepiej mogę oddać tylko w ten sposób: wyobraźcie sobie, że opróżniacie wszystkie szuflady i wyrzucacie zawartość na podłogę. Podobnie robicie z ubraniami z szafy. Dodajecie na wierzch kilka par butów. Płaszcz. Nie zapomnijcie o mokrych ręcznikach. I oto jesteście w mojej dawnej sypialni.

— Rozgość się — zachęca Lottie, zrzuca buty i usadawia się po turecku na indyjskiej kapie.

Rozglądam się, gdzie by tu usiąść. Pokoik jest tak mały, że trudno się obrócić. Całe umeblowanie stanowi niewielki stół i składane plastikowe krzesło pod oknem — przycupuję na nim niewygodnie na samym brzegu. Stół jest zavalony książkami, ale najwięcej miejsca zajmuje przedpotopowy komputer IBM, obok leży stosik papieru.

— Piszę powieść — wyjaśnia Lottie.

— O rany, całkiem o tym zapomniałam — mruczę pod nosem i szybko gryzę się w język.

Lottie na szczęście nie usłyszała; jest zajęta wcinaniem zupki chińskiej.

— Nie skończyłam jej jeszcze, ale skończę — ciągnie pewnym głosem. — W tej chwili pracuję w gazecie z krzyżówkami, ale tak naprawdę chcę zostać pisarką. Marzyłam o tym już jako dziewczynka. Nie wyobrażam sobie, żebym miała robić cokolwiek innego. — Z apetytem wsuwa kolejną łyżkę. — A ty? Czym się zajmujesz?

— Ja? Eee... prowadzę własną agencję PR. — Wracam myślą do aktualnego stanu.

— Ojej, naprawdę? — Oczy jej się rozszerzają z wrażenia. — To niesamowite. Masz własną agencję. Odniosłaś megasukces.

— Nie powiedziałabym „mega” — odpowiadam skromnie, choć w środku pękam z dumy, że tak dobrze sobie poradziłam, że zaszłam tak daleko. Zerkam na Lottie, siedzącą po turecku i pojadającą chińską zupkę na wygniecionym materacu pośrodku swojej klitki.

- Na pewno mieszkasz w szalowym mieszkaniu, prawda? I do tego masz ten szalowy samochód. Uśmiecham się, przypominając sobie jej ochy i achy na

widok podgrzewanych skórzanych siedzeń, kiedy odwoziłam ją po koncercie do domu.

— No cóż, lubię go...

— Jesteś szczęściarą — wzdycha smętnie. — Dużo bym dała, żeby pewnego dnia mieć własne mieszkanie i własny nowy samochód. Trochę pieniędzy też by się przydało.

Pławię się z rozkoszą w jej szacunku.

— Kochasz swoją pracę? — pyta z ciekawością.

— Kocham to może za dużo powiedziane — wyznaję, myśląc o ostatnim tygodniu. — Jest związana z mnóstwem stresu...

— Bo to ważne, żeby kochać to, co się robi — przerywa, nie dając mi dokończyć zdania. — Mój tato zawsze powtarza, że skoro w pracy spędza się pół życia, to można równie dobrze robić coś, co kochamy i co nas pasjonuje.

Mam niejake wątpliwości. Tata rzeczywiście zawsze to powtarza, ale szczerze mówiąc, nigdy nie pasjonowałam się PR-em, byłam od tego daleka. Jednak z drugiej strony, ilu ludzi pasjonuje się swoją pracą? — mówię sobie na usprawiedliwienie.

— Słuszna uwaga. — Kiwam głową. — Ale nieco idealistyczna. Czasami trzeba iść na kompromis i skoncentrować się na zajęciu, które pozwoli ci zapłacić rachunki i zapewni bezpieczeństwo finansowe — rezonuję. — Może to nie być coś, co cię fascynuje, ale nadal niesie wyzwania i daje satysfakcję.

Widzę, że moje młodsze wcielenie słucha z uwagą, co mnie cieszy. Pękam z dumy, że jako ta starsza i bardziej doświadczona mogę ją pokierować, przekazać swoje wskazówki i rady, nauczyć, co jest naprawdę ważne.

— Uff, nie, wielkie dzięki... — wzdryga się Lottie. — Niesie wyzwania i daje satysfakcję — powtarza, jakby te

słowa miały kwaśny smak. — To nie zapowiada dobrej zabawy.

— W życiu nie zawsze chodzi tylko o zabawę — odpowiadam, lekko wkurzona.

— A o co? — pyta po prostu.

Jej pytanie mnie zaskakuje. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wiem, co. Nie znam odpowiedzi. Bo właściwie ona ma rację. O co chodzi w życiu?

Ratuje mnie odgłos zatraskiwanych frontowych drzwi.

— Cholera jasna, wrócił jeden z chłopaków — jęczy Lottie. — Poczekaj chwilę, muszę skoczyć do łazienki, zanim inni ją zajmą.

Zrywa się na nogi i znika z pokoju, a ja nagle przypominam sobie, jak to było, kiedy dzieliłam łazienkę z sześcioma innymi osobami. Rano czekało się na swoją kolejkę do prysznicza, aby w końcu odkryć, że zabrakło ciepłej wody. Biegło się w środku nocy do ubikacji, a tam już siedział ktoś inny. Nadsluchiwało się, kiedy drzwi się otworzą, żeby wziąć długą, relaksującą kąpiel, a wtedy wychodził jeden z chłopaków, narzekając na skutki wczorajszego curry...

— Przepraszam, o czym to mówiłyśmy? — pyta Lottie, która już zdążyła wrócić.

Patrzę na nią zdumiona. Spodziewałam się, że upłynie sporo czasu, zanim wyszczotkuje zęby, wyczyści szpary nicią dentystyczną, wypłucze usta, zmyje makijaż, wklepie kremy. Mnie samej ta wieczorna rutyna zajmuje wieki. Nagle znajduję wytłumaczenie.

— Och, już ktoś tam był? — Robię współczującą minę.

— Nie. — Uśmiecha się i pada z powrotem na materac. — Już po wszystkim.

Po wszystkim?

Wbijam w nią wzrok z niedowierzaniem. Co to znaczy: po

wszystkim? Jak może być po wszystkim w ciągu mniej więcej dziesięciu sekund? Ja potrzebuję co najmniej czterdziestu pięciu minut.

Wtedy dostrzegam, że nie zmyła makijażu.

Jeszcze nie, podpowiada mi głosik w głowie. Z pewnością go zmyje. Każda kobieta wie, że skóra regeneruje się w nocy i musi być idealnie czysta, żeby wchłonąć wszystkie te odżywcze składniki z kremów, które wklepujemy.

Zaczynam się martwić.

A może nie każda kobieta to wie?

— Eee... Nie zmyjesz makijażu? — pytam od niechcienia.

— Nie. Zbyt dużo kłopotu. — Ziewa, pociera ręką powieki i rozmazuje sobie czarną kredkę do oczu na policzku.

Wzdrygam się w duchu i starając się nie myśleć o mojej biednej skórze, dopisuję w pamięci jeszcze jeden punkt do listy:

18. Zawsze, zmywaj, makijaż.

Skoro już o liście mowa...

— Wiesz, zamiast wynajmować pokój, powinnaś pomyśleć o kupnie własnego mieszkania — sugeruję. — Wtedy będziesz mieć łazienkę tylko dla siebie.

— Tak, jasne. — Śmieje się, jakby usłyszała niezły żart. — Za co?

— Za swoje oszczędności — ciągnę, pochylając się i podnosząc mokry ręcznik. Od początku nie dawał mi spokoju. Składał go i wieszam na oparciu krzesła.

— Nie mam żadnych oszczędności — prychna. — Mogę jedynie zrobić debet. Właściwie... — Urywa z namysłem — ...mój limit debetu wynosi trzysta funciaków, z czego zostało sześćdziesiąt, czy to się liczy?

— Nie, to się nie liczy — mówię szybko; rozumiem już, co musi czuć Miles, kiedy gubię się w rozmowie o funduszach inwestycyjnych. Mimo wszystko jej tok rozumowania jest mi bliski. W pewnym sensie. — Więc powinnaś założyć sobie konto oszczędnościowe — ciągnę, sięgając po następny ręcznik. — Nie musisz odkładać dużo, wystarczy kilka funtów miesięcznie, a z czasem może urosnąć z tego niezła sumka. — Skończywszy z ręcznikami, zabieram się do sprzątanania reszty rzeczy. Skoro już zaczęłam... — I na I woim miejscu — dodaję znacząco — pomyślałabym o składkach na emeryturę, a może nawet w coś zainwestowała. — Wieszając sukienki na wieszakach, przelatuję myślą moją listę. — Oto mała poufna informacja: jeśli możesz, kup akcje czegoś, co się nazywa Google. — Pozwalam sobie na chwilę rozmarzenia, jak bym wydała moje miliony. Przede wszystkim, obdarowałabym hojnie rodzinę i przyjaciół. Teraz na myśl przychodzi mi Vanessa i jej rada. — Aha, jeszcze jedno, zanim zapomnę: musisz zacząć robić ćwiczenia mięśni dna miednicy.

Nagle zdaję sobie sprawę, że Lottie od dłuższego czasu milczy i odwróciła się na drugi bok.

— Nie martw się, to nie takie trudne. Moje młodsze wcielenie śpi jak suseł. Wpatruję się w nią z niedowierzaniem.

Bez nastawionej płyty. Bez nakładki na zęby. Bez maseczki aromaterapeutycznej. Bez nawilżacza. Bez zaciemniających żaluzji. I przy zapalonym świetle. Najwyraźniej w tamtych czasach nie cierpiałam na bezsenność, myślę z zazdrością.

Delikatnie przykrywam ją rąbkiem indyjskiej kapy, ona mruczy coś niewyraźnie przez sen i odwraca się. Obserwuję ją przez chwilę we śnie i zbieram się do wyjścia. Po raz

ostatni omiatam pokój wzrokiem i zauważam niedokończoną powieść na prowizorycznym biurku. Robi mi się smutno, bo wiem, że nigdy nie zostanie skończona. Ponieważ porzuciłam swoje marzenie.

Nie pamiętam, jak długo tam stałam i z zadumą patrzyłam na dziewczynę, którą niegdyś byłam. W końcu zgasłam światło i cicho zamknęłam za sobą drzwi.

Rozdział dwudziesty szósty

Stuk, stuk, stuk, stuk.

Co się dzieje? Jest ciemno jak w grobie i jestem zamknięta w drewnianej skrzyni. Nic nie widzę. Nie mogę się ruszyć. Wszystko, co słyszę, to natarczywe...

Stuk, stuk, stuk.

O Boże, zostałam pogrzebana żywcem. To odgłos gwoździ wbijanych w trumnę. Stuk, stuk, stuk, stuk.

Zaraz się uduszę. Nie zdołam się wydostać. Umrę tutaj. Stuk, stuk, stuk.

Ratunku, wypuście mnie, wypuście mnie, wypuść mnie!!!

— Kochanie, obudź się, obudź się.

Otwieram oczy, zdejmuję opaskę i widzę Milesa, który mną potrząsa.

— Co się...? Co to...? — Siadam wyprostowana i patrzę na niego otepiałym wzrokiem, usiłując zrozumieć, gdzie jestem. Leżę w łóżku obok Milesa, który ma zatroskaną twarz.

— Ciii, nie martw się. Miałaś koszmar senny. Krzyczałaś coś o tym, żeby cię wypuścić.

— Ach... tak... rzeczywiście — mamroczę, czując nie-

słyszana ulgę. — O Boże, to było straszne, Miles, naprawdę straszne. — Opadam z powrotem na poduszkę. — Zostałam żywcem pogrzebana. Uśmiecha się, żeby dodać mi otuchy.

— Już wszystko dobrze, nie denerwuj się. Jesteś tu ze mną bezpieczna. — Głaszcze mnie po głowie i odgarnia lepkie od potu włosy przyklejone do czoła.

Stuk, stuk, stuk, stuk. Sztywnieję. To ten odgłos!

— Co to było? — wrzeszczę, znów się podrywając. A więc to nie sen, to rzeczywistość.

— Ach, to? Nie przejmuj się, kochanie, to nic takiego. — Śmieje się z mojej przerażonej miny. — To tylko pośrednik nieruchomości przybija tablicę.

— Tablicę? Jaką tablicę? — Irytuję się, wyskakuję z łóżka i biegnę do okna. Rozsuwam zasłonę, podnoszę żaluzje i patrzę na ulicę. W samą porę, żeby zobaczyć, jak mężczyzna z młotkiem wbija ostatni gwóźdź.

— Na sprzedaż — czytam z niedowierzaniem duże czerwone litery. Serce podskakuje mi do gardła.

— A co się spodziewałaś tam znaleźć? — pyta Miles jowialnie.

— Eee... nic. Sama nie wiem. — Mam zupełny mętlik w głowie. — Tylko że... czy to nie jest trochę za wcześnie?

— Za wcześnie? — odpowiada Miles, opierając się o wezgłowie. — Nigdy nie jest za wcześnie, jeśli chodzi o rynek nieruchomości, kochanie — poucza mnie z mądrą miną. — Teraz, kiedy nasza oferta została zaakceptowana, ważne jest, żeby kupujący wiedzieli, że podchodzimy do sprawy poważnie, a to oznacza sprzedaż naszych dotychczasowych mieszkań, wykonanie ekspertyzy, załatwienie wspólnej hipoteki i depozytu...

Kiedy tak głądzi monotonnym głosem, zaczyna mi się kręcić w głowie. Pocieram uszy nieco wzburzona.

— Może zrobię kawę — proponuję, przerywając mu wywód o założeniu wspólnego konta bankowego.

I nagle dostaję ataku klaustrofobii, z trudem oddycham. Zupełnie jakby mój koszmar senny o pogrzebaniu żywcem stał się rzeczywistością.

— Doskonale, dobry pomysł — potakuje Miles. — Mam małego kaca po wczorajszym wieczorze. Po tym całym świętowaniu. — Patrzy na mnie i zaczynam panikować. — Musiałem paść na kanapie i obudziło mnie dopiero światło wpadające przez szpary żaluzji, więc dowlokłem się do łóżka. Ale ty nie możesz tego pamiętać — dodaje, patrząc na mnie znacząco.

Moja panika rośnie. Niech to szlag.

Dniało już, kiedy zostawiłam śpiącą Lottie w moim dawnym domu i wróciłam do obecnego mieszkania. Pewna, że Miles nadal pochrapuje na kanapie, poszłam prosto do sypialni, która była pogrążona w kompletnej ciemności z powodu zaciemniających żaluzji, i padłam ledwo żywa na łóżko. Ale co, jeśli Miles się obudził, kiedy byłam w klubie? Co, jeśli przyszedł tu i zobaczył, że mnie nie ma? Co, na miłość boską, mam mu powiedzieć? Moje myśli zaczynają na gwałt szukać usprawiedliwienia. Jakim cudem zdołam mu to wytłumaczyć...?

— Spałaś jak zabita. Kompletnie nieobecna dla świata — ciągnie Miles. Moje zdumienie nie ma granic. — Byłaś najwyraźniej wykończona. Zwykle masz taki lekki sen.

A więc upiekło mi się! On nic nie wie! Napięcie opada, moje ciało niemal wiotczeje z ulgi.

— Pewnie zmożły cię emocje związane z kupnem domu, co? — Szczyrzy zęby od ucha do ucha.

— No właśnie... — Uśmiecham się z trudem. — Całkiem mnie to powaliło.

Demonstracyjnie się przeciągam i dorzucam udane ziewnięcie. Które zamienia się w prawdziwe. Prawdę mówiąc, jestem nadal mocno zmęczona.

— Chcesz, żebym pomógł ci zrobić kawę? — Fałszywie sobie tłumacząc ten pokaz wyczerpania, Miles zaczyna gramolić się z łóżka.

— Nie, nie. — Powstrzymuję go szybko. — Poleż sobie jeszcze. Sama zaparzę.

— Hm... takie życie mi odpowiada — mówi i z westchnieniem zadowolenia wsuwa się z powrotem pod kołdrę.

Zostawiam go w sypialni i biegnę do kuchni; chwytam torebkę z kawą ziarnistą, napełniam młynek i włączam. Wyjmuję dzbanek do kawy. Przyciskając go do piersi, opieram się o ladę i patrzę, jak ziarenka wirują w młynku, podobnie jak różne dziwne myśli wirują mi w głowie.

Jak żywy staje mi przed oczami obraz zeszłego wieczoru. Wszystko po kolei: moja kolacja urodzinowa, Miles i szampan, Vanessa i Julian, Lottie i klub, barman Olly... Na wspomnienie Olly'ego żołądek fika mi kozła i przebiega mnie dreszcz. Czego? Emocji, strachu, szaleństwa? Sama nie wiem. Myśl o naszej rozmowie rozpala mnie żywym ogniem, lecz nagle pamięć podsuwa mi wizerunek barmana z gastropubu. Złośliwy, irytujący, bezczelny — i pomyśleć, że to jeden i ten sam człowiek. Trudno pojąć.

— A, tu jesteś.

Odwracam się i widzę Milesa stojącego w drzwiach w moim kremowym szlafroku. Jest na niego za mały, więc wystają mu blade ręce i nogi, co wygląda dość komicznie.

— Zastanawiałem się, co z tą kawą.

Dopiero teraz dociera do mnie odgłos młynka, który ciągle micie — szybko go wyłączam.

— Pomyślałem sobie, że moglibyśmy po śniadaniu wybrać się i obejrzeć jeszcze raz nowy dom — ciągnie, sięgając po płatkę śniadaniowe Weetabix.

Trzyma jedno pudełko u mnie. Najwyraźniej je ten gatunek od dzieciństwa i nie umie pozbyć się tego przyzwyczajenia. Nie to, żeby chciał. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś z taką przyjemnością posypywał je cukrem, przygniatał łyżką, ostrożnie nalewał mleko wokół, „żeby nie rozmiękły”, a potem spożywał je z precyzją godną neurochirurga.

— Więc musimy się pośpieszyć. Umówiłem się na odbiór kluczy.

— Mhm... tak, oczywiście — potakuję, czując znajome napięcie.

Odwracam się do dzbanka na kawę i bezwiednie pocieram uszy. Nadal mnie swędzą. Właściwie jest to dość bolesne, stwierdzam, i pochylam się, żeby się przejrzeć w lśniącej stalowej ścianie opiekacza. Przeżywam mały szok. Moje uszy są czerwone i rozpalone, a na szyi zaczyna się wyłaniać obrzydliwa wysypka. O mój Boże, to musi być wina perłowych kolczyków. Jestem na nie uczulona.

I już wiem, że to znak. Znak, że to jedna wielka pomyłka. Kupno domu. Wspólna przewodniczka. Ja i Miles. Jestem przestraszona i wstrząśnięta tym odkryciem. Jakby ktoś otworzył we mnie szczelnie zamknięte drzwi, które dotąd bałam się otworzyć, ponieważ wiedziałam, co jest po drugiej stronie.

Nie kocham Milesa.

Kiedy tylko ta myśl przebija się do mojej świadomości, zdaję sobie sprawę, że była tam dłużej, niż chcę sama przed sobą przyznać. Nie dopuszczałam jej, ignorowałam, udawa-

łam, że to nieprawda, stosowałam techniki PR-u do własnego związku, starałam się przekonać samą siebie, że jesteśmy dla siebie stworzeni, że Miles to dla mnie idealny partner. Dopiero teraz zrozumiałam, że to nieprawda.

Tylko jak to powiedzieć Milesowi?

Serce zaczyna mi bić jak szalone, kiedy się do niego odwracam. Siedzi na stołku przy ladzie, starannie przygotowując płatki, i usta mu się nie zamykają.

— Jest mnóstwo rzeczy, które trzeba załatwić. Na przykład: czy zostawiają zasłony i żaluzje? Jeśli nie, to będziemy musieli je zamówić, a to może potrwać przynajmniej cztery do sześciu tygodni.

Muszę mu przerwać. Oddycham głęboko i zbieram się na odwagę.

— Miles, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale nie mogę...

— Och, nic nie mów — prycha, marszcząc brwi. — Masz jogę.

Przełykam ślinę.

— Nie, nie mam jogi.

— Chyba mogłabyś to przełożyć na inny termin? To naprawdę ważna sprawa — ciągnie pochylony nad miską z płatkami.

— Miles, nie słuchasz — parskam z irytacją i natychmiast czuję się winna.

Kieruje na mnie zdziwiony wzrok.

Wstrzymuję oddech. Teraz albo nigdy. Po prostu muszę to z siebie wyrzucić.

— Chodzi o nas.

No, nareszcie. Wykrztusiłam to.

Patrzy na mnie przez chwilę, skonfundowany, szukając w moich oczach jakiejś wskazówki, potem kiwa głową.

— Wiem już, co masz na myśli.

Ogarnia mnie niespodziewany optymizm. Może on czuje to samo co ja. Może jemu też otworzyły się oczy.

— Chodzi ci o zeszłą noc, tak? — kontynuuje ze zmieszana miną. — O to, że zasnąłem na kanapie.

Jestem zbity z tropu.

— O to, że nie kochaliśmy się w twoje urodziny.

O Boże, a więc tak to rozumiał? Do tego stopnia opacznie, że nawet nie wiem, co powiedzieć.

— Ale nic straconego, możemy to zrobić teraz, jeśli chcesz — oferuje się, odkłada łyżkę i wstaje. — Nie musimy odbierać kluczy przed dziesiątą, więc mamy czas.

Patrzę na niego, jak stoi w moim frotowym szlafroku, a niedojedzone płatki rozmakają w misce — i jakoś nie czuję się bardzo podniecona. Prawdę mówiąc, proponuje uprawianie seksu tak rzeczowo, jakby proponował segregowanie śmieci.

— Miles, nie chodzi o zeszłą noc ani o seks — mówię, szybko odsuwając ten temat. — Chodzi o nas. O mnie, o ten dom, o wszystko. — Zataczam rękami krąg wokół nas.

Miles patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem. Miałam nadzieję, że coś wtrąci, skończy za mnie zdanie, domyśli się, co chcę powiedzieć. Ale po dwóch złych trafieniach trudno się tego po nim spodziewać, prawda?

— Nie chcę kupować tego domu! — wypalam w końcu. Jego twarz wyraża niebotyczne zdumienie.

— Dlaczego? Co ci się w nim nie podoba? — chce wiedzieć.

— Wszystko mi się w nim podoba — odpowiadam szybko. — Jest idealny. To idealny dom.

— No więc? — Jego zdumienie znika i pojawia się irytacja. — Posłuchaj, Charlotte, wiem, że jesteś zdenerwowana, ale to po prostu absurd. Co w ciebie wstąpiło?

— Nic, tylko że... — Patrzę w podłogę. — Miles, nie mogę tego zrobić. Nie mogę z tobą zamieszkać.

Stało się. W końcu to powiedziałam. Zapada milczenie. Podnoszę niepewnie wzrok. Jest jak ogłuszony. Twarz mu tężeje.

— Nie możesz czy nie chcesz? Poruszam się niespokojnie.

— Miles, nie robię tego z premedytacją. Jesteś cudownym człowiekiem. Cała wina leży po mojej stronie. Miałam już przedtem pewne wadliwości, tylko po prostu nie zdawałam sobie sprawy... — Kurczę, jakoś słabo mi idzie. Biorę głęboki oddech i kontynuuję: — Ale teraz rozjaśniło mi się w głowie i wiem, że nie bylibyśmy razem szczęśliwi.

— Poznałaś kogoś, tak? — pyta nagle oskarżycielskim tonem.

Nerwy napinają mi się jak postronki i patrzę na niego zaskoczona.

— Nie, oczywiście, że nie! — protestuję szybko.

— Owszem, znalazłaś innego — upiera się. — Domyślałem się tego. Ostatnio zachowujesz się jakoś dziwnie. Inaczej. Odkąd wróciłem z Leeds. No więc, kto to jest?

— Nikt.

O Boże, dlaczego on mi zadaje te wszystkie pytania? I dlaczego czuję się nieswojo, myśląc o Ollym?

— Powiedz mi, kto to jest, a dam mu w pysk. — Zaciska pięść i potrząsa nią groźnie. Tylko że Miles nigdy nie wygląda groźnie. Zwłaszcza w moim szlafroku kąpielowym.

— Miles! — wykrzykuję w rozpacz, widząc, że ta rozmowa dramatycznie zbacza z kursu. Cholera, nie tak to sobie wyobrażałam.

— Nie chodzi o kogoś innego. Chodzi o mnie.

Wpycha pięść do kieszeni i stara się zachować spokój. Piers mu flaczeje.

— Posłuchaj, Charlotte, jestem pewien, że uda nam się dojść do porozumienia. Jak zawsze — dodaje rzeczowo.

Ma rację. Jeśli zdarza nam się różnica zdań, nigdy się nie kłócimy, tylko jakoś dogadujemy. Jednak to zwykle wymaga pójścia na kompromis. A teraz chodziło o coś ważniejszego niż kominek.

— Nie, Miles, nic z tego. — Kręcę głową ze smutkiem. — Tym razem porozumienie nie wchodzi w grę.

— Uważam, że robisz wielki błąd! — rzuca ze złością. Czuję się podle. Jestem potworem.

— Stracimy prawdziwą okazję — ubolewa. — To doskonała inwestycja. Jak możesz to robić?

Powoli jego słowa do mnie docierają. Zaraz, zaraz... on mówi o domu?

— Poza tym, już zamówiłem wykonanie ekspertyzy. To co najmniej siedemset funtów wyrzucone w błoto, chyba że uda mi się wycofać zlecenie. Choć wątpię, czy to możliwe tak w ostatniej chwili.

Najwyraźniej jest przygnębiony i stara się skierować myśli na inne tory. To jego sposób na stres. W końcu mężczyźni są inni niż kobiety, prawda? Patrzę, jak chwytą swój telefon komórkowy z lady kuchennej, gdzie się ładował, i zaczyna wystukiwać numer. Z drugiej strony, może naprawdę bardziej przejął się domem?

— Zadzwoń do nich od razu, zobaczę, co się da zrobić...

— Miles, posłuchaj, zapłacę za tę ekspertyzę — oferuję się. — Pokryję wszystkie koszty, jakie ponieśliśmy. To nie jest ważne.

— Oczywiście, że jest ważne — odparowuje.

— Nie, nie jest. — Potrząsam głową. — To tylko dom. A mówimy o reszcie naszego życia.

— Tylko dom? — Śmieje się z niedowierzaniem. — Nie wydaje mi się, Charlotte. Ma świetną lokalizację. To doskonała inwestycja — powtarza.

— Nic mnie to nie obchodzi! — wrzeszczę, nie mogąc się opanować.
— Nic mnie nie obchodzi jego lokalizacja ani zgoda na rozbudowę, ani żadne inwestowanie. Nie obchodzi mnie, czy pijemy pinot noir czy cabernet sauvignon. I nie obchodzi mnie następny odcinek *Location, Location, Location*. Ani planowanie emerytury. Ani motywy muzyczne z Jamesa Bonda, których mogę już nie słuchać do końca życia... — Przerywam, ciężko dysząc.

Oboje stoimy ogłuszeni moim wybuchem.

— Przepraszam, nie chciałam krzyczeć... — mamroczę, rozkładając bezradnie ręce. — Po prostu starałam się przekonać samą siebie, że wszystko jest w najlepszym porządku. Ale dłużej nie mogę udawać. Muszę żyć w zgodzie z własnym sumieniem.

— Przecież powiedziałaś, że uwielbiasz Licencję na Zachwycanie. Kupiłem ci ich płytę. — Patrzy na mnie z miną skrzywdzonego dziecka.

— Wiem, bardzo mi przykro — mówię, tym razem łagodnie i miękko.

— Mnie też — odpowiada sztywno, przykłada znów telefon do ucha, odwraca się i wymaszerowuje z kuchni.

— Halo... dzwonię w sprawie tej ekspertyzy...

Rozdział dwudziesty siódmy

Okay, pora na podsumowanie. W ciągu niecałej godziny zmieniłam się z kobiety, która ma faceta, kupuje dom i jest o krok od tego, co moja matka nazywa ustabilizowaniem się, w kobietę bez faceta, bez nowego domu i bardzo nieustabilizowaną.

Cudownie, Charlotte. Genialne posunięcie. Jedno z twoich najlepszych.

Nieco oszołomiona opadam na kanapę i staram się oswoić z tym nagłym rozwojem wypadków. Wcale tego nie zaplanowałam z góry. Nie obudziłam się z myślą: „Muszę zerwać z Milesem”.

Kiedy już dopuściłam do siebie wątpliwości, które od dawna kołatały mi się z tyłu głowy, wszystko rozegrało się z szybkością błyskawicy i runęło jak domek z kart. Tutaj, na środku mojej kuchni. I teraz nie bardzo wiem, co dalej.

Miles wychodzi, oznajmiając, że wróci po swoje rzeczy. Proponuję, że podrzucę mu je samochodem, co będzie łatwiejsze niż taszczenie ich do autobusu, ale odpowiada szorstko, że nie potrzebuje mojej pomocy, wielkie dzięki, bo numer czterdzieści siedem jedzie tuż pod jego domem. Później demonstracyjnie zwraca mi klucze i trzaska za sobą drzwiami.

Jest zły i rozgoryczony, i wcale mu się nie dziwię. Czuję się okropnie, to ja jestem wszystkiemu winna i ja ponoszę całą odpowiedzialność. Ale jednocześnie czuję się wspaniale, jakby wielki ciężar spadł mi z serca.

Zerkam na stolik do kawy, gdzie leży zostawiony przez pośrednika nieruchomości folder mojego wymarzonego domu, połyskując zachęcająco. Kiedy go biorę, uświadamiam sobie, że nerwowy ucisk w żołądku, który przypisywałam tremie przed wspólną przeprowadzką, zniknął, odszedł w siną dal. Razem z moim życiowym marzeniem, które zawsze chciałam zrealizować, dodaję w duchu, patrząc na kolorowe fotografie.

Przynajmniej wydawało mi się, że chcę, ale teraz, kiedy dom był na wyciągnięcie ręki, nagle przestał być taki wymarzony. Opadam z powrotem na kanapę, w głowie mam wirówkę myśli. Prawdę mówiąc, zaczynam czuć się trochę dezorientowana. Jakbym biegła w maratonie przez ostatnich dziesięć lat i nagle linia mety się rozwiąła. Bo jeśli tego nie chcę, to czego właściwie chcę?

Boże, to trochę za dużo jak na sobotni poranek, prawda?

Pocierając zaognione uszy, ziewam jak hipopotam. Nawet jeszcze nie tknęłam kawy, myślę, podczas gdy powieki same mi opadają. Skoro już o tym mowa, to rzeczywiście padam z nóg. Dniało już, kiedy w końcu wgramoliłam się do łóżka, więc tej nocy spałam najwyżej parę godzin. To znaczy tego ranka, poprawiam się, wtulając głowę w poduszkę.

Nagle sztywnieję.

Brr, co to za wstrętny zapach? Marszczę nos z obrzydzeniem. Fúj, to śmierdzi jak stęchły pot i papierosy. Bo to jest stęchły pot i papierosy.

I nagle zdaję sobie sprawę, że wącham własne włosy. Moje

jedwabiste, lśniące, wypielęgnowane włosy, które zwykle pachną dzikim bzem, jojobą i czymś odpowiednio aromatycznym, teraz cuchną jak stara popielniczka i czyjaś pacha. Jeszcze raz biorę ostrożny niuch. Ohyda. Zrywam się z kanapy.

Być może nie wiem, czego chcę, ale zdecydowanie wiem, czego potrzebuję: prysznic.

Po obfitym użyciu szamponu i hojnej dawce odżywki stoję bez końca pod silnym strumieniem prysznic. Z zamkniętymi | oczami i podniesioną twarzą delektuję się gorącą wodą chlasz-czącą mnie po skórze. Przychodzi mi na myśl Lottie ładująca się do łóżka w makijażu. Boże, można sobie wyobrazić, jak będzie dzisiaj wyglądała, aż się wzdrygam. Wyciskam z tubki parę kropli specjalnego peelingu ze sproszkowanych kryształów, i energicznie szoruję nim policzki. Nie ma nic gorszego niż spanie w makijażu. Lottie będzie wyglądała okropnie.

I czuła się okropnie, dodaję, widząc jej obraz, jak pijana chwiejnie pada na łóżko z zupką chińską w jednej ręce i kubkiem czarnej kawy w drugiej. Biedactwo. Może dla mnie nie był to najszczęśliwszy poranek, ale za to ona będzie miała straszliwego kaca.

Okutana w ręczniki robię świeżą kawę, a potem błąkam się bez celu po mieszkaniu. Sprawdzam e-maile. Wyskubuję brwi. Wyrzucam wszystkie podgniłe warzywa organiczne z dolnej szuflady lodówki. Spulchniam poduszki.

Mam cały dzień tylko dla siebie. Weekendy zawsze spędzam z Milesem i tym razem miało być nie inaczej. W gruncie rzeczy specjalnie nie wzięłam roboty papierkowej z biura ani nie umawiałam się na żadne spotkania, żebyśmy mieli czas dla siebie, jako że ostatnio byłam ciągle zapracowana. Żebyś-

my mogli „zacieśnić więzy”, jak radzi książka o szczęśliwych związkach. Tylko że to nie całkiem wyszło, prawda?

Kiedy skończyłam spulchniać wszystkie poduszki z kanapy i rozkładać je starannie na swoich miejscach, rozejrzałam się wokół nieobecny wzrokiem. Już wiem, zadzwonię do Vanessy; sięgam po telefon, ale zaraz się rozmyślam. Lepiej nie, będzie zajęta dziećmi, a nie da się spokojnie pogadać, gdy co trzecie zdanie brzmi: „Nie, Ruby, nie. Mamusia rozmawia przez telefon”. Poza tym ma dość własnych zmartwień, po co jeszcze obarczać ją moimi. Przypominam sobie naszą wczorajszą rozmowę w toalecie gastropubu i czuję ukłucie niepokoju. Już wiem, może trochę pobiegam, pogimnastykuję się. Z drugiej strony bolą mnie wszystkie mięśnie po nocnych tańcach. Nie miałam pojęcia, że taniec to takie wspaniałe ćwiczenie.

A może by tak...

Ogarnia mnie pustka. Właściwie co się robi bezpośrednio po zerwaniu? Patrzę na moją biblioteczkę, wypełnioną po brzegi różnymi poradnikami, przewodnikami i podręcznikami. Przebiegam je wzrokiem. Jest tu wszystko, od *Jak sobie radzić ze stresem* po *Moc pozytywnego myślenia*, ale nie ma nic na temat zrywania. Nawet w mojej ulubionej lekturze *Dobry słuchacz, dobry kochanek*. Co jest poniekąd zrozumiałe, bo dobrzy słuchacze i dobrzy kochankowie nie mają powodu ze sobą zrywać, czyż nie?

Łapię laptop, wchodzę na Amazon i wystukuję „zerwanie”. Przed oczami pojawia mi się cały szereg tytułów: *Przetrwać w pojedynkę*, *Kiedy dwoje staje się jednym*, *Nie jesteś sama*, *Gejowskie pożegnania* (to pomijam), *Recepta na rozstanie i Życie idzie naprzód*.

Klikam na jedną z pozycji i czytam streszczenie:

Istotne jest, aby opłakać koniec związku, bo to ci pozwoli pójść do przodu. Bądź dobra dla siebie. To zajmie trochę czasu. Nie należy przyspieszać tego ważnego procesu zdrowienia, który składa się z kilku różnych etapów: 1) szok i niedowierzanie, 2) depresja i żal, 3) gniew i poczucie krzywdy, 4) pogodzenie się ze stanem rzeczy. Na tym finałowym etapie jesteś gotowa zacząć nowe życie, poczuć pozytywną energię i rozejrzeć się za nowym partnerem.

Hm... pewno teraz jestem na etapie szoku i niedowierzania. Klikam na książkę, żeby ją zamówić. Cóż, muszę ją przeczytać, inaczej zapomnę kolejne etapy, przez które mam przejść, chociaż nie palę się do tego następnego. Ciekawe, czy da się przez niego jakoś prześlizgnąć.

Tytuł wyczerpany. Zrealizowanie zamówienia zajmie cztery do sześciu tygodni.

Co? Patrzę ze złością na monitor. Nie mogę czekać od czterech do sześciu tygodni, żeby zacząć opłakiwać koniec mojego związku. Te etapy potrważą całe miesiące, więc muszę zabrać się do tego od razu. Zamykam laptop i wstaję z kanapy. Pojadę do księgarni i sama kupię książkę.

Szybko narzucam na siebie jakieś ciuchy i wycieram włosy ręcznikiem. Nie muszę modelować ich pod suszarką, nie zamierzam się dzisiaj z nikim widzieć. Wpadnę tylko do sklepu, a potem zaszyję się z lekturą, dopóki jej nie skończę. Sięgam do stolika nocnego po zegarek.

I zastygam.

Nie ma go tam.

Skołowana wpatruję się w stolik z niedowierzaniem: budzik, maseczka na oczy, świeca zapachowa... ale nie ma zegarka.

Jak to możliwe? Zdejmuję go co wieczór przed pójściem do łóżka. Regularnie jak w zegarku, przepraszam za grę słów. Zawsze tu jest. Ale nie dzisiaj.

Niech to diabli, gdzie może być?

Wiem, może zapomniałam go zdjąć i zsunął mi się z nadgarstka podczas snu. Chwytając się promyka nadziei, podnoszę kołdrę i sprawdzam pod poduszkami. Nigdzie go nie ma. Zaczynam panikować. To był prezent od rodziców na moje osiemnaste urodziny. Z okolicznościowym napisem wygrawerowanym na kopercie i tak dalej. Ma wartość sentymentalną. Poza tym to mój zegarek, do cholery! Nie mogę się bez niego obyć. Skąd mam wiedzieć, która godzina? Nie wszędzie są zegary ściennie, co oznacza, że będę musiała co pięć minut patrzeć na mój telefon BlackBerry — a co, jeśli trzeba będzie go wyłączyć podczas konferencji? Albo wygrzebywać z dna torebki? Albo, Boże broń, zapomnę go naładować?

Z rosnącą paniką robię przeszukanie mieszkania, przewracając wszystko do góry nogami, od pism kobiecych poprzez przyrządy gimnastyczne po opakowania kawy organicznej, ale zniknął jak kamień w wodę. Musiałam go gdzieś zgubić, ale gdzie?

Okay, Charlotte, uspokój się, mówię sobie stanowczo po wyczerpaniu wszystkich możliwości i siebie. Trzeba odtworzyć wszystkie wcześniejsze kroki, jak brzmi mądra rada. W nocy byłam w moim dawnym domu, przedtem w klubie, a jeszcze wcześniej w gastropubie na kolacji...

No dobrze, od tego trzeba zacząć. Chwytam kluczyki do samochodu i biegnę do drzwi. Pojadę do pubu i kogoś spytam.

Na przykład barmana.

Żołądek podchodzi mi do gardła jak na huśtawce.

Nie żebym chciała go zobaczyć, nic z tych rzeczy. Staję przed lustrem. No cóż, może trochę, ale z czystej ciekawości. Przeczesauję palcami włosy i kładę odrobinę błyszczyka na usta. Prawdę mówiąc, nic mnie nie obchodzi, czy on tam będzie, czy nie.

Nie ma go.

Wchodząc do pubu, natychmiast kieruję wzrok na bar. Czuję pewien zawód.

— Dzień dobry, czym mogę służyć? — Kudłaty, rudy barman przestaje wycierać kontuar i patrzy na mnie pytająco.

— Chciałam zapytać o mój zegarek. Zgubiłam go wczoraj wieczorem i myślałam, że może ktoś go tu znalazł.

— Nie było mnie wczoraj w pracy... Proszę chwileczkę poczekać. — Uśmiecha się i odkłada ścierkę. — Zawołam kolegę.

Kiedy idzie w stronę kuchni, rozglądam się po pubie. Oprócz pary siedzącej przy dyskretnym stoliku w rogu, jest praktycznie pusto.

— Hej, Oliver! — woła.

Serce mi staje. Oily — Oliver. To musi być ta sama osoba. O mój Boże, on jest tutaj. Po chwili ciszy słyszę:

— Taa?

Nagle zdaję sobie sprawę, że jestem bardzo, bardzo zdenerwowana. Tracę oddech, który zamiera mi w płucach. Co jest niedorzeczne. To tylko barman.

Czyżby? — wyraża wątpliwość wewnętrzny głosik. To przecież Olly z zeszłej nocy.

Kiedy wychodzi z kuchni, rudzielec mówi mu coś i pokazuje na mnie, a on podnosi wzrok. Przez krótką chwilę myślę, że się myliłam. To wcale nie jest Olly: wygląda zupełnie inaczej. Jest o wiele starszy, inny, tęższy, co widać po jego luźnym szarym T-shircie. Ogarnia mnie poczucie ulgi. Całe szczęście, że się myliłam. Że ten barman to nie Olly. W ten sposób jest o wiele prościej.

Mimo wszystko...

Kiedy podchodzi do mnie, mój żołądek znów wykonuje dziwne ewolucje.

Mimo że ma teraz krótko obcięte włosy, bliznę nad górną wargą i nosi małe okrągłe okulary, jasnoszare oczy za nimi są nadal te same. Nie pomyliłam się. Niech to diabli.

— O, to pani — bąka bez uśmiechu. Robi mi się głupio. Piękny początek.

— Eee... dzień dobry. — Z trudem przetykam ślinę. Mam gardło wyschnięte na wiór. — Byłam tu... eee... wczoraj wieczorem.

— Wiem. Obsługiwałam panią — odpowiada z kamienną twarzą.

Najwyraźniej jako trzydziestolatka nie robię na nim takiego wrażenia jak jako dwudziestolatka.

— Hmm... tak... więc zgubiłam zegarek i zastanawiałam się...

— Nie, tu go nie znaleziono. — Ucina, przerywając mi. Ogarnia mnie irytacja. A czy w ogóle się rozejrzył?

— Jest pan pewien? — próbuję jeszcze raz. — Mógł leżeć pod stołem albo...

— Nie. — Potrząsa głową. — Nigdzie go nie ma. Gryzę się w język.

— No to trudno — mówię sztywno, prostuję się i patrzę mu lodowato w oczy. — Cóż, dziękuję za pomoc i uprzejmość.

Zostawię panu moją wizytówkę na wypadek, gdyby się jednak gdzieś znalazł. — Wyjmuję wizytówkę z torebki i kładę ją na ladzie. — Przepraszam za kłopot.

Kurczę, ale z niego dupek. To prawda, że ludzie się zmieniają. I nie zawsze na lepsze, złość się w duchu i wzburzona pocieram swędzące uszy.

— Co się pani stało w uszy? — Zaciekawia się, kiedy już zmierzam do wyjścia.

— Nic — odpowiadam.

— Są mocno zaognione.

— To wynik reakcji alergicznej na kolczyki — wyjaśniam, starając się zachować obojętny ton.

Stara się powstrzymać uśmiech, ale widzę, że kąciki jego ust podnoszą się, zdradzając rozbawienie. Cholera, po co to powiedziałam?

— Te, które dał pani narzeczony? — pyta od niechcienia. Nachodzą mnie naraz dwie myśli: 1) nie pański cholerny interes i 2) obserwował mnie.

— Nie jest moim narzeczonym — odburkuj ę rozdrażniona. Patrzcie go, jaki mądrała!

— Nie? — Unosi brwi.

— To znaczy, już nie. — Zaczynam tracić rezon. Mam wrażenie, że zostałam zapędzona w koziego róg. — Właśnie zerwaliśmy. — Wbijam wzrok w podłogę i marzę, żeby ziemia się pode mną rozstała. Zwykle myślę, zanim coś powiem, ale z jakiegoś powodu nagle przeistoczyłam się w swoje młodsze wcielenie i mój mózg zdaje się nie mieć żadnego połączenia z ustami.

Przykro mi. — Oliver spuszcza brodę i patrzy na mnie spod krzaczastych brwi z zatroskaną miną. — Dobrze to pani zniosła?

Podnoszę głowę i patrzę mu w oczy. Nie rozumiem dla-

czego, ale ni stąd, ni zowąd mam ochotę otworzyć się przed tym kompletnie nieznanym człowiekiem.

Tylko że on nie jest całkiem nieznanym, prawda?

— Jako tako. — Wzruszam ramionami. Na jego twarzy pojawia się lekki uśmiech.

— Wie pani, jestem naprawdę dobrym słuchaczem. Pracując za barem, mam okazję nasłuchać się różnych zwierzeń i służyć dobrą radą, choć niekoniecznie to przynosi jakiś efekt. Jestem kimś w rodzaju powiernika.

Mimo woli mięknę i uśmiecham się.

— To długa historia.

— Mam mnóstwo czasu. Właśnie skończyłem pracę i zamierzałem iść na spacer do parku, łyknąć trochę świeżego powietrza. — Patrzy na mnie pytająco: — Może miałyby pani ochotę...?

Waham się, potem potrząsam głową.

— Dzięki, ale powinnam już wracać do domu — mówię, czując się trochę niezręcznie.

— Jasne. Jak rozumiem, ma pani lepszą ofertę.

— Nie, nie o to chodzi — protestuję, ale zaraz zdaję sobie sprawę, że on żartuje i rozluźniam się.

W tym momencie rozlega się jakiś hałas, tylne drzwi otwierają się i wpada duży, kudłaty czarny pies. Macha entuzjastycznie ogonem, długi język zwisa mu z pyska jak różowa wstążka. Psisko biegnie prosto do mnie, starając się oblizać mnie od stóp do głów.

— To Welly — przedstawia go Oliver.

— Cześć, Welly. Ja jestem Charlotte. — Uśmiecham się, głaszcząc go po głowie.

— Wygląda na to, że już się zaprzyjaźniliście. — Oliver przyklęka i zapina mu smycz. — Zostaw panią w spokoju, stary. Ona nie chce z nami iść.

Patrząc na nich, pomyślałam o czekającym mnie samotnym powrocie do pustego mieszkania, pakowaniu rzeczy Milesa, czytaniu tego poradnika. Nie mogę przecież iść na spacer z kimś, kogo ledwo poznałam.

Tylko że poznałam go już wcześniej, czyż nie?

— Może jednak trochę świeżego powietrza dobrze mi zrobi — mówię.

Oliver z uśmiechem przekazuje mi smycz.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wychodzimy z pubu i kierujemy się w stronę parku, który jest tylko kilka ulic dalej. Jednak dzisiaj ulice ciągną się przede mną w nieskończoność, jak te szosy w Ameryce, które zawsze giną na horyzoncie i wyglądają jak okładki albumów. Taki spacer ulicami wymaga rozmowy, myślę, zerkając ukradkiem na Olivera, który kroczy w milczeniu obok mnie wąskim chodnikiem, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie wytartych dżinsów.

Zdeprymowana głowię się, co by tu powiedzieć. Najwyraźniej nie rozpoznał we mnie Lottie sprzed dziesięciu lat, bo już by się z tym zdradził. Więc może zacznę od: „Zgadnij, gdzie byłam wczoraj wieczorem? Poszłam do Canal Clubu i spotkałam cię tam, tylko oboje byliśmy o dziesięć lat młodszy. Podobałam ci się wtedy, aleja nie zwracałam na ciebie uwagi i kiedy nas przedstawiłam, zupełnie cię zignorowałam”.

Doskonały pomysł, Charlotte, ale lepiej z niego zrezygnować. Chcesz poprowadzić miłą, niezobowiązującą pogawędkę, a nie dać się zapakować w kaftan bezpieczeństwa.

— No, sam powiedz, Welly, czy nie jesteś piękny? — grucham, wybierając bezpieczniejszą opcję rozmowy z psem.

Welly lekceważy tę pochwałę, idąc z nosem przy chodniku. Prawdę mówiąc, nie bardzo umiem się obchodzić z psami. Lubię je, ale trudno by mnie nazwać psiarą. Nie umiem wydawać tego cmokającego dźwięku językiem i nie odróżniam labradora od złotego jakmutam.

Tym dziwniejsze, że Welly posłusznie idzie mi tuż przy nodze. Więc może jednak zaprzyjaźnię się z psami.

— Tak, wierz mi, jesteś naprawdę bardzo przystojny — upieram się, jakby Welly temu zaprzeczył.

Oliver patrzy na mnie z ukosa, więc głaszczę psa po łbie, jakby to był dla mnie chleb powszedni. Welly zatrzymuje się pod drzewem i wacha je z zapalem.

— Ładnie pachnie? — pytam przymilnie. Macha ogonem entuzjastycznie.

— Zachowuje się zupełnie jak ja w perfumerii Harrodsa — zauważam dowcipnie, zwracając się do Olivera.

Jak widzicie, potrafię też powiedzieć pieski dowcip.

— Rzeczywiście? — pyta bez zmruczenia oka.

— Tak, prawdę mówiąc... — Urywam, kierując wzrok na Welly'ego. Chwileczkę, co on teraz robi? Przestał węszyć nosem i jakby przykucnął. Pochylam się i patrzę. — O cholera, walnął kupę. — Wzdrygam się i cofam z grymasem.

— No właśnie — potakuje Oliver, wyraźnie rozbawiony moją reakcją. — Zaraz się tym zajmę. — Wyciąga z kieszeni plastikową torebkę.

— Nie, ja to zrobię — protestuję szybko. Nie chcę, żeby wziął mnie za głupią babę, która boi się ubrudzić sobie rękę. Mówiąc w przenośni.

— Nie ma mowy, to moje zmartwienie.

— Nie, poważnie — nalegam. — Przecież to nic wielkiego sprzątnąć małą pamiątkę po psie.

Patrzy na mnie niepewnie.

— Jeśli pani sobie życzy... — Wzruszając ramionami, wręcza mi torebkę. — Tylko że Welly miał ostatnio jakieś kłopoty żołądkowe i...

Patrzę w dół w samą porę, żeby zobaczyć, jak Welly wydała ostatki tych kłopotów. Wszystkie wnętrzności przewracają się we mnie, zbiera mi się na mdłości. O mój Boże, chyba nie dam rady tego zrobić.

Musisz dać radę, mówię sobie stanowczo. Nie możesz teraz stracić twarzy.

Wstrzymując oddech, przyklękam i zaczynam to niezdarnie zgarniać.

— Pokażę pani, jak należy się do tego zabierać. Najpierw trzeba włożyć rękę do torebki... — zaczyna mi tłumaczyć Oliver.

Niestety, trochę za późno.

— Brrr... — Krzywi się. Wciągając powietrze przez zęby, rzuca mi współczujące spojrzenie.

Ale trzymam się dzielnie. Z tym samym wymuszonym spokojem, z jakim zdejmuję włochate pająki z prysznic, gdzie z jakichś powodów lubią snuć pajęczyny, zawiązuję teraz końce plastikowej torebki i wrzucam ją do najbliższego pojemnika na śmieci.

Już, zrobione.

— Pierwszy raz, co? — Oliver uśmiecha się, patrząc na moją marsową minę.

Kiwam głową bez słowa. Serce mi wali i cała się trzęsę.

— Z czasem to się staje łatwiejsze, proszę mi wierzyć. — Śmieje się.

Lody zostały przełamane, gładko przechodzimy na ty i rozmawiamy już jak starzy znajomi, wchodząc do Holland

Parku, gdzie można znaleźć schronienie przed zgiełkiem miasta pośród kortów tenisowych, zielonych trawników i klombów kolorowych kwiatów, rozciągniętych jak patchworkowa kołdra. Jest ciepły dzień owiany lekką mgiełką i w powietrzu słychać już dźwięki lata: śmiech dzieci, muzykę z tranzystorów, kopanie piłki.

Myję dokładnie ręce w toalecie, a potem wędrujemy przez cichy ogród japoński, przekraczamy mostek i obserwujemy majestatyczną pomarańczową rybę koi, pływającą poniżej. Welly, jak zahipnotyzowany, przyczaja się nad wodą, niemal dotykając tafli nosem.

— Boże, jak tu pięknie — wzdycham, rozglądając się wokół.

— To prawda — przytakuje Oliver. — Często tu przychodzę. To jedno z moich ulubionych miejsc. Aż trudno uwierzyć, że znajdujemy się w Londynie. Można sobie wyobrazić, że się jest w Kioto.

— A byłeś? — pytam z zainteresowaniem.

— Tak, kilka lat temu spędziłem miesiąc na podróżowaniu po Japonii.

— Coś podobnego! — wykrzykuję z podziwem i zazdrością.

— A ty gdzieś wyjeżdżałaś?

— Przez ostatnich kilka lat wypuszczałam się najwyżej do Yorkshire. Miałam zbyt dużo pracy — tłumaczę.

— Nikt nigdy nie żałuje na łożu śmierci, że spędził za mało czasu w biurze — replikuje. — Czy jak tam idzie to powiedzenie.

— Cóż, moja przyjaciółka dała mi na urodziny dwa bilety do Paryża — rzucam szybko. — Chociaż teraz pewno tam mc pojedę — dodaję po namyśle.

Podnosi brwi pytająco.

— Miałam się tam wybrać z moim narzeczoną — wyjaśniam.

— Pokłóciliście się na śmierć i życie czy coś w tym rodzaju?

— My się nigdy nie kłócimy — odpowiadam z godnością, cytując Milesa.

— Więc co się stało?

W oddali paw rozkłada ogon. Patrzę na niego przez chwilę.

— Właściwie sama nie wiem — mówię, wciskając ręce do kieszeni dzinsów. — To nie miało sensu. Nie pasowaliśmy do siebie. Niby wszystko było w najlepszym porządku, ale czegoś zabrakło. — Patrzę na niego, osłaniając oczy przed słońcem. — Uważasz, że postąpiłam nierozsądnie?

— Uczucia nie mają nic wspólnego z rozsądkiem. — Wzrusza ramionami, odrywamy się od wody i idziemy dalej.

Wiewiórki czmychają przed nami, kiedy krążymy zygzakiem pośród klombów.

— On chyba nie był w twoim typie — odzywa się w pewnym momencie Oliver.

— Taa, Vanessa zawsze mi to powtarzała. Chwileczkę, skąd wiesz, jaki jest mój typ? — Zatrzymuję się w pół kroku i przewiercam go wzrokiem.

— No cóż, w niczym nie przypominał Billy'ego Romani. — Podnosi brew.

Jego słowa docierają do mnie po dobrej sekundzie i wtedy...

— Poznałeś mnie! — wykrzykuję.

— Ludzie aż tak się nie zmieniają — wyjaśnia i rusza dalej.

— Wiem, ale myślałam... — Urywam. Właściwie nie mam pojęcia, co myślałam.

— Poznałem cię, jak tylko weszłaś do pubu w poniedziałek wieczorem — ciągnie, kiedy zmierzamy w kierunku trawnika, wypełnionego piknikowiczami. — Prawdę mówiąc, nie są-

dziłem, żebyś mnie pamiętała — mówi cicho, patrząc na mnie z ukosa.

Bo nie pamiętałam, szepcze mi w głowie głosik. Zastanawiam się, jak to się mogło stać.

— Nawet nie zauważałaś wtedy mojego istnienia.

— Och, tego bym nie powiedziała. — Śmieję się nerwowo, ale jego mina nie wróży nic dobrego. Jest naprawdę zły. Mam nadzieję, że nie chowa do mnie urazy. Raptem przychodzi mi do głowy pewna myśl. Zaraz, zaraz... — Czy dlatego byłeś dla mnie taki niemiły w pubie? Żeby mi odpłacić, że cię ignorowałam dziesięć lat temu? — wypalam nagle.

— Nie wiem, o czym mówisz — wypiera się, choć cień rumieńca na policzkach świadczy, że trafiłam w sedno. — Kiedy to ja byłem niemiły dla ciebie? — Sposób, w jaki to wypowiada, nie pozostawia wątpliwości, że jego zdaniem to ja byłam niemiła.

— Robiłeś sobie żarty z moich alergii. Wyśmiewałeś mnie.

— Dziwisz się? Daj spokój, musisz przyznać, że są trochę komiczne — prycha drwiąco.

— Nie, wcale nie — najeżam się. W ciągu paru sekund nasza rozmowa przeradza się w kłótnię.

— Powiedzmy sobie jasno: nie możesz jeść nabiału, białego cukru, wyrobów mącznych ani orzechów, a rybę tylko raz w tygodniu. — Wylicza wszystkie produkty na palcach, patrząc na mnie spod oka.

Teraz moja kolej, żeby się zaczerwienić. Moja dieta przedstawiona w ten sposób rzeczywiście brzmi niedorzecznie.

— Jak rozumiem to oznacza, że lody z dodatkową posypką i podwójnym sosem karmelowym nie wchodzą w rachubę?

Co?

Wskazuje na furgonetkę z lodami i moja silna wola zostaje wystawiona na próbę. Boże, uwielbiam lody!

— W żadnym wypadku — odmawiam, starając się zachować stosowne oburzenie.

— Więc jak będę kupować sobie, ty się nie dasz skusić? Zbliżamy się do furgonetki.

Kiedy Oliver podchodzi do okienka, zagryzam zęby. Cholera, nie jest mi łatwo trzymać się mojej decyzji.

— Nie, zdecydowanie nie. — Kręcę głową, kiedy zamawia loda dla siebie.

— Poproszę dziewięćdziesiąt dziewięć ze wszystkimi dodatkami. — Oliver uśmiecha się wesoło.

Rzucam mu wściekle spojrzenie. Jestem pewna, że robi to celowo.

— Mmm... pycha. — Zlizuje sporą porcję z rożka, którego podał mu lodziarz. — Jesteś pewna, że nie chcesz nawet spróbować? — upewnia się, odgryzując kawałek wafelka czekoladowego jak ta kobieta z reklamy.

Drań.

— Nie, nie mogę — odpowiadam sztywno, choć ślinka mi leci. — Dietetyczka powiedziała, że źle toleruję pewne produkty, jak pamiętasz.

— Chyba się nie zgadzam z tą dietetyczką. — Przekrzywia głowę i mierzy mnie wzrokiem. — Myślę, że tolerujesz je całkiem dobrze. Co powiesz, Welly?

Welly macha ogonem, jakby się w zupełności zgadzał ze swoim panem. Z trudem duszę chichot.

— Do tego stopnia dobrze, że bez szkody dla zdrowia możesz potrzymać przez chwilę tego loda, kiedy skoczę do toalety.

— Tak uważasz?

— Mhm... — Kiwa głową. — Mało tego, moim zdaniem twój poziom tolerancji jest tak wysoki, że jeśli lód zacznie ściekać po rożku, możesz go zlizać, zanim oblepi ci rękę.

— Naprawdę?

— Oczywiście. — Z uśmiechem wręcza mi rożek i odchodzi.

Patrzę za nim i czuję, że mój gniew topnieje szybciej niż lody, które w ciepłym słońcu już spływają mi po palcach. Posyłam za nim uśmiech.

— Wiesz co? — mruczę pod nosem, oblizując rożek i delektując się smakiem słodkiej wanilii. — Do diabła z dietetyczką! Być może to ty masz rację.

Wychodzimy z parku i kierujemy się krętymi bocznymi uliczkami w stronę Notting Hill i Portobello ze sławnym pachlim targiem, zatłoczonym straganami, które sprzedają wszystko od kwiatów po meble i imitacje czego tylko zechcesz. Przeciskamy się przez tłumy turystów na główną ulicę z rzędem sklepów i restauracji. Markowe ubrania, markowa bielizna, markowe cappuccino... Przebiegam oczami okna wystawowe, aż nagle Oliver zatrzymuje się przed małym antykwariatem.

— Muszę tu wpaść na chwilę — wyjaśnia, sięgając do wytartej mosiężnej kołatki. Welly zaczyna machać ogonem jak oszalała.

W tym momencie poznaję, że właśnie przed tym sklepikiem zatrzymałyśmy się parę dni temu z Vanessą, kiedy ujrzałam Olivera przez okno.

— Okay — wyrażam zgodę i wchodzę za nim, kiedy popycha drzwi.

W środku nad zbieraniną rozmaitych skarbów, upchniętych po kątach, unosi się duszny zapach fajki i politory.

— Halo, jest tu kto? — woła Oliver, a Welly zaczyna obwąchiwać nogi starego skórzanego fotela.

— Hm... wygląda na to, że chwilowo nikogo nie ma — stwierdza Oliver. — Może powinienem zwinąć tą dość ładną francuską akwarelę — dodaje szeptem i pokazuje ją palcem. — Co o tym myślisz?

Patrzę na niego ze zgrozą, potem zdaję sobie sprawę, że na pewno żartuje.

— Cha, cha, bardzo śmieszne — mruczę.

— Nie, poważnie — odpowiada, rozglądając się wokół rozbieganym wzrokiem. — Sądzisz, że zmieści mi się pod T-shirtem? — Bierze ją do ręki.

O Boże, on nie żartuje! Jestem przerażona. Oliver, ten miły barman, okazał się złodziejem? A ja jestem jego współniczką.

— Co ty wyprawiasz? — syczę ze złością, starając się wyrwać mu obrazek. — Odlóż to, odlóż to...

— Ehem... — Ktoś kaszle głośno, podnoszę oczy i widzę starszego pana, który wyłania się z zaplecza i stoi sobie z fajką w zębach, patrząc na nas.

— ...natychmiast — kończę, rzucając Oliverowi mordercze spojrzenie.

Jasny gwint. Przygwożdżona do podłogi, zastanawiam się gorączkowo, jak mogło do tego dojść. Szukałam tylko swojego zegarka, a teraz uczestniczę w rabunku w biały dzień. Dosłownie.

— Więc co tam masz, synu?

— Niebrzydki zachód słońca Claude'a Derbec. Zamykam oczy. Tego już za wiele. Czekam na nieuniknione.

— Kiedy namalowany?

— Gdzieś koło roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego, jak sędzę. Chwileczkę. Otwieram jedno oko.

— Niezły, naprawdę niezły.

Patrzę na starszego pana. Uśmiecha się pełną gębą i głaszcze Welly'ego, który łasi się do niego i odpłaca hojnym lizaniem po ręce.

— A więc jednak czegoś się nauczyłeś — mówi gospodarz z nutką dumy w głosie.

— Miałem dobrego nauczyciela. — Śmieje się Oliver. Skonfundowana widzę, że się obejmują.

— Cześć, dziadku. Co słyhać?

— Dziadku? — powtarzam zdumiona. I zła. Mogłabym go zabić. Przysięgam. Oliver spogląda na mnie zmieszany.

— Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Szkoda, że nie widziałaś swojej miny.

Odpowiadam mu wściekłym spojrzeniem. Mam ochotę czymś w niego rzucić, ale zważywszy na to, że wokół są same antyki, powstrzymuję się.

— A kim jest twoja piękna przyjaciółka?

— Dzień dobry. Jestem Charlotte — mówię, przywołując się do porządku. — Miło mi pana poznać. — Wyciągam rękę, a on ją łapie i przybija mi piątkę w hip-hopowym powitaniu.

— Dziadek jest wielkim fanem Jaya-Z. — Uśmiecha się Oliver, widząc moje zaskoczenie, i dodaje tytułem wyjaśnienia: — Ma prawnuki, dzieci mojej siostry.

— Więc proszę mi powiedzieć, co takiego widzi pani w moim wnuku?

Czuję, że się czerwienię.

— Eee...

— Ona nie jest moją dziewczyną — wtrąca szybko Oliver, jego policzki ciemnieją podobnie jak moje. — Nie jesteśmy... no wiesz... — mówi speszony, machając kciukiem tam i z powrotem między nami.

— Aha, rozumiem. — Dziadek kiwa głową i pykając

fajkę, przygląda się nam z zainteresowaniem, po czym nagle pyta: — Do licha, a czemu nie? — I wybucha głośnym, dudniącym śmiechem. — Najwyższy czas, żebyś znalazł sobie dziewczynę. Nie możesz być sam przez całe życie, mój chłopcze.

Oliver wygląda, jakby marzył, żeby ziemia się rozstała, a ja uśmiecham się współczująco, nie zwracając najmniejszej uwagi na głosik, który szepcze radośnie w mojej głowie: „Nie ma nikogo. Jest singlem”.

— Charlotte i ja dopiero się poznaliśmy — wyjaśnia Oliver. — To znaczy właściwie poznaliśmy się dawno temu, ale dopiero teraz... — szuka odpowiedniego słowa, a ja nastawiam uszu, co powie — dopiero teraz spotkaliśmy się ponownie — kończy.

— Rozumiem. — Starszy pan znów kiwa głową, podnosząc brwi, które wpełzają mu na czoło niczym dwie wielkie białe gąsienice. — Jak miło. — Uśmiecha się. — Macie ochotę na herbatę?

Człapie z powrotem na zaplecze wraz z Oliverem do pomocy, a ja zostaję sama z Wellym i mogę się rozejrzeć. Wnętrze przypomina stary sklep z osobliwościami. Wszystko piętrzy się jedno na drugim — grawerowany srebrny pistolet, wypchany paw, stolik mahoniowy z dwoma wielkimi łapami w roli nóg...

— No, no, ma pan tu sporo niezwykłych rzeczy — mówię z podziwem, kiedy Oliver z dziadkiem wracają, niosąc tacę, na której w chwiejnej równowadze stoją różne nie do pary filiżanki i spodki oraz czajnik w kształcie mężczyzny w cylindrze.

— Czajnik z *Alicji w krainie czarów* — wyjaśnia gospodarz, widząc moje zainteresowanie. — Oryginał z lat trzydziestych, ręcznie malowany, bez żadnych odprysków i rys w polewie. Jest w doskonałym stanie. To część jednego

z zaledwie pięćdziesięciu serwisów, jakie wykonano. — Podnosi go z namaszczeniem i z wydatnego nosa Zwariowanego Kapelusznika leje się strumień gorącej herbaty. — Prawdziwy rarytas. — Podaje mi filiżankę. — Z mlekiem i cukrem?

— Nie, dziękuję.

Ale jest za późno — już dodaje jedno i drugie.

— Mówiłaś coś, moja droga?

— Nie, nic takiego... dzięki.

Uśmiecha się pogodnie, podaje Oliverowi drugą filiżankę, a potem potrząsa pudełkiem z biskwitami.

— Może kruche ciasteczko?

Waham się i zerkami spod oka na Olivera, który obserwuje mnie z zainteresowaniem.

— Mhm... z przyjemnością.

Jest takim miłym starszym panem, przecież nie mogę odmówić, prawda? Poza tym sam fakt, że zjadłam z apetytem niemal połowę porcji lodów Olivera, zanim wrócił z toalety, dezawuuje teorię dietetyczki o moim uczuleniu na mąkę, cukier i nabiał.

— No jak tam samopoczucie, dziadku?

— Och, sam wiesz. — Macha ręką z rezygnacją, twarz mu smutnieje.
— Ale jakoś sobie poradzę.

— Dziadek musi zlikwidować sklep — tłumaczy Oliver, poklepując go pocieszająco po ramieniu. — Prowadził ten interes przeszło sześćdziesiąt lat, więc to dla niego nieco trudne.

Och, nie! — wykrzykuję. — To okropne. Dlaczego musi pan go zamknąć?

- Wszystko idzie naprzód, czasy się zmieniają. — Starszy pan wzrusza ramionami, podnosi filiżankę lekko drżącą ręką i upija łyk herbaty.

- To nie ma nic wspólnego z wpływem czasu — wtrąca

ze złością Oliver. — Cena najmu poszła szaleńczo w górę i już nie jest na jego kieszeń. Wypychają go stąd.

— Ale kto?

— Zapewne powstanie tu jeszcze jedna łupiąca klientów kawiarnia sieciowa — prycha Oliver z nieukrywaną wzdardą. — Albo sklep z drogimi markowymi ciuchami. Wprowadzają się tu teraz wszędzie, przejmują całą okolicę, starają się zrobić tu drugi cholerny Knightsbridge.

— Spokojnie, chłopcze, nie ma powodu przeklinać — strofuje go dziadek z dezaprobatą.

— Nie mogę się powstrzymać, to skandal! To brak szacunku dla ludzi, którzy stworzyli tu własny mały świat. Wszystkim rządzi teraz pieniądz i żądza zysku.

— Cóż, spędziłem w tym sklepiku kawał życia... Tutaj poznałem moją zmarłą żonę, Betty — wspomina starszy pan, zwracając się do mnie. — Przyszła kupić czajniczek porcelanowy. Tak, tak było — dodaje, jakbym okazała niedowierzanie. — Dostała znacznie więcej — żartuje i wybucha swoim rubasznym śmiechem. — Po jej śmierci myślałem o zamknięciu interesu, ale co bym wtedy robił? — Wzrusza ramionami. — Mam antyki we krwi i sam już jestem trochę antykiem, wystarczy spojrzeć.

— Ale co pan robi z tymi wszystkimi pięknymi rzeczami? — pytam i zaraz tego żałuję. Nie chcę go przygnębiać.

— EBay — odpowiada jakby nigdy nic.

— EBay? — Wierzcie mi, to nie była odpowiedź, jakiej się spodziewałam.

— Moje prawnuki dają mi lekcje — ciągnie, mocząc ciasteczko w herbacie. — Jak się zdaje, to ostatni krzyk mody. Mam nawet konto PayPal. — Rzuca mi uśmiech, który odwzajemniam.

— To już nie będzie to samo — mruczy Oliver ze złością.

— No tak, ale co robić? — wzdycha jego dziadek ze spokojną rezygnacją człowieka, który wiele przeżył. — Wszystko ma swój koniec. — Milknie i przygląda się nam. — Całe życie handlowałem cennymi przedmiotami, ale wiecie, co jest najcenniejsze?

— Co? — pytamy oboje z ciekawością.

— Czas — mówi po prostu. — Nie da się cofnąć czasu za żadne pieniądze. Nie można kupić sobie drugiej szansy. Dlatego każda sekunda jest ważna, więc nie traćcie ani jednej. Czas jest bezcenny.

Chłonę jego słowa i zastanawiam się, czy to mi właśnie dano? Drugą szansę?

— Jeszcze herbaty?

Wracam do rzeczywistości i widzę, że gospodarz patrzy na mnie pytająco.

— Taak, proszę. — Spycham niespokojne myśli na dalszy plan i podsuwam mu filiżankę. — Z przyjemnością.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Dwie filiżanki herbaty i trzy ciasteczka później Oliver zostaje zapędzony do pakowania co cięższych przedmiotów do szybkiej wywózki. Oferuję się z pomocą, ale jego dziadek nie chce o tym słyszeć.

— Wielkie dzięki, ale nie, to robota dla mężczyzn — sapie zza wypchanego niedźwiedzia grizzly naturalnej wielkości, który stoi na tylnych łapach z rozczapirzonymi przednimi pazurami i pyskiem zastygniętym w milczącym ryku, obnażającym kły.

— Jeśli tak pan uważa... — Zwykle czuję się w obowiązku zaprotestować przeciwko tak jawnie seksistowskiej uwadze, ale tym razem może lepiej nie.

— Raz, dwa, trzy, hop. — Z głośnym sapnięciem niedźwiedź zostaje nagle uniesiony i gestem strażaka zarzucony Oliverowi na ramię. Temu aż uginają się nogi. — Jezu, dziadku, ten zwierzak waży chyba tonę.

— Nie narzekaj. Kiedy ja byłem w twoim wieku, przyniosłem tu oba naraz, po jednym na każdym ramieniu.

— Co? To była tu parka? — Oliver krzywi się, kiedy spowija go obłok kurzu.

— Mhm. Sprzedałem Freda pewnemu Japończykowi w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku i została tylko Ginger. — Wzdycha melancholijnie i głaszcze przerażającą niedźwiedzicę, jakby to było ulubione zwierzątko domowe.

— Nazywa się Ginger? — pytam z niedowierzaniem.

— Tak, na cześć tej tancerki — potakuje z dumą. — Obie piękne, nie sądzisz?

— Sądzę, że zaraz zemdleję, oto, co sądzą — wtrąca Oliver, nadal starając się przetaszczyć bestię na drugi koniec sklepu.

Szybko ustępuję mu z drogi; już chyba pora, żebym się wyniosła.

— Na mnie najwyższy czas — mówię. — Miło mi było pana poznać.

Wyciągam rękę do starszego pana, jednak nie dla niego takie formalności. Obejmuje mnie i składa mi wąsaty pocałunek, obsypany okruszkami z ciastek, na obu policzkach.

— A może chciałabyś jakiś ładny, srebrny dzbanuszek na mleko? — proponuje. — Albo komplet mosiężnych wisiorków do końskiej uprzęży?

— Nie, dziękuję. — Z uśmiechem uwalniam się z jego uścisku i zwracam do Olivera, który nadal ugina się pod włochatym ciężarem balansującym mu niebezpiecznie na ramieniu. — No cóż... hm... to do widzenia.

Stoję na środku sklepu, przestępując niepewnie z nogi na nogę, pod jastrzębim wzrokiem jego dziadka i Wellingtona, którzy nagle porzucili swoje zajęcia, czy to było odkurzanie mosiężnego wisiorka, czy wążanie nogi od stołu.

Oliver przestaje szamotać się z niedźwiedziem i wysuwa głowę spod rozdziawionego pyska.

— Uff... — Jest cały czerwony na twarzy i zadyszany. — Już idziesz? Jeśli się nie mylę, to słyszę w jego głosie rozczarowanie. Co mi sprawia pewną przyjemność.

— Tak, muszę wracać. — Kiwam energicznie głową, nagle zdenerwowana. — I poszukać mojego zegarka... — Urywam i bezwiednie zaczynam obgryzać paznokieć kciuka. Kiedy to sobie uświadamiam, natychmiast wyrywam palec z ust. Co ja wyprawiam? Od dawna nie obgryzam już paznokci. Teraz robię manikiur. — Wiesz, muszę odtworzyć wczorajszy wieczór...

— Krok po kroku.

— ...krok po kroku.

Kończymy oboje jednocześnie i wybuchamy śmiechem. Ale ta zgodność nie uchodzi mojej uwagi, a i on rzuca mi znaczące spojrzenie. A może tak mi się tylko wydaje?

To najpewniej po prostu gra mojej wyobraźni, uznaję, biorąc się w garść. W końcu moja jasność umysłu pozostawia w tej chwili wiele do życzenia. Prawie nie spałam w nocy, właśnie zerwałam z narzeczonym, poziom cukru zapewne gwałtownie mi wzrósł po spożyciu lodów i ciasteczek i wymyślam sobie różne rzeczy na temat barmana, którego spotkałam dziesięć lat temu i który zaraz się udusi pod wielkim wypchanym niedźwiedziem.

Nie przypominam sobie, aby to był jeden z etapów opisanych w poradniku, który chciałam kupić.

— Nie jesteś zbyt zmęczona, żeby wracać pieszo?

— Nie, nie, chętnie się przejdę. — Zbywam jego troskliwość machnięciem ręki. — Poza tym zostawiłam samochód przed pubem.

— Daleko musisz jechać?

— Nie, mieszkam w okolicy, przy kościele. Na Spencer

Avenue — trajkoczę. Oblewa mnie fala gorąca i trzęsę się ze zdenerwowania; czuję, że muszę czym prędzej stąd wyjść i łyknąć trochę świeżego powietrza.

— Może wpadniesz kiedyś do pubu, jak będziesz w pobliżu.

— Może. Zapada milczenie.

— Jeszcze raz dziękuję za herbatę. — Odwracam się do jego dziadka, który się czerwieni i udaje, że jest bez reszty zajęty czyszczeniem uprząży.

— Nie ma za co, moja droga — mówi niby to z zaskoczeniem, jakby dopiero usłyszał mój głos i nie podsłuchiwał nas przez ostatnie pięć minut.

— Powodzenia z Ginger! — rzucam z pozorną beztroską do Olivera, głaszczę w przelocie Wellingtona po łbie i z godnością wymaszerowuję.

Poprawka: wpadam na osiemnastowieczną serwantkę, rozbijam sobie kolano, mocuję się z drzwiami, które jakby się zacięły, w końcu je otwieram, potykam się o próg i wypadam lak z procy na ulicę. Doprawdy, nie wiem, co się ze mną dzieje. Zupełnie jakbym nagle cofnęła się w rozwoju i znów siała niezręczną dwudziestojednolatką, myślę i szybko oddalam się ulicą z policzkami płonącymi z zażenowania. Nie, dwudziestodwulatka, jeśli brać pod uwagę wczorajsze urodziny.

Po półmroku panującym w sklepie na zewnątrz jest oślepiająco jasno. W pośpiechu nie wzięłam rano okularów przeciwsłonecznych. Mrużąc oczy przed słońcem, dostrzegam w pobliżu stragan z tanimi podróbkami. Postanawiam kupić sobie jedną parę na powrót do domu.

Wokół tłoczy się spory tłumek. Zbici przed stojakiem ludzie i rozpychają się łokciami, przymierzając rozmaite modele. Przez

chwilę mam ochotę zaniechać tego pomysłu. Właśnie dlatego kupuję okulary u Harveya Nicsa. Również dlatego, że mają designerskie oprawki i szkła z filtrem UV, myślę, łapiąc teraz w przelocie kopię ostatniego krzyku mody marki Chanel.

Kiedy je wkładam, ze zdziwieniem zauważam, że te też mają szkła UV. Straganiarz podsuwa mi lustro i patrzę na swoje odbicie. Oczywiście, od razu będzie widać, że są tandetne i plastikowe, i...

Wyglądają fantastycznie.

Przeglądam się ze wszystkich stron, czując dawno zapomniany dreszcz emocji. To uczucie, którego nie doświadczyłam od lat, ale od razu je poznaję: radość z upolowania okazji.

— Są jeszcze takie, jakie ma ta pani? — Jakaś kobieta pokazuje na mnie.

— Nie, to ostatnia para. — Straganiarz kręci głową.

To jak zastrzyk adrenaliny. Zdobyłam ostatnią parę! Co oczywiście czyni z nich łakomy kąsek.

Wyciągam banknot dziesięciofuntowy, szybko płacę za okulary i ruszam w stronę parku. Kurczę, co za szczęśliwy traf, gratuluję sobie, przeglądając się w każdym mijanym oknie wystawowym. Ogarnięta gorączką polowania na okazje zastanawiam się, czyby jeszcze czegoś nie kupić. Może powinnam trochę się rozejrzeć.

Automatycznie patrzę na zegarek, ale oczywiście nie mam go na ręce, więc sięgam do kieszeni po komórkę, żeby sprawdzić godzinę. Wtedy sobie przypominam, że zostawiłam ją na środkowej półeczce w samochodzie.

W pierwszej chwili ogarnia mnie złość, ale zaraz w jej miejsce pojawia się coś innego: poczucie wolności, wyzwolenia, swobody. Jakby otworzyło się przede mną okno oferujące nowe możliwości, uciekam z okowów czasu niczym uczennica z ławy szkolnej i idę na wagary.

Normalnie w takiej chwili pobiegłabym na skróty i czym prędzej wróciła do domu, ale teraz jakoś nie chce mi się śpieszyć, co jest dla mnie nowością, jako że wszędzie i zawsze się śpieszę. Nawet do ubikacji. Ale bez zegarka czas płynie sobie niczym nieskrępowany, niepodzielony na sekundy, minuty i godziny, nieodmierzany tykaniem, niesprawdzany, niekontrolowany.

Tak więc wybieram dłuższą drogę przez targ i zwalням kroku. Nie przychodzi mi to w sposób naturalny. Moje nogi są zaprogramowane do żwawego truchtu, a ręce do pompowania powietrza jak tłoki, ale zmuszam się do powolnej wędrówki między straganami i kafejkami na chodnikach. Uczę się po prostu być, a nie tylko pędzić z miejsca na miejsce. Oddychając głęboko i równo, nie płytko i urywanie jak zawsze, przystaję na chwilę i rozglądam się wokół. Uśmiecham się do siebie.

Po raz pierwszy od dawna czuję, całkiem dosłownie, zapach kawy.

Nie mam pojęcia, jak długo włóczyłam się po Portobello, ule pamiętam, że przystawałam przy straganach, pożerając pożądlwym wzrokiem kute w złocie pierścienie z Nepalu wysadzone mozaiką półszlachetnych kamieni i podziwiając pomysłowe ramki do fotografii zrobione z klawiszy starych maszyn do pisania.

Hoże, zapomniałam już, jaka to frajda buszować po pchlim largu, myślę, kiedy moją uwagę przyciąga żółta hinduska tunika wisząca na pobliskim drążku. Powiewa lekko na ciepłym wiaterku, malutkie cekiny wokół szyi odbijają promienie słoneczne i migoczą jak dziesiątki gwiazdek — bez chwili namysłu zaczynam targować się z handlarzem w dre-

dach i zdobywam ją za sześć funtów. Sześć funtów! Nie do wiary. Nic dziwnego, że zawsze ubierałam się na targach, kiedy byłam młodsza.

Zachwycona zakupami jestem gotowa na następną miłą niespodziankę i nie muszę daleko szukać. Tuż obok mała Chinka sprzedaje oryginalne stroje ze starych kolekcji z lat osiemdziesiątych. W szale zakupów podejmuję wyzwanie i mierzę niemal wszystkie w maleńkiej prowizorycznej przebieralni. W większości są okropne, niektóre gorzej niż okropne, ale właśnie kiedy moje nabuzowanie zaczyna opadać i bolą mnie już ręce, trafiam na niezwykłą, niebieską, jedwabną sukienkę z głębokim dekoltem, która wygląda jak kreacja z okładki „Vogue'a”, kosztująca majątek. Jest zupełnie unikalna. Nigdy nie zobaczę innej kobiety ubranej w to samo. Natychmiast ją kupuję.

Teraz jestem w amoku. Nieco dalej stoi stragan z butami. Podekscytowana do utraty tchu chwytam parę złotych szpilek. Wyglądają bajecznie i są prawie za bezcen, mówię sobie, wkładając je na nogi. Auu. Czubek uciska mi duże palce. Staram się dopasować stopy, ale tylko ześlizgują się jeszcze bardziej do przodu. Prawdę mówiąc, te buty są piekielnie niewygodne. A plastikowy obcas jest ohydny, dochodzę do wniosku, przeglądając się w lustrze.

Nagle trzeźwieję. Co ja wyprawiam? Ściągam szpilki i szybko odkładam je na półkę. Moje młodsze wcielenie przypomniało mi o uciechach buszowania po pchlim targu, ale to starsze nauczyło się czegoś, co postanawiam dopisać do mojej listy:

19. Tanie buty są do kitu. Lepiej zaoszczędzić i kupić pantofle dobrej marki.

Ponieważ są w życiu pewne rzeczy, na które warto wydać pieniądze, a marka Jimmy Choo do nich należy.

Z przyjemnością wsuwam nogi z powrotem w moje fantastyczne sandały z doskonale wymodelowanym podbiciem i ręcznie przyszytymi skórzanymi podeszwami, i ruszam w kierunku parku.

Rozdział trzydziesty

Dopiero w samochodzie mam w końcu szansę zobaczyć, która godzina. Kiedy zdaję sobie sprawę, ile czasu minęło, przeżywam prawdziwy szok.

Niech mnie licho, jest prawie szósta! Patrzę na elektroniczne cyferki na desce rozdzielczej i nie wierzę własnym oczom. Upłynęły całe godziny. Straciłam nie tylko poczucie czasu, straciłam cały dzień! Minął jak z bicza trzasnął, a ja nawet nie zauważyłam.

To dlatego, że dobrze się bawiłaś, szemrze wewnętrzny głosik.

Mimo woli odzywa się we mnie poczucie winy. Nie powinnam się dobrze bawić. Nie powinnam odkrywać na nowo uroków pachliwych targów, chodzić na spacer z miłymi barmanami ani odbierać wąsatych pocałunków od ich dziadków; powinnam opłakiwać koniec mojego związku i co chwilę patrzeć na zegarek.

Którego nadal nie znalazłam, uzmysławiam sobie.

Skupiam się z powrotem na tym problemie. Dokąd się wybierałam, zanim zboczyłam z trasy? Ach, tak, miałam zamiar odtworzyć wczorajszy wieczór krok po kroku. Myślę

intensywnie... Jeśli zegarka nie ma w mieszkaniu ani w pubie, to musiałam go zgubić w klubie — który będzie teraz zamknięty, mówię sobie szybko z niejaką ulgą — albo w moim dawnym domu.

Zapalam silnik, wrzucam bieg i zjeżdżam z chodnika. Pojadę tam teraz. Może zsunął mi się z nadgarstka, kiedy grzebałam w lodówce w poszukiwaniu mleka. Przypomina mi się niezidentyfikowany produkt spożywczy czający się wewnątrz i dreszcz obrzydzenia biegnie mi po krzyżu. Boże, spraw, żeby zegarek nie leżał w lodówce. Chyba nie będę miała odwagi jeszcze raz włożyć tam ręki.

Jadę na północ w kierunku wiaduktu i prawie od razu natykam się na znajomy mi już znak objazdu. Chociaż oczywiście nie widzę żadnych robotników, złoszczę się, zjeżdżając na pojedynczy pas obok wielkich koparek i dźwigów, które stoją puste. Typowe. Nasi drogowcy mają dziwny zwyczaj pojawiać się z dnia na dzień ze stosami pomarańczowych stożków, wykopywać wielkie doły i zostawiać je tak nietknięte przez całe dni, powodując niekończące się korki. Właśnie kiedy przeklinam ich w żywy kamień, dzwoni telefon.

— Halo?

— Dzwoniłam do domu, ale cię nie było — mówi oskarżycielskim tonem głos po drugiej stronie.

— Cześć, mamó — odpowiadam automatycznie. — Dziękuję za kartkę i za kupony. Chciałam się odezwać wczoraj, kiedy je dostałam, ale było za późno.

Dobrze się bawiłaś na swoich urodzinach? Sięgam myślą do wczorajszego wieczoru. Nie jestem pew-iiu, czy dobrze to właściwie określenie.

Taak, hm... było... — szukam właściwego słowa i decyduje, się na: — ...interesująco.

— Jakieś niespodzianki?

— Można tak powiedzieć — mruczę, przypominając sobie klub, taniec na parkiecie, rozmowę z Ollym, jego tatuaż.

— Wiedziałam! — Mama wydaje zwycięski okrzyk, przerywając mi tok myśli. — Nawet powiedziałam to twojemu ojcu. Davidzie? Prawda, że ci mówiłam? — woła do ojca, który mamrocze coś z tyłu.

Mam ich przed oczami, ją przy telefonie w holu, jego w salonie, gdzie stara się w spokoju przeczytać gazetę.

— Co wiedziałas? — pytam skonfundowana. Boże, o co chodzi? Odsuwam telefon od ucha i zatrzymuję się na światłach na skrzyżowaniu.

— No, no, nie każ nam czekać! — Chichocze piskliwie niczym pensjonarka i przez chwilę zastanawiam się, czy nie jest pod gazem. Lubi sobie czasem łyknąć parę kieliszków wermutu z lemoniadą przed kolacją.

— Mamo, nie mam pojęcia, o czym mówisz — odpowiadam lekko zirytowana. Tymczasem światła się zmieniają i ruszam dalej.

— Oświadczyły! — wydusza. — O jakiej innej niespodziance mogłabym mówić?

Kiedy mama wspomniała o niespodziance, miała na myśli... a ja sądziłam... O cholera.

Serce mi wali. Muszę wyznać jej prawdę. Tylko że to jakby oznajmić zwycięzcy loterii, że nastąpiła pomyłka i wygrana padła na inny los.

— Więc? — przynagła mama. — Masz zamiar trzymać swoich biednych starych rodziców w niepewności?

Głęboki oddech. Niech się dzieje co chce.

— Zerwaliśmy. Następuje cisza, a potem...

— Co?! — Niemal odjęło jej mowę. Szybko to wykorzystuję.

— Właściwie to ja z nim zerwałam. Nie pasowaliśmy do siebie, mamó — próbuję wytłumaczyć. — Myślałam, że jakoś to będzie, naprawdę starałam się, żeby nam wyszło, ale nie udało się, nie mogło się udać, i kiedy przestałam się oszukiwać i spojrzałam z dystansem na nasz związek...

Przerywa mi.

— Czyś ty straciła rozum?

Skręcam w boczną uliczkę, jadąc skrótem jak zwykle, i rozpatruję ostatnie wydarzenia. Spotkanie z moim młodszym wcieleniem, koncert, wypad do klubu, robienie z siebie starej flirciary, zerwanie z narzeczonym...

— Całkiem możliwe — przyznaję, przemykając obok zaparkowanych samochodów. Może mama ma rację. Może ześwirowałam i brak mi piątej klepki. Może całkowicie spieprzyłam sobie życie i będę tego żałować.

— Co w ciebie wstąpiło, na miłość boską? — Słyszę ostre słowa reprimendy. — Jestem pewna, że jeśli do niego zaraz zadzwonisz, to ci wybaczy.

— Nie chcę, żeby mi wybaczał! — wrzeszczę. Jeśli nawet miałam jakieś wątpliwości, to teraz ich nie mam. — Nie kocham go i nie sądzę, żeby on mnie kochał — dodaję, przypominając sobie, jak bolał, że straci dom i pieniądze za ekspertyzę, nie mnie.

- Ale wydawał się dla ciebie stworzony.

— Na papierze, nie w realnym życiu. Miles jest świetnym facetem, ale nie dla mnie, mamó. Nigdy mnie tak naprawdę nic rozumiał.

Myślisz, że ja rozumiem twojego ojca? — prycha. — Jesteśmy trzydzieści pięć lat małżeństwem, a on nadal pozostaje dla mnie zagadką.

— Mamo, to co innego. Ty kochasz tatę.

— Ale, Charlotte...

Wjeżdżam pod most i połączenie się urywa. W głębi ducha czuję ulgę, rzucam telefon na siedzenie pasażera i prostuję się.

Kiedy skręcam w moją dawną uliczkę, od razu rzuca mi się w oczy stary volkswagen zaparkowany przed domem. Słowo „zaparkowany” jest użyte może nieco na wyrost, jako że auto stoi jakiś metr od chodnika pod dziwnym kątem, jakby komuś znudziło się jechać dalej i zostawił je na środku drogi.

Co, skoro już o tym mowa, było moim zwyczajem, przypominam sobie, zatrzymując się za lśniącym nowym zderzakiem. Najwyraźniej samochód został już odebrany z warsztatu, konkluduję, gasząc silnik. Mam nadzieję, że posłuchała mojej rady, żeby wziąć ze sobą do odbioru jakiegoś faceta. I tym sposobem nie została ograbiona tak jak ja.

Podniesiona tą myślą na duchu wbiegam wesoło po schodach mojego dawnego domu i sięgam do kołatki w kształcie delfina. Pukam głośno. Słychać kroki i drzwi się otwierają.

— Cześć, to znowu ja.

Spodziewałam się, że moje młodsze wcielenie będzie mieć strasznego kaca, cierpieć na ból głowy i wyglądać jak sto nieszczęść. Nie spodziewałam się jednak, że zastanę ją we łzach.

— O mój Boże, coś ci jest?

Strumień łez cieknie jej po policzkach, ma czerwone i zapuchnięte oczy, ale między jednym chlipnięciem a drugim zaprzecza energicznie ruchem głowy.

— Nic... wszystko w porządku... Zawsze byłam marnym kłamcą.

— Co się stało? — dopytuje się z niepokojem. Wycierając nos w mokry pasek papieru toaletowego, patrzy

na mnie z wyrazem totalnej rozpacz. Strach ściska mi żołądek. Boże drogi, co ją spotkało? Jest w zupełnej rozsypce. W panice sięgam do wspomnień z młodości. Nie pamiętam nawet, żebym była kiedyś tak załamana. O co może chodzić?

— Billy Romani — wykrztusza i znów zaczyna żałośnie łkać.

Na wzmiankę o nim sztywnieję. Oczywiście. Teraz sobie przypominam, kiedy byłam tak załamana. Wtedy, gdy się okazało, że ma inną dziewczynę.

— Co z nim? — pytam, czując się jak opiekuńcza starsza siostra.

Jej pierś unosi się i opada, podczas gdy Lottie, jękając się, wyznaje ze szlochem:

— Widziano go... z tą forsiastą zdzirą... podobną do królika...

— Niech żyje złota młodzież — mówię ponuro.

Twarz jej się kurczy jak zmięta papierowa torebka i Lottie znów dostaje spazmów. Przez dłuższy czas tylko szlocha, a potem jęczy urywanym głosem:

— Wygląda na to... że są... ze sobą. I że on jest... w niej... — urywa nagle, jakby to słowo nie chciało jej przejść przez gardło — ...zakochany — wykrztusza w końcu, chowając twarz w kawałku papieru toaletowego.

— Jest zakochany w jej funduszu powierniczym. — Obejmuję ją pocieszycielskim gestem.

Odpląca mi nikłym uśmiechem, ale zaraz znów zaczyna szlochać.

— Daj spokój, nie jest tak źle... — Staram się ją ukoić i przytulam ramieniem. — Popatrz na tę dobrą stronę: przynajmniej ostrzegłam cię przed nim. — Z poczuciem ulgi gratuluję sobie w duchu. — Przynajmniej nie poszłaś z nim po kon-

cercie. Wtedy byłoby o wiele gorzej. — Widzę jej minę. — O mój Boże, jednak z nim poszłaś, tak? Przytakuje w milczeniu.

— Po tym wszystkim, co ci powiedziałam?

— No tak, ale myślałam...

— Że wiesz lepiej — kończę. Czerwieni się jak piwonia.

Ogarnia mnie przygnębienie. Powinnam to przewidzieć. Nigdy nie dałam sobie niczego wytłumaczyć. Zawsze byłam uparta jak muł. I w młodości zawsze stawiałam na swoim. Robiłam, co chciałam, nikogo nie słuchając.

Nawet samej siebie, uświadamiam sobie, nagle rozgniewana na Lottie. Jak, do diabła, mam sobie pomóc, jeśli nie będę nikogo słuchać? Ale nie tylko na nią jestem zła, na siebie też. Że z nią nie zostałam, nie uchroniłam od zrobienia tego samego głupstwa co ja. W końcu, czy nie po to tu jestem? Żeby ją chronić? Ustrzec przed błędami, które popełniłam?

Mam do siebie żal. Zawiodłam Lottie. Zawiodłam samą siebie. Miałam szansę, żeby wszystko naprawić i schrzaniłam to, jak zupełna niedojda. Zerkam na jej opuchniętą, zapłakaną twarz i złość mi mija równie szybko, jak przyszła. Doświadczenie nauczyło mnie, żeby trzymać się z daleka od muzyków takich jak Billy Romani, ale także nauczyło mnie zrozumienia dla innych. Czuję przypływ współczucia dla Lottie. Kto lepiej ode mnie wie, co w tej chwili przeżywa?

— Chcesz o tym porozmawiać? — pytam łagodnie. Patrzy na mnie zdumiona, po czym potakuje, hałaśliwie

wyciera nos i siada na progu. Siadam obok. Przyciąga kolana do piersi i wbija wzrok w bose stopy.

— Kiedy wysiadłam pod domem z twojego samochodu, wróciłam do pubu, zobaczyć, czy on tam jeszcze jest — wyznaje z zakłopotaniem.

— I co, był? — pytam, chociaż znam odpowiedź.

— Mhm... — Kiwa głową. — Kręcił się wciąż przed barem razem z resztą zespołu, więc poszłam z nim na tę imprezę... — Urywa i milknie na chwilę, wracając myślami do tego, co zaszło.

Podobnie jak ja.

Dla mnie tamta noc wydarzyła się jakby przed wiekami i nadal nierozzerwalnie wiąże się z tym, co później nastąpiło. Ból, poczucie odrzucenia, zażenowanie, żal... Jednak może jeśli się naprawdę postaram, wyizoluję tylko ten wieczór, skupię się na swoich uczuciach, na tym, jaka wtedy byłam. Młoda, szczęśliwa, niezwyciężona. Zupełnie inna.

— Było cudownie — wzdycha Lottie, w jej oczach mimo woli zapala się błysk.

— Wiem — mruczę pod nosem.

— Jak to? — Zdziwiona marszczy brwi.

— Eee... to znaczy wiem, jak to jest. — Gryzę się ponieważ w język i szybko dodaję: — Czasem można przeżyć cudowną noc z kimś praktycznie nieznanym.

Patrzy na mnie podejrzliwie. Chyba nie mieści się jej w głowie, że ktoś taki jak ja mógłby uprawiać szalony seks, a już zwłaszcza z odzianym w skóry rockmanem.

— W każdym razie rano obiecał, że do mnie zadzwoni, bo tego wieczoru daje występ w Leeds i dlatego nie może być na moich urodzinach. — Wykrzywia się boleśnie i zaciąga papierosem. — Ale łąał jak pies. Nie miał żadnego występu. Spotkał się z tą dziewczyną. — Jej oczy znów wypełniają się łzami, które spływają po rzesach na policzki. — Dlaczego tak postąpił?

Ho jest samolubnym, zapatrzonym w siebie dupkiem, oto dlaczego! — mam ochotę wykrzyknąć, ale oczywiście tylko bym ją rozsierdziła. Wiem, bo kiedy Vanessa powiedziała mi

to samo, pokłóciłyśmy się jak diabli i skończyło się na tym, że zaczęłam go bronić i obrażona pomaszerowałam do domu. Ale w takim razie co mam jej powiedzieć? Prawdę?

Biję się z myślami, co i ile mogę wyznać, kiedy dzwoni telefon i jakiś głos ze środka woła:

— Lottie, to twoi rodzice!

Ktoś, kogo nie poznaję, pojawia się przy drzwiach, ciągnąc telefon na długim kablu.

— Dzięki! — Lottie bierze słuchawkę i zerka na mnie. — Przepraszam, to nie potrwa długo.

Hm, to może być interesujące, uznaję, patrząc, jak przyciska słuchawkę do ucha.

— Mamo! Cześć, jak się masz? — wykrzykuje z szerokim uśmiechem na ustach.

Patrzę na nią zaskoczona. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale nie tego. Jest taka ucieszona telefonem od matki.

— Billy? Nie, nie zadzwonił.

Wbija mnie w ziemię. Co? Powiedziałam matce o Billym Romani? Nie wierzę. Od dawna się jej z niczego nie zwierzam, a z pewnością nie ze swojego życia uczuciowego.

— Nie martw się, niewiele mnie to obeszło — zapewnia Lottie i rzuca mi znaczące spojrzenie. — Jest ze mną przyjaciółka.

Przestaję się gapić i wyduszam z siebie uśmiech.

— Tak, wszystko w porządku, ucałuj ode mnie tatę, dobrze? I pamiętaj, że przyjeżdżam na przyszły weekend, więc się niedługo zobaczymy... Naprawdę nie mogę się już doczekać. Pójdziemy razem na sprawunki. Kupię sobie coś za te bony, które mi dałaś. — Śmieje się i jestem pewna, że słyszę śmiech mamy po drugiej stronie. — No to na razie, mamo! Zadzwonię jutro. Ja też cię kocham. — Odkłada słuchawkę i odwraca się do mnie, na jej twarzy nadal maluje się szeroki uśmiech.

Ogarnia mnie smutek. Ostatnimi czasy nie prowadzę już takich rozmów z matką. Teraz są krótkie, urywkowe i o wiele mniej osobiste. Jak nasze relacje, uzmysławiam sobie, starając się przypomnieć, kiedy ostatni raz byliśmy razem na zakupach.

— Rozmawiasz z nimi codziennie? — pytam z ciekawością.

— O tak, jesteśmy naprawdę blisko. — Kiwa głową z entuzjazmem.
— Mam szczęście. Niektórzy ludzie nie potrafią dogadać się ze swoimi rodzicami, nigdy ich nie odwiedzają ani nic, ale moi są naprawdę wspaniali. Cieszą się, że dostałam tę pracę w Londynie i wspierają mnie jak mogą, ale wiem, że za mną tęsknią. Ja też za nimi tęsknię.

— To miło. — Uśmiecham się, ale w głębi duszy dręczy mnie żal, że tak bardzo się od nich oddaliłam. Rzadko dzwonię i minęły całe wieki, odkąd ich widziałam. Mam wyrzuty sumienia, że tak ich zaniedbuję. Myślę o mamie, która zatelefonowała do samochodu z pytaniem o Milesa. Ciągle się o mnie martwi, nawet teraz i nawet kiedy to bywa nieco irytujące. To cała mama.

— O czym to mówiłyśmy? — Lottie patrzy na mnie pytająco.

— Hm... — Zbieram szybko myśli i dobre rady, które jej chciałam przekazać. Miałam jej tyle do powiedzenia od serca, ale teraz jest już za późno. Odpowiedni moment minął, wobec tego poprzestaję na poradach wyczytanych w poradniku na Amazonie.

- Najpierw będziesz przeżywać niedowierzanie i szok — wyrażam opinię. — Ale to jest normalne po zerwaniu związku. Albo znajomości — dodaję taktownie.

— Kto ci tak powiedział? — pyta nieco nadąsana.

— Przeczytałam to w takiej jednej naprawdę dobrej książce

o rozstaniach — wyjaśniam. — Prawdę mówiąc, dzisiaj zamierzałam ją kupić, ale coś mi przeszkodziło.

— Dlaczego chciałaś ją kupić? — Marszczy brwi. Waham się chwilę. Nie bardzo mam ochotę o tym mówić.

Ale w końcu, co tam.

— Bo właśnie zerwałam ze swoim narzeczonym — wyznaję. Teraz ja przyciskam kolana do piersi i wbijam wzrok w ziemię.

— Masz narzeczonego? — Jest mocno zbulwersowana.

— Miałam — poprawiam ją.

— Coś podobnego... — Nie kryje zdumienia. — To znaczy... myślałam... jesteś starsza ode mnie, więc uznałam, że musisz być rozwiedziona.

— Rozwiedziona? — oburzam się.

Jezu. Jakby było mało, że matka chce mnie wydać za męża, to jeszcze moje młodsze wcielenie widzi we mnie rozwódkę. Z drugiej strony nigdy nie umiałam trzymać buzi na kłódkę i zawsze mówiłam co mi ślina na język przyniesie.

— No wiesz, nie nosisz obrączki — tłumaczy się ze skruchą.

— Nie, nie jestem rozwódką. Ani mężatką — dodaję dla jasności. — Jestem singielką.

Nie umyka mi ironia tej sytuacji. Siedzimy sobie ramię w ramię, dzieli nas dziesięć lat różnicy, ale obie jesteśmy samotne i obie mówimy o mężczyznach.

Czy raczej o ich braku.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, prawda? Oprócz tego, że teraz jestem starsza, mądrzejsza i ocytana w poradnikach, więc wiem, jak sobie radzić. I nie wpadam już, na szczęście, w czarną rozpacz.

— Mój Boże, przykro mi — mówi Lottie. — Więc co masz zamiar teraz robić?

Wracam myślami do notki wydawniczej na Amazonie.

— Cóż, ważne jest, żeby opłakać koniec związku, bo to nam pozwoli iść naprzód — cytuję z pamięci.

Lottie zakłada włosy za uszy i marszczy czoło.

— Co to właściwie znaczy?

— To znaczy, że musisz zaniknąć ten rozdział — wyjaśniam. Czytałam mnóstwo na ten temat. Konieczność zamknięcia rozdziału jest zawsze mocno podkreślana w każdym poradniku. — Musisz powiedzieć sobie: *finito*.

— *Finito?* — powtarza bez zrozumienia. Przypuszczam, że rzeczywiście niewiele z tego rozumie.

W końcu w wieku dwudziestu dwóch lat ja też nie miałam pojęcia o wielu sprawach. Nie to co teraz, myślę z dumą. Teraz wydorostałam. Dojrzewanie też odgrywa ważną rolę w każdym poradniku.

— Musisz w spokoju uporać się z tym, co się stało — tłumaczę z powagą. — Ale to zajmie trochę czasu, więc bądź dla siebie pobłażliwa, dogadaj sobie, spotykaj się z najlepszą przyjaciółką. — Myślę o Vanessie. Nawet teraz, dziesięć lat później, zawsze mam w niej oparcie, w każdej sytuacji. Tak jak i wtedy. Widzę ją, jak siedzi przy mnie na łóżku i gładzi mnie po włosach, kiedy tonę we łzach. Nie musi nic mówić, wystarczy, że jest. — Ale pamiętaj, najważniejsze to nie przyspieszać tego ozdrowieńczego procesu - dodaję zgodnie z poradnikiem. Doprawdy, czyż nie mówię jak profesjonalny psychoterapeuta? Czuję satysfakcję. Jak widać, przynajmniej mogę komuś pomóc, dać dobrą radę.

Dlaczego? — chce wiedzieć Lottie, podnosząc brwi. Brwi, które, jak nagle zauważam, zostały agresywnie wyskubane na ledwo widoczne kreski. Musiała użyć pęsetki, którą jej dałam — poniekąd nieopatrznie, myślę teraz. Może

to nie był taki świetny pomysł. Chciałam, by miała na twarzy łuki Jessiki Alby, a nie wyraz wiecznego zdziwienia.

— Ponieważ to jest proces — powtarzam cierpliwie.

— Idiotyzm — prycha Lottie. Patrzę na nią zszokowana.

— To po prostu idiotyzm. Dlaczego miałabym się pieprzyć z jakimś cholernym procesem, podczas gdy on pieprzy się z inną dziewczyną?

— wykrzykuje ze złością.

— Jesteś teraz najwyraźniej na etapie gniewu — mówię, starając się ją uspokoić.

— Przecież powiedział mi, że się we mnie zakochał! — wybucha.

Robię współczującą minę. Jeśli życie czegoś mnie nauczyło, to tego, żeby nigdy nie wierzyć w nagłą miłość mężczyzny, który jednocześnie żegluj w stronę łóżka.

— Niech go diabli! Co za łgarz! — syczy z furją.

— Już dobrze, dobrze; to ważne, żeby wyrzucić z siebie gniew. — Kiwam głową zachęcająco. — Trzeba przejść przez wszystkie te etapy, żeby w pełni dojść do siebie po czymś takim. Najpierw przeżywasz szok, później depresję, w końcu gniew. — Staram się przypomnieć sobie właściwą kolejność.

— Jak sobie pomyślę, że dla niego to była tylko przelotna przygoda... — warczy z wściekłością. — Mogłabym go zabić! — Milknie i zaciąga się papierosem, wbijając wzrok w przestrzeń.

— Ostatni etap to akceptacja. Kiedy zaakceptujesz, co cię spotkało, poradzisz sobie w każdej sytuacji. — Urywam i myślę o własnym życiu, o wszystkim, co się wydarzyło przez ostatnie dziesięć lat, odkąd byłam na miejscu Lottie, i przez chwilę mam wrażenie, że mówię sama do siebie. — Będziesz mogła iść dalej.

— Właściwie już się czuję lepiej.

— Naprawdę? — Jej słowa podnoszą mnie na duchu.

— W gruncie rzeczy o wiele lepiej.

— To cudownie. — Uśmiecham się z satysfakcją. Chociaż, prawdę mówiąc, sądziłam, że cały proces zajmie jej więcej niż parę minut, ale najwyraźniej bardzo jej pomogłam. — A po pewnym czasie będziesz już na tyle wyleczona, że zaczniesz myśleć o nowym związku.

— Mhm... taa. — Kiwa głową z roztargnieniem.

— Chociaż przygotuj się, że na początku może cię to kosztować trochę nerwów.

— Mhm...

Chwileczkę. Mam wrażenie, że ona mnie w ogóle nie słucha.

— Słyszałaś, co mówiłam?

— Kurczę, on jest naprawdę super.

— Kto? Billy Romani? — Patrzę na nią zdumiona.

— Billy kto? — odpowiada wymownie, jakby chciała powiedzieć: „Nie nadążasz, babciu”. — Ten tam. — Wskazuje ruchem głowy i od razu widzę, kto przyciągnął jej uwagę. Chłopak uprawiający jogging. Eksponując goły tors i boskie ciało, przystanął na chwilę, żeby rozciągnąć mięśnie. — Ja cię kręcę, co za ciacho! — wzdycha pożądliwie.

— Lottie, dotarło do ciebie choć jedno moje słowo? — Czuję lekką irytację.

Przepraszam... yym. — Odwraca się do mnie, jej oczy błyszczą i ma szeroki uśmiech na twarzy. Łzy w cudowny sposób znikły, policzki się zaróżowiły. — Mówiłaś coś o jakichś etapach? — pyta niepewnie.

Tak, i one grają naprawdę ważną rolę — przypominam jej.

Cóż, przykro mi, ale możesz darować sobie tę gadkę szmatkę — odpowiada, wbijając znów wzrok w chłopaka po

drugiej stronie ulicy. — Chcesz znać moją receptę na wyleczenie się z faceta?

Patrzę na nią pytająco, a potem na chłopaka — w samą porę, by uchwycić wymianę ich uśmiechów i jej zalotną minę. Billy Romani już poszedł w kąt.

— Najlepsza recepta to bzyknąć się z innym.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Ten weekend nie należy do najbardziej udanych w moim życiu. Przeszukanie dawnej sypialni przynosi fiasko, zegarka nigdzie nie ma i zaczynam się już obawiać, że zgubiłam go w Canal Clubie. Zostawiam Lottie flirtującą z facetem o gołym torsie, i jadę do domu. Przemyka mi przez myśl, żeby zajrzeć do pubu i zamienić słówko z Oliverem, ale zaraz porzucam ten pomysł. Co mi chodzi po głowie? Nie bądź idiotką, Charlotte. On był dla ciebie tylko miły, nic więcej.

Podobnie jak ja dla niego, mówię sobie defensywnie.

Spędzam więc wieczór w domu i pakuję resztę rzeczy Milesa, co nastraja mnie jeszcze bardziej ponuro. Prawdę mówiąc, chociaż wiem, że postąpiłam słusznie, jest to nadal dość przygnębiające przeżycie. Pocieszam się, że możemy zostać przyjaciółmi. W końcu oboje jesteśmy dorosłymi ludźmi — potrafimy chyba załatwić to polubownie. Na wzór ccelebrytów, którzy po rozstaniu wydają wspólne oświadczenie dla prasy. Raz sama pisałam je dla Melody, kiedy rozwodziła się z mężem piłkarzem.

Układam sobie teraz taki komunikat, sprzątając szufladę ze skarpetkami Milesa:

Charlotte i Miles postanowili się rozstać. Ta decyzja została podjęta za obopólną zgodą a para nadal żywi do siebie miłość i szacunek. Ich związek się skończył, ale przyjaźń przetrwała. Niniejszym proszą media o uszanowanie ich prywatności w tym trudnym okresie.

Notka brzmi nieźle, prawda? Przedstawia nas jako ludzi dojrzałych, zdystansowanych, pełnych godności i spokoju. Można niemal nabrać ochoty na rozstanie.

W niedzielę rano mam już lepszy nastrój i wyobrażam sobie Milesa i siebie w roli Bruce'a i Demi na wspólnej kolacji z naszymi przyszłymi partnerami. Ale tylko do chwili, gdy zjawia się Miles, wymachując rachunkiem telefonicznym i żądając siedmiu funtów i trzydziestu ośmiu pensów za moje rozmowy z jego numeru „ponieważ zgodnie z zasadami każdy jest sam za siebie odpowiedzialny finansowo”. Rzucił mi na próg dwa worki foliowe pełne moich ubrań i oznajmia z triumfem, że zdobył bilety na zespół Licencja na Zachwycanie i bierze ze sobą Helen, swoją księgową, która jest wielką fanką Jamesa Bonda (i ma wielki biust) i która, jak wiem, zawsze robiła do niego słodkie oczy.

Nie namyślając się długo, porzucam pomysł wspólnych kolacyjek na wzór Demi i Bruce'a.

W niedzielę w nocy nie mogę zasnąć; ostatnie wydarzenia nie dają mi spokoju. Czuję, że wszystko schrząknęłam. Miles mnie teraz nienawidzi, a moje młodsze wcielenie nie posłuchało żadnej mojej rady. A co gorsza, trudno ją za to winić. Ostatecznie, w sprawach miłości i związków okazałam się dość słabym ekspertem, prawda? Co mi w ogóle przyszło do głowy, żeby się wymądrzać? Może ona wie swoje. Co takiego mi powiedziała? Odtwarzam w głowie naszą rozmowę: „Naj-

lepszą receptą na wyleczenie się z faceta to bzyknąć się z innym".

Nagle przed oczami staje mi Oliver. Odrzucam ten obraz jak gorący kartofel. Rzeczywiście, świetna rada. To po prostu nonsens. Nie mogę biec od jednego mężczyzny prosto w ramiona drugiego. Nawet gdybym uważała, że jest sexy i chciała się z nim przespać — czego nie chcę — on nie byłby mną zainteresowany, zwłaszcza po tym, jak zignorowałam go dziesięć lat temu. Z pewnością już zapomniał o moim istnieniu.

Nie szkodzi. Spotkanie z nim było jednym z tych dziwnych, niewytłumaczalnych przypadków, ale nie planuję wprowadzać tego w zwyczaj. W końcu nie widzieliśmy się przez dziesięć lat. I zapewne nie zobaczymy przez następnych dziesięć.

W poniedziałek budzę się już w lepszym humorze. Postanawiam zastosować się do powiedzenia: „Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty twojego życia”. Ubiegły tydzień był pełen niespodzianek i zamieszania, ale w tym tygodniu jestem zdecydowana nie dopuścić do żadnych nieprzewidzianych wydarzeń. Obejdę się bez tego. Mam zamiar zostawić wszystko, co zaszło, za sobą. Zapomnieć o związkach, mężczyznach i dawaniu rad. Skoncentrować się w stu procentach na pracy.

Co mi tylko wyjdzie na dobre, bo czeka mnie ciężki tydzień. Mimo że dziś wypada dzień wolny od pracy, i tak muszę iść do biura. Jutro mam konferencję prasową na temat otwarcia kliniki Uśmiech Gwiazdy i trzeba zająć się sprawami organizacyjnymi. Poza tym obiecałam być w kontakcie z Larrym Goldsteinem i wszystkiego dopilnować.

W gruncie rzeczy całe szczęście, że nic nie będzie mnie rozpraszać, uznaję, śpiesząc do garderoby. Mój wzrok przyciąga żółta tunika z cekinami, którą kupiłam w sobotę, ale

omijam ją szerokim łukiem i ubieram się w eleganckie kremowe spodnie i nieskazitelnie białą bluzkę. To właściwy wybór.

Przychodzę do biura pełna zapału do pracy i nastawiona pozytywnie do świata.

— Cześć, Bea. — Rzucam jej szeroki uśmiech, porywam filiżankę z kawą i maszeruję do biurka.

— No, no, widzę, że humor ci dopisuje — Wita mnie promiennie, co mnie wzrusza, zważywszy na to, że też pracuje w wolny dzień. Na własne życzenie zresztą. Wie, jak ważna jest jutrzejsza konferencja.

— Miałaś dobry weekend? — pyta.

Przez chwilę kusi mnie, żeby powiedzieć jej o Milesie. A potem widzę jej błyszczące, roześmiane oczy i nie mogę się na to zdobyć. Zdaniem Beatrice jesteśmy idealną parą. Wzdrygam się przed wyznaniem jej prawdy. To jakby powiedzieć dziecku, że Święty Mikołaj nie istnieje.

— Pracowity — odpowiadam, szybko przeskakując ten temat. W końcu to nie jest czysty wymysł. Byłam zajęta. Przez pół nocy pakowałam zbiór magazynów Milesa na temat nieruchomości. Trzyma wszystkie stare numery, żeby śledzić tendencje na rynku cen domów. Narysował sobie nawet grafik i przyczepił go do swojej lodówki. — A ty? Co porabiałaś?

— Och, nic specjalnego. — Wzrusza ramionami, podwija rękawy i zakłada ręce na olbrzymim biurku. — W sobotę byłam na meczu polo; mój najstarszy brat, Toby, gra w drużynie. Wieczorem wybrałyśmy się do opery z moją przyjaciółką Maddy, która ma tam łóżko, a w niedzielę były urodziny babci, więc poszliśmy wszyscy na kolację do hotelu Dorchester.

— No tak, masz rację, całkiem zwyczajny weekend — przytakuje drwiąco.

Uwielbiam słuchać o weekendach Beatrice. Są jak kronika towarzyska w „Tatlerze”. Ona żyje w zupełnie innym świecie niż większość ludzi, a najlepsze, że zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy i uważa— poczciwa dusza — że to wszystko jest normą.

— Co mi przypomina, że widziałam tam tego twojego przyjaciela.

Popijając kawę, zaczynam przeglądać pocztę.

— Kogo? — pytam bez większego zainteresowania.

— No wiesz, męża twojej przyjaciółki. Tego z fotografii. Przestaje czytać listy i patrzę na nią ostro.

— Masz na myśli Juliana?

— Tak. Tego, który mógłby się nawet wydać sexy, ale tylko pod warunkiem, że byłby singlem, niezwiązanym z nikim małżeństwem w żadnej formie, obrzędzie czy kształcie...

— Bea...

— ...nawet gdyby to miała być jedna z tych ceremonii nieuznawanych prawnie w Anglii, jak zrobił mój kuzyn z drugiej linii, który się ożenił w lesie deszczowym w Amazonii według rytuału jakiegoś plemienia pigmejskiego...

Beatrice!

...biedna ciotka Fi była niepokieszona, chociaż przywieźli jej piękny, ręcznie tkany dywan... Beatrice!

Patrzy na mnie z przestraszeniem, jakby dopiero sobie uświadomiła moją obecność.

— Przepraszam, co mówiłaś? — Uśmiecha się promiennie.

— Nie, to ty mówiłaś. O Julianie, którego widziałas w hotelu Dorchester — przypominam jej z groźną miną.

Ojejku, powiedziałam coś nie tak? — Zaniepokojona chwyta się za perły, jakby stanowiły barierę ochronną.

— Nie, oczywiście, że nie — zapewniam ją szybko. — Ale jesteś pewna, że to był on?

Patrzy na mnie nieufnie.

— Beatrice, to ważne.

— Jestem absolutnie pewna — mówi ponuro. — Mam pamięć do twarzy.

Wiruje mi w głowie. Myślę o rozmowie Juliana z Vanessą przy mojej urodzinowej kolacji. Powiedział, że musi pracować. Dlatego nie może wziąć dzieci do oceanarium. Więc co robił w hotelu?

Załatwiał interesy, mówię sobie twardo. Zapewne umówił się z którymś ze swoich nadzianych klientów. Ja to robię bez przerwy. Ciągle jestem w hotelach.

— A która to była godzina?

— Hm... zaraz... niech pomyślę. — Przekrzywia głowę. — Tak, to było po ptifurkach, które mają tam bardzo dobre, muszę przyznać. Zwykle nie przepadam za ptifurkami, są za fikuśne, za małe i muszę zjeść około stu, ale te były naprawdę palce li... — Widzi moją minę i szybko urywa. — W każdym razie, tak, to było po ptifurkach, bo babcia zażyczyła sobie wtedy brandy i pamiętam, że ja też zamówiłam kieliszek, ale najpierw musiałam iść do toalety...

— Bea, czy ta historia do czegoś prowadzi? — przerywam niecierpliwie.

— Oczywiście. — Kiwa głową. — Bo widzisz, kiedy szłam do łazienki, musiałam przejść przez hol recepcyjny i wpadłam na niego.

— Na Juliana?

— No właśnie. Wychodził z windy i zderzyliśmy się. Był bardzo uprzejmy i rozpląwał się w przeprosinach. Ale jest coś jeszcze.

— Co? — Czuję się jak detektyw z serialu telewizyjnego.

— Upuścił klucz na podłogę.

— Klucz do pokoju?

Czuję kamień na sercu. Słyszę ponownie w uszach głos Vanessy: „Myślę, że Julian ma romans”.

Nie, musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie. Może jego spotkanie odbyło się w pokoju. Na pewno tak było. W końcu, weźmy choćby mnie — też spotkałam się w pokoju z Larrym Goldsteinem, prawda?

— Hhm... — Beatrice kiwa głową zdecydowanie. — Wiem, bo ja go podniosłam. I ściśle biorąc, to nie był klucz do pokoju. Był do... — zniża głos do nabożnego szeptu — ...apartamentu Olivera Messela.

Patrzę na nią pustym wzrokiem.

— Co to jest?

— Ni mniej, ni więcej, tylko najbardziej romantyczny apartament w Dorchester! — wykrzykuje. — Ulubiony apartament Marleny Dietrich. Babcia mi mówiła. Były dobrymi przyjaciółkami.

Okay, więc teraz mamy spotkanie biznesowe w najbardziej romantycznym apartamencie hotelowym. Cóż, zapewne to jest możliwe.

— Mówiłaś, że która to była godzina?

— Nic nie mówiłam o godzinie. Ale musiało już być dość późno. Chyba po dziesiątej.

Nie mogę w to uwierzyć. Spotkanie w interesach, które ciągnie się do późnej nocy? W najbardziej romantycznym apartamencie Dorchester? W niedzielę? Podczas gdy powiedział Vanessie, że musi być w biurze?

Żołądek mi się ściska i robi fikołka. Myślę o prezerwatywach, które widziałam w jego koszyku sklepowym, i wyznaniu Vanessy, że nie spali ze sobą od wieków. Muszę przyznać, że dowody przeciwko niemu są trudne do zbiccia.

— No więc opowiedz, o co chodzi. — Wracam na ziemię i do Beatrice, która płonie z ciekawości. — Skąd te wszystkie pytania? Twoja przyjaciółka nie mówiła ci, że mają tam randkę?

— Nie... nic nie wspominała. — Potrząsam głową z wymuszonym uśmiechem. — Musiała zapomnieć, jest strasznie roztargniona. — Odsuwam niepokojące myśli i biorę się w garść. — Ale do rzeczy, co z Lanym Goldsteinem? Dzwonił już? — pytam, szybko zmieniając temat.

— Z samego rana — kiwa głową Beatrice. — Masz się z nim spotkać o dwunastej w salonie piękności w Notting Hill. — Rzucam jej pytające spojrzenie. — Jest tam umówiony na manikiur o jedenastej — wyjaśnia. — Może w Los Angeles zapanowała teraz taka moda.

— A może po prostu dlatego, że jest dentystą. Rozumiesz, wkłada palce w usta innych ludzi — sugeruję.

Przynajmniej taką mam nadzieję. Czułabym się nieswojo, gdyby robił manikiur dla czystej przyjemności.

— Nie pomyślałam o tym — śmieje się Bea. — I zastanawiałam się, jaki kolor lakieru wybierze, jaskrawoczerwony czy bardziej subtelny. — Znowu zaczyna chichotać, ale zaraz przywołuje się do porządku. — W każdym razie później bierze cię na oględziny nowego miejsca.

Zamieniam się w słuch.

— Och, więc w końcu wybrał lokalizację dla swojej kliniki?

— Tak i jest pewien, że zaaprobuje jego decyzję.

— Naprawdę? — Czuję przyływ optymizmu. Nareszcie coś zaczyna się dziać. — Gdzie to jest?

— Nie chciał zdradzić. Powiedział, że to ma być niespodzianka. — Beatrice obejmuje się ramionami. — Cudownie. Uwielbiam niespodzianki, a ty?

Ogarnia mnie lekki niepokój. Czyż nie marzyłam o braku niespodzianek? Tymczasem najpierw Julian, a teraz to.

Niemniej, muszę pamiętać, żeby myśleć pozytywnie, mówię sobie stanowczo. Wszystko będzie dobrze. A nawet lepiej niż dobrze — będzie wspaniale. I patrząc na Beatrice, zapewniam ją radośnie:

— Ja też!

Rozdział trzydziesty drugi

Kiedy przychodzę, manikiurzystka wycina Larry'emu skórki.

— Cześć, jak leci? — Szczyrzy zęby, wysyłając mi swój neonowy uśmiech, gdy przekraczam próg supermodnego salonu piękności, pełnego kobiet, których cała aktywność życiowa sprowadza się do zrobienia lunchu. Larry spoczywa na fotelu do masażu, obsługiwany przez dwie ładne specjalistki w białych kitlach. Jedna robi mu manikiur, druga masuje stopy.

— Cześć, wszystko w porządku, dziękuję — odpowiadam, przestępując niepewnie z nogi na nogę przy szafkach z rzędami buteleczek lakieru, i rozglądając się, gdzie by tu usiąść. Zwykle spotykam się w interesach w innego rodzaju miejscach, ale Larry Goldstein nie jest zwykłym klientem.

— Podejdz bliżej, poznasz Andreę i Carlę — huczy tubalnym głosem nad szumem rozmów i pobrzękiwaniem filiżanek z cappucino.

Toruję sobie drogę przez fotele do masażu, niosąc teczkę i torebkę; staram się przy tym ukryć własne paznokcie, którym manikiur bardzo by się przydał.

— To jest Charlene, moja guru od PR-u — przedstawia mnie Larry Goldstein.

Obie dziewczyny na ułamek sekundy podnoszą oczy i uśmiechają się.

— Dzień dobry — ćwierkają unisono i wracają do swojej roboty.

— Mam na imię Charlotte — poprawiam go uprzejmie.

— Co za różnica — rechocze. — Jedno lichy.

Jednak jest jakaś różnica. Chciałbyś, żeby się do ciebie zwracano Leslie, Lenny albo Leo? — mam ochotę zapytać, ale oczywiście tego nie robię. Zachowuję całkowity spokój i profesjonalny uśmiech przyklejony do twarzy. To jest ważne spotkanie. Larry Goldstein jest cennym klientem. I to ma być dobry weekend, prawda?

— A więc wybrałaś podobno lokal na klinikę? — pytam z wigorem, przechodząc prosto do sedna.

— Andrea, skarbie, mogłabyś trochę mocniej naciskać moją lewą stopę? O, właśnie tak! — Z zadowoloną miną rzuca mi spojrzenie z ukosa. — Przepraszam.

— Nie szkodzi. — Zachowuję sztywny uśmiech. — A teraz, co do tego lokalu...

- Wiedziałaś, że mamy odpowiednie punkty stymulacji w podeszwach stóp? To jest związane z meridianami. Podobnie jak akupunktura. To sposób na zrównoważenie *chi*.

- Tak, wiedziałam — odpowiadam uczenie. — To jedna z podstawowych zasad refleksologii.

Sama widzisz, że jej zalety to nie tylko ładna buzia — rzuca żart do swojej specjalistki od masażu, która zerka na mnie i śmieje się kurtuazyjnie.

— A więc jeśli chodzi o tę lokalizację... — zaczynam po raz trzeci.

Bezbarwny lakier czy tylko polerowanie? — przerywa Maria. Zaciskam pięści.

— Sam nie wiem. Co radzisz, Charlene? — Larry przestaje wpatrywać się w swoje palce i patrzy na mnie, unosząc brwi pytająco.

— Lakier czy polerowanie?

No dobrze, daję za wygraną. Nie sposób prowadzić rzeczowej rozmowy w takich warunkach.

— Polerowanie — odpowiadam krótko. Marszczy czoło.

— Tak myślisz? — pyta, znów wbijając wzrok w paznokcie.

— Więc niech będzie lakier — mówię z kamienną twarzą.

— Nie, chyba masz rację. Polerowanie będzie lepsze — stwierdza po chwili głębokiego namysłu. — Widzicie, zawsze stosuję się do rad mojej PR-owskiej guru. Ona wie najlepiej. — Podaje rękę Carli, która czeka cierpliwie. Sięga po polerkę. — Zaraz, chwileczkę, może zanim zaczniemy, zmienimy funkcję fotela z wibrującej na pulsującą?

Patrzę, jak Carla zaczyna majstrować przy przyciskach.

— Wiesz, dają tu świetne herbaty ziołowe — zwraca się do mnie Larry od niechcienia, jakbym nie czekała tu na niego, tylko po prostu zabijała czas. — Powinnaś spróbować. — Układa się wygodnie w fotelu i zamyka oczy. — Zaraz do ciebie przyjdę.

Zaraz przyjdę.

W moim języku oznacza to wkrótce, za kilka minut, nie więcej niż pięć. W ostateczności dziesięć. W języku Larry'ego Goldsteina oznacza to ponad godzinę, w trakcie której masują mu stopy, glansują pięty pumeksem i owijają mu ręce parującymi ręczniczkami — pewno to specjalny zestaw relaksujący na dzień wolny od pracy — podczas gdy on cały czas flirtuje z Carlą i Andream, oferując im rabat na koronki i wybielanie zębów, oraz wręcza wizytówki z zachętą, żeby zadzwoniły.

Jest już po pierwszej, kiedy w końcu wychodzimy z salonu.

— Wszystko w porządku? — pyta na chodniku bardzo zadowolony z siebie.

— Oczywiście — odpowiadam wesolutko, starając się nie myśleć o godzinie, którą właśnie straciłam, sącząc jedną po drugiej cztery filiżanki herbaty ziołowej. Naczelna zasada PR-u głosi, że póki klient jest zadowolony, wszystko jest w porządku.

— Jesteś ciekawa nowego lokalu?

— Bardzo. — Kiwam głową. Nareszcie.

— To świetnie. Weźmy taksówkę. — Macha ręką.

— A może ja nas podrzucę? Mam tu samochód przy parkometrze i... — zaczynam, ale on już zatrzymuje przejeżdżającą taksówkę.

— Nie, tylko nimi poruszam się po Londynie. Są takie frymuśne. — Rozjaśnia się, kiedy taksówka staje przy chodniku. — Mam ochotę przetransportować jedną do Stanów i jeździć nią zamiast porsche po Beverly Hills. Co o tym sądzisz?

Sądzę, że będziesz wyglądał jak skończony palant, myślę, ale mówię z entuzjazmem:

— To fantastyczny pomysł! — Otwiera przede mną drzwi i wsiadam. — Dokąd jedziemy?

— Zaraz się przekonasz. — Z wyraźną satysfakcją wymiguje się od odpowiedzi i usadawia się tuż przy mnie. Naprawdę tuż. Tak blisko, że nasze uda się stykają.

Natychmiast ogarnia mnie to samo uczucie, które miałam w restauracji, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy. Nie jestem pewna co, ale coś jest nie tak. Mój dyskomfort narasta. Czy mi się wydaje, czy on ociera się o mnie lewą nogą?

Przyjmuję, że mi się wydaje. Ale na wszelki wypadek zakładam nogę na nogę, żeby przy tym manewrze odsunąć się jak najdalej.

— Wal prosto przed siebie, kolego — wrzeszczy Larry do szofera podrabianym cockneyem, a akcent ma jeszcze gorszy niż Dick van Dyke w *Mary Poppins*.

Widzę grymas szofera w tylnym lusterku. Zapewne jedyną rzeczą, która wkurza czarnego taksówkarza bardziej niż udawanie cockneya, jest instruowanie go, jak jechać.

— Amerykanin, co? — pyta ponuro.

— Czy mój akcent jest aż tak zły? — Larry Goldstein śmieje się jowialnie.

— Gorszy — warczy szofer.

— Chryste, jak ja uwielbiam tych gości — wyznaje Larry, błyskając uśmiechem.

Kiwam głową bez słowa. Wątpię, czy choćby rozumie słowo „sarkazm”. Jakby te jego zęby były tarczą lustrzaną, od której odbija się wszelka ironia.

Zastanawiam się, dokąd jedziemy. Beatrice wspominała coś o mojej spodziewanej aprobacie, więc ciekawa jestem, czy posłuchał mojej rady i wybrał coś w modnej okolicy. Z drugiej strony on jest naprawdę zakochany w angielskiej tradycji, więc mógł wynająć jeden z okazałych apartamentów na Harley Street, gdzie przyjmują autorytety lekarskie.

— To tutaj.

Taksówkarz naciska hamulce do dechy i gwałtownie stajemy. Wyglądam przez okno i widzę, że przejechaliśmy wszystkiego kilkadziesiąt metrów.

— Ile to będzie? — pyta Larry taksówkarza. Otwieram oczy ze zdumienia. Wiadomo, że mieszkańcy

Los Angeles nie przepadają za chodzeniem pieszo, ale to już przesada. Okrążyliśmy zaledwie róg. Odwracam się do Larry'ego, lecz on już wyskakuje na chodnik i płaci. Skonfundowana wychodzę za nim.

— Nic nie rozumiem...

— To był twój pomysł, cała zasługa leży po twojej stronie. Podsunęłaś mi to przy kolacji, mówiąc, żebym znalazł jakieś modne miejsce, ruchliwe i często odwiedzane...

Rozglądam się wokół. Stoimy na Westbourne Grove, w pobliżu skrzyżowania z Portobello.

— ...miejsce, gdzie się widuje celebrytów, gdzie przychodzi się dla rozrywki.

Zabawne. Zaledwie w sobotę byłam tu na pchlim targu. Larry zaczyna iść wolno chodnikiem, szerokim łukiem pokazując mi widoki.

— Przypomniałem sobie, jak za twoją sugestią spotkaliśmy się tu w Electric, i pomyślałem, że to wymarzona okolica. Więc od razu zadzwoniłem do moich ludzi i udało im się znaleźć odpowiedni lokal. Oczywiście, nie obyło się bez problemów, bo jest już wynajęty, ale nie ma takiego problemu, którego się nie da rozwiązać za pomocą pieniędzy. — Patrzy na mnie wzrokiem, od którego ciarki biegną mi po plecach. — Zaoferowaliśmy właścicielowi pięć razy wyższy czynsz. Nie mógł odmówić.

— Ale co się stanie z dotychczasowym lokatorem?

— Interes to interes — odpowiada głosem zimnym jak stal.

— To znaczy będzie musiał się po prostu spakować i wyprowadzić?

Przy tych słowach ogarnia mnie okropne, okropne przeczucie, dostaję gęsiej skórki, krew zastyga mi w żyłach. Mylę się. Muszę się mylić.

— Jaki to lokal?

Nadal kroczymy naprzód, ale nogi mam jak z ołowiu.

— Och, nic specjalnego, jakiś sklep ze starociami. — Wzrusza lekceważąco ramionami.

Wszystko się we mnie burzy. Nic specjalnego! Sklep ze

starociami! Już wiem, o czym on mówi. Wiem, zanim dochodzimy na miejsce.

— No i co myślisz? — pyta i rozpościera triumfalnie ramiona, kiedy stajemy przed antykwariatem dziadka Olivera.

Myślę, że zaraz zwymiotuję.

Tu i teraz, prosto na chodnik.

Z najwyższym trudem udaje mi się opanować.

— Eee... to wygląda obiecująco — dukam.

— Tylko obiecująco? — Na jego twarzy maluje się rozczarowanie. Najwyraźniej Lany Goldstein oczekiwał większego entuzjazmu.

— To znaczy naprawdę wspaniale — wyrzuciłam z siebie, odzwierciedlając jego celuloidowy uśmiech. — Fantastycznie — dodaję z emfazą.

Nareszcie zdaje się usatysfakcjonowany.

— Wiedziałem, że ci się spodoba. — Rozpromieniony przeczesuje ostrożnie palcami szpakowate włosy. — Wyobraź sobie tylko... — zatacza ręką łuk, jakby malował w powietrzu tęczę — ...Uśmiech Gwiazdy.

Sztywnieję. Ma zamiar zastąpić ten uroczy stary szyld swoim kiczowatym logo.

— Wejdziemy?

— Słucham? — Nadal skręcam się z żalu, że przeze mnie dziadek Olivera traci swój ukochany sklep, który prowadził przez sześćdziesiąt lat. Nadal zmagam się z poczuciem winy i jakby tego było mało, mam jeszcze wejść do środka?

Miga mi wspomnienie wąsatych pocałunków, które dziadek Olivera wycisnął mi na obu policzkach.

O mój Boże, nie mogę. Po prostu nie mogę tam wejść.

— Charlene?

Patrzę na Lany'ego Goldsteina i wiem, że to wóz albo przewóz. Moja kariera wisi na włosku. Albo wejdę do sklepu

i będę mieć to z głowy, albo mogę się pożegnać z honorarium. A wraz z nim z szansą na międzynarodowe rozszerzenie działalności.

Już widzę nagłówki w gazetach, słyszę plotki w konkurencyjnych firmach, które bez żadnych skrupułów wykorzystają sytuację. Zostanie mi to poczytane za wielki błąd. Może nawet za samobójstwo zawodowe. I co to komu da? Inna agencja zajmie moje miejsce i transakcja zostanie dokonana. Dziadek Olivera straci swój sklep. Ze mną czy beze mnie.

A ja mam do wyboru zostać albo odejść. Z karierą lub bez.

Waham się. Pracowałam na swój sukces przez lata, a dziadka Olivera poznałam dopiero w zeszłą sobotę. Interes to interes, nieprawdaż? Uczucia osobiste nie mają tu nic do rzeczy.

— Przepraszam. — Przybieram zawodowy uśmiech i prostuję ramiona. — Zbierałam myśli przed wejściem.

Otwiera drzwi i posłusznie idę za nim. Kiedy przechodzę przez próg, odnoszę wrażenie, że przekraczam pewną granicę. Dokonałam wyboru. Ale najbardziej przerażające jest odkrycie, że Larry Goldstein miał rację: w wielu wypadkach jestem podobna do niego.

W środku już czeka jeden z projektantów drużyny Uśmiechu Gwiazdy i korzystając z tego, chowam się przed dziadkiem Olivera, skulona za plecami Larry'ego Goldsteina, który pewnym krokiem przemierza sklep, jakby już był jego właścicielem. I zapewne jest.

— Wyburzimy te okna i wstawimy wielką tafelę szkła najwyższej jakości... — peroruje projektant.

Słucham tego z oburzeniem. Przepiękne, stare łukowe okna

są tu od lat i mają charakterystyczny urok. Zniszczenie ich to barbarzyństwo.

— ...zainstalujemy ekrany plazmowe i zrobimy polerowane betonowe posadzki...

Kiedy tak snuje swoją wizję, siłą powstrzymuję się od protestu. To wszystko stanowi ostatni krzyk mody i jest niezwykle *cool*, z pewnością będzie wyglądało super, ale nie tutaj. Nie w tym sklepie.

— ...Rozbierzemy tę starą biblioteczkę i zrobimy kompletną renowację, zbudujemy antresolę, wszystko na otwartej przestrzeni...

Kątem oka widzę, że dziadek Olivera słucha zza swojego kantorka. Mam włosy upięte w koński ogon i okulary przeciwsłoneczne, więc dzięki Bogu nie rozpoznał we mnie dziewczyny, która była tu w sobotę, choć jestem już od kwadransa. Zerkam na jego ściągniętą twarz i ogarnia mnie wstyd, że w tym uczestniczę.

— Tak, totalna zmiana jest konieczna — zgadza się Larry Goldstein.
— Chociaż w tym momencie trudno ją sobie wyobrazić, patrząc na tę zatęchłą, ciemną graciarnię.

Mówi, jakby dziadka Olivera tu nie było. Czy nie zdaje sobie sprawy, jak obraźliwie brzmią jego słowa? Żal mi staruszka. Spędził tu sześćdziesiąt lat. Kocha ten sklep. Musi się czuć, jakby wydzierano mu serce.

— I rzecz jasna ta biblioteka to szkaradzieństwo.

— Pochodzi z przełomu dwudziestego wieku — odzywa się niespodziewanie dziadek Olivera.

— Naprawdę? — Na Larrym Goldsteinie nie robi to wrażenia. — Więc najwyższy czas ją odnowić, czyż nie? — Śmieje się. — Przenieść do nowego wieku. Prawdę mówiąc, miałem na myśli półki z pleksi podwieszane u sufitu. — Od-

wraca się do projektanta, jakby dotychczasowy gospodarz w ogóle się nie liczył.

Patrzę ukradkiem na dziadka Olivera. Jego jasnozielone oczy szacują Lany'ego Goldsteina, mierzą go od stóp do głów, oceniają.

Tymczasem robię, co mogę, żeby trzymać się z tyłu ze spuszczoną głową.

— No więc, co o tym myślisz...

Dobry Boże, nie dopuść, żeby powiedział moje imię, proszę, proszę nie dopuść.

— ...Charlene?

Po raz pierwszy cieszę się z tego przeinaczenia. Jednak Bóg istnieje.

— Eee... taa... świetny projekt — mamroczę niezbornie, starając się schować za dużym stojącym zegarem.

— Może masz jakieś propozycje? Co do wystroju? Koloru? Dekoracji? — Patrzy na mnie, czekając na mój wkład.

Przełykam ślinę.

— Cóż, naturalnie ciśnie mi się do głowy mnóstwo pomysłów, jak urządzić to miejsce. Mamy tu całkiem wolną rękę — zaczynam nawijać w swoim najlepszym PR-owskim stylu — i myślę, że wszyscy chcemy stworzyć coś jasnego, nowoczesnego i totalnie organicznego — zerkam na dziadka Olivera, który teraz przypatruje mi się podejrzliwie — ale oczywiście pańscy projektanci będą najlepiej wiedzieli, co robić, jako że są ekspertami w tej dziedzinie — kończę szybko.

Cholera, muszę stąd wyjść.

— Przepraszam panią... — Dziadek Olivera zmierza w moim kierunku.

Staram się go zignorować, ale to niemożliwe.

— Hm, tak? — mówię, odwracając się do niego z pochyloną głową.

— Czy my się skądś znamy? Pani twarz wydaje mi się znajoma.

— Nie, myli się pan. Nigdy się nie spotkaliśmy — zaprzeczam szybko. — Na sto procent. Nie ma takiej możliwości. Nigdy tu przedtem nie byłam. — Zdaję sobie sprawę, że zaczynam paplać jak idiotka. — Ale teraz muszę wyjść na zewnątrz, obejrzeć wszystko jeszcze raz od frontu.

Daję nura w stronę drzwi. Są zaklinowane, ale po krótkiej walce udaje mi się otworzyć je mocnym szarpnięciem.

— Poczekam na ulicy, Larry — mówię szybko, puszczam drzwi, które zatrząskują się za mną, i potykając się, ląduję na chodniku.

Rozdział trzydziesty trzeci

Później projektant odjeżdża swoim mini cooperem, a Lany przyłącza się do mnie, czekając na taksówkę, która go zawiezie do hotelu. Proponuje, że podrzuci mnie do mojego samochodu, ale wymiguję się, mówiąc, że chcę rozprostować nogi i przejść się trochę — wszystkiego kilkadziesiąt metrów.

— Grzeczna dziewczynka, dba o jedrność pośladków — mówi z aprobatą i klepie mnie po pupie.

Krzywię się. Ale robi to w taki żartobliwy, kumpelski sposób, że nie mogę zaprotestować, bo wyjdę na kretynkę.

— A więc dziś po południu dopracuję szczegóły naszej prezentacji — mówię rażno swoim najbardziej profesjonalnym tonem. — Trzeba jeszcze dopiąć jedną czy drugą sprawę, ale poza tym jesteśmy w pełni gotowi na jutrzejszą konferencję.

— Fantastycznie. — Uśmiecha się szeroko.

— Chyba że chcesz jeszcze coś dodać?

— Tylko tyle, że współpraca z tobą to prawdziwa przyjemność — mówi i przewierca mnie tymi swoimi przenikliwymi niebieskimi oczami. Jestem pewna, że nosi szkła kontaktowe. Żadne oczy nie mogą być aż tak niebieskie.

Cofam się o krok.

— Miło mi, dziękuję. Z tobą też. — Szybko odwzajemniam komplement.

— Miejmy nadzieję, że to dopiero początek. — Nie spuszcza ze mnie wzroku. I na dokładkę wcale nie mruga, zauważam z lekką irytacją. — Wiesz, ty i ja moglibyśmy zejść daleko, Charlotte.

Nie wiem, co budzi mój niepokój, czy to, że po raz pierwszy prawidłowo powiedział moje imię, czy sposób, w jaki je wymówił, ale włoski jeża mi się na karku i ciało sztywnieje.

— O, jest taksówka! — wołam, zmieniając temat. Macham szaleńczo ręką. Taksówka jedzie w przeciwnym

kierunku, ale szofer natychmiast zawraca i sprawnie zatrzymuje się przy chodniku. Oddycham z ulgą.

— Hm... dzięki — mruczy Larry Goldstein, rzucając mi dziwne spojrzenie.

— Nie ma za co. To w ramach naszych usług — żartuję z lekkim przydechem.

— Usług? Jesteś pewna, że nie masz ochoty na małą przejażdżkę? — Otwiera drzwi i patrzy na mnie, jego starannie wypielęgnowane brwi unoszą się pytająco.

— Nie, dziękuję, przejdę się.

— Okay, wobec tego porozmawiamy jutro przed konferencją prasową. — Wsiada do taksówki, zatrząskuje za sobą drzwi i opuszcza okno. — Już się nie mogę doczekać.

Znów czuję nieokreślone napięcie, ale to ignoruję. Zawsze jestem zdenerwowana przed konferencją prasową, zwłaszcza zwołaną w ostatniej chwili. To całkiem zrozumiałe.

— Ja też! — odpowiadam z uśmiechem i kiedy taksówka rusza, zarzucam torbę na ramię, chwytam teczkę i ruszam energicznym krokiem na mój zdrowotny spacer.

Który trwa około pięciu sekund.

Kiedy tylko taksówka znika za rogiem, upuszczam torbę i teczkę na ziemię, a sama osuwam się na najbliższą ławkę. Opieram łokcie na kolanach, zasłaniam rękami twarz i robię głęboki wydech. Czuję niemal dosłownie, jak uchodzi ze mnie stres, roztacza się wokół ławki i ścieka na chodnik, tworząc wielką, lepka, mazistą kałużę.

W tej chwili powinnam być najszczęśliwszą dziewczyną na świecie. Mój nowy, potężny klient mnie kocha, znaleźliśmy idealne miejsce na pierwszą w Wielkiej Brytanii klinikę Uśmiechu Gwiazdy, a konferencja prasowa zbliża się wielkimi krokami. Nie może się nie udać. To będzie ogromny sukces. Wywinduje moją karierę w całkiem nową sferę. Moje zdjęcia będą we wszystkich branżowych magazynach. Moja firma zyska ogromną reklamę i wielu klientów. A jeszcze Larry Goldstein wspominał, że jest gotów podpisać z Merryweather PR kontrakt na wyłączność na wszystkie kraje, nie tylko na Anglię, ale na skalę globalną. Będziemy musieli rozszerzyć działalność, zaangażować więcej pracowników, poszukać nowych lokali na biura... Boże, to spełnienie moich marzeń.

Tylko że...

Oliver.

Wracam myślami do sobotniego popołudnia. Znow spacerujemy po parku z Wellingtonem. Śmiejemy się, kiedy Oliver rzuca mu patyki i sam musi je podnosić. Rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Pijemy herbatę i jemy kruche ciasteczka z jego dziadkiem.

Jego dziadek.

Serce mi zamiera. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę zabrać mu sklepu, pracy, życia. Wciąż brzmią mi w uszach jego słowa: „Tutaj poznałem moją świętej pamięci żonę, Betty.

Przyszła kupić czajniczek do herbaty... Antyki mam we krwi i wystarczy na mnie spojrzeć, sam jestem już trochę antykiem".

Z drugiej strony zapewne i tak wkrótce przejdzie na emeryturę, pocieszam się w duchu. Musi mieć już ponad osiemdziesiątkę. A Oliver na pewno mnie zrozumie. Chociaż wątpię, czy zdołam jeszcze kiedyś spojrzeć mu w twarz, myślę ze smutkiem.

— Piękny dzień, prawda?

Jakiś głos wyrywa mnie z zamyślenia, podnoszę głowę i widzę, że na drugim końcu ławki siedzi stara kobieta, wyciągając przed siebie opuchnięte nogi. Zwróciła ku niebu pomarszczoną twarz i wygląda jak biały kot wygrzewający się w słońcu.

Jeśli siedziała tu wcześniej, to jej nie zauważyłam, ale nie zauważyłabym nawet, gdyby spadł śnieg.

— Jeśli pani tak uważa — mamroczę ponuro. Odwraca się i patrzy na mnie.

— Niech zgadnę. Chodzi o mężczyznę.

— Słucham?

— To westchnienie. Omal nie zdmuchnęło mnie na ziemię. — Uśmiecha się, podnosząc brwi.

Naprawdę nie wiem, dlaczego wszyscy myślą, że kobiece niedole są zawsze związane z mężczyzną.

— Nie, wcale nie — odpowiadam urażona. — Mam kłopoty w pracy.

— Rozumiem. — Kiwa głową, ale coś mi mówi, że nie wierzy mi ani na jotę.

— Cóż, ściśle rzecz biorąc, to nie są kłopoty — dodaję. — Klient jest zadowolony i tak dalej, tylko że...

— Tylko że ty nie jesteś zadowolona — podpowiada. Patrzę na nią zdziwiona. Powiedziała to tak autorytatywnie, jakby dobrze wiedziała, co czuję, choć oczywiście nie może

wiedzieć. Jest siwowłosą staruszką w grubym zimowym płaszczu mimo letniej pory, chodzącą o lasce, którą mocno zaciska w dłoni; moje oko pada na błyszczący w promieniach słońca piękny szmaragdowy pierścionek w kształcie kwiatka, obok złotej obrączki ślubnej. Musi mieć koło osiemdziesiątki. Co ona może wiedzieć o moim życiu, o moich uczuciach?

— To nie takie proste — staram się wytłumaczyć. — W tę sprawę zamieszani są też inni ludzie: Oliver i jego dziadek, który przeze mnie straci swój sklep. — Teraz, kiedy już raz zaczęłam, nie mogę przestać mówić i wszystko wylewa się ze mnie potokiem. — A to znaczy, że Oliver mnie znienawidzi, jak z pewnością znienawidził mnie dziesięć lat temu, kiedy go ignorowałam. — Przez sekundę wracam pamięcią do chwili, kiedy próbowałam przedstawić go Lottie, a ona nawet nie zwróciła na to uwagi, bo miała głowę zaprzątniętą Billym Romani. — Ale to nie jest tak naprawdę moja wina, bo wtedy nie zauważałam miłych chłopców. Spodobał mi się dopiero, kiedy parę dni temu poszłam na moje przyjęcie urodzinowe sprzed dziesięciu lat, i miałam już ponad trzydziestkę, i znów go spotkałam, kiedy on był dwudziestolatkiem, i w ten sposób dostałam drugą szansę. — Obraz Olly'ego za barem w obcisłym T-shircie budzi motylki w moim brzuchu. — A potem oczywiście, kiedy odkryłam, że jest barmanem w tym pubie... — Nagle zdaję sobie sprawę, że paplę od rzeczy, i milknę.

Na drugim końcu ławki staruszka patrzy na mnie z nieco rozbawioną miną.

— Jak mówiłam, to jest skomplikowane. — Wzruszam bezradnie ramionami.

Ale ona się tylko uśmiecha, a potem nachyla do mnie i klepie pocieszająco po ręce.

— Życie nie jest skomplikowane. W gruncie rzeczy jest bardzo proste. To my je komplikujemy.

Postanawiam nie wracać do biura. Nie byłabym w stanie tam wysiedzieć. Dzwonię do Beatrice, że resztę popołudnia będę pracować w domu, i jadę do siebie. W każdym razie limit nieszczęść na dziś już się chyba wyczerpał, pocieszam się, tkwiąc w korku na Holland Park Avenue i wpatrując się w mandat parkingowy zatknięty za wycieraczkę.

Ostry dzwonek komórki pozbawia mnie tego złudzenia w chwili, gdy klikam na bezprzewodową słuchawkę.

— Cześć, Charlotte, to ja. Jasny gwint, nie wyczerpał się. To Vanessa.

Czuję ucisk w dołku. W zamieszaniu zupełnie zapomniałam o Julianie i mojej porannej rozmowie z Beatrice, ale teraz cała sprawa wraca i uderza mnie jak obuchem.

— Sie masz, złotko — szczebioczę jakby nigdy nic. Wiruje mi w głowie odwieczne pytanie: „Czy wiedząc, że chłopak twojej przyjaciółki ją zdradza, powiedziałabyś jej?”. Zawsze bez namysłu deklarowałam: „Tak, jasne, że tak” z łatwą bezkompromisowością dwudziestoparolatki. Oczywiście, że bym powiedziała. W ogóle nie ma się nad czym zastanawiać. Ale teraz stawka jest wyższa; teraz dzielą coś więcej niż paprotkę, pizzę Domino's i materac. Teraz mają dzieci, dom i wspólne życie.

— Nie najlepiej — odpowiada.

O Boże, ona wie. Poznaje po jej głosie. W pierwszej chwili czuję ulgę, że nie będę musiała kłamać, ale zaraz przyćmiewa ją strach.

— Dlaczego? Co się stało? — pytam na pozór spokojnie.

Milczenie, a potem:

— Znalazłam rachunek.

Mogłoby się wydawać, że te dwa słowa nie powinny mną wstrząsnąć, a jednak żołądek podchodzi mi do gardła i ręce same zaciskają się na kierownicy.

— Jaki rachunek? — pytam pełna najgorszych przeczuć. Cokolwiek to jest, nie może oznaczać nic dobrego. Najlepsze przyjaciółki nie dzwonią na ogół w środku dnia, żeby oznajmić, że znalazły rachunek z Tesco, prawda?

— Jest ze sklepu Agent Provocateur.

Najpierw prezerwatywy, potem apartament w hotelu, a teraz to? Serce mi truchleje, ale szybko zbieram myśli. No dobrze, pozostaje tylko zminimalizować szkody. Trzeba ją szybko zagadać, a kto zrobi to lepiej niż ja? W końcu praca w PR-ze zobowiązuje.

— Ooo, to szczęściara z ciebie! — wykrzykuję z całym entuzjazmem, jaki udaje mi się wykrzesać. — Julian kupił ci pewno jakąś seksowną bieliznę w charakterze niespodzianki.

— Taa, jasne — cedzi Vanessa, chyba niezbyt przekonana. — O dwa numery za małą? Zadzwoiłam do sklepu i podałam im numerki z kodu paskowego. Wierz mi, gdybym mogła się wcisnąć w stringi w rozmiarze dziesięć i ażurowy staniczek z miseczkami B, to nie byłaby niespodzianka, to byłby cud.

Coś w tym jest. Kocham Vanessę całym sercem i uważam, że wygląda świetnie, ale nie ma mowy, żeby się zmieściła w rozmiar dziesięć. A jeśli chodzi o jej piersi — przedmiot zazdrości wszystkich kobiet, które, podobnie jak ja, muszą się ratować poduszczkami w biustonoszu — to nigdy nie były i nie będą wewnątrz miseczek mniejszych niż DD.

— Może się pomylił? — nie ustępuję. — Mężczyźni są beznadziejni w takich sprawach. Miles zawsze był przekonany, że noszę rozmiar dziesięć.

— Bo nosisz rozmiar dziesięć, Charlotte.

— Eee... no tak... rzeczywiście. Ale wiesz, co mam na myśli — bąkam ogólnikowo.

Jednak ona chyba nie wie i zapada cisza.

— Przepraszam, na pewno jesteś zajęta, już kończę.

— Nie, nie, wszystko w porządku, nie bądź głupia — mówię szybko.

— Naprawdę? Jesteś pewna? — W jej głosie brzmi taka wdzięczność, że robi mi się nieswojo. Mój Boże, czy rzeczywiście jestem zawsze tak zapracowana, że boi się mi przeszkadzać nawet w takiej chwili?

— Oczywiście. Co może być ważniejszego od najlepszej przyjaciółki?

Ledwo wypowiadam te słowa, odzywa się dzwonek Black-Berry. To Beatrice, ale nie odbieram.

— Nie wiem, co robić — wzdycha Vanessa. Jest mocno przygnębiona i nagle przypominam ją sobie w klubie, w kolejce do toalety, kiedy paplała radośnie, jak bardzo jest zakochana w Julianie. Jak to się stało, że teraz, po tylu latach, znalazła się w takim impasie?

— Może sama go o to zapytaj? — sugeruję. — Bądź z nim szczerą.

— Nie mogę. Bo wtedy się dowie.

— Czego się dowie?

Teraz moja komórka zaczyna brzęczeć, dając znać, że mam na linii drugi telefon. To znów Beatrice. Zaciskam zęby. To na pewno nic ważnego. Może poczekać.

— Wcale nie myszkowałam — usprawiedliwia się Vanessa ni stąd, ni zowąd. — Po prostu robiłam pranie i znalazłam

ten rachunek w kieszeni jego spodni... Okay, niech będzie. Myszkowałam — wyznaje. Słyszę, jak zaciąga się z furią papierosem. — Więc nie mogę pisać słowa.

— Posłuchaj, to nie to, co myślisz. — I co ja myślę. — Zobaczysz, okaże się, że jest jakieś całkiem proste wyjaśnienie.

Komórka przestaje brzęczeć. Oddycham z ulgą. Wreszcie będę się mogła należycie skupić.

— Na przykład jakie? — chce wiedzieć Vanessa. — Znajduję rachunek za bieliznę nie w moim rozmiarze, ale nie znajduję nigdzie tej bielizny. Wierz mi, szukałam wszędzie, nie ma jej w domu. Więc musiał ją kupić dla kogoś innego.

— Hm... może był z kolegą, który nagle przypomniał sobie, że ma rocznicę ślubu... więc wstąpili do Agent Provocateur, żeby kupić jego żonie prezent, i wtedy ten kolega uświadomił sobie, że zostawił portfel w biurze, wobec tego Julian zachował się jak prawdziwy dżentelmen i zapłacił za niego.

Jesteś genialna, Charlotte, gratuluję sobie. Właśnie udało ci się wykręcić kota ogonem i zrobić z Juliana bohatera w miejsce zdradliwego, podstępного drania.

Którym wcale nie jest, mówię sobie ostro. Bo im bardziej o tym myślę, tym bardziej nie mogę uwierzyć, że Julian posunąłby się do czegoś takiego. Okay, wiem, jak to wygląda w świetle faktów, i wszyscy wiemy o piłkarzach, którzy zdradzają żony, o politykach, gwiazdach rocka i facecie z sąsiedztwa, który jest ostoją naszej społeczności. Ale to Julian i chociaż nie układało im się ostatnio najlepiej, kocha Vanessę i nigdy by jej tego nie zrobił.

— No cóż... — Vanessa jakby się trochę uspokoiła. — Przypuszczam, że mogło się tak zdarzyć.

— Oczywiście, że mogło. Jest całe mnóstwo racjonalnych rozwiązań.
— Gryzę się w język. Już dobrze, nie przeginaj, Charlotte.

— Tak myślisz?

— Oczywiście.

Druga linia znów zaczyna brzęczeć. To Beatrice. Ponownie. Co jak co, ale potrafi być uparta. Tym razem nie mogę jej zignorować.

— Posłuchaj, Vanesso, bardzo mi przykro, ale muszę kończyć — mówię niechętnie. — Dzwoni moja asystentka i muszę z nią porozmawiać, to może mieć związek z jutrzejszą konferencją prasową na temat nowej kliniki Uśmiechu Gwiazdy Larry'ego Goldsteina.

— Jak on się ma? — ożywia się nagle. — Dalej cię podrywa?

— On jest żonaty! — replikuję z oburzeniem.

— No właśnie — kwituje sucho.

Ignoruję ją. Chociaż cieszę się, że po części wrócił jej czarny humor.

— Oddzwonię do ciebie — obiecuję.

— Już pewno będę po rozwodzie.

— Vanessa!

— Żartowałam. Wszystko jest w porządku.

Nic nie jest w porządku. Beatrice mnie nęka w jakiejś pilnej sprawie, małżeństwo mojej przyjaciółki wisi na włosku, jestem odpowiedzialna za wyrzucenie starego człowieka z jego ukochanego sklepu i za ignorowanie jego wnuka ileś tam lat temu oraz, zgodnie z e-mailem, który dostałam rano od Milesa, muszę spłacić Abbey National siedemset funtów długu za ekspertyzę. Na dokładkę nadal nie oddzwoniłam do mamy po przerwaniu tamtego telefonu, uświadamiam sobie.

Jedno spada na mnie po drugim. Czuję się, jakbym miotała się gorączkowo po scenie, jak ci sztukmistrze, którzy uruchamiają wiele talerzyków naraz i biegają od jednego do drugiego, żeby żaden nie przestał się kręcić i nie spadł z brzękiem na ziemię, rozpryskując się na tysiąc kawałków.

Żegnam się szybko z Vanessą i odbieram drugi telefon.

— Cześć, Beatrice, co tam?

Nie mogę do tego dopuścić. Bo kto pozbiera kawałki?

Rozdział trzydziesty czwarty

Kiedy staję przed domem, jestem psychicznie wykończona. Najpierw przez dwadzieścia minut uspokojałam Beatrice, która była w hysterii z powodu jakiegoś zamieszania z cateringiem na jutrzejszą konferencję, potem rozwiązywałam problem cateringu, a w końcu zatelefonowałam do sekretarki Juliana z prośbą, żeby oddzwonił do mnie do domu. Nie wymyśliłam jeszcze, co mu powiem, ale nie mogę siedzieć beczynnym, z założonymi rękami i nic nie robić.

Chociaż teraz o niczym innym nie marzę.

Nic nie robić. Zupełnie nic. Zero.

Wyłączam oba telefony komórkowe, gaszę silnik i zamykam oczy, kładąc czoło na kierownicy. Przez moment rozkoszuję się spokojem, odgłosem mojego oddechu, opadaniem i wznoszeniem się klatki piersiowej. Muszę mieć chwilę, żeby się wyciszyć. Rozluźnić, jak powiedział lekarz. Co takiego powtarzają nam na jodze? Skoncentruj się na swoim oddechu.

Koncentruję się.

Głęboki wdech... a teraz wydech... Głęboki wdech... i wydech...
Głęboki wdech...

Skupiam się na wdychaniu przez nos i wydychaniu przez

usta. Nawet ściskam nozdrza kciukiem i palcem wskazującym, jak przykazano. Czuję, jak moja klatka piersiowa wznosi się, a potem wolno opada. „Weź tak długi oddech, jak tylko się da” — mówi zawsze mój instruktor, chociaż zwykle w tym momencie jest już koniec zajęć, a ja przysypiam w pozycji savasana.

Niemniej, zdaje się to odnosić pożądaną efekt. Jestem już o wiele mniej spięta. W gruncie rzeczy postanawiam dorzucić kilka „omów” na dokładkę.

— Ommmm... ommmm... ommmmmmmmmmmm...

— Wszystko w porządku?

Głośne pukanie w szybę wbija mnie w siedzenie i prostuję się gwałtownie. Krzyczę, kiedy coś strzyka mi w karku. Chwytam się za bolące miejsce i sztywno odwracam głowę.

— Ty ciężki idioto! Co sobie, do diabła...?

— Charlotte?

Znajduję się twarzą w twarz z Oliverem. Przykucnął na chodniku, z rękami na kolanach, i patrzy na mnie przez boczne okno z zatroskaną miną.

Cholera, jak długo mógł tu stać?

— Hej, dobrze się czujesz?

Nie, nie czuję się dobrze. Czuję się zażenowana. A nawet bardziej niż zażenowana.

— Hm., tak., nic mi nie jest, dzięki. — Chcę skinąć głową, ale krzywię się niemiłosiernie, kiedy ostry ból przeszywa mi kark.

— Jesteś pewna?

Ostry ból zamienia się w przypalenie rozżarzoną żelazem.

— Mam coś z karkiem — udaje mi się wykrztusić.

— Może się nadwerżyłaś.

— A jeśli go złamałam? — Ogarnia mnie panika.

— Wątpię.

— Skąd ta pewność?

— Możesz poruszać palcami u nóg? Poruszam.

— Tak.

— A palcami u rąk? Poruszam.

— Tak.

— A teraz najważniejsza próba... Przygotowuję się na najgorsze.

— ...możesz poruszyć uszami? Staram się, jak mogę, ale nic z tego.

— O mój Boże, nie, nie mogę! Co to znaczy?! — krzyczę histerycznie, odwracając się ku niemu.

I widzę, że Oliver się śmieje. Skręca się ze śmiechu na chodniku.

Czerwienię się jak piwonia. Ależ dałam się nabrać!

— To znaczy, że twój kark ma się dobrze. — Mruga do mnie figlarnie i nie mogę się oprzeć, żeby nie odpowiedzieć mu uśmiechem.

Lecz zaraz ścina mnie lodem straszna myśl. Sklep. Muszę mu powiedzieć.

— Więc...

— Więc? — powtarzam i zbieram się na odwagę, czując, jak moje ciało sztywnieje.

— Cóż, skoro okazuje się, że masz sprawne nogi, to może kontynuowalibyśmy naszą rozmowę niekoniecznie przez okno samochodu?

— Och, tak, jasne. — Znów się czerwienię.

Nerwy mam napięte jak postronki. Staram się znaleźć jakiś delikatny sposób na przekazanie mu hiobowej wieści o sklepie dziadka, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Zapewne dlatego, że nie ma na to delikatnego sposobu,

Charlotte, podpowiada mi cichy głosik, lecz nie przyjmuję tego do wiadomości. Powiem mu po prostu otwarcie i szczerze, jak sprawa wygląda.

— Właściwie chciałam z tobą o czymś porozmawiać. — Otwieram drzwi, wychodzę na chodnik i natychmiast skacze na mnie Welly.

— Siad — nakazuje mu Oliver i pies posłusznie siada. — Ktoś się cieszy na twój widok — komentuje Oliver. — I nie tylko on — dodaje z nieśmiałym uśmiechem.

Nerwy, które uciskały mi żołądek, nagle zamieniają się w motylki. Może nie muszę mu tego mówić już w tej sekundzie.

— Co ty tu robisz? — pytam. Przenika mnie dreszcz, ale tym razem przyjemny.

— Och, po prostu byłem w okolicy — odpowiada wymijająco. — Pomyślałem, żeby wziąć Welly'ego na spacer... — Milknie i wbija ręce w kieszenie.

Motylki w moim brzuchu zaczynają oszalały taniec.

— Cóż, skoro już tu jesteś, to pewno powinnam zaprosić cię na herbatę — mówię z pozornym brakiem entuzjazmu.

— Nie, nie, nie zamierzałem... — zaczyna protestować i urywa, kiedy widzi, że się z nim droczę. — Przypuszczam, że się o to prosiłem.

— Przypuszczam, że tak. — Kiwam głową. — Poczekaj chwilę. Odwracam się do samochodu i sięgam po torebkę, foldery, aktówkę...

— Pozwolisz, że użyję ci pomocnej ręki?

— Taa... byłoby świetnie... — odpowiadam, pochylając się nad tylnym siedzeniem, gdzie leży pudełko z dokumentami. Na samym wierzchu pyszni się teczka Larry'ego Goldsteina i nagle spostrzegam, że naskrobałam na niej adres jego nowej kliniki. Robi mi się niedobrze. Niech to diabli! Nie mogę

pozwolić, żeby Oliver to zobaczył. — Gdybym potrzebowała twojej pomocy — kończę, wynurzając się ze wszystkimi torbami i skoroszytami przytulonymi do piersi, gestem Beatrice. — Ale lubię być samodzielna... hm, jako kobieta... Wiesz, *Kobięcy eunuch* i tak dalej.

Jeżu, co ja plotę? Nigdy nawet nie czytałam *Kobiecego eunucha*. Jeszcze gotów pomyśleć, że nie depiluję nóg i biegam wokół, paląc staniki. Ale jeśli tak myśli, to tego nie okazuje.

— Jak wolisz. — Uśmiecha się uprzejmie. Oddycham z ulgą. Uff... mało brakowało. Niemniej, tak

czy owak, będę musiała mu w końcu powiedzieć.

— Tędy... — mówię i sapiąc pod naręczem papierów, prowadzę go do swojego mieszkania.

Muszę tylko znaleźć odpowiedni moment.

Otwieram frontowe drzwi i wchodzę do przedpokoju. Oliver idzie za mną i spuszcza Welly'ego ze smyczy. Pies natychmiast wpada do środka i pędzi prosto do salonu, zostawiając błotniste ślady na całej, nieskazitelnie czystej, kremowej wykładzinie.

— O cholera. — Oliver rzuca mi przepaszające spojrzenie. — Welly! Do nogi! — wrzeszczy, gwiżdżąc rozpaczliwie. — Boże, strasznie mi przykro. Przywiążę go na zewnątrz — usprawiedliwia się zawstydzony.

— Nie, nie bądź głupi, nic się nie stało — mówię szybko.

— Ale twoja wykładzina...

— Jest totalnie niepraktyczna — kończę. — Nie martw się, to tylko błoto, łatwo da się wyczyścić.

Hej, co się dzieje? Czyżby ubezwłasnowolniła mnie jakaś obca siła i zmusiła do działań niezgodnych z moim charakterem? Zwykle doprowadza mnie do szału najmniejsza plamka

na dywanie. Nalegam, żeby wszyscy zdejmowali buty, i jeśli ktoś upuści choćby okruszynkę, już pędzę z odkurzaczem.

Ale z jakiegoś powodu zupełnie nie przejmuję się tym, że Welly biega po mojej wełnianej kremowej wykładzinie, zostawiając wielkie, brudne ślady łap. A nawet jestem niemal szczęśliwa, że Welly biega po mojej wełnianej kremowej wykładzinie, zostawiając wielkie, brudne ślady łap.

No tak, zostałam usidlona przez obce siły.

Albo się zakochałam.

Nogi się pode mną uginają.

Tym razem nie mówimy o zauroczeniu młodym barmanem Ollym, mówimy o zakochaniu się w dorosłym Oliverze. Cholera.

— No więc... hmm... co powiesz na to, żebyśmy usiedli na zewnątrz?

Idę różnym krokiem przez kuchnię i otwieram oszklone drzwi, które prowadzą na mały balkon otoczony balustradą z kutego żelaza.

— Bardzo tu ładnie — mówi z aprobatą Oliver.

— Dziękuję. — Uśmiecham się. — Chociaż to nie moja zasługa, mam ogrodnika, który dba o zieleń. — Zataczam ręką krąg nad mieszaniną niebieskich, żółtych i różowych kwiatków, których nazw nie znam, a które wspinają się po kratkach i spływają z balustrady. — A to mój wkład. — Pokazuję sznur lampek choinkowych owinięty wokół doniczki.

— Myślę, że to właśnie twój wkład nadaje temu miejscu cały urok. — Kąciki jego ust podnoszą się z rozbawieniem.

— Żebyś wiedział! Poczekaj, aż zrobi się ciemno! Nagle zdaję sobie sprawę, co powiedziałam, i czuję, że

szczypią mnie policzki. To z pewnością zabrzmiało, jakbym chciała go tu zatrzymać do nocy. Jakbym była jakąś napaloną bezwstydnicą, która ciągnie go do łóżka.

Uspokój się, Charlotte. Skąd ci w ogóle przyszedł do głowy ten pomysł? Zaprosiłaś go tylko na filiżankę herbaty, a tu nagle myślisz o seksie. Tylko że wcale o tym nie myślę. Myślę o...

No dobrze, po co się oszukiwać? Owszem, myślałam o seksie.

— Więc kiedy się nie pokazałaś tamtego wieczoru... Przytomnieję i widzę, że Oliver patrzy na mnie wyczekująco.

— ...pomyślałem, że znów wystawiłaś mnie do wiatru — mówi i uśmiecha się. — Tylko żartowałem.

— Och, po prostu musiałam zostać w domu i... — Już mam powiedzieć: „spakować rzeczy Milesa”, ale szybko gryzę się w język. Wtedy dopiero wyszłabym na puszczalską, która zaprasza mężczyznę do mieszkania jeszcze wygrzanego przez jej ostatniego chłopaka. — Miałam mnóstwo roboty — kończę enigmatycznie, wracając do kuchni. Nastawiam czajnik i zaczynam przygotowywać herbatę.

— Taa... ja też — odpowiada z balkonu, gdzie przysiadł na jednym z krzeseł ogrodowych. — Dość długo siedziałem u dziadka. Trzeba było uprzątnąć całe sterty rzeczy. Pakowaliśmy je przez wieki.

Kiedy zalewam torebki z herbatą, ręka mi się trzęsie i ledwo żyję ze strachu.

— Biedak bardzo to przeżywa — ciągnie Oliver, do jego głosu wkrada się gniew. — Na dokładkę jacyś ludzie byli dzisiaj w jego sklepie i opowiadali, jak zburzą to wszystko do fundamentu.

Żarty się skończyły. Muszę mu natychmiast powiedzieć o Larrym Goldsteinie, o sklepie i moim udziale. Serce bije mi jak młot, zaciskam rękę na karku, zbierając się na odwagę.

— Wiesz, powinnaś przyłożyć sobie na to miejsce trochę lodu. —
Podskakuję na głos Olivera, odwracam się i widzę, że stoi tuż za mną.

— Przyniesie ci to ulgę.

— Nie, nie warto, wszystko w porządku.

— Zmienisz zdanie jutro rano, kiedy nie będziesz mogła się ruszyć.

Bez dalszej dyskusji otwiera mój zamrażalnik. Patrzę bez słowa, jak
wyjmuje pojemnik z kostkami lodu, rozkłada ściereczkę do naczyń na
ladzie i zawiązuje w nią wysypane kostki.

— Wygląda na to, że masz w tym wprawę — odzywam się w końcu.

— Taa, parę razy w życiu zdarzyło mi się oberwać. Próbowałem być
bokserem, ale okazało się, że nie jestem w tym taki dobry, jak sobie
wyobrażałem. Rzuciłem to pięć lat temu, po tej jatce. — Pokazuje
bliznę nad górną wargą. — Wiesz, przedtem byłem całkiem przystojny
— dodaje żartobliwie.

— Teraz też jesteś przystojny — protestuję i zaraz płonę się jak
pensjonarka. Odkąd zdałam sobie sprawę, jaki jest sexy, nie mogę
przestać o tym myśleć. — Dlaczego? Co się stało? — pytam, szybko
zmieniając temat.

— Paskudny lewy sierpowy, dwadzieścia dwa szwy i złamany nos.

— O Boże! Bolało?

— Czy bolało? — powtarza i patrzy na mnie, jakbym podała w
wątpliwość jego męskość. — Płakałem jak dziecko — wyznaje.

Śmieję się i zaraz krzywię z bólu, kiedy strzyka mi w karku.

— Okay, teraz marsz na balkon — zarządza Oliver i bierze pakunek z
lodem.

— A co z herbatą?

— To zajmie tylko minutkę.

Bez sprzeciwu wychodzę i siadam na krześle. Kiedy Oliver staje mi za plecami, czuję dreszczyk podniecenia.

— Dobrze. Musisz opuścić bluzkę z tyłu — instruuje mnie stanowczo.

Posłusznie zsuwam kołnierzyk.

— Nie, jeszcze niżej.

Serce mi łomocze, kiedy rozpinam górne guziki i zrzucam bluzkę z ramion, ukazując ramiączka stanika.

Popołudniowe słońce mocno przygrzewa i dekolt pokrywa mi się kropelkami potu.

— A teraz się ich pozbędziemy... — Delikatnie wkłada palce pod ramiączka i zsuwa je z moich ramion.

Oddech zaczyna mi się rwać, pierś gwałtownie faluje.

— Gdzie dokładnie cię boli? Tutaj? — Jego palce muskają mój kark.

— Hmm... trochę niżej... — Mam zaciśnięte gardło i wydobywa się z niego zaledwie szept.

Jego palce wędrują pod linią moich włosów, a potem wzdłuż kręgosłupa, okrężnymi ruchami schodząc coraz niżej i niżej.

— Tutaj?

Ledwo mogę mówić.

— Tak, tutaj — wykrztuszam.

Dreszcz przebiega mi po ciele, od czubka głowy do palców u nóg. Czuję, że przyciąga nas do siebie jakaś magnetyczna siła. Nigdy nie doświadczyłam niczego podobnego z Milesem. Takiego erotycznego napięcia. Jestem tak podniecona, jak nie byłam od lat. Jeżeli kiedykolwiek.

— Teraz zrobi ci się trochę zimno.

Wydaję zduszony okrzyk, kiedy przykłada mi lodowaty kompres.

— Ci... — mruczy, obejmując mnie ramieniem, gdy wstrząsam się z zimna. — Nie ruszaj się.

Nieruchomieję i oddycham głęboko; wciągam powietrze przez zęby i przetrzymuję je w płucach. Każdy mój zmysł, każde doznanie są wyostrzone do granic. Czuję zimny lód topiący się na gorącym karku, widzę ciemne włoski na jego ramieniu, czuję zapach jego ciała tuż przy moim ciele, słyszę jego oddech przy uchu...

Tę magiczną chwilę przerywa nagle telefon dzwoniący w mieszkaniu.

— Chcesz odebrać? — pyta Oliver chropawym głosem.

— Nie! — protestuję bez namysłu. — To na pewno... eee... pomyłka — dodaję, szukając właściwych słów, podczas kiedy myślę tylko o tym, żeby się to nie skończyło. Żeby się to nigdy nie skończyło.

Włącza się automatyczna sekretarka. Słyszę swój głos na powitalnym nagraniu: „Mówi Charlotte Merryweather. Nie ma mnie w tej chwili w domu, ale proszę zostawić wiadomość po sygnale...”.

„Cześć, tu Beatrice. Przepraszam, że dzwonię do domu, ale twoja komórka i BlackBerry są wyłączone”.

— Och, wszystko w porządku, to tylko moja asystentka. — Postanawiam ją zignorować; na pewno znów chodzi o tę cholerną konferencję, klnę w duchu, marząc, żeby się odwiesiła. — Nic ważnego.

— Jeśli jesteś pewna... — mówi Oliver spokojnie, przebiegając palcami po moim obojczyku.

— Jestem pewna — odpowiadam, czując mrowienie.

„Dzwonię tylko, żeby cię przeprosić za moje panikowanie”.

Zimna woda spływa mi kroplami po plecach. Oliver przesuwa kompres i teraz strużka biegnie mi na dekolci i w dół między piersiami.

„Dzięki raz jeszcze za ratunek i załatwienie sprawy z cateringiem. Jesteś prawdziwym geniuszem! Ale oczywiście to

już wiesz. A, i przy okazji, dzwoniли ludzie Goldsteina, że są zachwyceni nowym lokalem...".

Sztywnieję. Och, tylko nie to. Tylko nie to. Zrywam się na równe nogi.

— Przepraszam, ale chyba muszę to odebrać. — Wybiegam z balkonu.

„...i muszę powiedzieć, Charlotte, że to był naprawdę doskonały pomysł. Notting Hill to idealne miejsce na pierwszy gabinet Uśmiechu Gwiazdy. Kurczę, jesteś taka bystra. Wprost nie mogę uwierzyć, że nie zdradziłaś słowem, co masz w rękawie". — Parska z dezaprobatą.

Biegnę do telefonu, ale Welly leży mi rozciągnięty na drodze i kiedy sięgam po słuchawkę, przewracam się o niego.

„Aha, i zdaje się, że chcą się pozbyć obecnego najemcy trochę wcześniej, żeby zacząć remont już w ten weekend. Podobno jest tam mnóstwo roboty. Wspominali, że to sklep ze starociami i jest strasznie zagracony".

Kurczę się z przerażenia.

„Więc jeszcze dla potwierdzenia przed konferencją: dokładny adres kliniki to...".

Gramolę się na nogi, ale jest już za późno. Za plecami słyszę głos Olivera do spółki z głosem Beatrice.

„...numer 114 Portobello, Londyn W 11 69P".

Cholera jasna.

„Muszę już kończyć, pędzę na salsę, hurra!".

Zapada cisza. Skamieniała wpatruję się w telefon, w głowie mi szumi. W końcu wolno się odwracam. Oliver stoi w drzwiach balkonowych i patrzy na mnie bez słowa. Twarz mu zbladła pod wpływem szoku.

— Zaraz ci wszystko wytłumaczę — udaje mi się wymamrotać.

— A więc to ty? — mówi z niedowierzaniem. — To byłaś ty. — Wpatruje się we mnie ze zmarszczonymi brwiami, jakby to przekraczało jego wyobraźnię. — Dziadek wspominał, że jedna z osób, które przyszły do sklepu, wydawała mu się znajoma. Młoda kobieta. Blondynka. Sądziłem, że coś mu się pomyliło... — Urywa, zbierając myśli.

— Tak, to byłem ja — wyznaję cicho, przepelniona skruchą.

— To przez ciebie mój dziadek stracił sklep? — Mówi spokojnym głosem, ale jego oskarżenie kłuje mnie w samo serce.

— To nie tak — zaprzeczam szybko.

— Więc jak? — pyta, teraz już dość ostro.

— Pracuję w PR-ze. Reprezentuję klienta.

— Ale to był twój pomysł.

— Mogłam rzucić jakąś sugestią na temat lokalizacji, ale w sensie ogólnym.

— Kto jest twoim klientem? — chce wiedzieć, jego początkowy szok zamienia się w gniew. — Tylko nie mów, że to będzie kolejny barek kawowy — prycha z obrzydzeniem, zanim pada odpowiedź.

— Nie, to stomatolog kosmetyczny. Zamierza otworzyć swoją pierwszą w Wielkiej Brytanii klinikę Uśmiech Gwiazdy. — Sama słyszę, jak absurdalnie to brzmi.

Oliver patrzy na mnie, jakby nie wierzył własnym uszom.

— A więc dziadka sklep z antykami, przepraszam, ze starociami... — rzuca ze złością i czerwienią się gwałtownie; chociaż nie ja użyłam tego określenia, lecz Larry Goldstein, automatycznie też jestem winna — ...więc jego sklep ma przejąć jakiś pieprzony dentysta?

— Dentysta kosmetolog — poprawiam go i zaraz żałuję, widząc jego minę. — Miałam zamiar ci powiedzieć — próbuję znowu.

— Kiedy mianowicie?

— Nie wiem...

— Przed czy po spędzeniu popołudnia z moim dziadkiem? — pyta zimno.

Przenika mnie chłód i nagle zdaję sobie sprawę, że nadal mam rozpiętą bluzkę i spuszczone ramiączka stanika. Szybko je podciągam, czując się niezdarnie i głupio.

— Nic nie wiedziałam aż do dzisiaj. Sama dopiero się dowiedziałam. Posłuchaj, jest mi naprawdę przykro. — Wyciągam rękę i dotykam jego ramienia, ale on je cofa.

— Jasne, że jest ci przykro — ripostuje z kamiennym wyrazem twarzy. — Będzie ci przykro przez całą drogę do banku.

— To nie fair — bronię się. — Jesteś niesprawiedliwy!

— Ja jestem niesprawiedliwy? — rzuca opryskliwie.

— W końcu nie popełniłam żadnej zbrodni, nikogo nie zabiłam! — Podnoszę głos, już lekko zniecierpliwiona.

— Równie dobrze mogłaś go zabić, to było całe jego życie. Naraz ogarnia mnie gniew. Czuję się wystarczająco winna bez jego wyrzutów.

— Jak śmiesz mnie osądzać? Nie masz pojęcia... — ciągnę rozeźlona — nie masz pojęcia, pod jaką presją żyję ani w jakiej jestem trudnej sytuacji! Nie chciałam, żeby to się zdarzyło, nie planowałam tego, ale kiedy w grę wchodzi ważny klient, stawka jest wysoka. Tu już nie chodzi tylko o mnie. Muszę wywiązać się ze swojej pracy, dbać o interes agencji, wypłacić pensje.

— Proszę, oszczędź mi tych łzawych historyjek — prychna pogardliwie.

To dopełnia miary. Czuję, jak gotuje się we mnie wściekłość.

— Co za idiotka ze mnie! — wybucham ze złością wysokim, piskliwym głosem. — Skąd masz wiedzieć, jak to jest prowadzić własny biznes?

Jego oczy rzucają błyskawice.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tylko tyle, że nie możesz sobie tego nawet wyobrazić! — Gorycz wylewa się ze mnie niepowstrzymanym potokiem. — Sam do niczego nie doszedłeś. Jesteś nadal zaledwie barmanem!

Ledwo te słowa padają, mam ochotę wepchnąć je sobie z powrotem do gardła. Ale jest za późno.

Oliver kurczy się, wyraźnie w szoku, jego twarz mieni się całą gamą różnych emocji, a później szczęka mu się zaciska i patrzy na mnie lodowato.

— A ty jesteś suką — mówi.

Czuję się, jakby wymierzył mi policzek.

Przez chwilę stoimy w ciszy, dysząc wściekłością i urazą; zastanawiam się, jak do tego doszło, jak to się stało, jak można by wrócić do punktu startowego i zacząć od początku.

Ale to niemożliwe. Słów raz wypowiedzianych nie da się cofnąć.

— Sądzę, że powinieneś już iść — mówię w końcu, starając się, żeby głos mi nie drżał.

Kiwa krótko głową.

— Wierz mi, już mnie tu nie ma.

I z Wellym przy nodze wymaszerowuje z mojego mieszkania, trzaskając za sobą drzwiami.

Rozdział trzydziesty piąty

Chwytam mosiężną kołatkę i łomoczę z całych sił. Słyszę kroki, po czym drzwi się otwierają i staje w nich moje młodsze wcielenie. Lottie tylko rzuca na mnie okiem i wykrzykuje:

— O mój Boże, co ci jest?

Tym razem to po mojej twarzy łzy płyną strumieniami. Między chlupaniem a siąkaniem zapewniam ją gorąco:

— Nic... nic mi... nie jest. Wszystko w porządku. Jak mówiłam, marny ze mnie kłamca.

— Co się stało, na miłość boską? — pyta zaniepokojona. Wycieram nos w zmiętą chusteczkę i potrząsam głową.

— Strasznie się pokłóciliśmy — szlocham. — Nazwał mnie suką.

— Nazwał cię suką? — wykrzykuje z niedowierzaniem. — Kto, twój były? — Jej twarz płonie z wściekłości. — Poczekaj, już ja się z nim policzę!

— Ale ja jestem suką — chlapię, zalewając się łzami.

— Wcale nie — protestuje z oburzeniem.

— Jestem, jestem... — zawodzę już na cały głos. Prawdę mówiąc, robię z siebie takie widowisko, że para

sąsiadów wygląda zaniepokojona przez drzwi i patrzy na mnie z otwartymi ustami. Zwykle to by w zupełności wystarczyło, żebym otrzeźwiała i spłonęła wstydem, ale nie teraz. Teraz nic mnie nie obchodzi, że jacyś obcy ludzie pokazują mnie palcami. Nie obchodzi mnie, że robię z siebie skończoną idiotkę. Obchodzi mnie tylko Oliver.

Nieruchomieję na chwilę, porażona tą myślą, a potem wydaję jeszcze głośniejszy lament.

— Ale dlaczego? Bo z nim zerwałaś? — pyta Lottie, głaszcząc mnie uspokajająco po ramieniu. — Z tego co słyszę, on mi wygląda na kompletnego palanta.

— Nie mówię o moim byłym narzeczonym — wykrztuszam, patrząc na nią czerwonymi, zapuchniętymi oczami. — Nie? — Przystaje masować mi ramię. — Więc o kim? — O Oliverze — wyznaję i znów wybucham płaczem Lottie patrzy na mnie skonfundowana.

— Chyba lepiej wejdz i wszystko mi opowiedz.

— No więc mów co i jak.

Siedzimy w mojej dawnej sypialni, tylko tym razem na odwróconych pozycjach. Lottie przycupnęła na krześle, a ja z podwiniętymi nogami kulę się na materacu, trzymając popękany kubek z czarną kawą, którą mi zrobiła. Pokój wygląda jak chlew, co w świetle dnia widać jeszcze wyraźniej, ale choć wcześniej mnie to raziło, teraz działa kojąco.

— Nie wiem, od czego zacząć — wzdycham z parującą neską przy ustach.

— Może od początku? — proponuje. Zakładam włosy za uszy i potrząsam głową.

— Właśnie o to chodzi, że sama nie wiem, gdzie był ten początek. To wszystko jest takie zagmatwane. — Milknę,

starając się rozsypać splątane ścieżki mojego życia, wprowadzić jakiś porządek.

Zaczynam od Olivera. Tak będzie najprościej. Opowiadam, jak nasze drogi się przecięły dziesięć lat temu.

— Ale nic z tego nie wynikło, bo go nie zauważałam, choć teraz tego żałuję — dodaję z żalem, sięgając po chusteczkę. — I nagle niespodziewanie znów natknęliśmy się na siebie i wyglądało na to, że coś między nami zaiskrzyło, że dostałam drugą szansę. — Wracam pamięcią do tego momentu na balkonie sprzed pół godziny i ściska mnie w żołądku. — A potem się pokłóciliśmy.

— Nie musisz mi nic mówić. Okazał się takim samym zakłamanym dupkiem jak Billy Romani — wtrąca ze złością.

— Nie, wcale nie — zaprzeczam ze smutkiem.

— Więc dlaczego? — Nie może zrozumieć. Przypominam sobie chwilę, kiedy stałam przed antykwariatem z Lanym Goldsteinem.

— Pozwoliłam, żeby rozum zwyciężył nad sercem — mówię cicho. — Powiedziałam sobie, że biznes to biznes i osobiste uczucia nie mają nic do rzeczy. Starłam się podchodzić do tego racjonalnie.

— To znaczy, że zignorowałaś swoją intuicję? — upewnia się.

Zerkam na nią, rozważając jej słowa. Do tej pory nie przyszło mi to do głowy, ale ona ma rację.

— Obawiam się, że zignorowałam mnóstwo rzeczy — myślę na głos. — Zignorowałam wątpliwości co do związku z Milesem. Nie pasowaliśmy do siebie od samego początku, ale wmówiłam sobie, że jesteśmy idealną parą, bo chciałam, żeby tak było. Podobnie ignoruję wewnętrzny głosik, który szepcze, że nie jestem szczęśliwa. Ponieważ muszę być szczęśliwa, mam wszystko, o czym zawsze marzyłam: piękne

mieszkanie i ciuchy, satysfakcjonującą pracę i szczupłe uda. — Z gorzkim uśmiechem podciągam kolana pod brodę. — A jednak czegoś mi w życiu brakuje. — Kiedy wypowiadam to głośno, zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy sama to przed sobą przyznaję. — Ale nie wiem czego. Im bardziej tego szukam, tym trudniej mi to znaleźć pod naporem czasu i ciągłego napięcia. — Teraz, kiedy tama puściła, tak długo tłumione emocje szukają ujścia. — Wiecznie nadrabiam jakieś zaległości. Jestem cały czas zmęczona, zabiegana i zdenerwowana, nie mówiąc już o tym, że głodna. — Krzywię się, przypominając sobie, że moim ostatnim posiłkiem był batonik zbożowy na śniadanie.

— Ale jaki to ma sens?

— Słucham? — Przystaję mówić i zbita z tropu patrzę na moje młodsze wcielenie.

— Nie wydaje ci się, że nie ma sensu martwić się cały czas? — Wzrusza ramionami.

Wpatruję się w nią w osłupieniu. Czy to jakieś podchwytliwe pytanie?

— Cóż, sens nie ma tu nic do rzeczy...

— Więc po co to robić? — pyta wprost.

— Ponieważ... — Otwieram usta, żeby jej wytłumaczyć, ale nie bardzo wiem, co powiedzieć.

— To totalna strata czasu. — Sięga po buteleczkę z brokatowym lakierem do paznokci i wypróbówuje go na dużym palcu u nogi. — Jeśli coś złego ma się stać, to się stanie. Zamartwianie się nic nie pomoże. A jeśli się nie stanie — podnosi brwi — to straciłaś czas, który mogłaś miło spędzić. — Uśmiecha się figlarnie, odstawia brokatowy lakier i bierze w zamian jaskrawo-purpurowy, którym zaczyna malować paznokcie drugiej nogi.

Obserwuję ją ze zdumieniem. Jakim cudem zmieniłam się

z niej w siebie? Z tej beztroskiej dziewczyny w kobietę, która na okrągło ma ściśnięty z nerwów żołądek? Co się ze mną stało?

Ale w głębi duszy znam odpowiedź.

Bo nie wszystko jej powiedziałam. Jest coś, co wypchnęłam ze świadomości i niemal uwierzyłam, że nigdy nie miało miejsca. Aż do dnia, gdy znów zobaczyłam Billy'ego Romani i bolesne wspomnienia wróciły.

Oczywiście Lottie nic o tym nie wie. Nie podałam jej prawdziwego powodu, dla którego starałam się ją odwieść od przespania się z Billym. Nie wytłumaczyłam jej, co naprawdę złamało mi serce. Jakżebym mogła? Jak miałam opowiedzieć mojemu młodszemu wcieleniu sekwencję wydarzeń, które nastąpiły? Najpierw sądziłam, że sobie z tym poradzę, dojdę do siebie, lecz parę tygodni po moich urodzinach zorientowałam się, że nie jest dobrze.

Okres mi się opóźniał.

Resztę możecie sobie dośpiewać. Niedowierzenie. Panika. Łzy. Nadal pamiętam ten moment, jakby to było wczoraj: siedzę na sedesie, patrzę na dwie cienkie niebieskie kreski i ziemia rozstępuje mi się pod nogami. Miałam dwadzieścia jeden lat i nie wiedziałam, co robić. Targały mną różne emocje: złość na siebie, że byłam taka głupia, że na to pozwoliłam i wpakowałam się w taką sytuację. I strach. Lodowaty strach, który zaciskał mi się obręczą wokół serca.

Jedyną osobą, której się zwierzyłam, była Vanessa. Nie osądzała mnie ani nie prawila kazań, nic nie powiedziała, tylko mnie uściskała i przyrzekła mi wspierać, cokolwiek postanowię. To Vanessa pożyczyła mi pieniądze i poszła ze mną do kliniki. Gdyby nie ona, nie wiem, jak bym to przeżyła, ale po paru godzinach było po wszystkim i pocieszałam się myślą, że teraz mogę zostawić to za sobą i zapomnieć.

Tak naprawdę nigdy nie zapomniałam. Chyba żadna kobieta tego nie zapomina, prawda? Od tej chwili coś we mnie pękło. Przekroczyłam pewną linię i nigdy nie wróciłam. Oczywiście zmieniałam się z biegiem lat, doroślałam jak wszyscy. Ale gdy patrzę wstecz, widzę, że to w tamtym momencie zniknęła dawna Lottie.

Samotna łza spływa mi z rzęsy i toczy się po policzku. Bo dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nigdy sobie nie wybaczyłam. Minęło dziesięć lat i ciągle przy różnych okazjach zastanawiam się, czy postąpiłam słusznie. Na przykład kiedy patrzę na Vanessę z dziećmi i widzę, jak bardzo je kocha, nachodzi mnie pytanie, czy dokonałam właściwego wyboru. Zastanawiam się, co by było, gdyby...

Ale teraz już wiem.

Ponieważ spotkanie z moim młodszym wcieleniem i Billym Romani uzmysłowiło mi, że dobrze zrobiłam. Byliśmy tacy młodzi, tacy niedopasowani, tacy niedojrzali, że byliby z nas okropni rodzice. Nie stanowiliśmy nawet pary — dla Billy'ego byłam tylko jednonocną przygodą — a nie mogłabym wychować dziecka samodzielnie, bo sama byłam jeszcze dzieckiem. I to niemądrym. Wydawało mi się, że się zakochałam, i głupio wpadłam. To się zdarza milionom kobiet. Zdarzyło się i mnie. Ale teraz w końcu muszę to zaakceptować i przestać się obwiniać. Jak powiedziałam Lottie tego dnia, kiedy płakała, siedząc na schodach: ostatni etap to akceptacja. Trzeba go osiągnąć, żeby móc iść dalej.

I teraz go osiągnęłam.

— Już ci lepiej? — Lottie spogląda na mnie znad buteleczki z lakierem.

— Taa... — Wycieram łzę z policzka. — Chyba tak.

— Wiesz, powinnaś przestać się martwić przeszłością, zapomnieć o przyszłości i zacząć żyć chwilą obecną. —

Kończy malować paznokcie u nóg i porusza nimi z zadowoloną miną.
— Wiem. — Kiwam głową i zamyślam się ze smutnym uśmiechem.
— Ale jak to zrobić?

Przewraca oczami, jakbym była kompletną kretynką, po czym uświadamia sobie, że mówię poważnie, i wbija we mnie zatroskany wzrok.

— Rozluźnij się trochę, bądź spontaniczna, korzystaj z życia.

— Mam... korzystać z życia? — powtarzam ostrożnie, jakbym mówiła w obcym języku.

— Jak wtedy na parkiecie. — Imituje moje ruchy i czuję, że się czerwienię. — Wyglądało na to, że się dobrze bawisz.

— Tak było — przyznaję.

Wracam myślami do tańca w klubie, spaceru w parku z Oliverem, pojadania ciasteczek z jego dziadkiem, zakupów na pchlim targu... Uzmysławiam sobie, że w ciągu ostatnich paru dni przeżyłam więcej beztroskich chwil niż przedtem w ciągu paru lat.

— Zaraz, zaraz... wiem, co ci poprawi humor... — Zeskakuje ze stołu i zaczyna grzebać w cekinowej torbie wiszącej na oparciu krzesła, z której wyciąga KitKata. — Czekolada. — Z łakomą miną przełamuje batonik i podaje mi jeden paluszek.

— Eee... nie, dziękuję. — Potrząsam głową. — Unikam czekolady.

— Mówisz serio? — Patrzy na mnie z niedowierzaniem. — Boże, nic dziwnego, że jesteś w depresji.

Uderza mnie, że nasze role nagle się odwróciły. To już nie ja daję jej rady, a ona mnie. I jednocześnie uświadamiam sobie, że wcale nie zjadłam wszystkich rozumów. No, może czasem mam rację — weźmy choćby ten jej okropny srebrny cień do powiek.

Wiek i doświadczenie nie zrobiły ze mnie krynicy mądrości — zrobiły ze mnie spiętą, znerwicowaną trzydziestoparolatkę, która się wiecznie zamartwia. Której życie stoi na głowie. Która zapomniała co to zabawa. I która w każdej wolnej chwili zaczytuje się w poradnikach, szukając tego, co ma pod nosem. Zerkam na Lottie i widzę bystrą, pewną siebie, przebojową dziewczynę.

Doprawdy, czym ja się tak martwiłam? Ona nie zginie. Nie mogę owinąć jej puchem. Nie mogę powstrzymać jej od robienia błędów, tak jak nie mogłam zapobiec jej przygodzie z Billym i nieuchronnym następstwom. Ale wiecie co? Już tego nie chcę. Jest takie powiedzenie: co cię nie zabije, to cię wzmocni. Owszem, przeżyje ciężkie chwile, ale da sobie radę.

Ja dam sobie radę.

Ponieważ to prawda: czegoś brakuje w moim życiu. Mnie brakuje w moim życiu. Straciłam poczucie, kim jestem. Zagubiłam się. I teraz, tutaj, w tej sypialni odnalazłam się na nowo.

— Dobra, dawaj tego KitKata.

Jak widać, wróciła mi nawet chęć na słodycze.

Pożeram batonik do ostatniego okruszka, co tylko rozbudza mój apetyt, i naraz zdaję sobie sprawę, że umieram z głodu. Lottie uprzejmie oferuje mi zupkę chińską, ale odmawiam. Może i miałam rację w wielu sprawach, kiedy byłam młodsza, lecz nie w tej. Proponuję, żebyśmy poszły coś zjeść do Wellington Arms. Ja stawiam.

Co się wydaje dobrym pomysłem, dopóki nie wchodzimy do pubu, gdzie za kontuarem stoi młody Olly. Sztywnieję. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam, że będzie tu

pracował i na jego widok natychmiast staje mi przed oczami kłótnia z Oliverem.

Ostrożnie zbliżam się do baru.

— Jak się masz? — Wita mnie jak stary znajomy. — Jesteś Charlotte, prawda? Poznaliśmy się w Canal Clubie.

— Tak, oczywiście. Cześć, Olly. — Uśmiecham się z głupią miną. Jakoś mi dziwnie, że jest dla mnie taki miły, podczas gdy jeszcze parę godzin temu skakaliśmy sobie w moim mieszkaniu do gardeł.

— Jak leci? — pyta wesoło i kiedy patrzę w jego znajome jasnoszare oczy, ściska mnie żal.

— Doskonale. — Zmuszam się do pogodnego tonu. Jeśli przedtem czułam się źle, to teraz czuję się jeszcze gorzej. — A u ciebie?

— Wszystko w porządku. — Przez chwilę bawi się bransoletkami wokół nadgarstka, jakby coś go nurtowało. — Właściwie... hm... chciałem prosić cię o przysługę... — Odzywa się w końcu lekko zdenerwowany.

— Jasne, nie ma sprawy.

Wszystko, co zechcesz, żeby naprawić ci wyrządzoną krzywdę, myślę, obserwując go za barem, przytłoczona ciężarem winy.

— No więc chodzi o to... — Przełyka ślinę. — Robię jutro kolację dla paru przyjaciół i chciałem zaprosić Lottie. Myślisz, że przyjdzie?

Uśmiecha się niepewnie, ale z nadzieją. I już rozumiem, że to moja druga szansa. Sama wszystko schrzaniłam, ale to nie znaczy, że Lottie też musi.

— Oczywiście, że przyjdzie — zapewniam go.

— Naprawdę? — Twarz mu się rozjaśnia. — Tak myślisz?

— Zostaw to mnie. — Uśmiecham się. — Tylko podaj mi adres.

— Och, to świetnie! — Rozgląda się rozpaczliwie za kawałkiem papieru, jakby nie wierzył własnemu szczęściu. — Poczekaj, gdzieś tu był notatnik...

— Nie przejmuj się, napisz na tym. — Wygrzebuję z torebki zmięty kawałek papieru. To moja lista dobrych rad. Dziewiętnaścioro przykazań. Ciekawe, że nigdy nie doszłam do dwudziestu. — Te zapiski są już nieaktualne. — Patrzę przez chwilę na kartkę, myśląc, w jak wielu punktach się myliłam, a potem podaję ją przez bar. — Na odwrocie — dodaję.

— Dzięki — mruczy i bazgrze swój adres. — Powiedz jej, że spotykamy się o siódmej trzydzieści i nie musi niczego przynosić. Oprócz siebie. — Uśmiecha się lekko.

— Masz to załatwione. — Oddaję mu uśmiech i wsuwam kartkę do torebki.

— A teraz czym mogę służyć? — pyta. — Drinki będą na koszt firmy. Zamawiam dwa jabłeczniki i dwie torebki chipsów z solą i octem na przystawkę — skoro już pozwoliłam sobie na czekoladę, to postanawiam iść na całość. Wracam do stolika, gdzie czeka Lottie z dwoma egzemplarzami menu.

— Posłuchaj — rzucam mimochodem, siadając obok. — Jutro wieczorem jestem zaproszona na kolację do przyjaciół, może byś poszła ze mną?

— Jasne, to brzmi zachęcająco. — Kiwa głową i z łakomą miną rozrywa torebkę chipsów.

— Ale idę tam prosto z biura, więc najlepiej spotkajmy się na miejscu — ciągnę nonszalancko z nadzieją, że połknie haczyk. Bo oczywiście w ostatniej chwili nie będę mogła przyjść z powodu „nieprzewidzianych kłopotów w pracy”, ale ona już tam będzie.

— Dobra, jaki to adres? Bingo.

— Masz, tu jest zapisany. — Podaję jej kartkę, a ona nie czytając, wtyka ją do kieszeni, choć ja sama natychmiast zaczęłabym wertować książeczkę *Londyn od A do Z* w poszukiwaniu adresu, pod jaki mam się udać.

W każdym razie tak bym zrobiła dawniej, uzmysławiam sobie, sącząc jabłecznik. Mmm, jest całkiem niezły.

— Co radzisz, Charlotte?

— W jakiej sprawie? — Wyrywam się z zamyślenia i widzę, że Lottie pilnie studiuje menu.

— Ryba z frytkami czy spaghetti? Jadłaś tu już; co polecasz?

Patrzę na nią w jej przy krótkich dzinsowych szortach, jak popija drinka i nawija sobie na palec pasemko włosów. Nic się nie zmieniła, jest taka sama jak w dniu, kiedy na siebie wpadłyśmy. I wiecie co? Wcale nie chcę, żeby się zmieniła. Chcę, żeby została dokładnie taka, jaka jest. Jaka ja byłam. Jaką uczę się znowu być.

No, może daruję sobie te dzinsowe szorty.

Biorę całą garść chipsów i duży haust jabłeczniaka.

— Och, sądzę, że nie potrzebujesz ode mnie żadnej rady.

— Okay, wobec tego wezmę serowe nachos z odsmażaną fasolą i kwaśną śmietaną.

Wyliczam sobie w myślach składniki: nabiał, mąka, węglowodany, smażony tłuszcz, nic, co by było w najmniejszym stopniu organiczne, dietetyczne czy zdrowe.

Uśmiecham się do niej szeroko.

— Palce lizać. Wezmę to samo.

Rozdział trzydziesty szósty

Po najlepszym posiłku, jaki jadłam od lat, odprowadzam Lottie do domu i jadę do siebie. Wchodząc do salonu, czuję się, jakbym wróciła na miejsce zbrodni. Lód w ściereczce się roztopił, zostawiając mokrą plamę. Dwie filiżanki z wystygniętą herbatą pokrytą szklistym nalotem stoją nietknięte na stoliku balkonowym. Błotniste ślady łap Welly'ego zdążyły już wyschnąć na wykładzinie.

Wszystko przeniosło się z czasu teraźniejszego w czas przeszły. Wbijając klin między Olivera a mnie. Oddalając nas jeszcze bardziej od siebie.

Czuję ucisk w klatce piersiowej, ale nie pozwalam sobie na sentymenty. Zaciskam zęby i odwracam wzrok, który pada na stos papierów na moim biurku. Nadal muszę zapiąć na ostatni guzik przygotowania do jutrzejszej konferencji prasowej. W końcu życie idzie naprzód, mówię sobie stanowczo. Biorę się w garść i zabieram do porządków. Nie mam zamiaru pławić się we łzach i rozczulać nad sobą. Mam zamiar puścić dzisiejszy dzień w niepamięć, jakby nigdy nie istniał.

Przez następne pół godziny sprzątam mieszkanie, usuwając każdy ślad po Oliverze. Dopiero potem siadam do roboty.

Otwieram laptop i swoje notatki, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczyłam. Wszystko jest załatwione. Lista dziennikarzy wypisana. Ozdobne zaproszenia rozesłane. Sala zarezerwowana. Problem z cateringiem rozwiązany. Drinki zamówione (bez szampana — bąbelki szkodzą na szkliwo). Torby z prezentami zebrane w jedno miejsce. Pozostaje mi tylko doszlifować mowę, którą opracowałam dla rzecznika.

To był mój genialny pomysł: skłonić kogoś z celebrytów, żeby wystąpił jako rzecznik Uśmiechu Gwiazdy. Taka atrakcja wraz z torbami prezentów i gratisowym wybielaniem zębów gwarantowała tłumne przybycie dziennikarzy i zainteresowanie prasy. A zarazem był to pomysł, w którym Larry Goldstein natychmiast się zakochał na naszym pierwszym spotkaniu, co zapewne przeważało szalę na moją korzyść. Ale jeszcze zanim zdobyłam kontrakt, przez całe tygodnie ślęczałam nad listą odpowiednich kandydatów, badając grunt, kontaktując się z agentami sław.

Celebryci są znani z poprawiania swego uzębienia. Trudno by znaleźć na szczytach Hollywood kogoś, kto nie korzystałby z drobnej pomocy, żeby zabłysnąć idealnym uśmiechem. Ale jeszcze trudniej znaleźć kogoś, kto się do tego przyzna, stąd całe tabuny gwiazd o zębach jak perły, gładkich licach i nabrzmiałych wargach z uporem twierdzą, że zawdzięczają to miodowi Manuka i ćwiczeniom pilates, a nie, jak wszyscy w branży wiedzą, częstym wizytom u mężczyzn w białych kitlach.

I tak oto, po kilkunastu odmowach byłam już gotowa zarzucić ten pomysł, kiedy Beatrice zasugerowała Melody. W końcu jest naszą klientką, wypromowaliśmy szereg jej książek o diecie i zdrowym stylu życia, a poza tym nie traci żadnej okazji, żeby się pokazać (prawdę mówiąc, pcha tyłek do wszystkich mediów). No i jest ulubienicą publiczności,

umiejętnie łącząc wizerunek ślicznotki i dziewczyny z sąsiedztwa. Nie zapominajmy też, że musi czymś przykryć skandal z zeszłego tygodnia, kiedy przyłapano ją na jedzeniu Big Maca.

Jak się należało spodziewać, Melody skwapliwie skorzystała z okazji — właśnie przysłała mi e-mail dotyczący jutrzejszej kreacji. Z równą skwapliwością przyjęła obiecany prezent w postaci nowego kompletu licówek.

Kieruję uwagę na przemowę.

„Witam wszystkich na konferencji prasowej, która ma na celu przedstawić państwu pierwszą w Wielkiej Brytanii klinikę Uśmiech Gwiazdy, stworzoną przez doktora Lar-ry'ego Goldsteina, znanego w Hollywood jako Król Uśmiechu. Jego klinika oferuje najnowsze metody wybielania zębów, najwyższej jakości licówki, laserowe modelowanie dziąseł...”.

— Tak naprawdę chcę być pisarką.

Co? Skąd ten głos? Ignoruję go i wracam do pracy, „...najnowocześniejszą kosmetykę dentystyczną, spełniającą wymogi dwudziestego pierwszego wieku...”.

— Marzyłam o tym, odkąd byłam małą dziewczynką. Głos Lottie znów rozbrzmiewa mi w głowie, tym razem głośniejsz. Zamyślam się na chwilę, ale szybko go odsuwam.

— Nie wyobrażałam sobie nawet, że mogę robić coś innego.

Te słowa ściskają mnie za gardło. Rzeczywiście nic innego sobie nie wyobrażałam, nawet teoretycznie, ale to było dawno.

Pocieram skronie, prostuję się na krześle i skupiam na monitorze. Okay, może kiedyś wrócę do tamtego pomysłu. Teraz jednak muszę skończyć to, co zaczęłam. Niechętnie wbijam oczy w ekran i czytam resztę przemowy powitalnej.

„Wy też możecie mieć gwiazdorski uśmiech. Wy też możecie olśniewać nim otoczenie. Uśmiech Gwiazdy to najnowszy krzyk mody. Zamiast torebki Fendi sprawcie sobie piękne zęby, odeślijcie do lamusa krzywe, przebarwione albo wystające”.

Hmm... to nie jest zbyt sexy, co? Muszę wygładzić ten tekst. Chociaż diabli wiedzą, jak wygładzić słowa: „krzywe, przebarwione, wystające”. Nie wierzę, że w ogóle piszę te bzdury!

— Rób coś, co kochasz, coś, czym się pasjonujesz. Och, uspokój się!
— myślę sfrustrowana. Wszystko pięknie

i całkowicie zgadzam się z moim młodszym wcieleniem w tym punkcie, ale nie mogę wycofać się w tej chwili. To byłoby szaleństwo. Zawodowe samobójstwo.

A jednak kiedy patrzę w komputer i słowa rozmazują mi się przed oczami, zdaję sobie sprawę, że powielam stare błędy. Lottie miała rację: nie dopuszczam do głosu swojej intuicji. To nie jest pisanie. To nie jest to, co chciałam robić. To nie jest spełnienie mojego marzenia.

— Piszę powieść. Jeszcze nie skończyłam, ale skończę. Pod wpływem impulsu rzucam się do sypialni, gdzie

opadam na kolana i zaglądam pod łóżko. Leży tam pudło z fotografiami, które znalazłam w szafie. Wyciągam je, zdejmuję wieko i grzebię w albumach. Nawet nie zdążyłam ich przejrzeć, uzmysławiam sobie, ustawiając je jedno na drugim na podłodze obok starych pamiątek i jakichś wiekowych kartek urodzinowych.

W końcu znajduję na dnie cienki stosik poszarzałych kartek, które już zaczęły żółknąć na brzegach.

Moja powieść.

Patrzę przez chwilę na stronę tytułową, chłonąc ten moment. Ogarnia mnie wzruszenie. Jakbym odkryła część siebie tak

dawno schowaną, że zapomniałam o jej istnieniu. Przełykam ślinę, przebiegając palcami po wystukanych na maszynie linijkach. Później wolno odwracam stronę i zaczynam czytać.

Kiedy kończę, wstaję i wracam do salonu. Czuję dziwną euforię. Nie jest źle. Jest całkiem dobrze. Lepiej, niż myślałam. Okay, zdarzają się nieco przydługie i pokręcone dywagacje i nie najzgrabniejsze opisy, ale całość coś w sobie ma. Coś, co mnie ekscytuje. Inspiruje. Znowu wzbudza pasję.

Jeśli miałam przedtem jakieś wątpliwości, teraz ich już nie mam.

Ale najpierw muszę coś zrobić.

Wracam do laptopa, zamykam plik z moją mową i otwieram Internet. To tylko przeczucie, ale nareszcie słucham własnej intuicji. Waham się chwilę i wpisuję hasło w okienko wyszukiwarki Google. Chociaż kto wie — przesuwam napisy na wywołanej stronie — może tym razem instynkt mnie zawiedzie.

I wtedy to widzę.

Klikam na podanego linka i nagle na ekranie wyskakuje dokładnie to, co podejrzewałam. Przebiegam oczami tekst i pochłaniam informację. Potem biorę telefon i wybieram numer. Słyszę, jak na drugim końcu miasta dzwoni sygnał.

— Taa, słucham? — odzywa się rozespany głos. To Katie Proctor, zaprzyjaźniona dziennikarka.

— Cześć, Katie. Tu Charlotte Merryweather. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale chcę cię prosić o wielką przyługę...

Rozdział trzydziesty siódmy

Agencja Merryweather PR zaprasza na otwarcie pierwszej w Wielkiej Brytanii kliniki Uśmiech Gwiazdy!

Wieczór poprowadzi gwiazda telewizyjna, Melody, która przedstawi luksusowy nowy londyński oddział słynnej kliniki z Beverly Hills. Gość honorowy, doktor Larry Goldstein, znany w Hollywood jako Król Uśmiechu, odkryje sekrety najnowszych, super nowoczesnych technik kosmologii dentystycznej, dzięki której każdy z nas może zabłysnąć uśmiechem gwiazdy.

Z przyjemnością czekamy na Państwa przybycie.

Wtorek, 28 sierpnia Prezentacja i bufet 17-19

The Charlotte Street Hotel 15-17 Charlotte Street, London W1 RSVP:
Beatrice@MerryweatherPR.com

Okay, to już załatwione.

Stojąc na środku pokoju, który wynajęliśmy na otwarcie, przesuвам wzrokiem po imponujących aranżacjach kwiatowych z białych lilii, po równych rzędach skrzących się kieliszków, czekających na koktajl Uśmiech Gwiazdy (wyborna mieszanka wódki, liczi i wermutu), po artystycznej kompozycji z sushi na lodzie, pod którym pobłyskuje śnieżnobiały ryż. Tematem, jak mogliście się już domyślić, jest biel, żeby nawiązać do olśniewającej bieli hollywoodzkich uśmiechów.

No dobrze, przyznaję się. To był mój pomysł.

Choć nie chcę wyjść na samochwałę, muszę przyznać, że wystrój robi wrażenie, myślę, podziwiając pokój. Dziennikarze już przybyli i po powitalnym koktajlu zostali natychmiast skierowani do prywatnej salki projekcyjnej, żeby wysłuchać prezentacji Melody i obejrzeć krótki film o klinice w Beverly Hills. To pożyteczna zakulisowa informacja, a poza tym wszyscy zawsze uwielbiają oglądać materiały filmowe z życia celebrytów, czyż nie? Zwłaszcza kiedy mogą to zrobić w ramach obowiązków służbowych.

Zza ściany dochodzi motyw muzyczny. Obejrzałam ten film dobrych parę razy, więc wiem, że projekcja dobiega końca i pokój recepcyjny zaraz zapełni się głodnymi dziennikarzami.

— Mmm, pyszne sushi.

Odwracam się i widzę Beatrice delektującą się kawałkiem sushi, który podkraǳła z tacy trzymanej przez jedną z kelnerek. Karcę ją spojrzeniem.

— Hmm... tak... testowanie wypadło pomyślnie. — Kiwa głową rzeczowo. Uśmiecha się do kelnerki i zwraca do mnie z niewinną miną. — Ktoś musiał sprawdzić, czy mają dobry smak. Nie chcemy przecież otruć naszych dziennikarzy.

— Tylko niektórych — mówię ponuro i Beatrice chichocze.

Na moment opada napięcie, które trzymało mnie od samego rana, ale zaraz drzwi się otwierają i wkracza Larry Goldstein. Jest pogrążony w rozmowie z Melody, która cała w uśmiechach przyjmuje jego komplementy; za nimi wysypują się z salki kinowej dziennikarze, mrużąc oczy w jaskrawym świetle.

Beatrice natychmiast wchodzi w swoją rolę i z uśmiechem wita gości. Doprawdy, powinna być członkiem rodziny królewskiej.

— Dobry wieczór. Jak miło znów cię zobaczyć...

Z niecierpliwością zerkam na zegar ścienny przy drzwiach. Dochodzi szósta.

— Przepraszam — mówię i spieszę do holu, prosto do lady recepcyjnej. — Czy przyszła może przesyłka kurierska dla Charlotte Merryweather?

Recepcjonista potrząsa głową i szczyrzy zęby.

— Nie, przykro mi.

Czuję skurcz żołądka, ale kiwam głową z przyklejonym uśmiechem i wracam do sali.

— Charlotte, nadzwyczajne przyjęcie! — Podchodzi do mnie dziennikarka jednego z topowych magazynów kobiecych. — I co za sukces, zdobyć takiego klienta. Słyszałam jakieś pogłoski, ale dopóki nie dostałam zaproszenia... — Wznosi kieliszek w toaście.

— Hmm... dzięki, rzeczywiście — wykrztuszam ze sztucznym entuzjazmem; gardło mam wyschnięte na wiór. Kątem oka wypatruję Larry'ego Goldsteina, który gawędzi przy drzwiach z jakimiś dziennikarkami. Zbieram w sobie całą odwagę. Raz kozie śmierć. — Pozwolisz, że przeproszę cię na chwilę?

— Jasne. — Moja rozmówczyni błyska zębami w uśmiechu. — Wezmę sobie tymczasem jeszcze jeden koktajl.

Kiedy znika, idę prosto w kierunku Lany'ego. Czuję się niedorzecznie zdenerwowana. Moje dłonie zaczynają się pocić, a w uszach słyszę głośne i szybkie bicie serca, zagłuszające gwar rozmów. Nagle dochodzi do mnie skądś głos Lottie: „Po co się martwić cały czas? Jeśli coś złego ma się stać, to się stanie”. Czerpiąc dziwną otuchę z tych słów, biorę głęboki oddech.

— Doktorze Goldstein, możemy zamienić słowo? Przestaje na chwilę tokować i odwraca się do mnie.

— Hej, Charlene, chodź tu do nas. Właśnie opowiadam paniom, jak leciałem prywatnym odrzutowcem Toma Cruise'a.

Uśmiecham się uprzejmie i przełykam ślinę.

— Prawdę mówiąc, to dość ważne.

— Co może być ważniejszego od odrzutowca Toma Cruise'a? — Patrzy filuternie na dwie ładne dziennikarki, które chichoczą nad swoimi koktajlami.

Zaciskam pięści i paznokcie wbijają mi się w dłonie. Okay, teraz albo nigdy.

— Moja rezygnacja — mówię z całym spokojem. Patrzy na mnie, jakbym właśnie oznajmiła, że w pokoju są mali zieloni Marsjanie. A właściwie byłby chyba mniej zaszokowany, gdybym oznajmiła, że w pokoju są mali zieloni Marsjanie.

— Och, rozumiem, to jest to słynne angielskie poczucie humoru — rechocze.

Stoję nieporuszona.

— Nie, mówię całkiem poważnie. Niestety, Merryweather PR nie może dłużej pana reprezentować.

Obie dziennikarki przestają chichotać i patrzą na mnie niepewnie.

Larry Goldstein natomiast wygląda, jakby ktoś zdzielił go obuchem. Chwyta mnie obcesowo za ramię i wyciąga na korytarz. Kręci głową, jakby nie mógł pojąć tego, co usłyszał.

— Możesz to powtórzyć? — domaga się. — Chyba nie całkiem cię zrozumiałem.

Roztrzęsiona wyrywam mu ramię i cofam się o krok, żeby odzyskać równowagę.

— Było już za późno, żeby odwołać konferencję prasową tak w ostatniej chwili, poza tym to by wyglądało nieprofesjonalnie. — Staram się zachować spokojny, chłodny ton. — Więc wywiązałam się z tej części mojego zobowiązania. Niemniej obawiam się, że nie możemy już pana reprezentować ani zorganizować otwarcia samej kliniki w grudniu, i chcemy złożyć formalną rezygnację ze współpracy.

No nareszcie. Zrobiłam to.

Kiedy to oświadczenie do niego dociera, oczy mu się zwężają i wyraźnie blednie pod opalenizną.

— Ty. Dajesz. Kopa. Mnie.

— Cóż, nie użyłabym tych słów... Zasepia się i śmieje wzgardliwie.

— Myślę, że coś ci się pomyliło, Charlene. To ja wykopuję ludzi, a nie odwrotnie.

— Niech pan to nazywa, jak chce, doktorze Goldstein, ale moja decyzja jest nieodwołalna. Merryweather PR już nie będzie prowadzić z panem interesów.

Ledwo padają te słowa, na jego twarzy pojawia się szpetny grymas, jakby spadła gładka maska i ukazała prawdziwe oblicze Lany'ego Goldsteina.

— Jakaś nędzna mała agencja odrzuca mnie, Króla Uśmiechu? — syczy z wściekłością. — Co ty sobie wyobrażasz? Że kim jesteś? Oferuję ci szansę wejścia na światowy rynek. Współpracę ze znanym nazwiskiem. Rozwinięcie skrzydeł. Możliwość pozyskania wielkich szych. Wejście twojej drugorzędnej agencji do pierwszej ligi.

— Jeśli pan myśli, że jesteśmy tacy drugorzędni, to czemu pan nas wybrał? — ripostuję gniewnie.

— Bo wydawało mi się, że coś w tobie zobaczyłem. Coś, co przypominało mnie. Głód sukcesu.

Potrząsam głową.

— Nie, nie jestem taka jak pan. Nie chcę sukcesu za cenę odebrania komuś środków do życia.

— He?

— Ten sklep z antykami.

Dalej nie rozumie. I trudno się dziwić. Biznes to biznes. Pewno nawet się nie zainteresował, czyj lokal przejmuje. Była to dla niego jedynie dobra okazja.

— Mówię o miejscu, które pan wybrał na nową klinikę — wyjaśniam.

— O miejscu, za którego dzierżawę oferował pan kupę forsy. To był sklep, który pewien staruszek prowadził od sześćdziesięciu lat i nagle jego czynsz został potrojony. Nie będzie miał z czego żyć. — Mówię teraz jak dawna Lottie, bez ogródek wygarniam mu wszystko kawa na ławę, dając pierwszeństwo swoim emocjom. Cudownie uczucie.

— No, no, brakuje mi tylko skrzypiec — cedzi zimno i sprowadza mnie na ziemię. Jeśli miałam jakieś wątpliwości, czy dobrze robię, to w tej chwili znikają bez śladu.

— Nie spodziewałam się, że pan zrozumie — odpowiadam spokojnie i dodaję: — Skoro formalnie nie podpisaliśmy dotąd żadnego kontraktu, to chyba wystarczy, że się pożegnamy.

— Hola, hola, chwileczkę, panienko!

W jego głosie jest taki jad, że przebiega mi po plecach dreszcz strachu.

— Może i nie złożyliśmy podpisów na żadnym dokumencie, ale znam prawo. Umowa ustna też zobowiązuje. Mam e-maile potwierdzające twoją intencję podjęcia współpracy,

spisane na kartkach wspólne pomysły i plany na przyszłość. — Patrzy na mnie i widać, że żarty się skończyły. — Przeciągnę cię przez sądy i puszcę z torbami. Odbiorę ci wszystko: agencję, mieszkanie, środki do życia, wszystko aż po ostatniego pieprzonego pensa.

Serce mi wali. Tego się właśnie obawiałam.

— Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje — odpowiadam, starając się, żeby głos mi nie zadrżał.

Odwracam się i kieruję w stronę wyjścia, ale on wrzeszczy za mną:

— Nie możesz tak sobie po prostu odejść. Nie wiesz, z kim masz do czynienia. To ja dyktuję warunki! — Krzyczy na całe gardło, a jego idealna opalenizna nabiera koloru zjadliwej żółci.

— Skarbie? — Daje się słyszeć piskliwy dyszkancik i zza drzwi wysuwa się głowa jego żony.

W tym wszystkim zupełnie o niej zapomniałam. Trzymając koktajl i ukochanego chihuahue, uśmiecha się nieco podpita do męża.

— Kochanie, wracaj do sali, krewetki są palce lizać.

— Zabieraj się stąd, Cindy, ale już! — ryczy Lany ze złością. — Nie widzisz, że rozmawiam o interesach?

Cindy blednie i kiedy wycofuje się chyłkiem, Goldstein podbiega i zastępuje mi drogę.

— Zrzuńnię cię. Rozpowiem w branży, że jesteś nieudolna, niekompetentna i do niczego się nie nadajesz. Mam wpływowych przyjaciół. Pójdę do prasy. — Wydziera się teraz bez opamiętania, plując z wściekłości, ale stoję nieporuszona.

Przeczuwałam, że tak się to skończy, jednak byłam zdecydowana postąpić zgodnie z nakazem sumienia. Byłam zdecydowana posłuchać swojej intuicji.

— Przepraszam? Przyszedł posłaniec z przesyłką dla pani Charlotte Merryweather.

Odwracam się na pięcie i widzę, że kurier z FedExu zmierza ku mnie korytarzem. W samą porę. Oddycham z ulgą. Moje młodsze wcielenie pomogło mi odkryć na nowo marzenia, ustalić priorytety i mówić, co myślę, ale moje starsze ja wie, że nie zaszkodzi się zabezpieczyć.

— Recepcjonista powiedział, że znajdę panią tutaj, i że to pilne.

— Właściwie ta przesyłka jest dla tego pana — kwituję odbiór i wskazuję na Larry'ego Goldsteina.

— Co? — Przestał wrzeszczeć i teraz patrzy na mnie, zdyszany i zбитy z tropu.

Kurier wzrusza ramionami i podaje mu kopertę. Larry obraca ją w rękach z wyrazem zdumienia na twarzy.

— Lepiej niech pan otworzy — radzę.

— Co za szajs mi tu wciskasz? — warczy, odzyskując głos. — Uważaj, bo mogę...

— Zaskarżyć mnie? Iść z tym do prasy? — przerywam, starając się zachować spokój, choć serce mi wali jak oszalałe. — Na pana miejscu bym tego nie robiła.

Niecierpliwie rozrywa kopertę i jego pogardliwa mina natychmiast znika, kiedy widzi jej zawartość.

— Jezu... — szepcze, poblady jak kreda.

Lottie zarzuciła mi, że nie słucham intuicji i miała rację. Jeśli chodzi o Larry'ego Goldsteina, ignorowałam znaki ostrzegawcze od naszego pierwszego spotkania w restauracji. Byłam pewna, że próbował głaskać mnie po nodze pod stołem, jednak to zlekceważyłam. Podobnie jak zlekceważyłam wymowne spojrzenia, dwuznaczne aluzje i swoje uczucie niesmaku. Dopiero później, przed sklepem, kiedy odwrócił się do mnie i powiedział: „Nie ma takiego problemu, którego się nie da rozwiązać za pomocą pieniędzy”, nabrałam pewności, że przecucia mnie nie mylą. Wtedy mój głosik wewnętrzny już wiedział.

Ale posłuchałam go w końcu dopiero zeszłej nocy, kiedy pod wpływem impulsu postanowiłam zebrać trochę informacji.

Bo wyglądało na to, że nie byłam wyjątkiem. Notatka w „Santa Barbara Evening Post” z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku wspomina o pewnej szesnastolatce, która oskarżyła swojego dentystę, niejakiego doktora Goldsteina, że ją obmacywał, kiedy siedziała w fotelu dentystycznym. Nie podano żadnych więcej szczegółów.

Właśnie dlatego zadzwoniłam do Katie Proctor. Jako dziennikarka miała dostęp do bazy danych całej międzynarodowej prasy i do protokołów sądowych. Poprosiłam ją o zbadanie sprawy. Instynkt mi mówił, że to ten sam człowiek, ale nie mogłam być pewna. Muszą istnieć setki ludzi o nazwisku Goldstein. A jeśli to on, to co było dalej? Został uznany za winnego? Pozbawiony prawa wykonywania zawodu? Aresztowany?

Jej śledztwo nie tylko potwierdziło moje obawy, ale przyniosło coś więcej. Okazało się bowiem, że to nie był jednostkowy przypadek. Przez lata na doktora Goldsteina wpływały liczne skargi o molestowanie seksualne — od byłych pracowników, pacjentek i dawnych kochanek — ale za każdym razem pozew wycofywano po „polubownym załatwieniu sprawy”, czyli po hojnym odszkodowaniu.

— I miałaś rację, ma na imię Larry — powiedziała Katie, kiedy zadzwoniła dziś rano z wiadomością, że wysyła Fed-Exem wszystkie wycinki prasowe, protokoły sądowe i dokumenty, które znalazła.

I skądinąd jest znany jako Król Uśmiechu, myślę, patrząc na niego. Chociaż teraz nie przypomina swojego wizerunku telewizyjnego. Jego idealna fryzura jest zmierzwiona i ukazuje spory łysiejący placek, a on sam wygląda raczej żałośnie.

— To szantaż — odzywa się w końcu.

— Kto jak kto, ale pan coś o tym wie, prawda? — odcinam się chłodno.

Oddycha ciężko, nadal ściskając kurczowo wydruki z obciążającymi go dowodami.

— Więc co zamierzasz z tym zrobić? — pyta.

— Nic — mówię po prostu. — Do widzenia, doktorze Goldstein. — Ruszam korytarzem, ale jeszcze na chwilę przystaję i rzucam na pożegnanie: — A tak na marginesie, mam na imię Charlotte.

Odwracam się na pięcie i odchodzę. Coś mi mówi, że nieprędko zapomni to imię.

Rozdział trzydziesty ósmy

Docieram do holu na miękkich nogach. Od wczesnego rana napędzała mnie adrenalina, a teraz, kiedy mam starcie za sobą, czuję się oklapnięta i wyczerpana. Opieram się o ścianę i biorę głęboki oddech. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Ogarnia mnie ciepła fala euforii połączonej z ulgą, nie wspominając już o niedowierzaniu. Zrobiłam to. Zrobiłam to!

Oddycham głęboko i zamykam oczy. Przez chwilę stoję nieruchomo, czekając, aż emocje ze mnie opadną i serce się uspokoi.

— A, tu jesteś!

Otwieram oczy i widzę Beatrice wpadającą do holu jak burza. Poinformowałam ją wcześniej w skrócie o swoich zamiarach, bo uważałam, że jej się to należy. W końcu narażałam na ryzyko przyszłość firmy i jednocześnie jej pracę.

Ale jeśli miała jakieś zastrzeżenia, nawet nie mrugnęła okiem. Uściskała mnie z całych sił i oświadczyła z patosem: „Jestem z tobą. Pamiętaj: »Będziemy walczyć na plażach, będziemy walczyć na lądzie, będziemy walczyć na polach i na ulicach, będziemy walczyć na wzgórzach; nigdy się nie

poddamy". Spojrzałam na nią zdezorientowana. „Winston Churchill, idol mojego ojca" — wyjaśniła.

— No i jak ci poszło? — pyta teraz bez tchu. — Właśnie widziałam doktora Goldsteina, jak wsiada do taksówki z jakąś tlenioną blondynką i ujadającym pieskiem.

— Poszło mi... dobrze. — Kiwam głową, szukając jakiegoś odpowiedniego określenia.

Wyraźnie widać, że jej ulżyło.

— Chwała Bogu! — wykrzykuje i zaraz ścisza głos, dopytując się z troską: — Był bardzo zły?

— Można tak powiedzieć. Beatrice wzdycha z emfazą.

— Charlotte, jesteś bohaterką.

— Nie przesadzajmy... — Uśmiecham się ze znużeniem.

— Ależ tak — upiera się lojalnie. — Jesteś superbohaterką. Jak Spiderwoman!

— Spiderman — poprawiam ją.

— Naprawdę? Mogłabym przysiąc... — Marszczy brwi, ale zaraz się rozjaśnia. — W każdym razie, brawo! — Klaszcze w ręce. — Chodźmy się napić. Zostało jeszcze kilka koktajli, musimy się pośpieszyć, żeby pismaki nie sprzątnęły ich nam sprzed nosa. — Chce mnie wziąć pod ramię, ale kręć przecząco głową.

— Nie, chyba pójdę do domu, ledwo żyję. — Zaczynam rozcierać skronie, w których narasta pulsujący ból. — Prawie nie spałam tej nocy, a jutro wcześnie rano wyjeżdżam.

To kolejna sprawa, którą muszę załatwić. Kiedy usłyszałam, jak Lottie rozmawia przez telefon z rodzicami, uzmysłowiłam sobie, jak dawno ich nie widziałam, jak dawno nie siedzieliśmy razem przed telewizorem, gawędząc o wszystkim i o niczym, jak długo ich zaniedbywałam. Zbyt długo. I właśnie dlatego postanowiłam zrobić im niespodziankę i przyjechać jutro na parę dni.

— Jasne, oczywiście, leć — wyraża zrozumienie Beatrice, która zna moje plany. Ściska mnie impulsywnie jeszcze raz i zawstydzona się rumieni. — Ja zostanę na gospodarstwie. I wypiję resztę koktajli. — Rzuca mi szelmowski uśmiech. — No cóż, ktoś musi. — Odwraca się i odchodzi szybko na swoich mocno zbudowanych łydkach.

Zostaję w pustym holu sama ze swoimi myślami. Czuję się jak w ciszy po burzy. Nieco oszołomiona, niemal ogłuszona, idę do szatni po płaszcz. Teraz, kiedy jest już po wszystkim, zaczyna się pierwszy dzień reszty mojego życia.

Bez Olivera.

Znów przeszywa mnie znajomy głuchy ból, chociaż tym razem przyjmuję to ze spokojem. Próbowałam przestać myśleć o Oliverze, ale bez skutku. Jego twarz pojawia mi się przed oczami w najmniej spodziewanych momentach. Na przykład kiedy prowadzę samochód, nagle przypominam sobie coś, co powiedział, albo kiedy idę ulicą, wraca do mnie ta erotyczna scena na moim balkonie, i cała aż się kulę.

Co za ironia losu! Dziesięć lat temu nawet go nie zauważałam, a dziś nie mogę o nim zapomnieć.

Dochodzę do szatni, otwieram zamek błyskawiczny mojej torby i sięgam do środka po numerek. Boże, ale mam tu śmietnik, przemyka mi przez głowę, podczas gdy myślami nadal krążę wokół Olivera. Pewno nigdy go już nie zobaczę, nigdy nie będę miała okazji mu powiedzieć, jak mi przykro, i nigdy się nie dowie, że zerwałam kontrakt. W końcu to nie jest wiadomość na pierwsze strony gazet, prawda?

A nawet gdyby się dowiedział, co by to zmieniło? Przecież to nie ocali sklepu jego dziadka. Lany Goldstein bez wątpienia przeprowadzi swoje plany z inną firmą PR-owską, kierując się jak zwykle tylko interesem. Moje stanowisko nikomu nie

zrobi żadnej różnicy — ani Larry'emu Goldsteinowi, ani Oliverowi, ani też z pewnością jego dziadkowi.

Tylko że to nie cała prawda, mówię sobie, podając kwitek z numerkiem. Mnie robi różnicę.

— Proszę pani...?

Patrzę na szatniarkę, która kręci głową.

— To nie jest pani numerek.

— Nie? Och, przepraszam. — Znowu grzebię w torbie. O, mam.

Podaję karteczkę z przepaszającym uśmiechem i znowu mi ją zwraca. Tym razem to nie jest nawet kwitek tylko jakiś strzępek papieru. Naprawdę jestem nieprzytomna, myślę, i nagle mój wzrok pada na nabazgrany na nim adres.

Adres Olly'ego.

Serce skacze mi do gardła. Musiałam dać Lottie złą kartkę. Wszystko przez ten bałagan w mojej torbce. Ta kolacja jest dzisiaj, uzmysławiam sobie z rosnącą paniką. O mój Boże, Lottie nie będzie wiedziała, dokąd iść. Nie pokaże się. Wystawi go do wiatru.

Chwytam torbę z lady i pędzę do wyjścia.

— Proszę pani, a płaszcz? — krzyczy za mną szatniarka, ale się nie zatrzymuję, tylko biegnę co siłą.

Piętnaście minut później pędzę samochodem ulicami Londynu, klucząc między pojazdami, łamiąc przepisy i nie zważając na radary. Szybciej, szybciej, szybciej... Znow natykam się na objazd i zatrzymują mnie światła, walę ze złością rękami w kierownicę. Muszę dotrzeć do Lottie na czas. Nie mogę pozwolić, żeby go wystawiła.

Ale jeśli już to zrobiłam?

Ta myśl przeszywa mnie jak błyskawica, kiedy przypomi-

nam sobie, jak tłumaczyłam się wczoraj Oliverowi, czemu nie wpadłam do pubu. „Myślałam, że znów wystawiłaś mnie do wiatru” — powiedział i dodał: „Tylko żartowałam”.

A może wcale nie żartował? Może rzeczywiście go wystawiłam. Bo nie miałam adresu.

Ostry dzwonek telefonu wyrywa mnie z zamyślenia; patrzę na wyświetlacz: Julian. Natychmiast wraca do mnie rozmowa z Vanessą i moje nagranie na jego automatycznej sekretarce. Włączam słuchawkę.

— Halo?

— Cześć, Charlotte, tu Julian. Prosiłaś, żebym oddzwonił. Przez sekundę waham się, jakich słów użyć, jak poruszyć

ten temat, ale w końcu walę prosto z mostu:

— Zabawa się skończyła. Wiem wszystko.

— Niby co? — pyta niewinnie.

— Julian, nie próbuj ze mną tych sztuczek! — warczę zniecierpliwiona. — Pamiętaj, że jesteśmy starymi kumplami, znam cię jak zły szeląg, wiem, kiedy coś ukrywasz.

Następuje chwila ciszy, a potem słyszę jego przestraszony głos:

— O Boże, powiedziałaś Vanessie?

— Nie, nic jej nie powiedziałam, ale powiem, jeśli sam tego nie zrobisz.

Światła zmieniają się na zielone i zaczynam posuwać się do przodu.

— Czekałem na odpowiedni moment — mamrocze.

— Na odpowiedni moment? — wykrzykuję z niedowierzaniem. — Nigdy nie ma odpowiedniego momentu! — Myślę o Vanessie i żal ściska mi serce. — Julian, wprost trudno mi uwierzyć, że mogłeś zrobić coś takiego.

— Musiałem coś zrobić — protestuje. — Nie wiem, czy Vanessa ci mówiła, ale ostatnio mieliśmy małe problemy...

— Oczywiście, że mi mówiła — przerywam mu. Czy mężczyźni naprawdę nie wiedzą, że przyjaciółki mówią sobie wszystko?

— Przyznaję, że nie byłem ostatnio najlepszym mężem. Miałem koszmarnie dużo pracy. I sam bywałem koszmarny.

— Szukasz usprawiedliwienia w pracy?

— Nie, nie szukam usprawiedliwienia, tylko próbuję ci wytłumaczyć... Posłuchaj, mój kolega właśnie oznajmił, że jego małżeństwo się rozpadło i bierze rozwód, co mi dało do myślenia i...

— Boże, nie wierzę własnym uszom! — wrzeszczę z furją, nie dając mu skończyć. — Wszyscy jesteście siebie warci! I pomyśleć, że zawsze stawałam w twojej obronie!

— Hm... dzięki, Charlotte — mówi, teraz jakby lekko defensywnie. I nic dziwnego, uznaję. — Rozumiem, że to ma być komplement.

— Komplement?! Ty draniu! Zapada cisza.

— Charlotte? Dobrze się czujesz? — pyta po chwili.

— Nie, nie czuję się dobrze — pryham. — Vanessa cię kocha. Wszystko by dla ciebie zrobiła. A ty odpłacasz jej romansem na boku?

— Romanssem?

Spodziewałam się, że będzie zły, przybity, wrogi... więc jestem mocno zszokowana, kiedy nagle wybucha śmiechem.

— Uważasz, że to zabawne?

— Uważam, że to kosmicznie śmieszne — ripostuje kąśliwie. — Ja miałbym zdradzać Vanessę? Ucięłaby mi jaja i zjadła na śniadanie. Z keczupem.

Zaczynają ogarniać mnie wątpliwości.

— Ale... spotkałam cię w drogerii. Kupiłeś prezerwatywy...

Wyczuwam pewne zażenowanie po drugiej stronie linii, a potem dociera do mnie głębokie westchnienie.

— Dobrze, przyznaję się do winy. Miałem w planach uprawianie seksu z moją żoną, wysoki sędzie.

— A moja asystentka widziała cię z kluczem do apartamentu w hotelu Dorchester.

— Tak jest. Przyznaję, że zarezerwowałem apartament na sprośny małżeński weekend.

To, co wydawało się pewne, szybko staje się nie takie oczywiste.

— I jeszcze ten rachunek ze sklepu Agent Provocateur.

— Tak jest. Przyznaję, że uważam moją żonę za sexy i kupiłem jej fikuśną bieliznę.

Milknę, rozważając jego słowa. Być może zbyt pochopnie go osądziłam.

— Kocham moją żonę, Charlotte. — Głos Juliana staje się poważny.

— Kiedy mój kolega z pracy wyznał, że jego małżeństwo się rozpadło, to było dla mnie jak zimny prysznic i pomyślałem o własnym małżeństwie. Przez chwilę wyobraziłem sobie, jak by wyglądało życie bez Vanessy, i zdałem sobie sprawę, jakim byłem cholernym idiotą, jak ją zaniedbywałem...

Kiedy mówi, dochodzę do wniosku, że zdecydowanie się pomyliłam.

— ...więc postanowiłem jej to wynagrodzić, spędzać z nią więcej czasu, dać nam szansę, żebyśmy odkryli się na nowo. Nie oczekuję, że to przyniesie od razu magiczny efekt, ale od czegoś trzeba zacząć.

Jest mi głupio, a jednocześnie czuję, że kamień spadł mi z serca.

— To cudownie, ona będzie zachwycona! — Rozpromieniam się. — Więc kiedy jej powiesz? — pytam, skręcając z objazdu na mój zwykły skrót.

Po drugiej stronie linii zapada cisza.

— Julian? — Patrzę na wyświetlacz i widzę, że jest czarny. Połączenie zostało przerwane.

Nie szkodzi. Przynajmniej dowiedziałam się, że między nimi wszystko będzie dobrze. Szczęśliwa, kieruję wzrok z powrotem na drogę.

I nagle akcja zaczyna rozgrywać się jak na filmie w zwolnionym tempie — klatka po klatce — tylko że ze mną w roli głównej. Podnoszę głowę z uśmiechem, kątem oka dostrzegam kolorową plamę, patrzę na nią i widzę ciężarówkę jadącą prosto na mnie, słyszę dźwięk klaksonu, z całej siły naciskam hamulec. Otwieram usta do krzyku, wiem, co się zaraz stanie, i wiem, że nie mogę temu zapobiec. Nie mogę nic zrobić.

Wszystko to dzieje się w ułamku sekundy i...

Bum!

Zapada ciemność.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

— Hm...

Z trudem otwieram oczy. Wszystko wokół jest zamazane, jakby za mgłą. Rozróżniam jakieś białe kształty. Powieki mam ciężkie jak ołów.

— Och, Bogu dzięki! Obudziła się! Obudziła się!

Przenikliwy okrzyk wyrывa mnie z odrętwienia. Przekręcam głowę na bok i widzę Beatrice. Z twarzą białą jak papier.

— Charlotte, wróciłaś do nas — szepcze głosem drżącym z emocji.

Co? Wróciłam? Co ona ma na myśli, mówiąc: wróciłaś do nas?

— Bea, co jest grane? — Poruszam ustami, ale z gardła wydobywa mi się tylko ochryply skrzek. Chwileczkę, co to ma być? — Gdzie, do diabła, jestem? — Znów próbuję zapytać, ale słyszę tylko jakiś charkot. Ogarnia mnie panika. O mój Boże, czy to ja?

— Sostro! Sostro! Proszę tu szybko przyjść! Sostro? Cholera jasna, gdzie jestem?

Chcę usiąść i przeszywa mnie dojmujący ból.

— Auuu! — wrzeszczę i tym razem jest to prawdziwy wrzask, nie zachrypnięte miauknięcie.

— Spokojnie, spokojnie, proszę się nie ruszać... Widzę, że zbliża się do mnie ktoś w bieli. Przez chwilę

myślę, że to anioł, ale potem czuję parę ciepłych, pulchnych rąk, które układają mnie z powrotem na poduszce, i słyszę głos z silnym jamajskim akcentem:

— Miała pani paskudny wypadek.

— He?

Patrzę na nią zamglonym wzrokiem i staram się zrozumieć, co się dzieje. Czuję się, jakbym próbowała uruchomić mózg na siłę, niczym mój stary samochód z wyczerpanym akumulatorem; wciskam w myślach pedał gazu i pompuję z furją, ale na próżno — akumulator mojego mózgu całkiem wysiadł.

— Proszę teraz spokojnie leżeć — mówi pielęgniarka, poklepując mnie kojąco po ramieniu. — Pójdę po lekarza — dodaje i znika z pola mojego widzenia.

Dopiero teraz coś zaczyna do mnie docierać. Jestem w łóżku. W szpitalu. To jeszcze nie powoduje efektu domina i lawiny wspomnień, ale od czegoś trzeba zacząć.

— Jak się czujesz? — słyszę szept.

Patrzę w bok i znów widzę Beatrice. Zapomniałam, że tu siedzi. Jak mówiłam, nie jestem w najlepszej formie.

— Eee... miewałam się lepiej — udaje mi się zaskrzeczeć dowcipnie.

Wzrok mi się już wyostrzył i zauważam, że ma cienie pod oczami i potargane włosy. Wygląda, jakby od paru nocy nie spała.

— Ależ nam dałaś popalić — karci mnie z bladym uśmiechem.

— Co się stało? — wydobywam z siebie w końcu dręczące mnie pytanie.

— Miałaś wypadek samochodowy.
— Wypadek samochodowy? — powtarzam wstrząśnięta.
— Czołowe zderzenie z ciężarówką— potwierdza z ponurą miną. —
Szofer ciężarówki wyszedł z tego bez szwanku. Ty nieco gorzej: masz
złamane trzy żebra, zgruchotane lewe ramię...
To by tłumaczyło ból, uświadamiam sobie; instynktownie poruszam
ramieniem i czuję ostre rwanie.
— ...przebite płuco — kontynuuje Beatrice, wyliczając moje
obrażenia na palcach — i ranę na lewej skroni, która wymagała
dwunastu szwów.
Automatycznie wędruję ręką do głowy i odkrywam, że jest
zabandażowana. Nagle zdaję sobie sprawę, że pęka mi z bólu.
— Przez ostatnie dwie doby traciłaś i odzyskiwałaś przytomność.
Jesteś na morfinie.
— Dwie doby? — Patrzę na nią zdumiona.
— Czuwałam przy tobie na okrągło. Uśmiecham się z wdzięcznością.
— Miałaś bardzo wiele szczęścia, Charlotte.
Leżę w szpitalnym łóżku i staram się wszystko ogarnąć: to, że byłam
przez dwie doby nieprzytomna, że miałam czołowe zderzenie, że mam
połamane kości, że mogłam zginąć... Oczy mi wilgotnieją i bez
ostrzeżenia zalewam się łzami.
— O kurczę, masz tu chusteczkę — spieszy mi z pomocą Beatrice. —
Jesteś w szoku.
Kiwam tępo głową i wycieram nos sprawną ręką.
— Przepraszam, że się mażę.
— Nie wygłupiaj się — prycha Beatrice. — Ja na twoim miejscu
ryczałabym jak bóbr. Przecież mogłaś stracić życie, zostać ciężko
rana albo okaleczona nie do poznania i musiałabyś przechodzić jedną
z tych transplantacji twarzy, o których czytałam w „New Scientist”. —
Widzi moją minę i ury-

wa. — Nie żebyś tego potrzebowała, oczywiście — dodaje szybko.
— Po prostu nic nie rozumiem... — chlipię, przedzierając się mozolnie przez mgłę, która zasnuwa mi umysł, do początku wydarzeń: konferencja prasowa, znalezienie adresu, rajd do mojego dawnego domu, objazd, skrót, Julian.

— Policja twierdzi, że jechałaś pod prąd jednokierunkową ulicą. Przeszaję się nosem i protestuję.

— Co? To niemożliwe...

— Wygląda na to, że znak drogowy został zasłonięty przez drzewa. Złożyłam już skargę w radzie miasta, to skandaliczne zaniedbanie, stanowiące zagrożenie dla życia.

Moja pewność zaczyna się chwiać. Teraz, kiedy o tym myślę, samochody rzeczywiście były zawsze zaparkowane w jedną stronę i nigdy nie widziałam, żeby ktoś jechał w innym kierunku oprócz...

— Nie, to bez sensu — upieram się od nowa. — Widziałam siebie...
— Szybko gryzę się w język. — To znaczy, widziałam dziewczynę w starym garbusie, która jechała w drugą stronę.

Beatrice patrzy na mnie ze współczuciem.

— Sądzę, że jesteś trochę skołowana. To jeden z efektów ubocznych morfiny, zwłaszcza w tak wysokiej dawce. — Wskazuje na kroplówkę, do której jestem podłączona. — Może powodować zwidy.

W jednym ma rację. Jestem skołowana.

— To naprawdę silny narkotyk. Wiem coś o tym dzięki studiom w Cambridge.

— Myślałam, że studiowałaś matematykę i fizykę — mówię jeszcze bardziej skonsternowana.

— Owszem, ale chodziłam też na zajęcia z chemii dla czystej przyjemności.

Patrzę na nią z niedowierzaniem. Tak, naprawdę to powiedziała. Nie przestyszałam się.

— Morfina to główny stosowany w leczeniu alkaloid opium — ciągnie z ożywieniem — i jak inne opiaty działa bezpośrednio na centralny system nerwowy, uśmierzając ból. Jednak jednym ze skutków ubocznych mogą być niesłychanie sugestywne sny. Nawet sama nazwa morfina pochodzi od Morfeusza, greckiego boga snu.

— Co? Twierdzisz, że to wszystko mi się przyśniło? — pytam z powątpiewaniem.

— Zupełnie możliwe — potwierdza rzeczowo. — Mówiłaś przez sen różne dziwne rzeczy. Coś o Lottie... Ollym... klubowaniu. — Parska śmiechem. — Więc już wiedziałam, że musi ci się to śnić. Sama przyznaj, ty i klubowanie? Bez obrazy, ale kiedy któraś z nas była ostatnio w klubie?

Rzeczywiście, to brzmi dość nedorzecznie. Powieki ze znużenia same mi opadają. Ledwo odzyskałam przytomność i trochę za dużo tych wrażeń. Boję się, że głowa mi pęknie od nadmiaru rewelacji.

— Ale nie martw się. To całkiem normalne — zapewnia mnie szybko. — W gruncie rzeczy opisano wiele przypadków ludzi, którzy mieli nie tylko cudowne fantazje senne, ale także wizje, halucynacje, a nawet sny klarowne.

Otwieram oczy.

— Co to jest klarowny sen? — pytam, marszcząc brwi i krzywiąc się, kiedy zaczyna mi pulsować w skroniach.

— To taki stan, w którym czujesz się kompletnie przytomna, ale tak naprawdę jesteś głęboko uśpiona — tłumaczy, częstując się winogronem z kiści przy moim łóżku. — Coś ci się śni, ale tak wyraźnie, jakby działo się w prawdziwym życiu. Gdzieś idziesz, kogoś spotykasz, coś robisz. To jakby rzeczywistość wirtualna.

Nagle przypominam sobie ten moment, kiedy po raz pierwszy spotkałam w pubie Lottie i pomyślałam: o ile, oczywiście, to nie jest jakiś zwariowany sen, a ja zaraz uszczypnę się i obudzę, żeby znaleźć Bobby'ego Ewinga pod prysznicem. Lub coś podobnego.

— Właściwie to jest niesłychanie fascynujące. — Uśmiecha się Beatrice.

Jej słowa przyprawiają mnie o gęsią skórkę. Co ona mówi? Co to znaczy? Że wszystko, co brałam za rzeczywistość, wcale się nie zdarzyło? Kiedy dociera do mnie ta myśl, moja wiara we własne przeżycia zostaje mocno zachwiana. O mój Boże, czy mam rozumieć, że to rzeczywiście był tylko zwariowany sen wywołany przez morfinę? Że nie spotkałam swojego młodszego wcielenia? Że nic tak naprawdę się nie zdarzyło?

— A konferencja prasowa z Lanym Goldsteinem? To też mi się przyśniło?

Mam mętlik w głowie. Staram się jakoś powiązać jedno z drugim, ale jestem kompletnie zdezorientowana. Już nie wiem, co jest prawdą, a co nie jest; w co wierzyć, a w co nie wierzyć.

— O nie, konferencja z całą pewnością miała miejsce. — Beatrice kiwa głową stanowczo.

— I czy ja...?

— Tak, powiedziałaś mu, gdzie może sobie wsadzić swoją śmierdzącą ofertę — kończy z lekkim rozbawieniem. — Metaforycznie rzecz biorąc, oczywiście.

Uśmiecham się po raz pierwszy w tym dniu.

— Skoro już o tym mowa... — Wyciąga pismo branżowe. — Wydał oświadczenie, że postanowił powstrzymać się z ekspansją do Wielkiej Brytanii z powodu niekorzystnych trendów ekonomicznych i skoncentruje się na razie na interesach w Stanach.

Podaje mi gazetę, żebym sama przeczytała. A więc dziadek Olivera zachowa jednak swój sklep, uświadamiam sobie z radością, którą zaraz przyćmiewa smutek na myśl o Oliverze. Szybko się karcę. Nie ma sensu się roztkliwiać. To już skończone.

— Jeśli nadal czujesz się trochę zagubiona, mogę przejrzeć kalendarz z zeszłego tygodnia. To ci przypomni wiele rzeczy. — Patrzę znad gazety, jak wyjmuję laptop z futerału. — Wzięłam go ze sobą, żeby być w kontakcie z biurem.

— Dzięki, to się może okazać naprawdę pomocne. — Uśmiecham się z wdzięcznością i obiecuję sobie nigdy już nie żartować z jej kalendarza.

Kładzie laptop na kolanach, zakłada włosy za uszy i mrużąc oczy, wpatruje się w monitor.

— No więc w poniedziałek byłaś na lunchu służbowym u Wolseleya, a potem na kolacji z Milesem w jakimś nowym gastropubie.

To był pierwszy dzień, kiedy zobaczyłam samą siebie na światłach, myślę mimo woli.

— We wtorek spotkałaś się na lunchu z Lanym Goldsteinem.

A później tego wieczoru pojechałam za sobą do mojego dawnego domu.

— W środę byłaś u lekarza.

— Bo myślałam, że mam halucynacje — wtrącam z nagłym ożywieniem. — Ale nie miałam. To, co widziałam, działa się naprawdę.

Beatrice patrzy na mnie z powątpiewaniem.

— Hm... no cóż, z jego notatek wynika, że cierpisz na stres: tutejsi lekarze mieli po wypadku wgląd w twoją kartę.

Czuję się nieco oszołomiona. Budzę się w szpitalu i mówią mi, że miałam wypadek samochodowy, którego nie pamiętam,

co jest wystarczająco frustrujące, a kiedy na dodatek słyszę, że to, co pamiętam, wcale się nie zdarzyło, to już doprawdy można oszaleć.

— Nie martw się — pociesza mnie Beatrice. — Mnie się kiedyś śniło, że poszłam do doktora, a kiedy się rozebrałam do badania, zamienił się nagle w mojego starego wuja Harolda! — mówi zde gustowana. — To był dopiero koszmar! — Wzdryga się i wraca do terminarza na ekranie. — Na czym skończyłam? Aha, później po południu byłyśmy na otwarciu spa.

— I rozmawiałyśmy o podróży w czasie. Beatrice patrzy na mnie pustym wzrokiem.

— Tak? Cholera, byłam tak pijana, że nie zapamiętałabym nawet rozmowy z Bradem Pittem.

Jestem nieco rozczarowana. Może rzeczywiście nie pamięta, a może taka wymiana zdań między nami nigdy nie miała miejsca, przyznaję sama przed sobą niechętnie.

— W czwartek wieczorem jadłaś kolację z Lanym Goldsteinem w jego hotelu.

— A potem poszłam na koncert Opętanego Geniusza — mówię niemal do siebie.

— Nie mam nic na temat koncertu. Poza tym dzwoniłam do ciebie wieczorem. Byłaś w domu, pamiętasz? — Rzuca mi pytające spojrzenie i zdaje sobie sprawę, że myślę na głos. — W piątek miałaś kolację urodzinową.

— A później poszłam na przyjęcie Lottie — mruczę.

— Nie, przykro mi. — Patrzy na mnie ze współczuciem. — O tym też nic nie ma.

A niby czemu miałyby być w jej kalendarzu? — mówię sobie, ale wiem, że chwytam się każdej wątpliwości jak tonący brzytwy. Beatrice ma rację: mieszam fakty z urojeniami, w wydarzenia z ostatniego tygodnia wplątam własne

fantazje senne, wszystko mi się myli. Nieoczekiwanie ogarnia mnie smutek.

— Ale to było takie realne — wzdycham. — Naprawdę myślałam, że spotkałam samą siebie jako dwudziestojednoletnią dziewczynę, że się zaprzyjaźniłyśmy. Mogłabym przysiąc...

— Oj, mocno się pani oberwało, co? — Wchodzi lekarz i rzuca mi uśmiech. — Proszę się nie martwić, skutki morfiny szybko miną.

Czerwienię się z zażenowania. Doprawdy, co ja sobie wyobrażałam? Oczywiście, że to był tylko sen.

— Zobaczmy, jak się miewa pacjentka. — Podchodzi do łóżka i sprawdza wnikliwie moją kartę. — Rentgen w porządku, wyniki badań też. — Kiwa głową z zadowoleniem i ogląda mi czoło. — Goi się bardzo ładnie. — Uśmiecha się ciepło i zdaję sobie sprawę, że musi być niewiele starszy ode mnie. — Na wszelki wypadek zatrzymamy panią do jutra, ale rano możemy już panią wypisać.

— Jak długo będę miała niesprawne ramię?

— Za dwa tygodnie powinniśmy zacząć fizjoterapię, ale obawiam się, że przez jakiś czas nie będzie pani mogła prowadzić samochodu.

— Dziękuję — mówię, wdzięczna losowi, że nie zostanę na zawsze kaleką.

— Nie ma za co. Wpadnę później sprawdzić, czy wszystko w porządku. Do zobaczenia, Charlotte. Do zobaczenia, Beatrice.

— Dzięki, doktorze. — Ich spojrzenia się krzyżują i moja asystentka płoni się jak pensjonarka.

Chwileczkę... coś zaczynam przeczuwać.

— Czy widziałam, jak na siebie patrzycie, czy też mi się to tylko śniło? — pytam, kiedy doktor wychodzi.

Beatrice z trudem odrywa wzrok od drzwi i patrzy na mnie z rozpromienioną miną.

— Prawda, że jest boski? Nie kryję zdumienia.

— Flirtujesz z moim lekarzem?

— Ma na imię Hamish. Poznaliśmy się, kiedy cię tu przywieźli, i od tej pory ciągle na siebie wpadamy. A to przy automacie z kawą, a to w bufecie. Ma nocne dyżury, rozumiesz.

— Teraz wiem, dlaczego cały czas przy mnie czuwasz. — Uśmiecham się.

— Nie, wcale nie dlatego! — zaprzecza z oburzeniem. — Martwiłam się o ciebie dzień i noc.

— Żartowałam, Beatrice — dodaję szybko i jej oburzenie ustępuje miejsca rozmarzeniu.

— Chyba się zakochałam — zwierza się szeptem. — To pierwszy facet, któremu nie przeszkadzają moje naukowe zainteresowania. Prawdę mówiąc, wczoraj dyskutowaliśmy zawzięcie o aparatach rentgenowskich i promieniowaniu.

— A co z Pablem, nauczycielem salsy? — droczę się z nią.

— Och, jeszcze ci nie powiedziałam! No cóż... więc on... — Urywa i bierze głęboki oddech, jakby szykowała się do przekazania mi jakiejś szokującej wiadomości. — Kiedy byłam w klubie salsy w poniedziałek wieczorem, przedstawił mi Julia, swojego chłopaka! — Oczy robią się jej okrągłe jak spodki. — Okazuje się, że jest gejem! Wyobrażasz sobie?

— Nauczyciel salsy gejem? Coś podobnego! — mówię z ironią, która całkiem jej umyka.

— No właśnie. Kurczę, kto by pomyślał! — Potrząsa głową. — Ale cieszę się, że są szczęśliwi. Przepięknie tańczyli razem fandango.

— O mój Boże, obudziła się!

Zwierzenia Beatrice przerywa pojawienie się moich rodziców, którzy widząc mnie siedzącą na łóżku, są zarazem wstrząśnięci i zachwyceni.

— Davidzie, obudziła się! — powtarza mama, wciska ojcu plastikowy kubek z kawą i biegnie do mnie z rozpostartymi ramionami.

— Charlotte, obudziłaś się!

— Tak, mam, tak... — Uśmiecham się z czułością, ogarnia mnie fala spokoju i ukojenia. Jeszcze nigdy ich widok nie sprawił mi takiej radości.

— Moja mała dziewczynka... — mówi mama pieścotliwie, z twarzą pełną troski.

— Twoi rodzice pełnili przy tobie wartę na zmianę ze mną — wtrąca Beatrice.

— Wyskoczyliśmy tylko na chwilę coś przegryźć, twój ojciec był głodny — usprawiedliwia się mama, a tato macha do mnie z zakłopotaniem na wpół zjedzonym sandwiczem. — Przyjechaliśmy natychmiast, kiedy dowiedzieliśmy się o wypadku.

— Cóż, skoro góra nie przysłała do Mahometa... — Uśmiecha się ojciec. Odstawił jedzenie i picie na krzesło przy łóżku i głaszcze mnie czule po policzku, jak w dzieciństwie. Robi mi się ciepło na sercu, znikają gdzieś całe miesiące, kiedy się nie widzieliśmy, zupełnie jakbyśmy się nigdy nie rozstawali.

— Tak się baliśmy o ciebie! Dzięki Bogu, że odzyskałaś przytomność — ciągnie mama.

— Wszystko będzie dobrze, nie martw się — pocieszam ją. — I przepraszam, że wtedy nie oddzwoniłam.

— Nie bądź niemądra — prychna na moje przeprosiny. — To nieważne. Ważne jest tylko, żebyś wyzdrowiała.

Ścisła mnie za rękę i kiedy nasze oczy się spotykają, wiem, że nie muszę nic mówić. Nie muszę mówić, że ją kocham

ani że chciałam im złożyć niezapowiedzianą wizytę, bo za nimi tęskniłam — rodzice mają to do siebie, że nie trzeba im nic tłumaczyć, sami wiedzą.

— Zobaczysz, za parę tygodni znów zaczniesz ci suszyć głowę o wnuki — chichocze tato, a mama rzuca mu wściekłe spojrzenie. — Tylko żartowałam, kochanie — broni się, puszczając do mnie oko.

— Idę po komitet powitalny — oznajmia Beatrice. — Chyba że chcecie jeszcze chwilę побыć sami.

— Jaki komitet?

— Twój goście! — wykrzykuje. — Wszyscy się tak o ciebie martwili! Są w poczekalni. Do tej pory wolno tu było wejść tylko rodzinie... musiałam skłonić lekarza, żeby przymknął oko — wyznaje konfidencjonalnie. — Więc jeśli czujesz się na siłach...

— Jasne, oczywiście. — Kiwam głową, starając się wyprostować. Jejku, goście. Kiedy Beatrice znika, robię wysiłek, żeby przyczesać włosy i poprawić górę od pizamy, potem daję za wygraną. W końcu miałam zderzenie czołowe; trudno oczekiwać, żebym wyglądała olśniewająco, prawda?

— A więc nasza Śpiąca Królewna nareszcie się obudziła? Do pokoju zamaszystym krokiem wkracza Vanessa. Próbuję się roześmiać, ale bez powodzenia. Au!

— Ależ nas przestraszyłaś! — Obdarza mnie szerokim uśmiechem. — Julian rozmawiał z tobą przez telefon, kiedy się to stało.

— I tak, uprzedzając twoje pytanie, ona już wie o niespodziance — mówi Julian, pojawiając się u jej boku.

— Ładna niespodzianka, raczej cholerny szok! — Daje mu żartobliwego kuksańca. — Sam miał niezłą niespodziankę, kiedy się dowiedział, jaki noszę numer stanika, co, kochanie?

Julian uśmiecha się z zakłopotaniem i obejmuje żonę ramieniem, przyciągając ją do siebie.

— Nie znałem twoich rozmiarów, więc ekspedientka spytała, do kogo ze sławnych osób jesteś podobna. Powiedziałem: „To łatwe. Cate Blanchett”.

Vanessa się rozjaśnia.

— Teraz już pamiętam, dlaczego się w tobie zakochałam! — Wymieniają spojrzenie, które świadczy, że między nimi kwitnie miłość. — No powiedz, jak się czujesz, skarbie — zwraca się do mnie ze współczuciem.

— Jakbym miała gigantycznego kaca. — Krzywię się, pocierając skronie, które znów zaczynają mi pulsować.

— Najważniejsze, że wyszłaś z tego cało. Kiedy pomyślę, jak to się mogło skończyć... Takie rzeczy nam uświadamiają, co jest naprawdę istotne, prawda? — dodaje cicho i nie wiem, czy mówi o mnie, o sobie, czy o nas obu.

— Pora, żeby Charlotte wypoczęła. — Beatrice wkracza do akcji, przejmując rządy.

Wszyscy potulnie zbierają się do wyjścia; rodzice całują mnie na pożegnanie.

— Nie potrzebujesz czegoś? Mogę wstąpić do sklepu i ci kupić. — Mama zaczyna się ociągać, ale tato delikatnie ją wyprowadza, obiecując wizytę jutro z samego rana.

Zostaję sama z Beatrice.

— Ja też już pójdę — oznajmia. — Mam randkę. — Mruga do mnie porozumiewawczo.

— Dzięki, Bea. Za wszystko — mówię z wdzięcznością.

— Nie ma sprawy. To wliczone w pakiet usług. — Sięga po płaszcz i torebkę. — Aaa, byłabym zapomniała, przyniosłam ci twoją pocztę. Większość to chyba życzenia powrotu do zdrowia. — Zostawia mi stosik przy łóżku i znika.

Pokój jest pusty i cichy, a ja w końcu sama. Wyczerpana,

rozglądam się wokół i dopiero teraz zauważam, ile tu kwiatów. Oddycham głęboko i oswajam się z nową rzeczywistością.

A więc to tak. Wszystko rozegrało się tylko w mojej wyobraźni. Wydawało się takie realne, ale przecież nie mogło zdarzyć się naprawdę. Uśmiecham się do siebie. Trochę mi smutno, że to były tylko omamy, że nie spotkałam siebie jako dwudziestjednolatki, jednak w głębi serca czuję, że połączyła nas bliska więź.

Poza tym, powiedzmy sobie szczerze, był to bardzo przyjemny sen. Z pewnością miłszy od takiego, w którym wypadają ci zęby.

Mój wzrok pada na stosik poczty. Widzę, że mam sprawne palce, tylko nie powinnam ruszać lewym ramieniem, więc zabieram się do otwierania listów. Jeden jest od Melody z odcisniętym szminką pocałunkiem, kilka od moich klientów i kartka od Milesa:

Przykro mi, że miałaś wypadek. Życzę szybkiego powrotu, do zdrowia..

PS Wytopiłaś tę polisę ubezpieczeniowa o której Ci mówiłem'? Jeśli tak, będziesz mogła, wystąpić o odszkodowanie.

Uśmiecham się do siebie i dziękuję mu w myślach. Pocziwy Miles, zawsze można na niego liczyć. Sięgam po następną kopertę: jest pokryta różnymi adresami i znaczkami, jakby odbyła długą wędrówkę, zanim trafiła pod właściwy adres. Zauważam, że to wszystko adresy z moich poprzednich miejsc zamieszkania. Bardzo intrygujące. Ciekawe, kto mnie tak ściga? Rozdzieram kopertę i w tym momencie słyszę ciche pukanie do drzwi.

Podnoszę oczy, pewna, że to pielęgniarka przyszła sprawdzić, jak się czuję.

Serce mi staje. To Oliver.

— Cześć. — Z nieśmiałym uśmiechem zatrzymuje się w progu. — Zadzwoń do biura i twoja asystentka mi powiedziała, że miałaś dość paskudny wypadek.

— Tak, dość paskudny — potwierdzam; serce wali mi teraz jak młot. Jestem absurdalnie zdenerwowana.

— Słyszałem, że jedzenie szpitalne nie jest najlepsze, więc przyniosłem ci danie z pubu. Świeży łosoś, młode ziemniaczki, grillowane szparagi.

— Eee... dziękuję. — Głos mi drży.

— Mam nadzieję, że się nie zatrujesz — dodaje i śmieje się nerwowo. Odpowiadam uśmiechem, zapada cisza, oboje milkniemy.

Co jest dziwne, bo mam mu tyle do powiedzenia; desperacko buduję w myślach skomplikowane zdania i nagle niespodziewanie dla siebie wypalam:

— Przepraszam.

— Przepraszam.

Mówimy jednocześnie i wybuchamy śmiechem z charakterystyczną mieszaniną ulgi i zażenowania.

— Mam rzucić monetę, kto będzie pierwszy przeproszał? — pyta, podnosząc brew.

— Posłuchaj, wcale nie chciałam tego powiedzieć... — dukam.

— Ja też nie — przerywa. — Może zawrzemy pokój? I zaczniemy wszystko od nowa?

Zapala się we mnie małeńka iskierka nadziei, promyczek słońca wygląda zza czarnych chmur, które zasnuły horyzont po naszej kłótni.

— Widzę, że dostałaś mnóstwo życzeń szybkiego powrotu do zdrowia? — Wskazuje na stosik przede mną.

— Tak, rzeczywiście. — Kiwam głową, patrzę na list trzymany w ręce i wyciągam go z koperty.

Tylko że to nie list. To mandat. Nie wierzę własnym oczom. Te cholerne mandaty parkingowe znajdą cię nawet w szpitalu, myślę, przewiercając go wzrokiem. I wtedy zauważam, że jest stary i wyblakły. Hm... to dziwne. Zagłębiam się w szczegóły.

Marka/model samochodu: VW 1300 Przekroczenie: Parkowanie w niedozwolonym miejscu Godzina: 18.28

Mój żołądek robi fikołka.

Data: 21-08-1997

Przez sekundę siedzę bez ruchu, jak skamieniała. Potem wraca mi jasność umysłu. A więc to się naprawdę zdarzyło, to nie był sen. To mandat, który dostałam, kiedy po raz pierwszy jechałam za sobą. Rzuciłam go na ziemię, ale służby miejskie mają swoje kopie. I nigdy nie odpuszczają, nawet po dziesięciu latach. Na tę myśl na twarz wypływa mi szeroki uśmiech.

— Co to jest? — pyta Oliver zdumiony.

— Och, nic takiego — zbywam pytanie, starając się zdusić zbyt widoczną radość. — Stary mandat.

— Coś podobnego, nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak się cieszył z mandatu — mówi z rozbawieniem.

Śmieję się; myśli wirują mi jak oszalałe, rozsypane kawałki układanki powoli wracają na swoje miejsce. Co dotyczy także mnie i Olivera. Który nadal stoi w drzwiach.

— Może wejdiesz i usiądziesz? Zostaniesz chwilę? —

proponuję nieśmiało. — Jeśli chcesz, oczywiście — dodaję szybko, bo przecież mógł wpaść tylko z czystej uprzejmości. — Pewno musisz wracać do pracy w pubie. O Boże, jeśli pójdzie, to nie wiem, co zrobię.

— Właściwie miałem zamiar wziąć sobie wolny wieczór — mówi. — Nie należy zostawiać pacjentki całkiem samej, prawda? — Jego potężna postać opada na plastikowe krzesło przy łóżku.

— A możesz sobie na to pozwolić? — pytam z niepokojem i skrywaną radością. — Nie chciałabym, żebyś miał przeze mnie kłopoty z szefem.

— To mi nie grozi, zwłaszcza że ja jestem szefem.

— Szefem? — powtarzam z niedowierzaniem.

— Tak, jestem właścicielem tego pubu i jeszcze dwóch innych w Londynie. Nie wspominałem o tym?

Zdaję sobie sprawę, że patrzę na niego oczami okrągłymi jak spodki.

— Ale tak naprawdę chciałbym w przyszłości otworzyć następny pub gdzieś za granicą... we Francji albo może we Włoszech.

Robię się czerwona jak burak. I pomyśleć, że nazwałam go „zaledwie barmanem”.

— Nie wiedziałam — mamrocę zażenowana.

— Jest jeszcze wiele rzeczy, których o sobie nie wiemy. — Nasze spojrzenia się krzyżują. — Gdy wyjdiesz ze szpitala, przyjdzie pora to nadrobić... — Milknie i patrzymy na siebie, jakbyśmy myśleli o tym samym. — Aaa... przy okazji... zanim zapomnę... — Grzebie w kieszeni. — Znalazłem go.

— Mój zegarek! — wykrzykuję. Kiedy mi go podaje i nasze ręce się stykają, przebiega mi dreszcz po plecach. — Ktoś go kopnął do kąta. Chyba przedtem musiał go przydeptać.

Teraz widzę, że zegarek jest zepsuty. Wskazówki stoją w miejscu. Czas całkiem dosłownie się zatrzymał.

— Mogę go oddać do naprawy, jeśli chcesz — oferuje się Oliver.

Nadal trzyma mnie za rękę. Zaciskam palce wokół jego palców i patrzę mu głęboko w oczy, marząc, żeby ta chwila trwała wiecznie.

— Nie ma pośpiechu. — Uśmiecham się. — Nie ma żadnego pośpiechu.

Rozdział czterdziesty

Dziewięć miesięcy później

— *Pardon, monsier? Combien!* — pytam. Straganiarz, staruszek w berecie i z gauloisem przyklejonym

do dolnej wargi, uśmiecha się do mnie, jakbym była rodowitą Francuzką, i kiedy już myślę, że moja mizerna francuszczyzna i obcy akcent może nie są tak złe, zalewa mnie potokiem słów, których ni w ząb nie rozumiem.

— Eee... — Grzebię w portfelu i wymachuję banknotem w euro. — Tyle będzie okay?

Tak, przyznaję się: próbuję udawać, że mówię po francusku, wznosząc głos na końcu każdego zdania, co mi niewiele pomaga, ale uparłam się kupić tę fantastyczną parę wiszących kolczyków.

Straganiarz bierze banknot, podaje mi resztę i kolczyki; pełna zachwyty wymieniam z nim całe mnóstwo uśmiechów i potakiwań. Jak się okazuje, w końcu wszyscy mówimy tym samym językiem — ukontentowana zakładam kolczyki i potrząsam głową przed lustrem. Tańczą w jasnym czerwcowym słońcu, błyszcząc srebrem i różowymi szkiełkami. Są o tyle ładniejsze od tamtych perłowych!

Macham ręką staruszkowi, mówię *au revoir* (tyle potrafię) i kontynuuję spacer między labiryntem straganów, na których sprzedaje się wszystko: od wyszukanej biżuterii po modne ciuchy i torebki wszystkich kolorów, wielkości i kształtów. Kurczę, to jedno z najlepszych targowisk, na jakich byłam — znów zaglądam do swojego przewodnika: „Najsławniejszy pchli targ w Paryżu znajduje się w Porte de Clignancourt i oficjalnie jest zwany Les Puces de Saint-Ouen, ale wszyscy mówią na niego po prostu Les Puces (Pchły)”.

— Les Puces — powtarzam na głos, wdychając aromatyczne zapachy z pobliskich stoisk z żywnością: pysznych, słodkich, cukrowych *crêpes*, smakowitych *croques-monsieur*, świeżo parzonej *café au lait*. Mmm... ciekawe, czy już pora na lunch? — zastanawiam się mimo woli, przenosząc się ze stoiska na stoisko, jak pszczoła fruująca z kwiatka na kwiatek.

W dawnych czasach wiedziałabym dokładnie, która godzina. Sprawdziłabym to już setki razy, ale teraz nie noszę zegarka. A komórkę zostawiłam w hotelu. Oglądam truskawkowo-różową jedwabną sukienkę, która przyciągnęła mój wzrok. Jestem całkowicie pozbawiona komunikacji ze światem i czuję się z tym cudownie. Nie dzwonią żadne telefony. Nie buczy BlackBerry. Nie przychodzą e-maile. Mogę wreszcie porozmawiać z kimś bez przeszkód dłużej niż dwie minuty.

Chociaż raczej nie po francusku, przyznaję, i wracam do języka migowego, starając się wytłumaczyć straganiarce, że chcę większy rozmiar.

Na szczęście nie muszę już nosić ze sobą telefonu. Zaproponowałam Béatrice, żeby została moją współpracowniczką i powierzyłam jej pełną kontrolę nad firmą. Prawdę mówiąc, żałuję, że nie zrobiłam tego wcześniej. Porusza się w interesach jak ryba w wodzie, zaangażowała więcej pracowników,

wynajęła większe biuro, przyjęła kolejnych klientów. Agencja kwitnie jak nigdy dotąd.

A ja? Wzięłam dłuższy urlop, żeby skończyć moją powieść. I tak polubiłam pisanie, że może zacznę następną. Albo napiszę krótkie opowiadanie. Albo nawet jakiś scenariusz. Kto wie? Nie wybiegam myślą zbyt daleko w przyszłość. Żyję chwilą obecną, a w obecnej chwili robię to, co kocham. I kiedy ten głosik w głowie czasem pyta, czy jestem szczęśliwa, mogę bez wahania odpowiedzieć: tak. Całkowicie.

Przekupka z uśmiechem przynosi większy rozmiar. Przykładam sukienkę do ciała i oglądam się w lustrze. Zniknęła gdzieś zestresowana, ufryzowana, starannie umalowana kobieta, jaką byłam. W jej miejsce pojawił się ktoś, kto pozwala włosom schnąć naturalnie, używa tylko odrobiny błyszczczyka i nie pamięta, kiedy ostatni raz miał egzemę. Poza tym przez ostatnie miesiące nieco przytyłam z powodu niefrasobliwego podejścia do diety, ale wyglądam z tym lepiej, a nawet młodziej, bo moja twarz nie jest tak mizerna. No i piersi mi urosły, a tej sukience zdecydowanie należy się pełny biust. Próbuję targować się po francusku, w końcu daję za wygraną i płacę pełną cenę. Ale nie psuje mi to humoru — to tylko zabawa, część rytuału. Pchli targ to jedna z rzeczy, jaką odkryłam na nowo dzięki mojemu młodszemu wcieleniu. Przynajmniej tak myślę. Chociaż teraz, kiedy patrzę wstecz, nie jestem już całkiem pewna...

Od mojego wypadku minęło dziewięć miesięcy. Kości mi się zrosły, blizna na skroni wyblakła, wraz z pewnością, co się poprzednio zdarzyło. Albo nie zdarzyło. Bo z upływem czasu zatarła się granica między rzeczywistością a wyobraźnią, między tym, w co wierzę, a w co chcę wierzyć. Nie jestem już taka przekonana, że tamtego ranka zobaczyłam samą siebie na światłach, że spędziłam tydzień ze swoim młodszym

wcieleniem, poznając lepiej tę dziewczynę i siebie. W końcu, powiedzmy sobie szczerze, to nie brzmi zbyt wiarygodnie. Właściwie nawet brzmi trochę jak bełkot.

Długo się zastanawiałam, czy Beatrice nie miała racji i czy mi się to wszystko nie przyśniło. Na dokładkę mandat parkingowy zniknął bez śladu. Szukałam go po wyjściu ze szpitala, żeby sprawdzić datę, ale ktoś musiał go niechcący wyrzucić. Ponadto, kiedy odzyskałam przytomność, byłam nieco otumaniona. Mogłam się pomylić, źle odczytać datę, coś pokręcić. A kiedy wy dobrzałam na tyle, żeby znów prowadzić samochód, objazd był skasowany, a w moim dawnym domu drzwi otworzyła mi jakaś młoda para z dzieckiem.

Idę przez targ, przeczesując wzrokiem stragany w poszukiwaniu okazji. Jednak jest jedna rzecz, która nie daje mi spokoju. Policjant, który zadzwonił przesłuchać mnie w związku z wypadkiem, powiedział, że ulica była dwukierunkowa do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego. Zgodnie z dokumentacją ruch drogowy został puszczony w jednym kierunku jakieś dziesięć lat temu po groźnym zderzeniu czołowym. „Protokół policyjny zaginał, ale coś mi się kołacze w pamięci, że chodziło o ciężarówkę i samochód osobowy”, poinformował mnie przez telefon. „Co za zbieg okoliczności”.

Więc jednak może to wszystko naprawdę się zdarzyło. Lubię w to wierzyć, choć kto wie? Kusilo mnie, żeby wystukać w Google'u hasło: morfina i sny, ale przypomniałam sobie, co powiedział lekarz. Staram się wyjść z nałogu i nie tykać wyszukiwarki. Jestem czysta już od dziewięciu miesięcy.

Więc w końcu spotkałam swoje młodsze wcielenie czy nie? Może był to jedynie wytwór mojej wyobraźni, wynik podświadomego marzenia, żeby odnaleźć siebie, które spełniło

się dosłownie? Chyba nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie. Jedno wiem na pewno: zmieniłam się. Nie jestem już tą spiętą trzydziestolatką, jaką byłam przed wypadkiem. Nauczyłam się odpoczywać, bawić, jeździć na wakacje.

— Zamówiłem ci kieliszek rose.

Oliver czeka już na mnie przy stoliku ulicznej kawiarenki, w której się umówiliśmy. W okularach przeciwsłonecznych, z podwiniętymi rękawami koszuli, popija piwo i studiuje menu. Wszędzie studiuje karty dań, szukając interesujących nowych połączeń smakowych albo niezwykłych potraw.

— Dzięki. — Całuję go z uśmiechem, a on obejmuje mnie opalonym ramieniem i przyciąga na kolana. Popijam chłodne wino. — Mmm, co za rozkosz... — wzdygam i nie mam na myśli tylko wina.

Przyjechaliśmy na weekend do Paryża. Wreszcie wykorzystałam te bilety, które Vanessa dała mi w zeszłym roku na urodziny. Wsiadliśmy w pociąg Eurostar w piątek i zatrzymaliśmy się w pięknym hotelu z własnym spa i restauracją odznaczoną gwiazdkami Michelina. Chociaż i tak większość czasu spędzamy w sypialni, jeśli wiecie, co chcę przez to powiedzieć.

— Więc co sobie kupiłaś? — pyta i podnosi oczy do nieba. — Nie mów, wszystko!

Śmieję się i pokazuję mu swoje zdobycze. Wydaje stosowne ochy i achy na widok moich kolczyków, podziwia sukienkę (a nawet zauważa, że będzie pasowała do nowych sandałów) i nie drwi ze mnie, kiedy wyciągam wazon w kształcie gitary. W pierwszej chwili mi się podobał. A co najważniejsze, Oliver nie mówi, że lepiej bym zrobiła, inwestując te pieniądze w konto oszczędnościowe. I za to go kocham.

Chociaż Oliver daje się kochać za mnóstwo rzeczy. Jest zabawny i uroczy, rozśmiesza mnie i nie obraża się, kiedy robię sobie z niego żarty. Co nie znaczy, że się nie kłócimy.

Bóg świadkiem, że potrafimy wrzeszczeć na siebie, aż iskry lecą. Ale szybko nam przechodzi, a potem oczywiście następuje pojednanie.

Nieraz zadawałam sobie pytanie, czemu straciliśmy tyle czasu, czemu trzeba było dziesięciu lat i pasma dziwnych okoliczności, żebyśmy się połączyli, ale rozumiałam, że lepiej się stało. Gdybyśmy się związali, kiedy byłam młodsza, nie umiałabym go w pełni docenić. I nie byłoby tak cudownie. Co dowodzi, że jednak z wiekiem zmądrzałam.

Tylko że teraz, kiedy przeniosłam się na krzesło, on zachowuje się jakoś dziwnie. Unika mojego wzroku i patrzy na boki.

— Co się stało?

— Nic — odpowiada z bladym uśmiechem i pociąga duży haust piwa.

Hm... coś tu wisi w powietrzu. Obserwuję go przez chwilę, starając się go rozgryźć, w końcu daję za wygraną.

— Może coś zamówimy? — proponuję wesoło.

— Eee... jasne. — Kiwa głową. — Wezmę to co ty.

Co przesądza sprawę. Oliver nigdy nie bierze tego co ja. Zawsze całe wieki deliberuje nad kartą, a potem zamawia wszystkie te niezwykle i niecodzienne kombinacje. Już otwieram usta, żeby to powiedzieć, kiedy nagle osuwa się na kolana.

A właściwie na jedno kolano.

Zapiera mi dech. O mój Boże, czy to znaczy to, co myślę? Podnosi głowę i patrzy mi w oczy. Chyba nigdy nie widziałam, żeby był tak zdenerwowany.

— Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia — mówi drżącym głosem. — Choć nawet mnie nie zauważałaś.

Próbuję zaprzeczać, ale mi przerywa.

— Nie, nie zauważałaś. — Upiera się ze smutkiem.

Czerwienię się.

— No dobrze, niech ci będzie.

— I wystawiłaś mnie do wiatru.

— Wcale nie! — protestuję głośno. — No, może i tak, ale tylko dlatego, że nie miałam adresu — bronię się zaciekle.

— A potem cię znów spotkałem i nienawidziłem. — Uśmiecha się.

— Nie, to ja cię nienawidziłam. — Oddaję mu uśmiech.

— Cóż, bardzo chciałem cię nienawidzić, ale kiedy sprzątnęłaś po Wellym... — Marszczy nos i wbija wzrok w ziemię. A potem podnosi głowę i przytrzymuje mnie spojrzeniem. — Zakochałem się w tobie od nowa.

Czuję, że zaschło mi w gardle; przełykam nerwowo ślinę.

— Charlotte, to już dziesięć lat, dziewięć miesięcy i dziewiętnaście dni. — Grzebie w kieszeni i wyciąga małe antyczne pudełeczko. — Czy zostaniesz moją żoną?

Kiedy wypowiada te słowa, serce robi mi fikołka.

Bez słowa podaje mi pudełeczko. Otwieram wieczko i znajduję w środku przepiękny staroświecki pierścionek. Ze szmaragdem w kształcie kwiatka. Mam dziwne wrażenie, że już go widziałam. Chwyta słońce i błyszczy w jasnych promieniach — wtedy sobie przypominam. Dziewięć miesięcy temu. Starsza kobieta przysiadła się do mnie na ławce. Nosila ten pierścionek. Ale to niemożliwe, chyba że...

Myśli wirują mi jak szalone.

Chyba że to byłam ja. Po latach. Moje starsze wcielenie rozmawiało z młodszym wcieleniem. Co ona powiedziała? „Życie nie jest skomplikowane. W gruncie rzeczy jest bardzo proste”.

Patrzę na pierścionek, targana burzą emocji, potem podnoszę wzrok na Olivera. Świat przestaje istnieć, liczy się tylko on i moja miłość. Nagle życie nabiera głębokiego sensu.

— Tak — mówię. Jedno słowo. Cóż może być prostszego?

Oliver rozjaśnia się szerokim uśmiechem, wsuwa mi pierścionek na palec, chwytą mnie w pasie, podnosi i zaczyna wirować, aż kręci nam się w głowach. Stawia mnie na ziemi, przytula i do utraty tchu całuje. Tutaj. W kafejce pośrodku paryskiego pchłego targu. Na oczach gapiów. Nie dbam o to. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa.

Wracam myślami do Lottie. To wszystko jeszcze przed nią — ma na co czekać. I gdybym nie wyrzuciła swojej listy dobrych rad, dodałabym do niej jeszcze jedną, tym razem otrzymaną od niej:

20. Nie rezygnuj z marzeń.

Dziękuję jej w duchu, uśmiecham się do Olivera i obejmuję go z całych sił. Choćby się waliło, paliło, tej rady mam zamiar się trzymać.

Gdybym wiedziała wtedy to, co wiem teraz.. Powiedziałabym sobie dziesięć rzeczy:

1. Używaj kremu z filtrem przeciwsłonecznym

Jak moja bohaterka, Charlotte Merryweather, jako dwudziestolatka kochałam słońce — przy pierwszych promieniach smarowałam się olejkiem i opalałam na ciemny brąz. Natomiast jako trzydziestolatka siedziałam na plaży w kapeluszu, w cieniu parasola, pokryta grubą warstwą kremu ochronnego SP45.

2. Kup mieszkanie w Notting Hill

Kiedy przeprowadziłam się do Londynu, wynajęłam tam pokój w dużym domu i zakochałam się w tej dzielnicy na długo przedtem, zanim powstał film o tym tytule, liczne chińskie restauracyjki i butiki z markową odzieżą. Wtedy mieszkanie tam kosztowało jedną dziesiątą tego co teraz, ale i tak wydawało mi się za drogie! Pomyśleć, że mogłam być teraz właścicielką wartej miliony funtów nieruchomości, prowadzić pogawędki przez płot z bogatymi i sławnymi sąsiadami, otrzymywać zaproszenia na mnóstwo bajkowych przyjęć...

Dość, bo jeszcze mnie poniesie.

3. Pokaż nogi

Bo już nigdy nie będą tak dobrze się prezentować jak u dwudziestolatki. Więc zdejmij džinsy, włóż minispódniczkę i nie zdejmuj jej, póki nie skończysz trzydziestu pięciu lat.

4. Nie rób się na blond

Będziesz wyglądała nienaturalnie i twoje brwi nie będą pasowały. Poza tym odrosty sprawiają masę kłopotów.

5. Kup sobie ten bilet dookoła świata

Twoja kariera zawodowa może poczekać. Jeden rok nie robi różnicy, a zyskasz wspomnienia i doświadczenie na całe życie.

6. On nie jest tego wart

Możesz mi wierzyć. Spotkasz go za dziesięć lat i będziesz się zastanawiała, co w nim widziałaś.

7. Nie noś skórzanych spodni

Kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, wydałam fortunę na szyte ręcznie skórzane džinsy. Były nie tylko podniesione w talii (fuj), ale też tak ciasne, że musiałam się talkować, żeby je włożyć. Tak. Naprawdę.

8. Zaczynij uprawiać jogę

Gdybym to zrobiła, mogłabym wyglądać teraz jak Madonna! No, może nie posunęłabym się aż tak daleko, ale przynajmniej potrafiłabym dotknąć swoich palców u nóg...

9. Możesz osiągnąć wszystko, jeśli się uprzesz

Wyobrażałam sobie, że trzeba być kimś wyjątkowym albo ustosunkowanym, żeby opublikować książkę. Że mnie trudno

nawet o tym marzyć. Że nie jestem taką szczęściarą. Dopiero kiedy rzeczywiście wzięłam się do roboty, usiadłam i napisałam pierwszą powieść, zrozumiałam, że jedyne, co mnie dotąd powstrzymywało, to własne opory. *Co nowego, koleczku?* ukazało się drukiem rok później, jakby na dowód, że choć łut szczęścia zawsze się przyda, najważniejsze to mieć pasję, wiarę w siebie i determinację. (Aha, jeszcze chipsy, całe tony chipsów).

10. Dwudziestolatki mają większą moc, niż sądzą

Kiedy byłam młodsza, nie miałam pojęcia o niczym. Byłam bez grosza, brakowało mi pewności siebie, a moje włosy miały śmieszny, zielonkawy odcień od farbowania henną. Nie wiedziałam, że to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia — w tym wieku świat leży u twoich stóp. Zapamiętajcie to, wszystkie dwudziestolatki!

Alexandra Potter, 2008